

— MARIA —
PASZYŃSKA

Jeśli jutra
nie będzie

—MARIA—
PASZYŃSKA

Jeśli jutra
nie będzie



Książnica

Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt okładki
ANNA SŁOTORSZ / ARTNOVO.PL

Fotografie na okładce
© Abigail Miles/Arcangel Images
© pinglabel/Adobe Stock
Domena publiczna

Źródła mott:

Nie było żadnej nadziei. Powstanie w getcie warszawskim 1943, Muzeum Żydów Polskich POLIN, online: https://www.youtube.com/watch?v=MI3bEHjhYds&ab_channel=MuzeumPOLIN [dostęp: 11.01.2023].

Sandomierz. Książka do pisania, wybór tekstów i fotografii Jerzy Krzemiński, fotografie: Janusz Kwiatkowski, Jerzy Michalski, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2021, s. 42.

Koordinacja projektu
ALEKSANDRA CHYTRON-KOCHANIEC

Redakcja
SZTAMBOOK – KAROLINA BOROWIEC-PIENIAK

Korekta
URSZULA WŁODARSKA

Redakcja techniczna
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Maria Paszyńska, Publicat S.A. MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6435-3

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



Książnica

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

1940

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

1941

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

1942

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14

1943

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14

Posłowie

Źródła cytatów

Najważniejsze źródła

...Piotrowi

„Nie myśleć, nie wspominać – być!

Czy to mało?”

Maria Iwaszkiewicz

„Najważniejsze jest życie”.

Marek Edelman

„Chciałem pokazać, że w grozie getta można było być człowiekiem z normalnymi uczuciami [...]. Mit getta trzeba zmienić. W micie getta trzeba pokazać poszczególnych ludzi, trzeba pokazać to, co robili, jak żyli. Bo żyli nie tylko nędzą i głodem”.

Marek Edelman

1940

Rozdział 1

Gdy ostatecznie zamknięto getto, wciąż nie powiedział Annie, że ją kocha. Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego roku za trzymetrowym murem o długości ponad osiemnastu kilometrów, na czterystu hektarach ciasno zabudowanego terenu miejskiego stłoczono kilkaset tysięcy ludzi bez możliwości wyjścia, ale jego każdą myśl i tak pochłaniało niewyznane dotąd uczucie.

Tamtej drugiej okupacyjnej jesieni próbował wiele razy, ale gdy była blisko, słowa po prostu nie chciały przecisnąć mu się przez gardło i wszystko toczyło się swoim zwyczajnym biegiem, jakby nic się w nim nie działo, jakby byli jedynie parą znajomych, dość przypadkowo złączonych przez niezbyt łaskawy w tych dniach los. Gdyby nie wojna, gdyby nie szatański plan utworzenia zamkniętej dzielnicy żydowskiej, Marek Goldman najprawdopodobniej nigdy nie poznałby Anny Zatorskiej. Ich światy oddzielał mur o wiele trwalszy od tego z cegieł i zaprawy i o wiele trudniejszy do przesadzenia. W tamtym murze nie było żadnych wyłomów. Obowiązywały ścisłe reguły, od których wyjątki były surowo karane.

Teraz dane mu było spędzać z nią czas i mimo całej panującej wokół grozy był za to wdzięczny. Mijały kolejne kwadranse, ich wspólne chwile płynęły zawsze zdecydowanie zbyt szybko, a on nie mógł przebić się przez tę własną niewidzialną wewnętrzną barierę, mieszaninę zawstydzenia, obawy przed odrzuceniem, nieśmiałości i czegoś na kształt czci, jaką ją otaczał. Wydawała mu się zbyt doskonała, by mógł ją brukać swoimi uczuciami.

Kim był, żeby mieć śmiałość choćby śnić o ziszczeniu się marzeń, o tym, że Anna Zatorska kiedykolwiek poczuje do niego cokolwiek poza serdeczną grzecznością, z którą jako panienska z dobrego domu traktowała wszystkich wokół? Dlaczego w ogóle miałby ją obchodzić jako mężczyzna? Co miał jej do zaoferowania?

Od początku wiedział, że zasługiwała na kogoś lepszego. Lekarza, adwokata, arystokratę. Kogoś doskonale wykształconego, znajomego

języki obce, wielokrotnego bywalca londyńskich galerii, rzymskich katedr, paryskich uliczek, poruszającego się w zawiłym świecie etykiety równie sprawnie jak w meandrach filozofii czy poezji. Kogoś, kto rozumiałby muzykę, którą tak kochała.

On sam opuścił Warszawę tylko raz, już po rozpoczęciu wojny. Wrócił po kilku zaledwie dniach, ze świata zobaczywszy tylko niekończące się połacie mazowieckich pól, zaraz po żniwach poranionych lejami po bombach i czarnymi oparzeniami od pożarów. Warszawa była całym jego światem i dopóki nie poznał Anny, nigdy mu to nie przeszkadzało. Podobnie jak nie przeszkadzało mu to, kim jest, co wie i co umie. Był sobą i było mu dobrze. Dopiero wobec jej niezwykłości zobaczył swoją małość. Zupełnie jakby ktoś zapalił lampę, w której świetle ujrzał całą swoją nędzę.

Ilekcroć wyobrażał sobie mężczyznę godnego jej względów, coś zaciskało mu się w piersi i przez chwilę Marek Goldman nie mógł złapać oddechu. Nie znał tego mężczyzny, ale już teraz nienawidził go ze wszystkich sił. Tak silne uczucie względem nieznanego też było dla niego czymś nowym. Nie przypuszczał nawet, że jest zdolny nienawidzić kogoś aż tak mocno.

Wreszcie czas ich spotkania dobiegał końca. Żegnali się, a Marek stał jeszcze chwilę i patrzył, jak Anna znika w bramie kamienicy przy placu Muranowskim, i ciskał pod swoim adresem najpodlejsze obelgi. Znów stchórzył, zabrakło mu odwagi, a przecież był tak dobrze przygotowany! Bezsenne godziny kolejnych nocy spędzał na układaniu kwiecistych zdań ze słów, z których każde wydawało mu się niewystarczające, zbyt zwyczajne, by opisać wszystko, co do niej czuł.

Nie miał pojęcia, czy ona w ogóle kiedykolwiek pomyślała o nim inaczej niż o siedzącym na schodach kocie, dozorczy kamienicy czy piekarzu z pobliskiej piekarni. Owszem, w krótkim czasie stał się jakimś elementem jej życia, ale miał wrażenie, że stanowi raczej coś na kształt oswojonego przedmiotu, fotela, który zawsze stoi w tym samym miejscu, niż osoby, kogoś, komu mogłaby pozwolić podejść bliżej, dopuścić go do tajemnic swojej duszy.

Mimo to Marek Goldman wiedział, że musi wyznać jej prawdę, która paliła jego wnętrze, odbierała spokój, mąciła myśli. Mniej przerażającym wydawało mu się zrobienie z siebie głupca niż bycie trawionym przez niewypowiedziane słowa. Był jak opętany, jak szaleńiec owładnięty chorobą, która czyniła go jednocześnie mocnym i całkiem bezsilnym.

Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył, nie miał żadnych wątpliwości, że nie zdoła bez niej żyć. Nie potrafił wyjaśnić tego, co się z nim stało. Nigdy wcześniej nie przypuszczał, że możliwym jest, by ktoś niemal nieznamy stał się sensem i celem życia. Po prawdzie nigdy nawet się nad tym nie zastanawiał. Miał dwadzieścia lat, był zdrow i wesół, zdążył już poznać uroki młodości, wiedział, dokąd zmierza, potrafił czerpać przyjemność z codzienności. Teraz to wszystko przestało mieć znaczenie. Liczyła się tylko ona.

*

Przed wojną Marek Goldman uczciwie dzielił czas pomiędzy pracę i zabawę, w obie wkładając całą duszę.

Pracować zaczął wcześnie, żeby pomóc matce. Pani Goldman była praczką. Od prania ciężkich zwałów materiału w lodowatej wodzie szybko nabawiła się reumatyzmu. Z powykręcanyimi palcami coraz trudniej było jej zdobyć zamówienia. Klienci nie chcieli oddawać bielizny w takie ręce. Matka robiła, co mogła, ale jej dłonie słabły, a dokładne pranie stawało się powoli niemożliwe. Marek miał zaledwie dwanaście lat, gdy po raz pierwszy zimą zabrakło im węgla. Tamtego styczniowego wieczoru patrzył, jak matka dygocze z zimna, i zrozumiał, że jego dzieciństwo dobiegło końca. Teraz on musiał zaopiekować się matką. Wyszedł z domu i poszedł po radę do swojego najlepszego przyjaciela, Franka Kajzera, który o życiu zdawał się wiedzieć wszystko.

– Skąd można wziąć węgiel? – zapytał.

– Ze składu – odparł Franek. – Tylko to kosztuje, wiesz o tym, prawda?

– A jak się nie ma pieniędzy?

Franek przyjrzał się przyjacielowi uważnie.

– No, jak się nie ma pieniędzy, to do składu nie ma po co iść – orzekł wreszcie. – Trzeba jakoś się zakręcić i zdobyć węgiel mimo to.

– A jak to się robi? – dopytywał Goldman, wpatrując się w niego z nadzieją.

– Można ukraść.

– Nie będę kradł – uciął szybko Marek. Jego matka była prostą kobietą, ale zdołała wpoić synowi zasady, których należy przestrzegać zawsze i pomimo wszystko.

Kajzer wzruszył ramionami.

– No to zapracuj.

– Nikt mnie nie zatrudni. – Goldman zmarkotniał. – W fabrykach biorą od czternastu lat.

– Nie muszą cię od razu zatrudniać.

– To za co mają mi płacić?

– Za przysługi – odpowiedział Franek, przybierając minę mędrca.

– Nie rozumiem – wyznał szczerze Marek.

– Robotnikom nie wolno wyjść z fabryki przed fajrantem, co nie?

Goldman skinął głową.

– No i to jest twoje szczęście. Któremuś skończą się papierosy? Skaczesz do kiosku, żeby mu kupić. Potrzeba pół literka? W try miga dostarczasz. Węglarzowi pęknie worek, rzucasz się do pomocy w zbieraniu. Trzeba pozamiatać miął, a nikomu nie uśmiecha się krztusić w czarnym pyłe, pojawiaasz się ty. Sami nie zauważą, kiedy zaczną wypatrywać twojego przyjścia, bo staniesz się im niezbędnym. Łapiesz?

Marek przez chwilę mu się przyglądał, a wyraz jego twarzy świadczył niezbicie, że nad czymś usilnie się zastanawia.

– Ale skąd właściwie mam wiedzieć, gdzie akurat będę potrzebny? – spytał wreszcie.

– Musisz mieć oczy szeroko otwarte i wciąż szukać okazji – odparł Franek tonem sugerującym, że jest to najprostsza rzecz na świecie.

Więc Marek szukał. Jeszcze tego wieczoru napalił w piecu połamanymi sztachetami, które znalazł na skwerku nieopodal ich kamienicy. Okropnie dymiło, ale w pokoju zaraz zrobiło się cieplej. Zaparzył matce herbatę, przykrył ją dodatkowym kocem, a gdy zasnęła spokojnie w cieple, przyrzekł sobie, że już nigdy nie pozwoli jej zmarznąć.

Po jakimś czasie udało mu się zostać chłopcem na posyłki u pewnego żydowskiego stolarza, który prowadził swój zakład na Nalewkach. Kilkanaście miesięcy później majster, widząc, że chłopak jest nadzwyczaj pracowity i bardzo pojętny, postanowił wziąć go do siebie na naukę. Matka była zachwycona. Nie mogła nawet śnić o zapewnieniu swemu jedynakowi jakiegokolwiek wykształcenia, a tu miał zdobyć tak dobry zawód.

– Ucz się, syneczku, ucz – powtarzała. – Cuda nie zdarzają się przecież codziennie.

Marek nie musiał się specjalnie starać, żeby spełnić prośbę matki. Uczył się nadzwyczaj szybko, był uważny i skupiony na powierzonych mu zadaniach, punktualny, niegadliwy, co dla lubującego się w ciszy stolarza było niemałą zaletą. W dodatku palce chłopaka okazały się stworzone do pracy z drewnem.

Po jakimś czasie został czeladnikiem, a jego dalsze losy zdawały się przesądzone. Gdyby nie wybuchła wojna, podszedłby zapewne do egzaminów mistrzowskich, został przyjęty do cechu i mógłby pomyśleć o własnym warsztacie.

Później wielokrotnie zastanawiał się, czy żałuje, że tamta ścieżka została tak nagle zamknięta. Czy byłaby to jego droga do szczęścia? Odpowiedź zawsze była negatywna. Gdyby tak się nie stało, najprawdopodobniej nigdy nie poznałby Anny Zatorskiej.

Od dnia, w którym ją zobaczył, przestał bać się śmierci. W ogóle przestał się nią interesować, choć otaczała go z każdej strony, coraz natrętniej domagając się uwagi za pomocą czerwonej chorągwi ze swastyką, błyskawic na patkach munduru czy trupich czaszek na wojskowych czapkach.

Wybuchła wojna, koniec i początek wielu historii. Niby wszyscy się jej spodziewali, miesiącami wieszczono przecież jej nadejście, a jednak gdy faktycznie Niemcy przekroczyli polską granicę, wszyscy zdawali się tym zaskoczeni, jakby nie dowierzali, że te wczorajsze wróżby kiedykolwiek się ziszczą. Kolejna wojna z dnia na dzień stała się rzeczywistością, jakby ludzkość nie potrafiła się zbyt długo bez niej obejść.

Drugiego września Rada Naczelna Związku Rabinów RP wystosowała do swoich braci w wierze następującą odezwę: „Niechaj będzie pochwalone imię Wiekuistego, Bracia w Izraelu, Obywatele Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej! Odwieczny wróg napadł w niecny, nikczemny sposób na naszą tak gorąco przez nas umiłowaną Ojczyznę, Polskę... My Żydzi, dzieci tej ziemi od zamierzchłych czasów, stajemy wszyscy w karnym ordynku, zwarci i opanowani na wezwanie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelnego Wodza, aby bronić naszej ukochanej Ojczyzny [...] i oddamy, gdy zajdzie tego potrzeba, na ołtarzu Ojczyzny nasze życie i nasze mienie bez reszty. Jest to naszym najszczytniejszym obowiązkiem obywatelskim i religijnym, według nakazów naszej Świętej Wiary, który z największą radością spełnimy – tak nam i Polsce dopomóż Bóg...”.

W szeregach Wojska Polskiego na terenie całego kraju walczyło około stu tysięcy żołnierzy pochodzenia żydowskiego. Marek także się zgłosił. Chciał bronić swojej ojczyzny, swojego miasta, swojej ulicy, swojego domu. Słyszał wprawdzie o narodzie wybranym będącym wspólnotą ponadpaństwową, o ruchach syjonistycznych i antysemitycznych, codziennie bywał na Nalewkach i nierzadko nie mógł pojąć, jak w środku stolicy ludzie mogą nie mówić w języku kraju, w którym mieszkają od pokoleń. Każdorazowo jednak wreszcie wzruszał ramionami.

– Nic mi do tego – mówił sobie, zarzucając na plecy wór z poszat-kowaną kapustą kupiony od starego mężczyzny z długą brodą. – Każdy żyje po swojemu.

Jedną ze złotych niepisanych zasad warszawskich było bowiem to, że każdy mógł żyć, jak chce, byle nie wadził innym i przypadkiem kogo nie krzywdził.

Jego językiem był polski. W tym języku mówiła do niego matka, w tym wołali go koledzy na podwórku, w tym języku nauczył się czytać i pisać, choć po prawdzie nigdy nie szło mu to szczególnie dobrze. W tym języku poznawał stolarski fach i po raz pierwszy usłyszał od majstra, że ma rękę do drewna.

Marek Goldman był Polakiem, warszawiakiem, Żydem, ale nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiał, tak jak nie zastanawiał się nad biciem serca czy pracą nerek. Nie widział w tym żadnej sprzeczności. Gdy ktoś pytał go, kim jest, odpowiadał, że nazywa się Marek Goldman i jest stolarzem. Cała reszta była zbyt oczywista, żeby o niej mówić.

Jego rodzinne miasto kojarzyło mu się z wielkim saganem, w którym zawierała się cała ludzka różnorodność. Miejsca dla każdego było dość, a wielobarwność Warszawy, mnogość odcieni jej mieszkańców tworzyła niepowtarzalny, niemal baśniowy krajobraz.

Szatkownicy kapusty, wytworne damy ubrane według najnowszej paryskiej mody, obdarci gazeciarze, rękawicznicy, eleganccy panowie palący drogie papierosy, rikszarze oparci o słupy ogłoszeniowe zwijający tani tytoń na tle plakatu zapowiadającego koncert jakiejś światowej sławy, ortodoksyjni Żydzi w chałatach, protestanccy pastory, katoliccy księża, muzulmanie, zakonnice, rubaszne karczmarki z Powiśla, wiecznie zamyśleni naukowcy, panie lekkich obyczajów, zmęczeni robotnicy, przybyłe ze wsi naiwne służące, przedsiębiorcy, zadzierający nosa sztywno wyprostowani kelnerzy po elitarnych szkołach serwujący w Bristolu czy Europejskim zagranicznym dyplomatom drinki w idealnie schłodzonych kieliszkach, piłkarze Legii i Polonii, czerniakowskie i praskie cwaniaki, biedota z Annopola – każdy

miał swój wycinek miasta przepołowionego Wisłą i wszystkim udawało się żyć obok siebie w jako takiej zgodzie, choć przejścia między światami w zasadzie nie istniały. Gdy urodziłeś się robotnikiem, zostawałeś robotnikiem, syn piekarza był piekarzem, a lekarza – lekarzem.

Jego mistrz stolarski rok przed wojną powiedział mu, że w Warszawie według statystyk wykupnych świadectw przemysłowych istnieje prawie szesnaście tysięcy warsztatów rzemieślniczych.

– Pięćdziesiąt jeden procent chrześcijańskich, czterdzieści dziewięć żydowskich – dodał, ponieważ był człowiekiem dokładnym i lubił precyzyjne informacje. – Może kiedyś i twój dołączy do tych rejestrów – dodał, poklepując Marka po plecach.

Chłopak uśmiechnął się, jakby spodobała mu się ta wizja, ale w rzeczywistości wcale nie marzył o własnym warsztacie. Lubił ten, w którym pracował. Wszechobecny zapach drewna, kleju, olejów i spirytusu szybko stał się wonią jego drugiego domu. Jego bukowa strugnica ustawiona była blisko okna, tak że od czasu do czasu mógł wyjrzeć na zewnątrz, a że warsztat mieścił się w suterenie, Marek oglądał świat z perspektywy chodnika, rozpoznając znajomych przechodniów nie po twarzy, ale po obuwiu. W pobliżu ławy w doskonałym porządku leżały dłuta, strugi, pilniki, żłobaki, tarniki, zdzieraki, wszelkiego rodzaju noże stolarskie i młotki. Na ścianie wisiały piły, świdry i przeróżne zaciski. W wielkiej szafie przechowywano rozpuszczalniki, oleje, bejce i farby, a w małych szufladkach – gwoździe, śrubki i wkręty we wszystkich możliwych rozmiarach. Marek nie potrafił sobie wyobrazić miejsca, w którym mogłoby mu się pracować lepiej. Było mu dobrze tak, jak jest.

Wkrótce jednak okazało się, że to, co od zawsze wydawało mu się tak oczywiste, w rzeczywistości takie nie jest. Wojna nagle naznaczyła Warszawę nie tylko szramami okopów i dziurami po bombach, lecz pojawiły się także pierwsze rysy na żywej tkance miasta. Wciąż jednak parki i place miejskie przeznaczono na chowanie poległych warszawiaków bez dzielenia ich według wyznania. Wszyscy byli przecież synami stolicy, poległymi w walce o wspólną wolność.

Jego miasto broniło się dzielnie, ale niewiele można było poradzić wobec miażdżącej przewagi wroga.

Dwudziestego drugiego i dwudziestego trzeciego września, gdy warszawiacy wyznania mojżeszowego obchodzili święto Jom Kippur, dzień pokuty i pojednania, w Polsce niekiedy nazywany „Sądnym Dniem”, Niemcy zawzięcie bombardowali żydowskie domy i synagogi.

Dwudziestego piątego września nastąpił wielki finał udręki miasta. Ponad czterysta samolotów Luftwaffe od siódmej rano przez kolejnych jedenaście godzin zrzucało bomby na Warszawę, łamiąc tym nie tylko prawo wojenne poprzez świadome wybranie cywilnych celów, ale też wszystkie dotychczasowe niepisane zasady sztuki wojny. Bombardowano szpitale oznaczone Czerwonym Krzyżem. W tym Świętego Ducha było blisko siedmiuset rannych, zginęli prawie wszyscy. W płomieniach stanęły cmentarze, kościoły, reprezentacyjne ulice miast. Zniszczenia nie były przypadkowe, lecz precyzyjnie zaplanowane, by złamać ducha obrońców stolicy.

Niemieccy piloci nurkowali nad ulicami, by strzelać z karabinów do ludzi, którzy usiłowali gasić pożary. Pociski trafiały kobiety, starców i dzieci.

Skąpa obrona przeciwlotnicza miasta, której siły z każdą minutą słabły, nie miała żadnych szans z deszczem bomb.

Tamtego dnia na Warszawę spadło blisko sześćset trzydzieści ton bomb, od których zginęło dziesięć tysięcy warszawiaków. Nikt, kto tego nie przeżył, nie powinien nawet próbować sobie tego wyobrazić. Granice ludzkich imaginacji nie sięgają tak daleko. Mieszkańcy Warszawy, ocierając łzy, z właściwym sobie czarnym humorem szybko okrzyknęli ten tragiczny dzień mianem lanego poniedziałku.

Ciągu dalszego miało nie być. Stolica nie miała amunicji, żywności, ludność cywilna znajdowała się w opłakanym stanie. Rozpoczęto więc rozmowy o kapitulacji. W celu zapewnienia nowym władarzom miasta bezpieczeństwa przed aktami sabotażu wyznaczono dwunastu zakładników, gwarantów posłuszeństwa ponad miliona pozostałych.

Stanowili prawdziwą mozaikę, idealnie warszawski obraz. Byli wśród nich chrześcijanie, żydzi, ateści, jeden wolnomularz, ksiądz. Zostali zamknięci w ratuszu piątego października, by nic nie zamięciło spokoju Adolfa Hitlera, który tego dnia przyleciał do Warszawy odebrać paradę zwycięstwa.

Wiele osób zastanawiało się, na co było to całe bohaterstwo obrońców, skoro po podpisaniu aktu kapitulacji polscy żołnierze wymaszerowali z miasta do niewoli.

– Ani myślę iść z nimi – powiedział wówczas Franek, zrzucając mundur i wkładając cywilne ubranie.

– To dezercja – stwierdził Marek.

– Dezercja to będzie wtedy, gdy mnie znajdą – odparł Franek, uśmiechając się szelmowsko. – A kto by tam szukał w takich warunkach. Założę się, że niejedynemu zaraz po wyjściu z miasta czmychnie do lasu. Niemcy wygrali. Teraz musimy wymyślić sobie życie na nowo pod okupacją.

Marek poszedł w jego ślady, żeby skazawszy się na niepewny los, nie zostawić matki samej.

Życie w Warszawie okaleczonej przez wybuch wojny powoli zaczynało toczyć się dalej, choć było znacznie bardziej skomplikowane. Zbliżała się zima. Tysiące domów zostały bez okien. Około piętnastu procent budynków zburzono, a ich mieszkańcy pozostali bez dachu nad głową. Zniszczono dwieście dużych fabryk. Wielu ludzi nie miało pracy. Wskutek spustoszeń dowóz żywności do miasta był ograniczony. Stowarzyszenia dobroczynne i Zarząd Miasta wydawały czasem i sto tysięcy cienkich zupek dla robotników i inteligencji, z których pochodziła większość bezrobotnych.

Świat Goldmana nie zniknął nagle wraz z napaścią Niemców, choć biało-czerwone flagi usunięto z budynków i ulic. Przeciwnie, rozpadał się kawałek po kawałku. Długie miesiące iluzję jego istnienia podtrzymywali otaczający chłopaka ludzie, którzy na przekór zdrowemu rozsądkowi i faktom uparcie wierzyli, że to wszystko potrwa tylko chwilę, że to tylko stan przejściowy, pauza dziejowa. Starali się żyć

jak dawniej, omijając wzrokiem czarne pająki na czerwonych sztandarach, dwujęzyczne kolorowe obwieszczenia na słupach, głusi na wycie syren, ryki megafonów, szczekliwą germańską mowę i stukot podkutych oficerskich butów. Owijali słomą na zimę podwórkowe krzewy różane, cerowali dziurawe rękawice, co sobotę pastowali podłogi i maglowali obrusy.

– Do świąt Amerykanie pogonią Hitlera! – przekonywali jedni drugich.

– Przed Nowym Rokiem nie będzie śladu po swastyce – zapewniali.

– Do wiosny już na pewno wszyscy zapomnimy o wojnie – argumentowali z mocą.

Ludzie do końca trzymają się najmniejszych choćby namiastek nadziei. Marek słuchał tego wszystkiego i choć rozum podpowiadał mu niewiarę, serce z całej siły pragnęło, by te proroctwa okazały się prawdą. On także jeszcze wówczas chciał, żeby było jak przedtem. Tęsknił za dawnym, przewidywalnym rytmem swojego życia, dzielonego na pracę, czas z matką i rozmaite przygody przeżywane z Frankiem w piwiarniach na Czerniakowie czy Powiślu.

A potem stało się jasne, że ciąg dalszy prędko nie nastąpi. To nie była przerwa, ale koniec tamtego świata.

Dobrze pamiętał dzień, w którym pierwszy raz usłyszał o podziale jego miasta na trzy dzielnice: niemiecką, polską i żydowską. Na ulicach natychmiast zaczęto debatować, gdzie zostanie utworzona część żydowska. Niektórzy mówili o okolicach Nalewek, ale byli i tacy, którzy obstawiali, że Żydzi zostaną przeniesieni na drugą stronę Wisły.

– Na Pelcowiznę – przekonywali. – Albo Szmulki.

Te wizje przerażały ludzi. O ile w okolicy dzielnicy północnej zabudowa była gęsta, a to oznaczało dużą liczbę mieszkań, o tyle znalezienie noclegów dla tysięcy ludzi na prawym brzegu Wisły było niemożliwością.

Marek był zdezorientowany. Po raz pierwszy dotarło do niego z całą mocą, że kwestia bycia Żydem w teatrum wojny może okazać się czynnikiem decydującym o czymkolwiek, na przykład o konieczności opuszczenia domu, w którym spędził całe dzieciństwo. Oczywiście wiedział jak wszyscy, że Hitler ma obsesję na punkcie starozakonnych, obwinia ich o całe zło tego świata, wszystkie niepowodzenia i spiski kierowane przeciwko Niemcom. Podobno pod koniec stycznia, na osiem miesięcy przed wybuchem wojny, opowiadał o konieczności zdobycia przestrzeni życiowej dla Niemców i zniszczenia rasy żydowskiej w Europie. Jednak Marek, tak jak inni, nie bardzo przejmował się tymi wizjami szaleńca ze śmiesznym wąsikiem, wygłaszanymi w zdecydowanie zbyt długich przemówieniach.

Aż dotąd traktował więc wszystkie ograniczenia nakładane na Żydów tak, jakby nie były jego sprawą i dotyczyły wyłącznie ortodoksyjnych mieszkańców Nalewek czy rabinów i ich rodzin. Ale on był zwykłym chłopakiem, który wychował się na warszawskiej ulicy. Nie obchodził żydowskich świąt, nigdy nawet nie był w synagodze, w kościele zresztą też nie. Religia wydawała mu się rozrywką wyższych sfer. Gdy był mały, czasem przystawał nieopodal którejś świątyni i przyglądał się wiernym spieszącym na nabożeństwo. Wydawali mu się tacy dostojni, poważni, wystrojeni, jakby zmierzali do teatru czy na koncert. Dlatego też wszelkie przejawy religijności ustawił w jednym rzędzie z wydarzeniami kulturalnymi, w których tak lubowali się bogacze. W przestrzeni, do której tacy jak on nie mieli dostępu. Ludzie pracujący nie mieli czasu, siły ani pieniędzy na podobne rozrywki. Ktoś, kto od najmłodszych lat musi codziennie od nowa rozpoczynać walkę o przetrwanie, wierzy w trud, uczciwą pracę, pieniądź i chleb.

Gdy pierwszego grudnia, po zaledwie dwóch miesiącach okupacji, nakazano Żydom powyżej dziesiątego roku życia nosić opaskę z gwiazdą Dawida, kupił sobie jedną i nosił w kieszeni, by w razie niebezpieczeństwa szybko ją założyć. Nie zamierzał jednak paradować w niej po mieście i wystawiać się na szykany, których Niemcy nie szczędzili Żydom. Miał dobry, czyli całkiem zwyczajny wygląd: kasztanowe włosy, jasną cerę, piwne oczy, jak połowa warszawiaków.

Żydom zakazywano kolejnych rzeczy, Marek Goldman nadal jednak nie odczuwał z tego powodu żadnego dyskomfortu. W grudniu zlikwidowano żydowskie szkoły, ale on i tak nigdy się w nich nie uczył. W styczniu zakazano podróży koleją, ale on i tak nigdy niejechał pociągiem. W marcu zakazano Żydom pracy w lokalach gastronomicznych i rozrywkowych, ale on ani tam nie pracował, ani od wybuchu wojny raczej nie bywał. Wiosną odebrano Żydom koncesje drożkarskie, ale on nie miał ani konia, ani powozu, podobnie jak kiosku tytoniowego czy cukierni, których działalności też zakazano. We wrześniu chorych Żydów usunięto ze szpitali, ale on miał żelazne zdrowie i nigdy nie musiał korzystać z tamtejszej opieki. Nie miał też brody ani pejsów, których obcięciem można by go dręczyć.

Trzynastego września ograniczono Żydom prawo do swobodnego zamieszkania, ale on i tak nie planował przeprowadzki. Od zawsze mieszkał w tym samym miejscu i nie zamierzał tego zmieniać.

Gdy drugiego października gubernator dystryktu warszawskiego zapowiedział utworzenie zamkniętej dzielnicy żydowskiej, Marek sprawdził tylko, czy jego ulica znajdzie się w tych granicach. Ignorowana przez niego latami religia miała decydować o przyporządkowaniu do konkretnej części miasta.

Getto wyznaczono ostatecznie w tzw. północnej dzielnicy, co było o tyle logiczne, że mieszkała tu spora część z ponad trzystu tysięcy starozakonnych warszawiaków. Reszta, rezydująca poza wyznaczonymi granicami, do piętnastego listopada musiała znaleźć lokum w obrębie murów. Chrześcijanie zostali zmuszeni do opuszczenia tej części Warszawy najdalej w ciągu kolejnych dwóch tygodni. Dozwolone było zamienianie się mieszkaniami, najem, kupno i sprzedaż. Przenieść można się było z całym legalnie posiadanym dobytkiem.

Wszystkie sklepy żydowskie znajdujące się poza tym obszarem, tak jak warsztaty, zakłady wytwórcze i małe fabryki, wraz z towarami, sprzętem i surowcami podlegały konfiskacie.

Gdy pierwszy szok minął, zaczął się rejwach. Do i z getta płynął nieprzerwany strumień ludzi ciągnących wózki, dorożek, riksz, wo-

zów. Najwięcej jednak osób taszczyło dobytek na własnych plecach.

Systematycznie dobudowywany na koszt gminy żydowskiej mur rozszarpywał miasto na części, zmienił utarte szlaki ulic w niezrozumiałą płataninę, labirynt, którego granice ciągle się przesuwają, a ludzie przemieszczali się, żegnając miejsca, w których nierzadko ich rodziny żyły od tak wielu pokoleń, że nikt już nie pamiętał nawet imienia tego, kto wybrał dla nich ten adres.

Samo getto też szybko pękło – wzdłuż ulicy Chłodnej – dzieląc się na małe południowe, położone bliżej Marszałkowskiej, i duże północne, bardziej oddalone od centrum.

W murze wyznaczono dwadzieścia dwie bramy. Niektórzy twierdzili, że zostaną tam ustawione stráže i ich przekraczanie po zamknięciu getta będzie możliwe jedynie za okazaniem przepustki. Ilekroć Marek przechodził obok którejś z nich, czuł niepokój, choć nie było jeszcze żadnych żołnierzy ani szlabanów. By ukoić ten niepokój, przechodził na drugą stronę i spacerował po Warszawie całkiem bez celu, tylko po to, by upewnić się, że wszystko jest jak dawniej. Miał jednak wrażenie, że coś przegapił, choć całkiem nie umiał powiedzieć co, i że jest już za późno, by odwrócić bieg zdarzeń.

*

To wszystko przestało mieć znaczenie, gdy ją zobaczył. Nie wyglądała na Żydówkę. Nie miała nawet cienia semickich rysów. A mimo to kilka dni po obwieszczeniu o konieczności przeniesienia stała przy tablicy, na której chrześcijanie zmuszeni wyprowadzić się z obrębu muru wieszali ogłoszenia o mieszkaniach przeznaczonych na wymianę. Jedną z takich tablic ustawiono nieopodal warsztatu stolarskiego, w którym pracował Goldman, mógł więc obserwować ludzi tłoczących się przy niej od rana do wieczora. Zwykle dostrzegał zwartą masę, jakby rój os, ale dziś widział tylko ją. Zatrzymał się parę kroków za progiem warsztatu i stał, przyglądając się jej w bezmyślnym zachwycie.

Dziewczyna studiowała uważnie ogłoszenia, a on równie uważnie śledził rysy jej twarzy. Wyglądała na skupioną i zagubioną jednocześnie.

śnie. Podniosła palec i wodziła nim po przyklepionej do tablicy kartce.

– Proszę szybciej! – zawołała postawna kobieta, która stała najbliżej niej. – Nie mamy całego dnia.

Dziewczyna aż podskoczyła. Wymamrotała kilka słów, zapewne przeprosiny, i prędko cofnęła się od tablicy. Pobladła i zaciskała usta ze zdenerwowania, jakby ze wszystkich sił starała się nie rozplakać. Stała chwilę, niepewnie rozglądając się na boki. Znać było, że nie jest stąd. Nigdy wcześniej nie była na Nalewkach, nie miała pojęcia, dokąd powinna teraz pójść. Wreszcie po prostu ruszyła przed siebie.

Marek wzdrygnął się jak człowiek wyrwany ze snu. Dziewczyna oddalała się szybko. Zaczął obawiać się, że zgubi ją w powodzi ludzi. Nie mógł pozwolić jej odejść. Chciał zawołać, ale uświadomił sobie, że choć ma wrażenie, iż ona jest częścią jego samego, w rzeczywistości nie znał nawet jej imienia.

Szybko odpiął kłódkę z rikszy przypiętej do hydrantu. Wciąż nie wiedział, jakim cudem Franek zdobył ten pojazd, ale zaraz po obwieszczeniu władz niemieckich w sprawie przenosin okazał się on żyłą złota. Tego dnia Franek kursował od rana, a potem podrzucił pojazd pod warsztat, żeby Marek mógł pojeździć trochę po pracy. Obaj mieli świadomość, że ten strumień ludzi, a co za tym idzie – pieniędzy, wyschnie o wiele szybciej, niżby chcieli, dlatego starali się nie tracić ani chwili z czasu, gdy zapotrzebowanie na transport było wysokie.

– Można? – zagadnęła go jakaś kobieta, zaraz gdy usiadł na siodełku roweru, ale pokręcił tylko głową i odjechał bez słowa.

Dziewczyna szła szybko. Krok miała lekki, poruszała się z niezwykłą gracją i wyglądała, jakby tańczyła pomiędzy mijanymi ludźmi. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie przystają i nie przyglądają się jej, wzdychając z zachwytem.

Nie miał pomysłu, co powinien zrobić, gdy już ją dogoni. Żałował, że nie było z nim Franka. Jego przyjaciel zawsze wiedział, co powiedzieć i jak się zachować, by zyskać sobie czyjeś względy, obojętne,

czy był to otyły oficjel, surowy stróż prawa, dziecko czy piękna kobieta. Ludzie uwielbiali Kajzera, a o Marku zwykle mówili „ten chłopak od Franka”.

Dziewczyna była tuż przed nim. Skręcił rower lekko w prawo, zrównując się z nią.

– Podwiozę panienkę – wykrztusił przez zaciśnięte gardło. Nie był nawet pewien, czy w ogóle go usłyszała. Dudnienie serca zagłuszało jego głos.

– Słucham? – Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego nieprzytomnie.

Ich oczy spotkały się po raz pierwszy. Markowi zaparło dech w piersiach. Ledwie utrzymał równowagę na rowerze. Wreszcie opuścił stopy na ziemię, ale czuł, jakby stanął na nich po raz pierwszy. Zrozumiał, że to ona.

Czekałem na ciebie całe życie – chciał powiedzieć, ale milczał w oszołomieniu.

– Mówił pan do mnie? – powtórzyła, gdy dłuższą chwilę stał tak, gapiąc się na nią jak nieokrzesany sztubak.

– Podwiozę, dokąd trzeba – wymamrotał, całą siłą woli nakazując sobie spokój. Chciał zrobić na niej jak najlepsze wrażenie, tymczasem dziewczyna wyglądała na lekko zaniepokojoną jego zachowaniem.

– Dziękuję – odparła, prostując się. – Chętnie się przespaceruję.

Położyła dłoń na rączce torebki i nieznacznie wysunęła się do przodu, dając znak, by pozwolił jej przejść.

– Proszę... – wykrztusił. – Proszę...

Znów na niego spojrzała.

– Dobrze się pan czuje?

Nie, nie czuł się dobrze. Zresztą sam nie wiedział, jak się czuł. Nie mógł tylko pozwolić jej odejść, zniknąć z jego życia, w którym przecież dopiero co się zjawiała. Zaczerwienił się. Podniósł rękę i próbo-

wał rozluźnić kołnierzyk. Brakowało mu powietrza. Odkasznął lekko.

– Coś panu dolega? – spytała znowu, wyraźnie zatroskana. – Może wezwać pomoc?

Serce Marka stopniało w jednej chwili. Nie mylił się. Była dobra. Franek zawsze powtarzał, że dobrych dziewcząt nie spotyka się co dzień. „Ładne, owszem – mawiał, gdy po wypiciu zbyt dużej ilości wódki przybierał głos kaznodziei – tyle że uroda przeminie, a dobrego serca nigdy nie straci. Jak się dobra urodziła, dobra umrze”.

Marek pokręcił głową.

– Nie trzeba – powstrzymał ją, starając się opanować drżenie głosu. – Jak już mówiłem, chciałbym tylko panią odwieźć.

– Proszę posłuchać. – Dziewczyna znów zeszywniała, wysunęła podbródek do przodu i rzuciła mu niechętne spojrzenie. – Wiem, że to pańska praca, ale takie narzucanie swoich usług... To niegodziwe. Udawać chorego, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę, to wręcz nieprzyzwoite.

– Źle mnie pani zrozumiała! Ja przewiozę panienkę całkiem darmo.

– A na koniec każe mi pan uiścić opłatę, nieprawdaż? – Uśmiechnęła się kpiąco. – Źle pan trafił, znam dobrze te wszystkie sztuczki warszawskich rikszarzy.

– Ale... – Marek stał z rozdziawionymi ustami, całkiem zbity z tropu. Wszystko wyszło dokładnie odwrotnie, niż zamierzył.

– Raz jeszcze bardzo dziękuję za pana hojną propozycję, ale nie traćmy już czasu, bardzo proszę. Żegnam pana.

To rzekłszy, odwróciła się i ruszyła w kierunku, z którego przed chwilą przyszła.

Niewiele myśląc, odwrócił rower i ruszył w ślad za nią. Dostrzegła go dopiero po kilku chwilach.

– To znowu pan! – wykrzyknęła, zatrzymując się tak nagle, że zachwiały się na rowerze i musiał z niego niezgrabnie zeskoczyć, żeby

się nie przewrócić.

Skinął głową, uśmiechając się nieśmiało. Nie odpowiedziała uśmiechem. Przeciwnie, wyglądała na rozgniewaną.

– Zaraz zawołam policjanta – zagroziła. – Dlaczego, na miłość boską, uczeplił się pan akurat mnie? Jestem pewna, że bez trudu znajdzie pan następnego klienta.

Czuł, że znów się czerwieni. Co działo się dziś z jego twarzą?! Dlaczego akurat dziś musiał co chwilę rumienić się jak panienka?! I co niby miał jej odpowiedzieć? Że po prostu nie może już być daleko od niej? Że nie chce spuścić jej z oka, choć nawet nie zna jej imienia? Niechybnie weźmie go za wariata.

Tymczasem z dziewczyną działo się coś dziwnego. Grymas złości na jej twarzy powoli ustępował dziecięcemu smutkowi. Oczy zaszkły jej łzami. Ramiona się zatrzęśły.

– Dlaczego akurat dzisiaj?! Nie dość mam zmartwień?! Przekłete Szwaby wymyśliły przeprowadzki, a ja zupełnie nie wiem, jak się do tego zabrać. Nigdy nie mieszkałam poza swoim domem... – Głos jej zadygotał i dziewczyna się rozplakała.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej chustkę w kratkę, w duchu dziękując sobie, że akurat dziś wziął z szuflady czystą. A może to przeznaczenie wiedziało wcześniej coś więcej niż on sam?

– Matka i ojciec nie chcą nawet słyszeć o przenosinach. Mój brat biega po urzędach, próbując wszystko wyjaśnić...

– Co wyjaśnić? – odważył się spytać.

– Że nie jesteśmy Żydami – wyłkała. – Tylko że ich rejestry twierdzą inaczej, bo nasza babka, matka matki, była ponoć Żydówką. Wie pan, jakie to straszne uczucie, nagle dowiedzieć się, że jest pan kimś innym, niż myślał, że jest, przez siedemnaście lat swojego życia?

Nie miał pojęcia. On od zawsze był tym, kim był. Życie oszczędziło mu podobnych niespodzianek. Pokręcił głową.

– A ja myślę, że oni tak łatwo nie cofną tej decyzji... – ciągnęła dziewczyna, siąkając nosem. – Skoro raz uznali nas za Żydów, nie cofną tego.

Marek w duchu się z nią zgodził. Czy tego chcieli, czy nie, babka Żydówka zgodnie z kategoriami Hitlera czyniła ich Żydami. Nie było od tego odwołania.

– W końcu zmuszą nas do wyprawdzki, a wtedy wszystko będzie już zajęte. Sam pan widzi, co tu się wyprawia. I gdzie zamieszkamy? Na ulicy? – mówiła coraz bardziej rozgorączkowana. – Matka ma zabrać mojego małego braciszka i swoją wiolonczelę i zamieszkać w jakiejś ruderze z przeciekającym dachem? Jak oni to sobie wyobrażają? – Dyskretnie wytarła nos w chusteczkę. – Już trzeci dzień szukam i nic. Prawdę mówiąc, chyba nie do końca wiem, jak się do tego zabrać. Nie mam doświadczenia. Nigdy nie musiałam szukać domu. – Znów wstrząsnął nią płacz.

– Pomogę pani – powiedział z mocą. – Pomogę pani znaleźć mieszkanie dla waszej rodziny.

– A dlaczego miałby pan to robić? – spytała.

Bo muszę panią widzieć – chciał odpowiedzieć, ale jego usta pozostały nieruchome.

– Nie jesteśmy zbyt zamożni. To znaczy aż dotąd nigdy niczego nam nie brakowało, ale teraz... – Głos odmówił jej posłuszeństwa.

– Pomogę pani – powtórzył. – Nie potrzebuję zapłaty.

– Nie rozumiem...

– A czy wszystko musi zawsze mieć jakiś powód? – odpowiedział, nagle ogarnięty dziwną wesołością. – Może po prostu mam taki kaprys, i już.

– Kaprys, powiada pan...

Marek wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu tym samym, choć jej twarz nadal lśniła od łez.

Rozdział 2

Od tamtego dnia w życiu Marka liczyła się tylko Anna Zatorska, radość w jej oczach i światło załamujące się w splotach jej długich włosów barwy miodu. Pomógł jej znaleźć mieszkanie w jednej z wyższych kamienic na placu Muranowskim. Gdy po raz pierwszy przyprowadził ją w te okolice, rozglądała się ciekawie, choć z lekkim przestraszaniem w oczach. Bez trudu można było poznać, że nigdy nie mieszkała w tak zatłoczonej, głośniejszej, ale i tętniącej życiem części miasta.

Dziewczyna z początku nie wydawała się przekonana.

– Tak mało tu zieleni... – powiedziała cicho. Nie chciała być nieuprzejma, ale po mieszkaniu w kolonii profesorskiej ta okolica wydawała jej się kamienną pustynią.

Jej dotychczasowy dom, wraz z siedemnastoma innymi domkami jednorodzinnymi należącymi do architektów i profesorów Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, usytuowany był na skarpie wiślanej, między ulicami Górną, Hoene-Wrońskiego i Myśliwiecką. Wszystkie domy zaprojektowane zostały w stylu dworskim, a całość miała być odwzorowaniem w niewielkiej skali koncepcji miasta ogrodu. Wszędzie były krzewy, drzewa, kwietniki, pnącza. W sercu osiedla znajdował się miniaturowy plac, który miał być namiastką urokliwego małomiasteczkowego ryneczku. W dodatku kolonia wydawała się zatopiona w morzu miejskiej zieleni. Przylegał do niej zażytkowy park Agrykola, a od Łazienek Królewskich dzielił ją zaledwie krótki spacer. Dokądkolwiek udawała się po wyjściu z domu, zwykle wędrowała w cieniu starych rozłożystych drzew.

Fragment Warszawy, w którym teraz zmuszona była zamieszkać, zdawał się jej pustkowiem i po prawdzie nijak nie mogła sobie wyobrazić, jak miałyby tu żyć.

– W całym getcie trudno o zielenie – wyjaśnił Marek. – Mam wrażenie, że to kolejny pomysł na uprzykrzenie Żydom życia. Pamięta pani

może, jak już na początku okupacji zabronili wstępu do Ogrodu Saskiego, wszystkich parków i zieleńców, żeby nie szerzyć zarazy?

Anna pokręciła głową. Ona chodziła wówczas do parków jak zawsze, gdyż jeszcze wtedy nawet do głowy by jej nie przyszło, że te ograniczenia mogą dotyczyć także jej rodziny. Nie mieli wprawdzie wstępu do Łazienek, bo ta część miasta przeznaczona została *nur für Deutsche*, ale gdy tylko się dało, zażywali odpoczynku w innych parkach. Ojciec Anny był szczególnie przywiązany do idei zieleni jako ważnego czynnika mieszkaniowego. Uważał, że w otoczeniu bujnej roślinności ludziom żyje się lepiej, są zdrowsi i szczęśliwsi. Pomyślała, że przeniesienie się tu sprawi mu wielką przykrość. Kolejna rzecz, którą całe życie traktowali jak coś oczywistego, miała zostać im odebrana.

– Nawet granice wytyczyli nie po niemiecku, bo całkiem krzywo, byle tylko wyłączyć z terenu getta Ogród Krasińskich – ciągnął tymczasem Marek. – Podobno Adam Czerniaków...

– Kto?

Marek przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

– Naprawdę nie wie pani, kim jest Adam Czerniaków?

Pokręciła głową.

– Przecież to prezes warszawskiego Judenratu!

– Czyli? – Dziewczyna wciąż zdawała się zdezorientowana.

– No dobrze, od początku – powiedział Marek, do którego dotarło, że Anna naprawdę pochodzi z innego świata i nie ma pojęcia o funkcjonowaniu społeczności żydowskiej pod okupacją.

Mimowolnie zaczął się zastanawiać, jak wielu takich ludzi będzie teraz w getcie. Całkowicie zagubionych, nieznających realiów życia tutejszej społeczności, obcych.

– Szkopy wymyśliły sobie tę instytucję, nazwali ją dumnie Żydowską Radą Starszych, żeby pełniła władzę administracyjną nad gmi-

nami żydowskimi, a przede wszystkim dopilnowywała wdrażania wszystkich niemieckich zarządzeń.

– Czyli ten Judenrat nie ma żadnej realnej władzy, tak?

Marek wyjął usta w wyrazie niepewności.

– Ludzie różnie mówią. Jedni, że to banda kolaborantów, inni, że marionetki szwabskie, jeszcze inni, że działacze żydowskiego ruchu oporu, którzy próbują lawirować i chronić członków swoich gmin.

– A pan co myśli? – spytała.

– Nie wiem – odparł po prostu. – Nie znam tych ludzi. W każdej zbiorowości zdarzają się najgorsi zwyrodnialcy i bezinteresowni bohaterowie, pewnie tu jest tak samo. Trochę tych, trochę tych.

– Ale z Niemcami się układają...

– A co mają zrobić? Jest okupacja. Wszyscy jakoś tam się z nimi układają, żeby żyć. Każdy próbuje w ramach wyznaczonych przez nich granic działać dalej.

Anna kilkakrotnie skinęła głową, zgadzając się z nim.

– I co z tym Czerniakowem? – dopytywała.

– Widzi pani, gdy w poprzednim stuleciu przebudowywano te okolice, nikt nie dbał o zieleni. Kolejne skwerki zastępowano kamieniami studniami. Nikt się tym nigdy specjalnie nie przejmował, bo przecież był Ogród Krasińskich. No i Czerniaków bardzo się starał, żeby ogród został w dzielnicy żydowskiej...

– Ale mu się nie udało – powiedziała Anna.

– ...ale mu się nie udało – dokończył Marek.

Przez chwilę dziewczyna rozglądała się dokoła.

– W lecie na takim nieosłoniętym placu będzie nieznośnie gorąco – zwerbalizowała jedną ze swoich obaw.

– Dlatego mieszkanie jest wschodnio-północne. Rankiem będzie słońce, ale potem przyjemny chłód – przekonywał ją Marek.

Nie chciał naciskać, ale nie potrafił uświadomić Annie, że nie mają zbyt wielkiego wyboru. Znalezienie w miarę wygodnego mieszkania dla państwa Zatorskich i tak nie było sprawą łatwą. Najlepsze lokalizacje zostały niemal od razu zajęte przez najbogatszych, pozostałe rozeszły się równie szybko. Zatorscy zapewne najlepiej czuliby się na Siennej, gdzie w większości mieszkali ludzie całkiem niezwiązani ze społecznością żydowską, choć Niemcy uznali inaczej. Mówiono, że to ulica żydowskiej arystokracji, inni nazywali tę ulicę „aleją neofitów”. Marek zdecydowanie przychylił się do opinii tych drugich.

Chętnych było niestety więcej niż dostępnych mieszkań, więc musieli zadowolić się tym, co było dostępne. Rodzina Anny wciąż żyła nadzieją, że uda im się wyjaśnić tę całą sytuację i pozostać we własnym domu w kolonii profesorskiej. Marek cieszył się, że przynajmniej ona zachowała na tyle przytomności umysłu, by nie ulec temu złudzeniu. Po drugiej stronie muru mógł pozostać jedynie pan Zatorski, ale poznawszy rodzinę Anny, Marek był pewien, że mężczyzna dobrowolnie przeprowadzi się do getta, by być z bliskimi. Pan Zatorski nie należał do ludzi wylewnych. Przeciwnie – zdawał się raczej nieco zdystansowany. Markowi przywodził na myśl dawnych hrabiów z tych przerażających portretów, których ilustracje widział raz czy drugi w książkach. Biła od niego siła i duma, a te dwie cechy czyniły go niedostępnym. Mimo to nawet niewprawny obserwator od razu mógł zauważyć, że bardzo kocha swoją rodzinę. Z pewnością więc nie zamierzał zostawić ich w getcie samych, a już na pewno nie z powodu zieleni.

Gdyby nie Franek, który zdawał się znać wszystkich w tym mieście i miał od zawsze niezwykły dar zjednywania sobie ludzi, Marek prawdopodobnie nie zdołałby wywiązać się z pierwszej obietnicy danej dziewczynie swojego życia, co z pewnością nie byłoby zbyt dobrą wróżbą na przyszłość.

– A wie pani, że kiedyś stał tu pałac? – zagadnął, raz jeszcze próbując przekonać Annę do tego miejsca.

– Nie, nie wiedziałam. – Nie chciała dodawać, że ta część miasta nigdy specjalnie jej nie interesowała. Przed wojną ani razu nie była na

Nalewkach. Wiedziała tylko, że mieszka tu dużo Żydów niemówiących po polsku i że można tu dostać najlepsze w Warszawie śledzie, a przynajmniej tak twierdziła ich gospodyni.

– Od tego pałacu wzięła się w ogóle nazwa dzielnicy.

– A jak się nazywał?

– Pałac Murano – odparł Marek, zadowolony, że Franek opowiedział mu wszystko o tym miejscu, na wypadek gdyby „ci wielcy państwo”, jak nazwał Zatorskich, chcieli wiedzieć coś więcej.

– Bardzo ładnie.

– Od nazwy weneckiej wyspy, z której pochodził architekt. Niestety, czterdzieści lat temu całkiem go rozebrano i plac zrobił się większy. Organizowano tu targ koński, sprzedawano słomę, drewno i takie tam, a potem, jak dziś, głównie jedzenie. Czasem występowali tu aktorzy i przyjeżdżał cyrk. Jest też tramwaj – nęcił.

– Mówi pan tak, jakby to było centrum wszechświata – zakpiła Anna, ale spojrzała na plac nieco łaskawszym okiem.

– Bo trochę tak jest. To serce Nalewek.

– Obawiam się, że moi rodzice nie będą zachwyceni tym sercem... – powiedziała.

– Przynajmniej widać stąd spory kawałek nieba i dociera tu słońce – odparł Marek. – Gdyby narzekali, przewiozę ich riksą po wąskich uliczkach getta, zaraz zmienią zdanie.

– Przepraszam, nie chciałam pana urazić... – zapewniła pospiesznie Anna.

– Wiem – odpowiedział, patrząc jej prosto w oczy. – Ale musi mi pani uwierzyć, że na ten moment zdobycie takiego mieszkania jest naprawdę wielkim szczęściem. I proszę pamiętać, że to szaleństwo kiedyś musi się skończyć, a wtedy wrócicie państwo do siebie.

– Dziękuję panu – rzekła cicho. – Dziękuję za wszystko, co pan dla nas robi.

Dla ciebie zrobiłbym o wiele więcej, rozspiewał się głos w głowie chłopaka, ale Goldman tylko się uśmiechnął i skinął głową.

*

W pierwszych dniach listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, gdy wszyscy stracili już nadzieję na cofnięcie rozporządzenia o przeniesieniach, Goldman pomagał rodzinie Zatorskich przenieść się do nowego mieszkania w getcie. Nie brakowało mu więc okazji, by wyznać Annie miłość. Uczucie rosło z każdym dniem. Im bliżej ją poznawał, tym bardziej upewniał się w przekonaniu, że całkiem przypadkiem spotkał osobę, z którą mógłby spędzić resztę swoich dni. Anna mieniła się wszystkimi kolorami tęczy, raz była radosna jak dziecko, czasem zamyślona, czasem pochmurna, a momentami tak złośliwa, że za nic by nie chciał, by ta furia została skierowana przeciwko niemu. Mimo iż odebrała dobre wychowanie i miała nienaganne maniery, nie potrafiła ukrywać uczuć. Każdą emocję zaraz widać było na jej pięknej twarzy. Była światłem i ciemnością, burzą i ciszą, energią i odpoczynkiem. Marek zaś marzył o tym, by być szklanym kloszem, który nie przesłoni jej czaru, a ochroni ją przed całym złem tego świata.

Zatorscy powoli aklimatyzowali się w nowej rzeczywistości, choć nie tylko pod względem lokalizacji stanowiła ona dla nich niemałe wyzwanie.

W końcu lata pan Zatorski znalazł zatrudnienie w Technische Fachschule, Zawodowej Szkole Technicznej przy Narbutta. Zajęcia odbywały się sześć dni w tygodniu, tak że w domu bywał w zasadzie tylko wieczorami. Sporo uczniów mimo przeprowadzki wciąż przychodziło do niego na prywatne lekcje rysunku technicznego, więc czasu dla najbliższych robiło się jeszcze mniej.

– To bardzo dobrze – opowiadała Anna Markowi. – Im bardziej jest zajęty, tym mniej ma czasu na martwienie się, co będzie dalej.

– I tym więcej macie pieniędzy – dodawał Goldman szczerze, bo jedzenie tej jesieni było wyjątkowo drogie.

Matka dziewczyny, dotąd niepracująca, by wciąż nie czekać na męża bezczynnie, zaczęła udzielać lekcji gry na wiolonczeli. Dzięki temu znalazła też kilka uczennic dla córki, która trzy razy w tygodniu dawała lekcje śpiewu. Dochód był z tego niewielki, ale Anna cieszyła się, że może w jakikolwiek sposób pomóc rodzicom.

Lecz choć nikt nie mówił tego głośno i wszyscy wydawali się równie entuzjastycznie nastawieni do zmian, wciąż czekali. Karmili się nawzajem nadzieją, że to tylko chwilowe. Przeprowadzka miała być czymś w rodzaju dłuższego pobytu na letnisku, po którym wrócą do domu. Usiłowali też żyć jak dawniej, podtrzymując rodzinne rytuały. Nadal przebierali się do kolacji, podczas których obowiązywał zakaz rozmów o sprawach nieprzyjemnych. Mówiono więc o poezji i literaturze, wspomniano dawne koncerty i przedstawienia, srebrne widelce i noże połyskiwały w blasku świec. To wszystko tylko pogłębiało wrażenie nierealności. Kontrast pomiędzy tym, co działo się na gwarnym placu pełnym straganów i nędzarzy, a kreowaną przez rodziców iluzją był zbyt duży.

Starszy brat Anny, Andrzej, który jeszcze przed wojną rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, całymi dniami chodził od urzędu do urzędu, usiłując wyjaśnić sytuację ich rodziny, ale wszędzie spotykał się z odmową cofnięcia decyzji o przeniesieniu. Okupacyjne władze pozostawały głuche na jego argumenty.

– Zostaw to – namawiał go Marek. – To nic nie da. Zawzięli się na Żydów, którymi według nich jesteście i wy.

– Nie jestem Żydem – cedził Andrzej przez zaciśnięte zęby.

Dużo czasu spędzał w kościele Wszystkich Świętych, gdzie z księdzem Marcelim Godlewskim toczył długie dyskusje o losie ponad dwóch tysięcy katolików, którym kazano osiedlić się za murem przez wzgląd na rzekome żydowskie pochodzenie. Coraz częściej nie pojawiał się na kolacji. Pochylał głowę nisko nad talerzem, lecz Anna i tak widziała, jak marszczy brwi i mocno zaciska wargi, by zatrzymać gorzkie słowa. Choć o papierosy było coraz trudniej, zaczął palić. Tylko to uspokajało drżenie jego rąk.

Anna patrzyła na brata i czuła, jakby odgradzał ją od niego jakiś mur. Dzielili te same doświadczenia, ale z dnia na dzień stawali się sobie coraz bardziej obcy. Puste miejsce po Andrzeju powoli wypełniał Marek. Był dla niej jak brat. Opiekuńczy, lojalny, ofiarny. Potrafił słuchać, którą to cechę dziewczyna ceniła szczególnie wysoko.

Czasem szukała momentu, w którym ona i brat zaczęli oddalać się od siebie, i na myśl przychodziła jej jedna chwila. Pamiętała dobrze tamten wczesnojesienny wieczór i wiele razy zastanawiała się, czy gdyby się powtórzył, postąpiłaby inaczej, zdołała jakoś go pocieszyć, zamiast zasiewać w nim nadzieję, która nie miała szans się ziścić.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej Andrzej wrócił z tajnych zajęć na prawie wyraźnie poruszony. Usiadł do kolacji, lecz gdy na stole pojawiła się waza z parującą zupą, zerwał się z krzesła.

– Przepraszam, mamó – szepnęła Anna.

Pani Zatorska skinęła głową.

– Andrzej... – Dziewczyna wybiegła za bratem na korytarz. – Co tobie?

Andrzej wbił dłonie w kieszenie. Milczał.

– Hej, ze mną możesz przecież porozmawiać. Powiedz, co ci dośkwiera, zrobi ci się lepiej. Przynajmniej kiedyś zawsze tak było.

– Lepiej? – prychnął i wbił w nią iskrzące wściekłością spojrzenie, od którego siostra aż się skuliła. – O czym ty w ogóle mówisz, co?

– Ja... ja chciałam tylko pomóc... – wyszeptała cicho.

– To pozbądź się Hitlera – mruknął złośliwie.

– Wszyscy w tym kraju mają to samo marzenie, wierz mi – westchnęła, siadając na niskim stołeczku, na którym ich ojciec zwykł wkładać buty. – Myślałam, że po tylu miesiącach przywykłeś już do czekania, jak inni.

– A na co chcesz czekać?

– Aż wszystko się uspokoi, wojna się skończy i będzie jak dawniej – wyrzuciła na jednym oddechu.

– Nic już nie będzie jak dawniej.

– Siejesz defetyzm. Każda wojna się kiedyś kończy.

– Fakt, tyle że my tej nie przeżyjemy.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Anny.

– Andrzej, co cię dziś ugryzło? Dość już tych ponurych żartów.

– To nie żart.

– Czemu, na Boga, mielibyśmy nie przeżyć?

– Bo podobno jesteśmy Żydami, a ich skazano na zagładę.

Anna przewróciła oczami i odetchnęła z ulgą.

– A więc to cię trapi! Wciąż myślisz o tym głupim zawiadomieniu? Słyszałeś, co mówił ojciec, to zwykła administracyjna pomyłka.

– Niemcy nie mylą się w sprawach rasowych.

– Andrzejku złoty, przecież to niedorzeczne! – Dziewczyna ujęła brata za rękę i przemówiła do niego tonem miękkim i łagodnym, jakby był małym chłopcem, a nie dorosłym mężczyzną. – Nasza matka ochrzciła się, jeszcze zanim poznała ojca, całe wieki temu. Ojciec jest chrześcijaninem z dziada pradziada. My przyjęliśmy sakramenty, Antoś za trzy lata będzie miał komunię świętą. Na to wszystko są dokumenty, ksiądz proboszcz zezna, co będzie trzeba. To tylko niedopatrzenie. Wszystko się wyjaśni. Nie ma się czym przejmować.

Nie wypuszczając jej ręki ze swej dłoni, Andrzej przykucnął przy siostrze.

– Pierwszego kwietnia Rada Żydowska powołana przez Niemców do zarządzania ich społecznością zaczęła budować mur na Nalewkach.

– Tak, coś słyszałam. To przez tę epidemię tyfusu...

– Nie ma żadnej epidemii!

Anna rzuciła bratu pełne powątpiewania spojrzenie.

– Widziałam tablicę. Tam było napisane wyraźnie: „Obszar zagrożony epidemią”.

Jej brat pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Jesteś taka naiwna...

– A ty wszędzie wietrzysz spisek. Andrzej, przegraliśmy, szkopy okupują Polskę, muszą jakoś zorganizować tu życie, więc to chyba normalne, że będą teraz wymyślać takie głupoty...

– Słyszałaś o czymś takim jak getto?

– Przypominam ci, że historii uczył nas ten sam profesor.

– I nic ci nie świta, Anno? Nie zastanawiasz się, czemu w sierpniu kazano Żydom warszawskim wynieść się z dzielnicy niemieckiej, a tym, których zwożą do stolicy, wolno mieszkać tylko w tej za murem?

– Przecież mówię, że to kwestie organizacyjne...

Andrzej sięgnął do kieszeni i podał siostrze złożoną na czworo kartkę.

– Co to takiego? – spytała.

– Zarządzenie gubernatora dystryktu warszawskiego.

– Fischera...

– Ludwiga Fischera – przytaknął. – Jutro będzie nim obklejone całe miasto.

Nie pytała, skąd to ma, i tak by jej nie powiedział. Rozłożyła kartkę i przebiegła wzrokiem tekst.

– Miasto ma zostać podzielone na trzy części. Niemiecką, polską i żydowską. Do końca października wszyscy mają się przeprowadzić bez mebli. Najwyraźniej od średniowiecza ludzkość zrobiła niewielki postęp.

– A jaki to ma związek z nami? – dopytywała zdezorientowana Anna.

Andrzej znów sięgnął do kieszeni.

– To przyszło kilka dni temu.

Siostra posłała mu pytające spojrzenie. Nie rozumiała, dlaczego nie pokazał im wszystkim tego listu od razu, zaraz jednak domyśliła się wszystkiego.

Wewnątrz koperty znajdowało się zawiadomienie o konieczności przesiedlenia się do dzielnicy żydowskiej dla matki, Anny, Andrzeja i Antka.

Aż dotąd śledzili coraz to nowe zarządzenia antyżydowskie wydawane przez okupanta z ciekawością obserwatora. Gdy dwudziestego ósmego października tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku przeprowadzono spis ludności żydowskiej, pani Zatorskiej nawet przez moment nie zaświtała w głowie myśl, że może powinna się zgłosić. Ona i jej rodzina byli przecież katolikami.

Żydowskie pochodzenie pani Zatorskiej nie było żadnym wstydlwym tematem czy pilnie strzeżoną tajemnicą. W ogóle nie było tematem, bo dla nikogo nigdy nie miało żadnego znaczenia. Wszyscy domownicy znali opowieść o tym, jak matka nawróciła się i przyjęła chrzest, gdy jako jedyna ze swej licznej rodziny przeżyła epidemię hiszpanki. Ledwie żywą wśród trupów znalazła ją wówczas zakonnica. „To cud, że żyjesz!” – wykrzyknęła. „Jezus cię ochronił”.

Dziewczynka nie wiedziała wprawdzie jeszcze, kim jest Jezus, ale zrozumiała, że ma coś wspólnego z cudami, i ta wiara towarzyszyła jej przez resztę życia. Poślubiła katolika, ochrzciła dzieci i nie zastanawiała się nigdy nad wiarą swoich przodków, szczególnie że Żydzi przez chrześcijan byli nazywani starszymi braćmi w wierze. Jej dzieci dawne dzieje rodziny traktowały jak baśń. W ich świecie od zawsze byli po prostu katolikami.

– To musi być jakaś pomyłka! – powiedziała Anna, kolejny raz wzrokiem przebiegając treść listu.

– Nie sądzę – rzekł Andrzej. – Prawo rasowe nie różnicuje żydów, którzy się ochrzcili, nieważne ile lat temu, od tych, którzy żydami pozostali. A za żyda uważa się każdego, kogo matka lub ojciec należy bądź należał do gminy żydowskiej. Słowem: wszystko się zgadza i bez znaczenia jest fakt, że nasza matka była wówczas kilkuletnią dziewczynką, a nas w ogóle nie było jeszcze na świecie.

– Posłuchaj mnie uważnie – rzekła Anna. – Niemcy to straszni legaliści, wszystko musi się im zgadzać w papierach. Zaniesiemy do urzędu nasze świadectwa chrztu, opiszemy szczegółowo całą sytuację, ty rzucisz im jedną czy dwiema sentencjami łacińskimi i jestem pewna, że cofną tę decyzję. To musi się jakoś wyjaśnić.

Bóg jeden wiedział, jak bardzo żałowała teraz tych słów. Miała wrażenie, że Andrzej, który od wybuchu wojny nie mógł znaleźć sobie miejsca, uchwycił się ich zbyt mocno. Przyjął za sens swoich działań i ich jedyny cel udowodnienie światu, że członkowie jego rodziny są chrześcijanami i nie muszą przenosić się za mur.

Tymczasem Anna z każdym dniem coraz wyraźniej dostrzegała, że tu nie ma mowy o udowodnieniu czegokolwiek, wyjaśnieniu czy zrobieniu wyjątku. Nowy świat projektu Hitlera zakładał pozbycie się każdego, w czyich żyłach płynęła choćby kropla żydowskiej krwi. To, w co faktycznie wierzyli i kim naprawdę byli, nie miało żadnego znaczenia.

Dwunastego października czterdziestego roku, gdy warszawiacy wyznania mojżeszowego obchodzili Jom Kippur, około godziny czternastej przez megafony zostało podane zarządzenie o utworzeniu trzech dzielnic.

– Rok temu bombardowanie, teraz getto – powtarzano sobie z ust do ust.

W listopadzie nakazano oznaczać sklepy żydowskie, w teorii, by chronić je przed grabieżami, w rzeczywistości, by grabieże te ułatwić. Już wówczas wiadomo było, że dobre oznakowanie tylko eskaluje przemoc. Już od końca poprzedniego roku, odkąd każdy Żyd powyżej

dziesiątego roku życia musiał nosić opaskę z gwiazdą Dawida, napaści i pobicia zdarzały się jeszcze częściej.

– To prawie jak wypalanie piętna na ciele niewolnika – oburzał się wówczas ojciec, który nie mógł zrozumieć tak wielkiej dehumanizacji.

Co kilka dni odbierano Żydom po kawałku kolejne prawa, a oni się temu przyglądali.

– Żydzi nie mają wstępu do czytelni i bibliotek publicznych – przeczytała Anna w styczniu.

Matka westchnęła i przeżegnała się.

– To zmierza w złym kierunku – stwierdził smutno ojciec. – W bardzo złym.

– To tylko biblioteki – stwierdził bez troski Andrzej. – Od nieczytania książek jeszcze nikomu nie stała się krzywda.

– Aleś ty głupi! – rzuciła w jego stronę Anna.

– Sama jesteś głupia! – odparował brat. – Nie widzisz, że mamy poważniejsze problemy niż to, czy jakiś Żyd może wypożyczyć książki, czy nie?

– A czy ty nie widzisz, że to nie o jakiegoś tam Żyda chodzi?! Jedna trzecia warszawiaków jest wyznania mojżeszowego! Spora część twoich kolegów nie będzie mogła...

– ...wypożyczać książek? – zakpił. – Przeżyją! Zamiast czytać powinniśmy się raczej zastanawiać, jak pogonić szkopa.

Anna przewróciła oczami i sapnęła gniewnie.

– Jak ty nic nie rozumiesz!

– To ty nic nie rozumiesz!

– Dzieci, proszę o spokój – upomniała ich matka.

Do nadejścia wezwania do przesiedlenia były to jednak teoretyczne rozważania nad cudzym losem i zapominano o nich zaraz, gdy poja-

wiła się kolejna drobna troska życia codziennego. Nikt przecież za mocno nie przejmuje się biedą innych, dopóki sam ma się dobrze.

Państwo Zatorscy aż dotąd starali się żyć, jakby nic się nie działo, Antoś był całkiem beztroski, Anna z pomocą Marka znalazła mieszkanie w dzielnicy żydowskiej, spakowała cały dobytek i znów dzięki wsparciu Goldmana zorganizowała przeprowadzkę, a potem urządziła im codzienność przy placu Muranowskim, Andrzej zaś codziennie na zmianę w języku polskim i niemieckim tłumaczył innym urzędnikom, że zaszła pomyłka.

W sobotę szesnastego listopada czterdziestego roku wraz z zamknięciem bram getta świat jej dzieciństwa, wszystko, co znała, po prostu zniknął. Rozpłynął się. Warszawa zniknęła. Nie oddaliła się, nie stała niedostępna, nieosiągalna, po prostu zniknęła za murem. I tylko czasem echo przynosiło odgłosy świata, który przecież był od zawsze jej światem.

– Odcięli nas od miasta – wysapała Anna, opadając na fotel w płaszczu i kapeluszu. – Wszystkie bramy są zamknięte. Nie można wejść ani wyjść, rozumiecie?! Tata nie będzie mógł nawet chodzić do pracy w szkole. Zamknęli nas tu!

– Położyliśmy się spać w dzielnicy żydowskiej, obudziliśmy się w getcie – stwierdził Andrzej, patrząc siostrze prosto w oczy. – Zamurowali nas żywcem. Teraz będą patrzeć, jak umieramy.

W kuchni zapanowała głęboka cisza. Nie było żadnych słów, którymi można by ją rozproszyć.

Szesnastego listopada po południu matka Anny, od rana milcząca i blada, położyła się do łóżka i umarła.

– Serce – orzekł doktor, wezwany za późno. – Bardzo mi przykro.

Anna rozplakała się histerycznie. Widok leżącej bez ruchu matki, choć za oknem wciąż było jasno, i płaczącej rozdzierająco siostry sprawił, że Antoś natychmiast zrozumiał, iż wydarzyło się coś strasznego. Podszedł do Anny i przytulił głowę do jej nogi. Andrzej odwrócił wzrok i patrzył przez okno na rozmyty szarością świat.

– Tak będzie lepiej – szepnął ojciec. – Nie dałaby rady tu żyć.

Anna szarpnęła głowę. Chciała coś powiedzieć, sprzeciwić się, wyrazić oburzenie, ale wówczas ojciec pochylił się, przymknął oczy, położył dłoń na miękkich kobiecych włosach i musnął wargami chłodny już policzek żony. Anna nigdy wcześniej nie widziała, by jej rodzice się dotykali, jakkolwiek okazywali sobie uczucie. Byli dla niej matką i ojcem, ale nigdy parą kochających się ludzi.

Nie wiedziała, jak długo to trwało. Patrzyła na zastygłego w tej dziwnie czulej pozie ojca i nie mogła nic powiedzieć. Zapisywała w pamięci ten obraz, jedyny, pierwszy i ostatni gest czułości rodziców.

– Nosila szkaplerz, jest już w niebie. – Ksiądz, który nie zdążył udzielić jej ostatnich sakramentów, usiłował pocieszyć pogrążoną w bólu rodzinę.

Sam, choć był katolickim księdzem, również trafił do getta.

Marek zrobił w warsztacie piękną trumnę. Drewno było najtańsze, ale boki przyozdobił nutami, a na wieku wyrzeźbił wiolonczelę. Nabożeństwo odbyło się w kościele Wszystkich Świętych.

Matkę, jako ochrzczonej, pochowano na graniczącym z gettem Cmentarzu Powązkowskim. Rodzinie wolno było iść za trumną tylko do granic getta. Gdy wóz pogrzebowy się oddalał, Anna miała wrażenie, że jej serce pęka na kawałki. Nie mogła znieść myśli, że w tej ostatniej drodze matka jest całkiem sama. Spróbowała pobiec za karawaną, ale Andrzej dogonił ją jeszcze przed posterunkiem i zmusił, by wróciła do rodziny.

– Chcesz do niej dołączyć? – zapytał, gdy zaczęła mu się wyrywać.

– A może chcę! – wrzasnęła, targana mieszaniną furii i rozpacz. – Może chcę! Może mam dość tego wszystkiego i chcę do mojej mamy.

Przestała się szamotać, osunęła się w ramiona brata.

– Chcę do mamy! – zaszlochała. – Chcę do mojej mamy.

Od tego dnia nie opuszczała jej poczucie winy, że nie zbuntowała się dostatecznie mocno i nie była przy matce, gdy wkładano ją do poświęconej ziemi. Nie mogła też poradzić sobie z myślą, że nie była wystarczającym argumentem, by przekonać ją do życia.

Po jej śmierci w panu Zatorskim zaszła głęboka zmiana. Z dnia na dzień z ojca rodziny, opoki, człowieka, który zdawał się znać odpowiedź na każde pytanie i rozwiązanie każdego problemu, stał się cieniem. Unikał czyjegokolwiek towarzystwa, odpowiadał półsłówkami, nie patrzył dzieciom w oczy. Uczniowie, wobec których również zachowywał się inaczej niż zwykle, zrzucali to na karb żałoby po śmierci żony, ale Anna wiedziała, że problem jest o wiele głębszy. Wraz ze śmiercią matki coś w nim obumarło. Zrozumiała, że nawet najpotężniejsze drzewo, by żyć, potrzebuje korzenia. Korzeniem ojca była niepozorna, grająca na wiolonczeli małżonka. Bez niej usychał.

Mijały kolejne dni. Życie w obcym domu bez matki naznaczone było samotnością. Choć wciąż byli razem we czwórkę, nie rozmawiali o stracie. Wymieniali codzienne informacje, najczęściej dotyczące cen żywności, ale milczeli w kwestii uczuć. Wspólna strata, zamiast ich połączyć, w dziwny sposób podzieliła rodzinę.

Gdy pierwszy żal minął, Anna poczuła gniew. Była wściekła na matkę, że zostawiła ją samą z tym wszystkim. Pewnego wieczoru wzięła wiolonczelę i z całej siły uderzyła nią w podłogę. Szyjka pękła z głuchym traskiem. Zaniepokojony hałasem Andrzej wpadł do pokoju.

– Coś ty najlepszego zrobiła! – wrzasnął.

Anna przyłożyła obie dłonie do ust, porażona nagle myślą, że w przypływie złości zniszczyła najdroższą pamiątkę po matce.

– Ja... – jęknęła.

– To był porządny instrument! – pieklił się Andrzej. – Na Smoczej mogliśmy dostać za niego sporo pieniędzy!

Anna wbiła w niego wzrok. Kiedy jej brat, subtelny idealista, zmienił się w tego nieznajomego człowieka, dla którego pamiątka po

matce była wyłącznie źródłem potencjalnego dochodu?

Wiedziała, że zły czas czynił złych ludzi jeszcze gorszymi, ale nigdy nie przypuszczała, że może też tak bardzo niszczyć dobrych.

Bez słowa wyszła z pokoju.

Tego wieczoru, gdy układała Antosia do snu, braciszek wtulił się w nią mocno i nie chciał pozwolić jej odejść.

– Antosiu, już późno – upomniała go. – Pora spać.

– Nie mogę spać – wyszeptał jej do ucha.

– A czemuż to? – spytała. – Noc jest po to, żeby spać. Robi się ciemno, żeby nic cię nie rozpraszało, i cicho, żeby żaden dźwięk cię nie niepokoił. Idealne warunki do spania.

Chłopiec pokręcił głową. Jego jasne włoski połaskotały twarz siostry.

– Nie będę spał – upierał się. – Już nigdy nie zasnę.

– Ale dlaczego? – dopytywała Anna.

– Bo mogę się już nie obudzić... jak mamusia – wyznał wreszcie.

Dziewczyna poczuła, jak coś w jej wnętrzu zaciska się boleśnie. Z trudem powstrzymała łzy.

– Mamusia odeszła, bo tak chciał Bóg... – powiedziała niezgrabnie, sama nie wierząc w to, co mówi. Była pewna, że gdyby nie wojna, Hitler i zamknięcie getta, jej matka wciąż by żyła.

– A myślisz, że jak go poproszę, to mama jutro wróci? – spytał chłopiec.

Głos uwiązał Annie w gardle. Mocno przycisnęła malca do siebie.

– Ja jestem przy tobie, Antosiu – zapewniła z mocą, udając, że nie dosłyszała jego pytania. – I nigdzie się nie wybieram.

– To dobrze, Aniu, to dobrze – wymamrotał chłopiec.

Rozdział 3

– Sekretariat? – westchnęła Anna. – Nie mogli cię przydzielić do ZZ?

W grudniu Rada Żydowska powołała do życia Zakład Zaopatrzeniowy. Urząd ten miał zajmować się aprowizacją dzielnicy żydowskiej artykułami spoza getta. Wystarczyło bowiem kilkanaście dni funkcjonowania tego tworu, by zorientować się, że w zamkniętej dzielnicy największym problemem będzie pożywienie.

– Co poradzę na to, że nie znam jidysz – odparł Andrzej nerwowo. – A to z jakiegoś powodu okazało się ważniejsze niż znajomość niemieckiego, francuskiego i studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim.

Anna pokiwała smutno głową. Od początku zamknięcia zauważyli, że znajomość jidysz znacznie ułatwiała życie w getcie. Podobnie jak bycie prawdziwym Żydem. Do mechesów, czyli Żydów, którzy porzucili wiarę ojców, wszyscy odnosili się nieufnie. Zatorscy nie mieli możliwości i nie zamierzali każdemu opowiadać swojej historii.

– Masz rację – powiedziała łagodnie. – Nie powinnam narzekać. Najważniejsze, że masz zajęcie.

– I dodatkowe kartki – dodał Andrzej.

Do Anny nikt już nie przychodził na lekcje. W tych okolicznościach nikt nie chciał uczyć się śpiewu. Dziewczyna czyniła sobie z tego powodu wyrzuty, ale po części też cieszyła się, że nie musi śpiewać. Od śmierci matki głos odmawiał jej posłuszeństwa, a każdy dźwięk wyciskał z oczu łzy. Nie potrafiła śpiewać bez niej. Ojcu zostało zaledwie kilku uczniów, którzy wciąż przychodzili na rysunek. Próbował wystarać się o przepustkę, którą dostali niektórzy lekarze, by móc pracować poza granicami getta, ale tylko go wyśmiano. Lekarzom zresztą też wkrótce cofnięto te tymczasowe bilety do świata wolności.

Wciąż mieli sporo zaoszczędzonych dawniej pieniędzy, ale Anna, która robiła zakupy i jako jedyna zdawała sobie w pełni sprawę z co-

dziennego wzrostu cen, przeczuwała, że będą one topnieć o wiele szybciej, niżby chcieli.

– Pójdę się przejść – oświadczyła, byle jakoś zakończyć tę rozmowę.

Chciała wesprzeć brata, ucieszyć się, że udało mu się znaleźć zajęcie – większość intelektualistów miała z tym niemałe problemy – ale nie potrafiła ukryć zawodu.

– Ja z tobą, ja z tobą! – wykrzyknął Antos, rzucając się siostrze w ramiona.

– Nie, Antosiu – odparła stanowczo. – Już zimno i zaraz robi się ciemno. Nie chciałabym, żebyś się rozchorował.

– Ja nigdy nie choruję – oświadczył chłopiec, prostując się dumnie, i jednocześnie rękawem swetra otarł katar spływający mu z nosa.

Od kilku dni był niewyraźny. Anna nie potrafiła powiedzieć, na czym dokładnie to polegało, ale braciszek zdawał się jej odmieniony. Matka na pewno wiedziałaby, co mu jest, ona natomiast musiała błądzić po omacku. Jedyne, czego była pewna, to to, że chłopczyk nie powinien wychodzić na wczesnogrudniową pluchę.

– Następnym razem, Antosiu – obiecała.

Zbiegła po schodach i wpadła na Marka Goldmana, który z rękoma wbitymi w kieszenie spacerował, trzy kroki tam, trzy z powrotem, pod drzwiami, jakby nie mógł się zdecydować, żeby wejść do środka.

– Och, dzień dobry! A co pan tu robi? – spytała, zaskoczona jego obecnością.

– Czekam – odparł z wyraźnym wysiłkiem.

– Na kogoś konkretnego?

– Prawdę mówiąc, na panią – odparł szczerze i kopnął niewielki kamyk.

– Oto jestem. Czym mogę panu służyć?

– Właściwie to niczym.

Anna zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać. Ten chłopak od pierwszej chwili wydał się jej dziwny, lecz w takim miłym tego słowa znaczeniu. Zachowywał się inaczej niż wszyscy, mówił całkiem nie to, co należałoby powiedzieć, był nad wyraz szczery, a jednocześnie troskliwy i uczynny. Bił też od niego spokój, który w tajemniczy sposób od razu się jej udzielał. W dniach po śmierci matki był właściwie jedyną osobą, której obecność nie drażniła Anny.

– Ale powiedział pan, że czekał na mnie...

– Bo tak było – przytaknął. – Chciałem z panią porozmawiać.

– Czy moglibyśmy... – Zawahała się, ale szybko odsunęła od siebie wątpliwości. – Czy moglibyśmy mówić sobie po imieniu? Znamy się już trochę, dzieli nas zaledwie kilka lat... Nie miałby pan nic przeciwko?

Marek pokręcił głową.

– Anna – powiedziała, wyciągając do niego rękę.

– Marek – odparł, ściskając jej małą dłoń. – Bardzo mi przyjemnie.

– Wspaniale, formalności mamy z głowy – rzekła, ujmując go pod ramię. – Przejdźmy się zatem i porozmawiajmy.

Oszołomiony jej bliskością Goldman na dłuższy czas zapomniał języka w gębie. Szli placem, na którym zamierało życie. Przekupnie w pośpiechu pakowali swój dobytek, raz po raz z niepokojem spoglądając w niebo.

Nagle gdzieś za chmurami dało się słyszeć groźny pomruk, a zaraz potem z nieba lunęła ściana deszczu.

– Prędko, tutaj! – Marek złapał Annę za rękę i pociągnął do najbliższej bramy.

Przystanęli pod sklepieniem przejścia wiodącego do kamienicy. Deszcz zasłaniał ich od świata.

– Może nikt nas nie przepędzi – powiedział Marek.

– Nie sądzę, żeby komukolwiek chciało się wyjść w taką pogodę, żeby kogoś przepędzać – odparła wesoło, choć usta drżały jej z zimna. – Nawet najgorliwsi stróże wolą oglądać deszcz zza szyby.

Marek zdjął mokrą kurtkę, pod którą miał ciepły sweter. Okrycie było wykonane z porządnego przedwojennego materiału, więc nie zdążyło jeszcze przemoknąć. Sweter był suchy.

Rozpiął go pospiesznie i podał Annie. Spojrzała na niego zdziwiona.

– A ty?

– Rozgrzałem się biegiem – odparł i narzucił na siebie kurtkę. Chciał ją zapiąć, ale po chwili namysłu zostawił rozpiętą, żeby rozwiać ewentualne wątpliwości dziewczyny.

– Dziękuję – odrzekła, nakładając sweter pod płaszcz. – Kto by pomyślał, że tak się rozpada.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Stali więc, przypatrując się szarawym smugom.

– Może opowiesz mi coś o sobie? – zapytała, gdy milczenie się przedłużało.

– Nie wiem, czy jest co opowiadać – odparł niepewnie.

– Coś ciekawego na pewno by się znalazło – zachęcała.

– Jestem pewien, że gdyby tę historię miał opowiedzieć mój przyjaciel, Franek Kajzer...

– A zatem masz przyjaciela, to dobre na początek – stwierdziła. – Mnie jakoś nigdy nie udało się znaleźć przyjaciółki. Miałam same rywalki. Zresztą w szkołach, do których uczęszczałam, był to właściwie stan naturalny. Z założenia byłyśmy dla siebie konkurencją.

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem...

– W środowisku muzyków współzawodnictwo jest chlebem powszednim. Bo widzisz, miałam zostać śpiewaczką – wyjaśniła. – To

znaczy matka chciała, żebym była śpiewaczką, dlatego od dziecka posyłała mnie na lekcje śpiewu i fortepianu.

– A ty? – odważył się spytać.

– A ja godziłam się na to, żeby móc robić to, czego naprawdę pragnęłam.

– Czyli?

– Tańczyć – odpowiedziała i uśmiechnęła się szeroko jak małe dziecko. – Gdy miałam chyba dwanaście lat, udało mi się przekonać matkę, że prawdziwy śpiewak powinien także potrafić poruszać się po scenie. Z początku nie chciała nawet o tym słyszeć, opowiadała mi przerażające historie o tancerkach i ich wątpliwej reputacji, ale wreszcie udało mi się ją przekonać. I tak zostałam zapisana do szkoły tańca Tacjanny Wysockiej.

– Chyba nigdy o niej nie słyszałem... – wyznał szczerze Marek.

– Och, to wielka artystka! – W oczach Anny rozbłysły iskierki entuzjazmu. – Wybitna choreografka, wizjonerka, nade wszystko zaś znakomita tancerka. Byłam straszliwie zmęczona. Całymi dniami tańczyłam i śpiewałam. Pani Tacjana śmiała się jednak, że nie brakuje mi temperamentu ani werwy, czasem tylko trochę dyscypliny.

Iskierki zgasły. Zatorska westchnęła tęsknie.

– Gdy wybuchła wojna, miałam jeszcze nadzieję, że moja edukacja będzie trwała. Wiem, że pani Wysocka złożyła podanie o koncesję na prowadzenie szkoły baletowej, ale Niemcy jej odmówili.

– Przykro mi – powiedział Marek.

– Mnie też – szepnęła. – Tu nie ma gdzie tańczyć, a od śmierci matki... jakoś... nie chce mi się śpiewać. Jakbym gdzieś zgubiła głos.

Jakiś czas stali w milczeniu.

– Przepraszam... – Anna odezwała się pierwsza. – Nie chciałam cię zasmucać. Dziś co chwilę wprawiam kogoś w kiepski nastrój, choć wcale nie mam takiego zamiaru. Najpierw zasmuciłam brata, teraz ciebie...

– Nie zasmuciłaś mnie – zapewnił, a ona nie wiedzieć skąd była pewna, że mówi jej prawdę. – Opowiedz mi o swoim śpiewie, proszę.

– Na co dzień właściwie o tym nie myślę... Nie, nieprawda. Myślę o tym wiele razy. Jakaś część mnie kochała śpiewać, choć zawsze wołałam tańczyć. A teraz bez głosu czuję się okaleczona. I bezużyteczna. Wszystko tak dużo kosztuje, a ja nie potrafię nic przydatnego. Na co komu śpiew w getcie? Och, zanudzam cię! Wybacz mi, to z beczynności. Jak tak dalej pójdzie, oszaleję! Nie przywykłam do takiego życia. Od dziecka byłam ciągle zajęta, miałam różne wyzwania, zadania, cel, do którego mogłam dążyć, a tu...

– O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać! – wykrzyknął Marek, jakby właśnie przypomniał sobie coś ważnego.

– A o czym dokładnie? – zapytała, nagle zbita z pantałyku. – O mojej beczynności, obsesyjnym wspomnianiu przeszłości, o tym, że nic nie potrafię, czy może o tym, że całkiem nie mogę sobie tu znaleźć miejsca?

– Chciałem... przyszedłem... – jąkał się Marek, nie bardzo wiedząc, jak zacząć. – Mój przyjaciel zna dużo ludzi... Podobno w szkole pielęgniarek jest wolne miejsce.

– W szkole pielęgniarek? – powtórzyła zdumiona Anna.

– Wiem, że to nie taniec czy muzyka, ale zawsze jakieś zajęcie. Personel medyczny jest potrzebny zawsze. Nawet w getcie są przecież szpitale i lecznice.

– Nigdy nie myślałam, żeby być pielęgniarzką... – powiedziała z powątpiewaniem. – Nie wiem, czybym potrafiła...

– Może warto spróbować, skoro nie ma alternatywy?

– Nie chciałabym nikomu zrobić krzywdy albo zaszkodzić. Nie byłam najlepsza z przedmiotów przyrodniczych. Choć nie mdleję na widok krwi...

– Nawet dziewczęta niemieszkające w internacie raz dziennie dostają posiłek w szkole – dodał Marek.

– I to jest bardzo przekonujący argument – odpowiedziała, uśmiechając się szczerze. – Kiedy mogłabym pójść na pierwsze zajęcia?

Rozdział 4

Franciszek Kajzer wyjątkowo wcześniej pojął prawdziwość zasady, że jeśli już musisz na kogoś liczyć w życiu, licz wyłącznie na siebie. Matki nie pamiętał, ojca zresztą też nie. Nie miał nawet jednego, choćby najbardziej mglistego wspomnienia o którymkolwiek z nich. Inne znane mu sieroty trzymały się kurczowo tych skrawków pamięci. Na podwórku prześcigały się w snuciu opowieści o tym, jak wspaniałe i piękne były ich matki, jak dzielni byli ojcowie, nade wszystko zaś, jak ważne były dla nich, i o niesprawiedliwym losie, który stanął na ich drodze do rodzinnego szczęścia. W tych historiach nigdy nie było winnych, złych dorosłych, przemocy, cierpienia, samotności, smutku opuszczonych dzieci, tęsknoty. Były jak baśń, w której dobremu bohaterowi los rzuca kłody pod nogi i która zawsze ostatecznie kończy się nieco fałszywym „i żyli długo i szczęśliwie”.

Kajzer słuchał tych opowieści i czasem coś zakłuło go w środku, że nie ma o czym opowiadać, to uczucie jednak szybko przemijało. Oni nie byli szczęśliwi, a on może i nie miał swojej baśni, ale zamierzał żyć długo i szczęśliwie i nie pozwolić nikomu tego zniszczyć.

Franek był więc zbyt zajęty teraźniejszością, żeby myśleć o przeszłości, która niby się wydarzyła, a jakby nigdy nie istniała.

Przez pierwszych kilka lat życia opiekowała się nim babcia. Zajmowali razem mieszkanie na parterze w głębi drugiego podwórka. Opłaty w lokalach od frontu kamienicy, tych z widokiem na ulicę, uchodziły za lepsze, przez co były też znacząco droższe. Oni mieszkali w najtańszej czynszówce, w jednej izbie, ciemnej i ponurej, ale zawsze lśniącą czystej. Dla Franka czystość od zawsze była jednoznaczna z poczuciem bezpieczeństwa, dlatego nawet gdy już został sam, utrzymywał w mieszkaniu wzorowy porządek. Oprócz izby był jeszcze kącik kuchenny w dziwnej wnęce na przydługim korytarzu wiodącym od drzwi. Gdy Franek był mały, śmiertelnie bał się tego przejścia. Wydawało mu się, że jest to tunel do świata demonów i kogoś tam wejdzie, nigdy już nie powróci. Raz odważył się zwie-

rzyć babce ze swoich obaw. Dostał solidne lanie, bo takim gadaniem mógł przywołać jakiego dybuka, duszę zmarłego, który z powodu popełnionych niegodziwości nie może zaznać spokoju i szuka żywego, w którego ciało mógłby wstąpić. Po wymierzeniu kary babka na wszelki wypadek zabrała Franka do rabina, który odprawiał egzorcyzmy i przez mały palec u nogi wyganiał dybuki z ciał opętanych. Ten jednak oświadczył, że chłopiec w żadnym wypadku nie jest nawiedzony przez dybuka. Gdy wracali do domu, Franek miał wrażenie, że babka jest nieco zawiedziona, iż rabin nie chciał go egzorcyzmować. By uniknąć bicia, nie poruszał więcej tego tematu. Wychodząc z pokoju, zamykał oczy i na wdechu przebiegał przez korytarz, licząc, że jeśli on nie zobaczy żadnego demona, one też go nie zauważą.

Ich kamienica nie była skanalizowana. Drewnianą budkę stanowiącą wychodek dla wszystkich mieszkańców przed dziesiątkami lat ustawiono w najodleglejszym rogu podwórka i po dziś dzień tam stała, dokładnie pod oknem Kajzerów.

W upalne dni w czynszówce pod żadnym pozorem nie można było otwierać owego jedyne okna, bo smród bijący od wychodka dławił i szczypał w oczy. Najgorzej było jednak, gdy na podwórze zajeżdżał ciągnięty przez konie wóz przedsiębiorstwa specjalizującego się w wywózkach kloaczych, by opróżnić znajdujące się pod wychodem drewniane beczki. Wówczas smród z wyziewów przenikał wszystko, wżerał się w ubrania, jedzenie, ściany, zasłony, a nawet skórę. Franek szorował się szarym mydłem i ryżową szczotką, trąc skórę do czerwoności, ale i tak zdawało mu się, że czuć od niego zapach ludzkich ekskrementów.

Poza upalnymi dniami okno na wychodek miało jednak pewne niekwestionowane zalety. Franek wiedział wszystko o wszystkich lokatorach kamienicy. Ustęp nie był bowiem wyłącznie miejscem załatwiania spraw fizjologicznych, ale też centralnym punktem życia towarzyskiego kamienicy – z każdego mieszkania musiano przynajmniej raz dziennie wynieść wiadro czy nocnik – i wymiany informacji.

Dla wielu był również azylem. Dla przykładu, sąsiad z czwartego piętra chował się tam, ilekroć przepił za dużą część wypłaty. Po po-

wrocie z fabryki wyznawał wszystko żonie, po czym, udając bóle w trzewiach, gnał do wychodka i siedział tam długie kwadranse, czekając, aż połowica nieco ochłonie. Sąsiadka z poddasza zamykała się tam, by w spokoju porobić na drutach, bo gdy tylko usiadła z robótką w domu, mąż zaraz wypominał jej, że jest leniwa i powinna zająć się ich dziećmi, których dorobili się już siedmiorga. A potem zaczynało się bicie i wrzask kobiety przez kwadrans czy dwa zakłócał spokój pozostałych mieszkańców kamienicy, bo małżonek rękę miał twardą i lubował się w biciu.

Ustęp był też punktem schadzek zakochanych, a nawet miejscem prowadzenia biznesu przez wnuczkę stróża, która oprócz pomagania dziadkowi w dbaniu o obejście za niewielkie pieniądze dbała też o sporą liczbę lokatorów. Zostawiano sobie tam wiadomości, których nikt nie powinien widzieć, rzadziej książki, które czytało kilka osób naraz. W wychodku bowiem było światło i nawet nocą można było oddać się tam lekturze, nie przeszkadzając nikomu w spaniu.

Kolejka do ustępu, w której ustawiano się, by zeń skorzystać lub opróżnić wiadra, stanowiła zaś niewyczerpane źródło plotek. Babka i Franek nigdy nie dorobili się radia, ale nie czuli z tego powodu żadnego braku. Wystarczyło bowiem lekko rozszczelnić okno, co latem było rzecz jasna ryzykowne, i do pokoju zaraz wpadały najświeższe wieści z kamienicy, dzielnicy, miasta, kraju, a niekiedy nawet ze świata. Kto, z kim, dlaczego, za ile – słuchając tego wszystkiego, Franek bardzo szybko nauczył się alfabetu świata dorosłych, co okazało się przydatne o wiele szybciej, niż ktokolwiek by się tego spodziewał.

Gdy miał siedem lat, jego babka niespodziewanie umarła. Pewnego dnia wrócił do domu po całodziennej włóczędze po mieście i zastał ją siedzącą jak zwykle na krześle przy oknie. Wyglądała, jakby drzemała, ale uwagę Franka zwróciło dziwaczne przekrzywienie głowy babki. Podeszedł więc bliżej i poklepał ją po ręce. Była zimna, więc przyniósł koc. Okrył nim kobietę, a że był okropnie głodny, poszedł do kuchni po coś do jedzenia. Wyłuskał z gazet garnek z jeszcze ciepłą kaszą, zjadł z olejem lnianym jedną porcję, a potem jeszcze jedną, popatrując na babkę, jakby coś nie dawało mu spokoju, ale całkiem

nie wiedział, co to takiego. Wreszcie pojął, że tym czymś jest cisza. Wprawdzie babka siedziała pod oknem, ale było ono zamknięte na głucho, choć popołudnie, gdy wszyscy wracali do domów, było porą najsmakowitszych plotek. Poza tym babka nie chrapała, co nie zdarzyło jej się, odkąd pamiętał.

Franek odsunął miskę i znów stanął przy niej. Dopiero teraz zauważył, jaka jest blada. Zatkał jej nos, ale nie otworzyła ust, by zaczerpnąć powietrza.

– Umarłaś, babciu? – spytał w końcu, sam nie wiedząc, co powinien teraz zrobić.

Gdy odpowiedziała mu jedynie cisza, udał się po radę do stróża. Lubił tego małego, zgarbionego pod ciężarem lat człowieka. Zdawał mu się najstarszym mężczyzną na ziemi. Nawet kępki włosów wystające z nosa i uszu miał śnieżnobiałe, a skórę tak cienką, że prześwitywały przez nią intensywnie niebieskie żyły. Staruszek, tak jak Franek, bardzo lubił porządek. Lubił też grać w samotnika, na której to rozrywce spędzali zimą długie godziny, prawie się do siebie nie odzywając. Gdy mały Kajzer miał jakieś zmartwienie, zwykle nie zwierzał się z niego babce. Ta była bowiem kobietą niecierpliwą, zmęczoną życiem i marzącą jedynie o tym, by wszyscy, z synem marnotrawnej córki na czele, dali jej święty spokój. Co innego stróż. On zawsze znalazł dla Franka czas, traktował jego zmartwienia niezwykle poważnie, a na wszystkie pytania starał się odpowiedzieć najlepiej, jak umiał.

– Dlaczego żyły są niebieskie, a krew czerwona? – spytał pewnego razu Franek.

– A dlaczego kran jest czarny, a woda przezroczysta? – odpowiedział stróż pytaniem na pytanie.

Franek zamyślił się głęboko.

– Tak po prostu Adonai urządził nam ten świat – dodał stróż, kiwając się do przodu i do tyłu jak na modlitwie, był bowiem bardzo wierzącym żydem.

Franek był pewien, że i tym razem staruszek będzie wiedział, co zrobić. Zapukał do drzwi jego mieszkania, które też znajdowało się na parterze, ale bliżej drzwi wejściowych.

– A, to ty! – powitał go stróż, uśmiechając się przy tym miło, tak że małe oczy chowały mu się całkiem w fałdach wiotkiej skóry. Franek miał ochotę spytać, czy mężczyzna widzi teraz cokolwiek, ale powstrzymał się, przypomniawszy sobie, po co przyszedł.

– Babcia mi chyba umarła – powiedział. – Ale tak całkiem pewien to nie jestem.

– To pójdźmy sprawdzić. – Stróż natychmiast przestał się uśmiechać, a w jego wyblakłych oczach Franek dostrzegł smutek zmieszany ze współczuciem.

– Ale ja nie zrobiłem nic złego! – zapewnił szybko chłopiec.

– Wiem, wiem. – Stróż pokiwał tylko głową i poszli.

Chłopiec poprowadził mężczyznę do krzesła, na którym siedziała szczelnie okryta kocem babcia. Starzec pochylił się nad nią, dotknął jej szyi, podłożył palce pod nos.

– Nie oddycha – poinformował go Franek. – To już sprawdzałem.

– Serce nie bije – odparł staruszek. – I czuć od niej śmierć.

Franek wciągnął powietrze nosem, ale nie poczuł nic innego niż zwykle. Babcia pachniała cebulą, kapustą i starością.

– E tam, to cebula – zapewnił dozorcę, ale ten jakby go nie słyszał.

Przysunął sobie stołek, usiadł obok babci i kiwając się, zaczął mamrotać modlitwy. Franek wprawdzie żadnych modlitw nie znał, ale na stojąco kiwał się razem z nim, bo to chyba zaszkodzić nikomu nie mogło. Miał też cichą nadzieję, że dzięki tym modłom stróża babka nie zmieni się w dybuka i nie zamieszka z innymi strachami w ciemnym korytarzu, żeby go nękać.

– To jak, umarła czy nie? – spytał, gdy mamrotanie ustało. Był pewien, że tak jest, ale potrzebował usłyszeć to od stróża. Jakby dopiero jego słowa mogły sprawić, że przypuszczenia staną się prawdą.

– Umarła – przytaknął starzec.

Franek przez chwilę stał w ciszy. Nie był specjalnie przywiązany do babki, ale ich wspólny świat był jedynym, który znał, i teraz nie mógł nawet wyobrazić sobie, co będzie dalej. Wreszcie postanowił i o to zapytać.

– I co teraz?

– Masz jakąś rodzinę? – spytał mężczyzna. – Kogoś, kto mógłby cię przygarnąć?

Franek pokręcił głową.

– W takim razie pójdiesz do ochronki. – Mężczyzna westchnął ze współczuciem.

– Kiedy ja nie chcę! – zaprotestował żywo chłopiec.

Znał kilkoro dzieci z warszawskich ochronek i mimo młodego wieku miał o tych placówkach własne, jak najgorsze zdanie. Sieroty były krótko i krzywo obcięte, bo wszy, chude i blade, wiecznie głodne i smutne. O nie, Franek nie zamierzał zmieniać się w kogoś takiego.

– Obawiam się, że nie masz wyboru, chłopcze – odparł stróż.

– Ucieknę – zapewnił twardo Franek. – I będę tak ciągle uciekał i ciągle tu wracał, więc może lepiej mnie tu zostawić.

– Dzieci nie mogą mieszkać same.

– Ja mogę. – Franek wzruszył ramionami. – Babka na niewiele mi się przydawała.

– A skąd weźmiesz pieniądze?

– A o to niech nikogo głowa nie boli, umiem o sobie zadbać. Głodny nie chodzę. – To powiedziawszy, by dodać sobie powagi, Franek głośno wciągnął smarki.

– Co innego zadbać o siebie, co innego płacić czynsz – tłumaczył staruszek. – Właściciel kamienicy musi co miesiąc dostać swoje pieniądze, bo inaczej wyrzuci cię na bruk.

– Dostanie.

– A skąd je weźmiesz? – spytał znów stróż. – Chyba nie zamierzasz kraść?

– Nie zamierzam – zapewnił z przekonaniem Franek.

Wiedział, co mówi. Babka po raz pierwszy nazwała go darmożjadem, gdy miał pięć, może sześć lat. Wszedł wtedy z domu, poszedł na bazar i tak długo prosił straganiarza, żeby pozwolił mu sobie pomóc, że tamten wreszcie się zgodził. Nie żeby liczył na jakąkolwiek realną pomoc, ale dlatego, żeby natrętny chłopiec dał mu spokój i nie straszyl klientów jękami. Szybko okazało się jednak, że dzieciak nie dość, że był nad wiek silny, okazał się też bardzo bystry. Zachwalał produkty z taką fantazją i przekonaniem, że straganiarz zrobił tego popołudnia podwójny utarg, którego znikomą część odpalił rzecz jasna chłopcu. Franek wrócił do domu, położył pieniądze na stole. „Nie jestem darmożjadem” – powiedział.

Od tamtej chwili często zachodził na targowisko. Czasem pomagał przy rozładunku, czasem zbierał towary, które wypadły z pękniętych worków, ale najczęściej nagał klientów. Szybko okazało się, że ma prawdziwy talent do rozmawiania z ludźmi, dar przekonywania i dziwny czar, któremu trudno było nie ulec. Giął się w ukłonach, całował rączki, prawil komplementy, a był w tym wszystkim tak szczery i ujmujący, że nawet najsurowsze gospodynie, z którymi sprzedawcy nie próbowali się targować, poddawały się jego sugestiom i kupowały rzeczy, których zakupu nie planowały. Te zdolności szybko zwróciły nań uwagę innych sprzedawców, więc straganiarz, dla którego pracował, chcąc go zatrzymać, zaczął płacić mu tak jak tragarzom. Po pewnym czasie do spółki przyjęła go też banda handlująca w dzielnicy papierosami, z której to sprzedaży utarg był dużo większy niż z kapusty czy marchwi. Franek nie musiał więc nigdy prosić babki o pieniądze, wszystkie swoje potrzeby zaspokajał sam, a i do domu nierzadko przyniósł parę złotych.

Nie wiedział wprawdzie, ile wynosi czynsz, ale nie miał cienia wątpliwości, że jeśli się postara, zdoła na niego zapracować.

Stróż w milczeniu przyglądał się chłopcu, wyraźnie coś rozważając.

– Jeśli ktoś się o tym dowie, będę miał kłopoty – powiedział wreszcie. – Może nawet wsadzą mnie do więzienia.

– Nikt się nie dowie – zapewnił gorąco Franek. – Zresztą w razie czego możemy udawać...

Zawahał się. Tak bardzo chciał powiedzieć na głos te słowa, a jednocześnie tak bardzo się bał, że stróż poczuje się urażony albo go wyśmieje.

– ...możemy udawać, że jesteśmy daleką rodziną – dokończył cicho, drżącym głosem.

– Możemy – przytaknął starzec z prostotą, a potem uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi na wielki uśmiech, który rozjaśnił twarz Franka.

Po pogrzebie babki życie potoczyło się dalej. Franek dbał o porządek w domu i ciężko pracował, żeby nie podzielić losu innych sierot. Sąsiedzi, zajęci bieganiem wokół własnych spraw, nie interesowali się chłopcem, stróż zachował tajemnicę, a Franek co miesiąc przynosił odliczoną kwotę czynszu. Jedynie w korytarzu wiodącym od pokoju do drzwi wystarał się o lampkę łojową, która wprawdzie okropnie dygotała, ale stać go było na to, by paliła się całą noc.

Dwa lata później niemal jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy, które zmieniły życie Franka na zawsze. Stary stróż zmarł. Frankowi jednak wydawało się, że gdzieś poszedł, bo pewnego dnia po prostu zniknął, a stróż na pewno nie umarłby bez pożegnania z nim. Chciał kogoś o to zapytać, ale nie miał kogo. Przestał więc zadawać pytania. Od tej pory sam próbował wszystko zrozumieć. Miał dziewięć lat i stał się dorosły. Stróżówką rządziła teraz niepodzielnie wnuczka stróża, która zamiast o porządek, dbała już nie tylko o lokatorów ich kamienicy, ale i o gości z zewnątrz. Czynszówka powoli zaczęła zarastać brudem, z sufitu zwisały coraz okazalsze pajęczyny, spod warstwy błota na schodach nie było już widać drewna, a przez szybki w drzwiach wejściowych całkiem nie można było dostrzec, kto wcho-

dzi. Wszystko zrobiło się lepkie i zatechłe. Franek często wzdychał i w myślach prosił stróża, żeby jednak wrócił, ale ten nie mógł go usłyszeć.

Pewnego dnia pojawił się nowy stróż. Wnuczkę bowiem znaleziono pływającą w Wiśle, o czym szeroko rozpisywały się wszystkie warszawskie dzienniki. W kamienicy znów zapanował porządek, a o mieszkającym samotnie chłopcu stróż w zasadzie nie wiedział – a może tylko przymykał oko, by nie dokładać sobie kłopotów. Widывał go często, ale Franek dbał, by być widzianym co rusz z inną sąsiadką, tak by stróż nie mógł go jednoznacznie przyporządkować do żadnej z nich, a czynsz za mieszkanie był regulowany z dokładnością szwajcarskiego zegarka, co tym bardziej sprzyjało zapomnieniu. Wielu lokatorów płaciło po upomnieniach albo usiłowało nie płacić wcale i na nich skupiała się cała uwaga stróża, który przecież musiał regularnie miesiąc w miesiąc oddawać równą kwotę właścicielowi kamienicy, co rzecz jasna spędzało mu sen z powiek.

Niedługo po śmierci starego stróża do mieszkania przy pierwszym podwórku sprowadziła się praczka z synem. Syn nazywał się Marek Goldman, miał tyle samo lat co Franek, był tak samo ciemnowłosy i ciemnooki. Co prawda jego nadmierna uczciwość była pewną przeszkodą w przeżywaniu wspólnych przygód – dla przykładu jakiegokolwiek drobne kradzieże odpadały, bo Marek albo nie chciał brać w nich udziału, albo złapany, zaraz przyznawał się do wszystkiego i gorzko płacząc, błagał o wybaczenie, przeokropnie zawstydzając tym Franka – jednak szybko okazało się, że o wiele przyjemniej jest spędzać czas z kimś niż całkiem samemu. Matka Marka była tak zajęta, że chłopiec i tak włóczył się samopas, jakby był sierotą jak Franek.

W dodatku Marek potrafił naprawdę dobrze słuchać. Nie tak jak inni, którzy niby słuchali, ale myślami i tak byli gdzie indziej albo zajmowali się wykonywaną właśnie czynnością. Marek słuchał z uwagą, patrząc prosto na Franka, a on miał wrażenie, że pod wpływem tego spojrzenia przez chwilę robi się najważniejszy na świecie.

Lubił to uczucie, więc coraz częściej zwierzał się chłopcu, a ten zachowywał jego tajemnice.

Wkrótce stali się nierozłączni, jakby byli jednym organizmem. Frank słyszał czasem, jak w kolejce do ustępu pani Goldman śmiała się, że urodziła jednego, a ma dwóch synów. Co było tylko po części prawdą, bo w zasadzie wciąż była zbyt zajęta, by mieć nawet jednego.

Marek nauczył Franka trochę czytać, pisać i liczyć, za to Kajzer uczył przyjaciela radzenia sobie w różnych sytuacjach. O wiele łatwiej szłaby ta nauka, gdyby Marek potrafił choć trochę kłamać. W sztuce mamienia słowem Franciszek Kajzer był niekwestionowanym mistrzem, a to, że czasem rozmijał się z prawdą, zupełnie mu nie przeszkadzało.

– Jestem sierotą – tłumaczył, ilekroć Goldman próbował go poczuć, że to brzydko kłamać. – Mam trudniej niż ty i muszę sobie radzić. Mówienie prawdy jest dla dzieci, które mają rodziców. A ja nie mam. I to całkiem nie jest moja wina, więc i to, że kłamię, nie jest moją winą.

Marek nie mógł się nie zgodzić z tym argumentem.

Ich przyjaźń scementowało wydarzenie tyleż niebezpieczne, co szalenie widowiskowe, o którym w tej części miasta rozprawiano przez kilka kolejnych tygodni. Pewnego razu postanowili spłatać dowcip jednej z nielubianych sąsiadek, mieszkającej na piętrze nad mieszkaniem Franka. Wymyślili, że zapełnią wychodek gazetami i podpalą. W ich zamyśle zapach ekskrementów miał unieść się wraz z dymem i zaczadzić mieszkanie niespodziewającej się katastrofy znienawidzonej sąsiadki. Zapomnieli jednak o dachu wychodka, który stanął w płomieniach. Po chwili cały ustęp zmienił się w słup ognia.

Jakimś cudem pożar nie rozprzestrzenił się na kamienicę, ale i tak wszczęto dochodzenie. Podpalenia były pilnie ścigane, bo w gęstej zabudowie Śródmieścia stanowiły ogromne niebezpieczeństwo dla ludzi i dobytku. Policja przeprowadziła śledztwo, ale mieszkańcy kamienicy zgodnie twierdzili, że nie mógł tego zrobić nikt z ich domu.

– Na co by to komu było? Przecież każdy musi... No wie pan, panie władzo... – tłumaczyli wyraźnie skrępowani.

Dzieci nikt nie przepytawał. Granice wyobraźni dorosłych nie sięgały najwyraźniej tak daleko. Franek, siedząc na schodach, przyglądał się policjantom, którzy raz za razem, opuszczając kolejne mieszkanie, w którym niczego się nie dowiedzieli, kręcili tylko głowami. Czuł zimne krople potu, od których koszula zaczynała lepić mu się do pleców.

Nie bał się kary. Wiedział, że jest za mały, by zostać wtrącony do więzienia. Najgorszym, co mogło go spotkać, było trafienie do ochronki czy jakiegoś zakładu poprawczego, ale był pewien, że z obu tych instytucji zdołałby szybko uciec.

Tym, co wzbudzało jego strach, była świadomość, że oto nadeszła godzina próby. Bał się, ponieważ mimowolnie przywiązał się do nowego sąsiada o wiele mocniej, niżby tego chciał. Zawsze powtarzał sobie, że jest jak wilk, samotny łowca żyjący w gęstwinach. Dopiero Marek uświadomił mu, że wilki żyją i polują w stadzie. „To stado nazywa się wataha i jest połączone nierozzerwalnymi więzami” – tłumaczył mu Goldman.

Franek nic nie odpowiedział. Tamtego wieczoru leżał w łóżku z rękoma pod głową. Zrozumiał, że nadal jest wilkiem, tyle że już z watahą. Pani Goldman miała rację – byli jak bracia.

Teraz więc Franek bał się nie o własną skórę, ale o to, czy i Marek czuje się jego watahą. Nie mógł go przecież o to zapytać. Wiedział, że pewnego dnia ich więź sama się zweryfikuje, nie spodziewał się tylko, że ta chwila nadejdzie tak szybko i tak niespodzianie.

Wreszcie policjanci skończyli przepytawać mieszkańców kamienicy.

– Nikt nic nie wie – zameldował jeden z nich stróżowi.

Franek poczuł, jak wypełnia go powietrze. Nagle stał się lekki jak balon i niewiele brakowało, a ta radość uniosłaby go nad ziemię. Zerwał się ze swojego stanowiska, przebiegł podwórze i bez pukania

wpadł do mieszkania Goldmanów. Matka Marka tarła właśnie ziemniaki.

– Wiedziałam, że do nas zajrzysz – przywitała go, uśmiechając się miło. – Zawsze umiesz wyczuć placki na obiad, jak widać, nawet z nim jeszcze zacznę je smażyć.

Kajzer skinął nieuważnie głową, mimo iż placki były jego największym przysmakiem. Nie chciał urazić matki przyjaciela, ale musiał natychmiast porozmawiać z nim samym.

– No idź, idź – powiedziała kobieta, dostrzegając jego zniecierpliwienie. – Marek jest w pokoju.

Franek skinął głową i zniknął w głębi mieszkania. Znalazł przyjaciela siedzącego na niskim stołku i strugającego patyk ostrym kozikiem. Podeszedł i usiadł na podłodze obok niego. Przez chwilę siedzieli w ciszy, Marek skupiony na swojej pracy, Franek szukający w myślach właściwych słów. To również było dlań nowe. Przywykł do tego, że słowa są mu posłuszne, tymczasem dziś nijak nie chciały ułożyć się w sensowne zdanie. Nie potrafił rozmawiać o uczuciach i bardzo się ich wstydził.

– Nie powiedziałaś – wyrzucił z siebie wreszcie.

– Nie powiedziałem – przytaknął Marek po prostu, nie przerywając strugania.

Dwa tygodnie później beczki w ziemi zostały ponownie ukryte w drewnianej budce, a dwaj chłopcy byli odtąd połączeni na wieki wspólną tajemnicą.

Dorastali razem. Razem przeżywali pierwsze fascynacje kobietami, wspólnie wypalili pierwszego papierosa i wypili pół litra wódki, po której pani Goldman musiała ich przez dwa dni pić wodą z ogórków kiszonych.

Gdy wybuchła wojna, razem zgłosili się na ochotników i czekali na przydział.

W nocy z szóstego na siódmego września trzydziestego dziewiątego szef propagandy Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, pułkownik Roman Umiastowski, wygłosił radiowe przemówienie, w którym nakazał wszystkim zdolnym do walki mężczyznom opuścić stolicę, by na wschód od Wisły utworzyć nową linię obrony. Ochotnicy mieli zostać uzbrojeni i wcieleni do armii jako pełnoprawni żołnierze. Franek i Marek, obaj dopiero co pełnoletni, postanowili dłużej nie opierać się zewowi, który od miesięcy burzył ich krew, a od tygodnia wprawiał ją we wrzenie. Obaj byli nieczuli na lamenty pani Goldmanowej, choć ta przekonywała ich, że zostawiają miasto pełne kobiet i dzieci na pastwę Niemców.

– Szkopami się mamusia nie przejmuje – uspokajał ją Marek. – Pogonimy jak bolszewików.

Ucałowali jej spracowane dłonie, wzięli chlebaki i wraz z innymi wyszli z miasta, jednak zaraz za rogatekami utknęli w powodzi uciekinierów. Dopiero kilka dni później dowiedzieli się, że wezwanie Umiastowskiego około trzeciej w nocy zostało odwołane.

Ach, co to była za przygoda dla dwóch chłopaków, którzy nigdy wcześniej nie opuszczali Warszawy!

Dołączyli do przypadkowego oddziału, gdzie przyjęto ich wyjątkowo serdecznie. Grali w karty, śpiewali żołnierskie piosenki, wykonywali mnóstwo ćwiczeń fizycznych, opowiadali sobie rubaszne żarty i czekali na rozkazy, które jednakowoż nie nadchodziły, jakby wszyscy o nich zapomnieli.

Dziwiątego września o siódmej rano rozpoczął się atak Wehrmachtu na Warszawę i zabawa w wojaczkę zrobiła się o wiele mniej zabawna.

Wszystko to przestało się Frankowi podobać, gdy jeden z pocisków dosłownie obrócił wniwecz kolegę z oddziału, którego od chłopaka dzieliła odległość ramienia. Szczęśliwy traf chciał, że Marka w owym czasie dopadła dyzenteria. Kajzer dokonał jednej ze swoich sztuczek, o których starał się mówić przyjacielowi jedynie półsłówkami, i zale-

dwie dwa dni przed kapitulacją Warszawy znów byli w swojej kamienicy.

Franek od początku okupacji postanowił dbać wyłącznie o swoje interesy. Wielu mówiło o konieczności organizowania ruchu oporu, pogonieniu Niemców, wyrwaniu kłów Stalinowi, ale on miał przeczuć, że to wszystko potrwa o wiele dłużej, niż zakładano.

– Czarnowidztwo – skwitował Marek, gdy przyjaciel opowiedział mu o swoich planach.

– Zdrowy rozsądek – poprawił go Franek.

Gdy ogłoszono powstanie dzielnicy żydowskiej, szczęśliwie jego kamienica znalazła się po właściwej stronie muru i nie musiał się nigdzie wyprowadzać. Mieszkanie było też zbyt małe, żeby dokooptować mu lokatorów, całkiem obcych ludzi, co zdarzało się często w przypadku większych lokali. Brakowało miejsca, a ludzi wciąż przybywało. W niedługim czasie w jednej izbie mieszkało niekiedy i osiem osób. Rodziny z dziećmi gnieździły się na tak małej przestrzeni, że niektórzy musieli sypiać na siedząco. Te wszystkie zmartwienia nie dotknęły jednak domu Kajzera.

Stał więc tylko, oparty o ścianę frontową kamienicy, kurzył papierosa i przyglądał się rzeszom ludzi ciągnących na wózkach cały swój dobytek.

*

Gdzieś w połowie października czterdziestego roku Goldman wpadł do niego jak zwykle bez zapowiedzi.

– Naprawdę zamykają żydowską dzielnicę – powiedział.

A nie mówiłem – chciał odpowiedzieć Franek, ale coś w wyglądzie przyjaciela go zastanowiło. Zaszła w nim jakaś niewidoczna dla oka zmiana. Po raz pierwszy od lat Goldman nie patrzył na niego z uwagą, nie czekał na jego reakcję, na to, co powie, jak skomentuje tę niełatwą przecież sytuację. Był obok, ale wydawał się nieobecny jak wszyscy inni. Coś musiało się wydarzyć. Coś ważnego.

– Co z tobą? – zapytał wprost, bo wszelkie pomysły, które przychodziły mu do głowy, wydawały mu się niedorzeczne.

– A co ma być? – Marek wzruszył ramionami, wciąż unikając kontaktu wzrokowego.

– A tak tylko pytam, bo długo cię nie było – odparł wymijająco Franek, wciąż pilnie mu się przyglądając.

– Złapałem nieoczekiwany kurs, to wszystko.

– Dobrze, dobrze – pochwalił go przyjaciel. – Jeśli tym razem naprawdę zamkną getto, każda gotówka się przyda.

– Ten kurs akurat był bezpłatny. – Goldman nie tylko nie potrafił kłamać, nie umiał nawet przemilczeć prawdy.

– Bezpłatny... – powtórzył przyjaciel.

– Spotkałem pewną dziewczynę – wyrzucił z siebie Marek. – Szukała mieszkania. Kazali im przeprowadzić się do dzielnicy żydowskiej, chociaż wcale nie są Żydami. Zamierzają to wszystko jakoś odkręcić, ale wiadomo, procedury trwają, szczególnie w czasie takiego chaosu jak ten obecny, no i na razie wolą się przeprowadzić niż trafić do więzienia czy gdzieś na roboty – opowiadał gorączkowo.

– Dama w opresji – skwitował Franek, uśmiechając się szeroko, bo nagle wszystko stało się jasne.

– O czym ty mówisz? – spytał szczerze zdezorientowany Marek.

– A o tym, żeś się zakochał.

Goldman spojrzał na przyjaciela i dłuższy czas patrzył tak, trawiąc usłyszane przed chwilą słowa.

Zakochanie było dla niego całkiem nowym doświadczeniem. W uczuciach od zawsze był wyjątkowo powściągliwy. Z trudem przełamywał nieśmiałość i w zasadzie nie rozumiał, po co miałyby nawiązywać jakieś nowe znajomości. Miał przyjaciela, dobrego majstra, kilku znajomych czeladników stolarskich, z którymi czasem wychodził na wódkę. Kobiety zaś przeważnie drażniły go albo onieśmiały. Owszem, marzył, że pewnego dnia znajdzie sobie dobrą żonę, taką

jak żona jego majstra – miłą, zaradną, wesołą – ale wciąż wydawało mu się, że od tego czasu dzieli go jeszcze wiele lat. Nie miał zamiaru być jak Franek, który zakochał się co kilka tygodni. Wyglądało to zawsze niemal tak samo. Różnicą było najczęściej imię wybranki, choć i tu zdarzały się powtórki. Usta mu się nie zamykały. Każdemu, kto chciał słuchać, opowiadał, że będzie się żenił, że Rywka czy Helenka to kobieta jego życia, najpiękniejsza, najmądrzejsza i w ogóle jedyna taka na świecie.

Słuchacz raczony był kwiecistymi opowieściami o walorach ciała i ducha wybranki, przy czym opisom tych pierwszych, z oczywistych względów, Franek poświęcał zawsze najwięcej uwagi. Mijały dni i opowieści robiły się coraz krótsze, coraz rzadsze, aż wreszcie Kajzer odwiedzał przyjaciela i stawiał na stole flaszkę wódki. „A co to za okazja?” – pytał Marek. „Ustrzegłem samego siebie przed największym błędem mego życia” – odpowiadał tamten, uroczyście odkręcając butelkę. „Trzeba to uczcić”.

W ten sposób oznajmiał koniec kolejnej wielkiej miłości.

Sugestia, jakoby on sam mógł się zakochać, była dla Marka zaskakująca, zaraz jednak pojął, że jest oczywista. Tak, to jedno słowo porządkowało cały chaos jego myśli i uczuć. Przyniosło spokój.

– Myślę, że możesz mieć rację – stwierdził.

Usta Franka rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– A ja myślę, że powinniśmy się napić z tej okazji!

– Jak dotąd piliśmy, ilekroć się odkochałeś... – rzekł Goldman.

– Ja to ja. Całkiem inna historia – stwierdził z niezbitą pewnością przyjaciel. – Wpadłeś jak śliwka w kompot po raz pierwszy i musimy wypić twoje zdrowie, byś nie utonął.

Marek roześmiał się głośno i sięgnął do szafki po szklanki. Kajzer pogratulował sobie w duchu. Był wielce ciekaw opowieści o tej panie, ale znał dobrze powściągliwość swego przyjaciela i wiedział, że bez wódki nie dowie się niczego.

– Anna – wymamrotał w dwa kwadranse później Marek, opierając czoło na opróżnionej do połowy butelce. – Ma na imię Anna.

Rozdział 5

Podczas gdy Marek śnił swój sen na jawie, a reszta zamkniętych w getcie ludzi przeżywała pierwszy szok wynikający z faktu odcięcia ich od świata, Franek wciąż przyglądał się wszystkiemu, usiłując zdefiniować i nauczyć się wykorzystywać nowe możliwości, jakie dawała sytuacja, w której się znalazł. Nie utyskiwał, nie wspominał, nie rozpaczał, wypatrywał swojej szansy, tak jak to robił przez całe życie.

Słyszał błagalne jęki, a potem strzały i najgorszą ze wszystkiego ciszę. Widział trupy na ulicach i ludzi o szklistych oczach, balansujących na granicy życia i śmierci. Czytał obwieszczenia na słupach, z których każdy odbierał Żydom jeszcze odrobinę z pozostałej im wolności, bo choć wielu zdawało się, że stracili już wszystko, okazywało się, że wciąż jest jeszcze coś do odebrania. Widmo kary śmierci niemal za cokolwiek stało się jego nieodłącznym towarzyszem, podobnie jak opaska z gwiazdą Dawida na prawym rękawie.

Nie miał żadnych wątpliwości, że gdy ów pierwszy wstrząs minie, mieszkańcy przestrzeni okolonej murami spróbują budować swoje nowe życie. Taka była człowiecza natura, w jakimś sensie niezłomna, zanurzona w cyklu życia zbyt głęboko, by ktokolwiek mógł wyrwać z niej pęd do bycia. Franek wiedział, że ci wszyscy ludzie będą mieli potrzeby do zaspokojenia, zaczną snuć plany, organizować różne działalności, postarają się żyć dalej, mimo wszystko.

W tym nowym świecie obowiązywać będą też nowe reguły, nie te wyznaczone przez Niemców, lecz te wynikające z konieczności.

Jak wszyscy, także i on szybko pojął, że tym, co będzie wyznaczało zasady funkcjonowania rzeczywistości zamkniętej dzielnicy żydowskiej, będzie żywność.

Mieszkając po aryjskiej stronie, na kartki można było zdobyć codziennie żywność o wartości około 611 kilokalorii. Tam również wszyscy musieli dożywiać się we własnym zakresie. Za kilogram mąki, oficjalnie kosztujący jak przed wojną około 50 groszy, na czar-

nym rynku płaciło się blisko 900 procent ceny, a te z miesiąca na miesiąc rosły coraz bardziej. Podaż była niewielka, stołeczny popyt ogromny. Nic dziwnego, że szybko znaleźli się ludzie, którzy mimo zakazów zaczęli zwozić żywność ze wsi do miasta i sprzedawać ją na naprędce skleconych straganach. Z Karczewa, czule nazywanego Prosiakowem, przywożono mięsa i wędliny, z Piaseczna mąkę, z Rembertowa tytoń.

Szmuglerzy zarabiali krocie, tym więcej, im lepiej byli zorganizowani.

Z początku Niemcy przymykali oko na ich działalność, bo dzięki temu odsuwała się od nich wizja niepokojów społecznych wynikających z drastycznych braków żywności. Później, gdy ogólna sytuacja Rzeszy nieco się poprawiła, szybko nauczyli się czerpać dla siebie niemałe korzyści z działalności szmuglerów. Konieczność dawania łapówek, niebezpieczeństwo oficjalnej konfiskaty lub zwyczajnej kradzieży towarów sprawiały, że stawka gry rosła. Jednak ci, którzy nauczyli się mimo wszystko funkcjonować w systemie szmugłu, nie znali głodu ani biedy.

W zamkniętej dzielnicy szmugiel zaczął się niemal natychmiast, bo po zamknięciu bram getta towary zniknęły z półek, jakby zdmuchnął je listopadowy wiatr.

Jeszcze przed zamknięciem bram, by zrobić jakiegokolwiek zakupy w sklepach tej części miasta, należało mieć kartki – żółte z gwiazdą Dawida – które można było zrealizować tylko w żydowskich sklepach. Gdy ostatecznie zamknięto dzielnicę żydowską, dzienną normę energetyczną ustanowiono na poziomie 237 kilokalorii, skazując tym samym jej mieszkańców na śmierć głodową.

Franek popytał trochę na mieście, zebrał informacje, a po ich przeanalizowaniu doszedł do wniosku, że ze szmugłu pochodzi z pewnością ponad osiemdziesiąt procent, a kto wie, czy nie blisko sto procent żywności w obrębie murów. Niemcy zaopatrywali getto w szczątkowe ilości jedzenia, niewystarczające nawet na pokrycie owych marnych norm energetycznych, które sami ustanowili.

Przemyt żywności stał się więc podstawą funkcjonowania getta. Przerzutów dokonywano przez mur lub wyłomy w nim zrobione, płoty na Białej, Ogrodowej, Ceglanej czy Chłodnej, którymi w niektórych miejscach oddzielano chodnik należący jeszcze do getta i już aryjską jezdnię. Towar zwykle gromadzono po aryjskiej stronie w ciągu dnia, by nocą przerzucić go na drugą stronę.

Choć jeżdżące przez getto tramwaje zwykle tuż przed murem osiągały maksymalną prędkość i nie miały w obrębie dzielnicy żydowskiej żadnych przystanków, także za ich pomocą odbywał się szmugiel. Przemycnicy zza muru stawali na pomostach tramwajowych, wyrzucali worki z żywnością na bruk, a wówczas ich żydowscy współpracownicy robili skok. Pędem ruszali z bramy, chwytali worek i znów znikali w bramie. Była to jedna z najniebezpieczniejszych dróg przemytu żywności, gdyż tramwaje sunące przez getto były konwojowane. Gdy tylko jadący w nich żołnierz niemiecki dostrzegł worek, ładował broń i strzelał do szmuglera.

Franciszek Kajzer był człowiekiem praktycznym. Nie zastanawiał się nad sytuacją, w jakiej znalazł się jako Żyd, nie roztrząsał plusów i minusów, nie opowiadał ponurych żartów o narodzie wybranym, zwykle nawet nie złorzeczył Niemcom. Nie żeby nie czuł takiej potrzeby, był na to wszystko po prostu zbyt zajęty. Całą swoją energię skierował na to, by przeżyć i wyciągnąć z tego całego szaleństwa możliwie jak najwięcej korzyści dla samego siebie.

Jeżdżenie rikszą, owszem, przynosiło niemałe dochody. Przemieszczanie się po getcie nie było prostą sprawą. Wszędzie można było dostać się na piechotę, ale skąpe racje żywnościowe i konieczność wykonywania pracy, by w ogóle zasłużyć na jakiegokolwiek, wyczerpywały pokłady energii mieszkańców getta. Mało kto zdobywał się na długie spacery z jednego końca na drugi. Większość starała się skorzystać z jakiegoś środka transportu. Niemcy pozostawili im tylko jedną linię tramwajową, kursującą od Chłodnej do Muranowa i z powrotem. Od czerwca pierwszego roku zamknięcia po dzielnicy żydowskiej jeździły też niebieskie omnibusy konne, nazywane powszechnie „kohnhellerkami” od nazwy firmy „Kohn i Heller”, której

siedziba mieściła się na ulicy Leszno pod numerem czternastym. Jej właściciele jakimś cudem otrzymali od Niemców koncesję na prowadzenie takiej działalności.

Praca riksarza była jednak bardzo ciężka, a Franek szybko zrozumiał, że oprócz jedzenia w getcie najważniejsze jest utrzymanie dobrego zdrowia. Zaczął więc rozglądać się za innym zajęciem, które mogłoby przynosić mu dochody, nadto nie nadwyrężając sił.

Pewnego ranka poszedł na spacer. Było wcześnie. Lubił tę porę dnia. Przez chwilę mógł się cieszyć samotnością, ciszą i świeżym powietrzem, jeszcze nieprzesyconym wszechobecnym około południa zapachem ludzkich ciał. Nikt nie wołał, zachęcając do kupna. Nikt nie jęczał z bólu i głodu. Nikt nie żebrał błagalnym tonem. Tylko wtedy z daleka, zza muru, jakby z innego świata, dało się słyszeć dzwonki tramwajów i warkot silników samochodów jeżdżących po ulicach aryjskiej części Warszawy, a czasem szum drzew czy śpiew ptaków z oddzielnego murem Ogrodu Krasińskich. Za kilka godzin wszystko to zagłuszy rejwach ulicy. W tych nieczęstych chwilach Franek miał wrażenie, że czuje namiastkę wolności, i choć wiedział, że to tylko złudzenie, karmił się tym uczuciem.

Paląc papierosa, szedł bez celu z rękoma wbitymi w kieszenie i zastanawiał się, co też ze sobą począć. Skręcił w Koźlą i zamarł.

– Meciarze – odgadł natychmiast, przyglądając się z uwagą kłębiącym się wokół ludziom.

Meciarze w znakomitej większości byli przedwojennymi drobnymi cwaniaczkami, złodziejaskami, alfonsami, kieszonkowcami. Dołączali do nich tragarze i furmani, wielcy i silni jak tury. Każdy nosił w cholewie nóż, czasem i dwa, a niektórzy mieli nawet pistolety. Stanowili najbogatszą grupę w getcie, ale w przeciwieństwie do tzw. arystokracji składającej się z przedwojennych bogaczy naprawdę dużo ryzykowali, by osiągnąć, a potem utrzymać ten status.

Malutka Koźła mimo wczesnej pory tętniła życiem. Franek szybko zorientował się, że odbywa się tu przelot, czyli szmugiel przez sąsiadujące ze sobą posesje, z których jedna mieściła się w getcie, a druga

po aryjskiej stronie. Odkrył, że na Koźlej wybito dziury nie tylko na parterze, ale i na wszystkich piętrach kilku kamienic.

– Tony towarów – mamrotał, dokonując szybkich obliczeń. – Tony.

Na wózkach wywożono zieleninę i owoce, mleko specjalnym systemem rur spuszczano do wielkich baniek. Z okien na linach zjeżdżały na dół wielokilogramowe worki mąki, kasz, zbóż. Tragarze błyskawicznie brali towar na ramiona, by przenieść w umówione miejsce. Franek miał wrażenie, że kolejne worki znikają, nim jeszcze dotkną ziemi. Nagle ktoś bezceremonialnie pchnął go łokciem.

– Co stoisz na drodze? – ryknął jeden z mężczyzn pochylony pod ciężarem wielkiego tobołu. – Rusz się!

Franek natychmiast odskoczył pod ścianę. Oparł się o mur i rozcierając ramię, patrzył dalej.

Śledzenie tego wszystkiego przypominało mu czasy, gdy razem z Markiem oglądali mrowiska i krzątające się tam mrówki. To, co na pierwszy rzut oka wydawało się chaosem, po dłuższej obserwacji okazywało się doskonale działającym systemem. Tak było i tu. Wkrótce Franek zauważył, że każdy tragarz przechodzi obok jednej z osób zliczających towar, która zaznaczała coś na kartce papieru. Obieg pieniądza i dóbr był tu bardzo pilnie strzeżony i o żadnym chaosie nie mogło być mowy.

Rozległ się gwizd.

– Kajzer!

Franek odwrócił się w tamtą stronę i ujrzał Jonatana Aszkenaziego, który machał, wyraźnie dając znak, by do niego podszedł.

– Serwus! – Franek przywitał dawno niewidzianego kolegę mocnym uściskiem dłoni.

– Kopę lat – odparł tamten, nie patrząc na niego. Jego oczy raz po raz przeskakiwały, obserwując wyloty małych uliczek. – A wiesz, że nawet zastanawiałem się niedawno, gdzieżeś się podział.

– Wciąż w tym samym mieście i nawet w getcie w tym samym domu – odpowiedział Kajzer.

– Pozazdrościć...

– Widzę, że interes się kręci? – zagadnął Franek, żeby zmienić temat.

– A jak! – zawołał Jonatan i uśmiechnął się z zadowoleniem. – Co ma się nie kręcić! Ciężki czas, a ludzie muszą coś jeść. Trzeba pomóc, pomagamy.

– Liczysz towary? – chciał wiedzieć Kajzer.

– Gdzie mnie do liczenia! – roześmiał się Aszkenazi. – Jestem świecą.

– Świecą?

– Szmugiel na Koźlej ubezpiecza sieć tak zwanych świec, czyli takich małych posterunków u wylotów sąsiednich ulic – tłumaczył szybko Jonatan. – Jest cały system ostrzegawczy na wypadek nalotu czy szwabskiego patrolu. W dzień to zwykle ustalone imię szmuglera przekazywane sobie z ust do ust, nocami hasło obrony przeciwlotniczej.

– Znak świetlny – odgadł Franek, a Jonatan skinął głową. – Wszystko doskonale przemyślane – mamrotał dalej.

Był pod wielkim wrażeniem.

– Wiesz, jak jest, szmugiel z zasady wiąże się z ryzykiem. Nie ma miejsca na błąd – powiedział Jonatan, po którym znać było, że podziw kolegi mu pochlebia. – Najważniejsze to nie natknąć się na kogoś w stylu „Frankensteina”.

– Niezła ksywka.

– Wierz mi, pasuje jak ulał. Wyjątkowa gnida. Taki jeden okrutny żandarm. „Frankenstein” ma zwyczaj nie tylko dokładnie kontrolować wszystkie środki transportu, ale też strzela sobie do przechodniów i codziennie bez powodu zabija jakiegoś funkcjonariusza Służby Porządkowej. „Żydowski policjant to przecież też Żyd”, mawia

i spluwa z pogardą na ziemię – opowiadał Jonatan, umiejętnie naśladowując głos „Frankensteina”.

– Gnida – potwierdził Kajzer.

Rozmawiali jeszcze chwilę. Franek dowiedział się od znajomego wielu ciekawych rzeczy, także i tej, że szmugiel w pojedynkę jest całkiem nierealny i jeszcze bardziej niebezpieczny.

Wprawdzie Franek od najmłodszych lat wychodził z założenia, że liczyć można tylko na siebie, ewentualnie na Goldmana, teraz jednak gotów był przyznać, że działalność w zorganizowanej grupie przynosiła nie tylko największe dochody, lecz także gwarantowała przynajmniej częściowe bezpieczeństwo.

– Królami szmuglu są zdaniem wielu ci z Krochmalnej – opowiadał dalej Aszkenazi. – Potrafią dokonywać wielkich przerzutów w biały dzień, pod nosem granatowej policji i Służby Porządkowej, ale skala ich działań w porównaniu z naszymi meciarzami z Koźlej jest niewielka.

Nagle znów rozległ się przenikliwy gwizd, a po nim dwa krótsze.

– Pora na mnie – powiedział chłopak. – Dobrze było cię spotkać.

– I ciebie – odparł szczerze Franek, zadowolony ze zdobytej dziś wiedzy.

– Gdybyś czego potrzebował, zawsze gdzieś tu mnie znajdziesz – rzucił jeszcze Aszkenazi, po czym odwrócił się i wbiwszy dłonie w kieszenie, odszedł.

Franek patrzył, jak znika za rogiem, a po chwili także ruszył w stronę domu. Miał wiele do przemyślenia. W uszach dzwoniły mu słowa Jonatana, że ludzie muszą coś jeść, a szmuglerzy pomagają im zaspokoić tę najbardziej podstawową z potrzeb. Prawdziwą wściekłość na Niemców Kajzer odczuwał bowiem, gdy patrzył na dzieci walczące o jedzenie dla getta. Nie rozumiał, dlaczego ten widok tak na niego działał. Gdyby ktoś dał mu w takiej chwili broń, zastrzeliłby każdego szkopa, który stanąłby na jego drodze.

By zachować przytomność umysłu i nie dać się ponieść emocjom, starał się unikać miejsc, w których mógłby je zobaczyć. Nie był jednak w stanie całkiem o nich zapomnieć, bo całe getto śpiewało piosenkę Henryki Łazowertówny *Mały szmugler*.

– „Po stokroć narażam swe życie, nadstawiam dziecinny swój kark”. – Te słowa wdzierały mu się w uszy i paliły go żywym ogniem. – „A jeśli dłoń losu znienacka dosięgnie mnie kiedyś w tej grze, to zwykła jest życia zasadzka, Ty, mamó, nie czekaj już mnie. Nie wrócę już do ciebie, nie dotrze z dala głos, uliczny pył pogrzebie stracony dziecka los”.

Po tych słowach Franek zwykle szybkim ruchem ścierał z oczu łzę, a następnego ranka pracował jeszcze ciężiej, marząc, by jego wysiłki ochroniły choć jedno małe życie.

Wiedział, że w gruncie rzeczy szmugiel, choć oficjalnie nielegalny i podlegający karze, opłacał się wszystkim. Szmuglerzy, sklepikarze i dostawcy zza muru zarabiali niemało, niemieccy żandarmi bajecznie się obławiali, nawet członkowie gminy, z zasady obarczani winą za wszystkie trudne sytuacje w Der Jüdischen Wohnbezirk in Warschau, potrafili uszczknąć coś dla siebie. Przy okazji wielu nieszczęśnikom spośród najbiedniejszych mieszkańców getta udawało się niekiedy zdobyć jakąś pracę przy szmuglu, dzięki czemu mogli jeszcze na jakiś czas przedłużyć swoją lichą egzystencję.

Wielka machina szmuglu była kołem zamachowym getta, podstawą jego funkcjonowania, życiodajnym, podskórnym systemem niosącym nadzieję, że w ogóle będzie jakieś jutro. Kawałek chleba mógł uratować życie jeszcze na jeden bezcenny dzień.

Postanowił więc spróbować dostać się do ludzi mety i zdobyć ich zaufanie. Skoro nawet szcurki, jak nazywano najmniejsze dzieci przeciskające się przez dziury w murze, by szmuglować żywność, mogły pomagać, on nie będzie gorszy.

– Zostanę szmuglerem – powiedział sobie. – Wielkim szmuglerem.

Franek nie chciał zerować na nieszczęściu, bogacić się na cudzej krzywdzie, zamierzał jedynie utrzymać się na powierzchni i w miarę

możliwości zatroszczyć się o Goldmanów, choć musiał przyznać, że Marek, jak dotąd, radził sobie zaskakująco dobrze.

*

Gdy dwa tygodnie po wielkiej paradzie wojsk hitlerowskich w Alejach Ujazdowskich zablokowano Żydom konta bankowe oraz wydano zakaz posiadania przez nich więcej niż dwa tysiące złotych, do zakładu stolarskiego na Nalewkach przyszedł elegancko ubrany Żyd w czarnym płaszczu, czarnym kapeluszu i okrągłych okularach. Od progu zapowiedział, że sprawa, w której przychodzi, wymaga dyskrecji. Mistrz stolarski i Marek wymienili zdziwione spojrzenia.

Od kapitulacji Goldman znów tam pracował. Mimo iż zdobycie drewna przychodziło stolarzowi z coraz większym trudem, pracy im nie brakowało. Zamawiano głównie trumny, ale i najprostsze meble, które ludzie potracili w pożarach czy bombardowaniach. Na zmianę zbijali więc kołyski – dzieci w getcie rodziły się jak dotąd – i skrzynie na pochówki, co nieustannie skłaniało ich do refleksji nad ciągłością dziejów.

– Ludzie zawsze rodzą się i umierają – mówiła żona stolarza, przynosząc im zupę ziemniaczaną. – Nawet Niemcom nie udało się wstrzymać odwiecznego cyklu życia.

– Tylko że te dzieci przychodzą na świat z wyrokiem śmierci – mamrotał jej mąż, ilekroć z zaciśniętymi ze smutku wargami pracował nad dziecięcym łóżeczkiem.

– Jak my wszyscy, mój drogi, jak my wszyscy – uspokajała go kobieta.

Pojawienie się owego eleganckiego mężczyzny zapoczątkowało nowy etap pracy w dziejach warsztatu stolarskiego. Owszem, nadal wykonywali trumny i kołyski, ale nie było to już ich główne źródło utrzymania, a raczej coś w rodzaju zasłony czy kamuflażu. Głównym zajęciem stolarzy stało się bowiem robienie wszelkiego rodzaju skrytek na majątek. Marek oficjalnie całe dni przebywał w warsztacie, jednak w rzeczywistości zaglądał tam teraz niezwykle rzadko, zazwy-

czaj tylko po to, by zostawić jedne narzędzia i wziąć inne. Całymi dniami chodził po getcie i pod pozorem dokonywania drobnych napraw przy oknach czy drzwiach przygotowywał ludziom zmyślne skrytki, w których mogli ukryć swój dobytek na wypadek rewizji.

Niemcy szybko nauczyli się tradycyjnych kryjówek i niemal od progu szli do biblioteczki wyjmować pieniądze spomiędzy stron książek, zaglądali pod wanny czy zdejmowali żyrandole, na których układano kosztowności. Szukali zawsze tak długo, aż coś znaleźli, odsuwali meble, zdejmowali obrazy ze ścian. By cokolwiek ukryć, potrzeba było coraz większego sprytu i precyzyjniejszego wykonania. Szybko okazało się, że Marek Goldman ma nie tylko rękę do drewna, ale i smykałkę do tworzenia skrytek. Adres zakładu stolarskiego na Nalewkach przekazywano sobie z ust do ust, a kolejne ograniczenia dotyczące posiadania rozmaitych sprzętów, biżuterii czy innych dóbr sprzyjały rozwojowi tej działalności. Wielu Żydów miało teraz coś do ukrycia.

Marek pracował dla stolarza do momentu, gdy ten niespodziewanie zamknął warsztat. Kilka dni wcześniej jego ukochana żona uległa wypadkowi. Szła właśnie Karmelicką, gdy z naprzeciwka nadjechał rozpędzony samochód. Siła uderzenia odrzuciła ją na bok, jakby była lżejsza od słomianej kukły. Stolarzowa uderzyła głową o kant chodnika. Zginęła na miejscu. Ostatnim, co usłyszała, był rechot jadących samochodem mężczyzn, zadowolonych z trafienia.

Pogrążony w żałobie stolarz zamknął warsztat, ale wcześniej pozwolił Markowi wziąć wszystkie narzędzia, które zechce. Chłopak z początku nawet nie chciał o tym słyszeć. Prosił, by stolarz sprzedał je na targu i miał środki na utrzymanie, ale starzec upierał się, że nie będzie w stanie ich sprzedać.

– Są jak moje dzieci – mówił. – Zbyt długo byliśmy razem, żebym wymienił je na pieniądze. Albo ty je weźmiesz i tchniesz nimi życie w kolejne przedmioty, albo zniszczą tu ze mną.

Wreszcie Marek zgodził się przyjąć narzędzia i od tej pory działał na własną rękę, robiąc skrytki na mienie, a niekiedy i na osoby w pry-

watnych domach. Przynosiło mu to niemałe zyski, tak że nie potrzebował nawet pożyczać już rikszy od Franka. Radził sobie sam.

Rozdział 6

Wciąż padało.

– Tej feralnej jesieni nawet deszcz postanowił nie dać nam spokoju – powtarzał Andrzej.

Anna co rano wysłuchiwała podobnych utyskiwań brata. Było w tym trochę prawdy, ponieważ nieustanne ulewy jeszcze zacieśniły ich granice wolności. Nie dość, że byli zamknięci za murem oddzielającym ich od reszty świata, to jeszcze musieli dodatkowo gnieździć się w budynkach, usiłując znaleźć schronienie przed ulewami.

Deszcz spadał z odsłoniętych kawałków nieba długimi, ciemnymi smugami na szarą modernistyczną kamienicę przy Mariańskiej 1, róg z Pańską 34, do której po zamknięciu getta przeniosła się szkoła pielęgniarstwa. Omywał lodowatymi kroplami rzeźbione elementy elewacji dłuta Zygmunta Otto, grube szyby w oknach i ciężkie drewniane drzwi wejściowe.

Na parterze mieściły się sala wykładowa, sala ćwiczeń, gabinet dyrektorski i pokój, w którym wraz ze swoimi dziećmi mieszkała dyrektorka. W suterenie znajdowały się kuchnia i wspólna jadalnia, na piętrze zaś pokoje dla uczennic, które mieszkały w szkolnym internacie. W przeciwieństwie do większości miejsc w getcie tu nie brakowało przestrzeni. Można było na chwilę zapomnieć o murze, wąskich uliczkach, wszechobecnej ciasnocie zamkniętej dzielnicy żydowskiej, lęku, niepewności jutra, biedzie, wszechobecnej ciemności.

Tu wszystko było jasne i lśniaco czyste, gdyż dyrektorka szkoły Luba Blum uważała, że dbanie o codzienność, higienę i porządek wokół siebie pozwalało nie dać się pochłonać ciemności, zagubić, zwątpić.

Z początku ta teoria wydawała się Annie dość śmieszna, nie potrafiła znaleźć związku między wyszorowaną podłogą a spokojem duszy, szczególnie w czasach takich jak te, w których przyszło im żyć. Z czasem jednak zaczęła doceniać nawyki budujące samodyscyplinę,

która z kolei w przedziwny sposób zwiększała pewność siebie, a łąd wokół koł.

Kojące było też samo przebywanie w szkole. Dziewczyna prędko pokochała budynek przy Mariańskiej – szybko stał się dla niej namiastką domu. Odkąd bowiem Zatorscy przeprowadzili się na plac Muranowski, do mieszkania, które znalazł dla nich Marek, wciąż czuła się jak bezdomna, pozbawiona własnej przestrzeni. Miejsce to kojarzyło jej się z więzieniem, a po śmierci matki zapanowała w nim pustka, której niczym nie szło wypełnić.

W szkole znalazła przyjazną przestrzeń i substytut matki w osobie charyzmatycznej dyrektorki Luby Blum.

Schodząc po drewnianych schodach, Anna przymykała czasem oczy i wyobrażała sobie, że znów jest w konserwatorium, w operze czy w budynku akademii muzycznej. Śniła na jawie, że znów panuje pokój, a ona, zamiast uczyć się praktycznego zawodu, znów może śpiewać. Tylko tu, na Mariańskiej, udawało się jej czasem przywołać to złudzenie, które napełniało ją szczęściem.

Tego dnia po skończonych zajęciach dziewczęta z internatu poszły do swoich pokoi, a kilka uczennic dochodzących, wśród nich także Anna, z niepokojem spoglądało na zasnute chmurami niebo, zastanawiając się, jak też dotrą do domów w taką ulewę.

Pierwsza z dziewcząt otworzyła drzwi, chcąc spróbować wyjść, ale zaraz cofnęła się w głąb korytarza.

– Ale pada! – wzdychały jedna po drugiej.

– W grudniu mógłby już spaść śnieg. Przynajmniej byłoby ładniej i jaśniej – marudziła kolejna. – A tu nic tylko deszcz i deszcz.

Nie bardzo wiedziały, co ze sobą zrobić, więc raz po raz podchodziły do okien i zerkwały na zewnątrz, próbując dostrzec jakiś promyk światła zza szarawej zasłony kropel. Były zmęczone i głodne. Z kuchni dochodziły zapachy jedzenia, ale dobrze wiedziały, że poza wydawanym w czasie lekcji skromnym drugim śniadaniem posiłki przeznaczone są tylko dla mieszkanek internatu.

Anna usiadła na podłodze pod ścianą i zaczęła przeglądać notatki z zajęć. Nie było tego dużo, większość i tak zapamiętała z wykładu, ale potrzebowała jakiegoś zajęcia, żeby nie zastanawiać się nad tym, na jak długo są tu uwięzione. Była wściekła na pogodę, choć wiedziała dobrze, że gniewanie się na zjawiska atmosferyczne, które po prostu występują, jest całkiem niemądre.

Miała plany na to popołudnie. Chciała podjechać na Cmentarz Żydowski, by zapłacić jednej z handlujących tam przekupce, która za niewielką opłatą doglądała grobu ich matki. Anna wiedziała, że kobieta jej nie oszukuje, ponieważ Andrzej poprosił księdza Marcelego, by to sprawdził. Po powrocie z cmentarza zamierzała jeszcze spróbować kupić trochę kaszy i warzyw na zupę. Antoś był osłabiony i pożywny posiłek z pewnością dodałby mu sił.

Antoś... Wciąż Antoś. Anna czasem usiłowała przypomnieć sobie, jak to było żyć tylko dla siebie, troszczyć się przede wszystkim o swoje sprawy, swoje marzenia i plany. Od śmierci matki właściwie matkowała bratu. Nie czuła się w żaden sposób przygotowana do tej roli, ale starała się odgrywać ją najlepiej, jak potrafiła, szczególnie że ojciec niespecjalnie zwracał uwagę na którekolwiek ze swoich dzieci. Jej i Andrzejowi było czasem co najwyżej przykro, ale Antoś potrzebował miłości. Czasem łapała go tak wielka tęsknota za matką, że płakał, dopóki nie zasnął ze zmęczenia, i nijak nie szło go utulić. W takich chwilach Anna czuła się całkiem bezradna.

Pora najwyższa nauczyć też Antosia wiązać buty. Ma już pięć lat – rozmyślała, bezwiednie rysując ołówkiem szlaczki na brzegu kartki z notatkami. Postanowiła też zdobyć trochę cukru na syrop z cebuli. Deszcz w grudniu niechybnie wróży przeziębienia. Syrop z cebuli jest najlepszy na przeziębienia – powtarzała sobie – mama zawsze...

Wspomnienie o matce zakłuło ją mocno. Minęło zaledwie kilka tygodni, a Annie wydawało się, że z trudem przypomina sobie jej twarz, co przyprawiało ją o straszliwe wyrzuty sumienia. Co wieczór czekała na chwilę, gdy Antoś zaśnie, ponieważ nie chciała go rozdrażniać widokiem matki, wyciągała z szuflady egzemplarz *Szaleńców Bożych* Zofii Kossak-Szczuckiej, gdzie pomiędzy barwne ilustracje Leli Paw-

likowskiej wsunęła podebrane z albumu rodzinnego ulubione zdjęcie matki.

Matka miała wówczas mniej więcej tyle lat, ile Anna teraz. Stała w prostej białej sukience na tle wielkiego różanego krzewu. Patrzyła prosto w obiektyw, a w jej oczach nie było ani krztyny przerażenia czy powagi, które można było odnaleźć na niemal każdym portrecie. Jej matka patrzyła śmiało i uśmiechała się lekko kpiąco, jakby cała ta sytuacja, konieczność przybrania wymuszonej pozy do zdjęcia, w gruncie rzeczy bardzo ją bawiła.

Anna patrzyła w oczy matki i zastanawiała się, dlaczego przez te kilkanaście lat wspólnego życia ani razu nie opowiadała im o swoim żydowskim pochodzeniu jako o czymś ważnym.

Czy po chrzcie, ślubie i przeprowadzce do Warszawy uznała, że tamten rozdział jej życia jest już zamknięty, i nie czuła potrzeby, by do niego wracać i opowiadać o tym dzieciom jak o czymś istotnym dla ich życia? A może jednak wstydziła się swojego pochodzenia? Może, jako neofitka, niechętnie wspominała tamten czas? Anna zawsze uważała ją za wyjątkowo pobożną i niejednokrotnie przypatrywała się przez szparę w uchylonych drzwiach, jak matka klęczy przed obrazem Jasnogórskiej Pani i modli się na różańcu. Czy chciała chronić dzieci przed wątpliwościami? Może pragnąc dla nich jak najlepiej, starała się, by były pewne tego, kim są, potrafiły jednoznacznie się określić?

Czy ta przeszłość czasem jej ciążyła, czy na co dzień w ogóle o tym nie myślała? Pytania mnożyły się w głowie Anny, a nie było już szans na uzyskanie odpowiedzi. Całowała fotografię i wkładała znów za bibułkę przy ilustracji. Odkładała książkę na miejsce, zamykała szufladę i wsuwała się pod pierzynę. Zamykała oczy. Pod powiekami widziała uśmiechającą się młodziutką matkę.

Dopiero w tych chwilach u schyłku kolejnych dni do Anny docierało to, że matki naprawdę już nie ma.

Teraz patrzyła na spływające po oknie szkoły strugi deszczu i ogarnął ją wielki smutek.

– Powinnam sporządzić listę spraw do załatwienia, bo wszystko wyleci mi z głowy – wymamrotała sama do siebie, żeby odpędzić falę tęsknoty.

Przez te wszystkie rozmyślania nie zauważyła nawet, że deszcz ze-
lżał. Kilka dziewcząt zdecydowało się na wyjście ze szkoły. Anna
usłyszała przeciągłe gwizdnięcie, a potem dwa krótkie. Poderwała się
i szybko spakowała zeszyty.

– To po ciebie? – usłyszała głos, ale nie rozpoznawała go.

Kurs pielęgniarski niedawno się rozpoczął, a było na nim tak wiele
dziewcząt, że trudno było spamiętać je wszystkie. Mimo to skinęła
głową, zapinając paski torby. Dopiero potem podniosła wzrok i spoj-
rzała na stojącą przy oknie uczennicę.

Zatorska była pewna, że nie widziała jej nigdy przedtem. Niezna-
joma była bardzo wysoka i szczupła, przez co wydawała się jeszcze
wyższa. W pierwszej chwili skojarzyła się Annie z brzozą. Długie ja-
sne i całkiem proste włosy opadały jej na ramiona. Jeśli istniał ktoś
o doskonale aryjskiej urodzie, była to stojąca przed nią dziewczyna.
Patrzyła Annie prosto w oczy, bez cienia owej nieśmiałości zwykle
towarzyszącej poznającym się dopiero ludziom, co zaraz przywiodło
Zatorskiej na myśl wspomnienie zdjęcia matki. Poczowała przypływ
sympatii do dziewczyny.

– Ta riksza? – upewniła się nieznajoma. – Przyjechali po ciebie?

Anna wyjrzała przez okno ponad jej ramieniem. Zobaczyła Franka
i Marka kulących się pod lichym daszkiem rikszy. Całkiem o nich za-
pomniała, a przecież umówili się, że zawiozą ją na cmentarz.

– Tak, tak, po mnie. – Uśmiechnęła się mimowolnie. – Koledzy na
co dzień parają się stolarką, ale w wolnych chwilach na zmianę wożą
pasażerów rikszą. Trzeba sobie jakoś radzić.

– Słyszałam, że w tych czasach to dość intratne zajęcie – stwier-
dziła nieuważnie nieznajoma, byle podtrzymać rozmowę. Wyraźnie
coś rozważała, przyglądając się młodzieńcom przez zroszoną desz-
czem szybę.

– Mało powiedziane! Słyszałam, że nawet lekarzom nie powodzi się lepiej!

– Ci dwaj nie wyglądają na krezusów – oceniła dziewczyna, ale w jej głosie nie było złośliwości, po prostu stwierdzała fakt.

– To bardzo szczególne przypadki – wyjaśniła Anna. – Oni żyją całkiem po swojemu. Jak mawia Franek, pracują, żeby jeść, a nie by się bogacić.

– Z tego, co wiem, w getcie, żeby dobrze zjeść, trzeba być zamożnym człowiekiem.

– Tyle że ci dwaj nie śnią o szynkach czy kotletach, bo ze wszystkich przysmaków najbardziej lubią placki ziemniaczane! – Anna rozłożyła bezradnie ręce.

Dziewczęta roześmiały się jednocześnie.

– Czasem trudno dociec, co nimi powoduje, ale to porządne chłopaki. Niezawodne.

– Doskonale – skwitowała nieznajoma. – Miałam nadzieję, że to powiesz.

Zaskoczona Anna znów skierowała spojrzenie na rozmówczynię.

– Potrzebuję pomocy. To ważne. Godzinę temu miałam być przy bramie na Chłodnej. Skończyła mi się przepustka. Z tym bym sobie poradziła, ale... – Dziewczyna zamilkła, jakby zastanawiała się, ile może zdradzić dopiero poznanej osobie. – Ale jest jeszcze coś, co muszę załatwić po drodze. I zdążyć wyjść z getta przed godziną policyjną.

– Wyjść z getta? – Te słowa brzmiały w uszach Zatorskiej jak magiczne zaklęcie.

Dziewczyna wyjęła z kieszeni opaskę. Inną niż ta, którą Anna miała przyszytą do rękawa płaszcza. Białą z dużym czerwonym krzyżem.

– Nie jesteś stąd – szepnęła cicho Zatorska.

Naraz poczuła głęboki smutek i coś jeszcze, ogromne pragnienie dokuczenia dziewczynie, która jeszcze dziś wyjdzie na zewnątrz, do dawnego świata Anny, będzie szła jej ulicami, może nawet obok jej rodzinnego domu.

– Każdy warszawiak jest trochę stąd – odparła tamta.

Anna posłała jej zdziwione spojrzenie. Nigdy wcześniej nie słyszała, by ktoś mówił w ten sposób.

– W getcie zamknięto jedną trzecią warszawiaków – ciągnęła dziewczyna. – Jednej trzeciej żywej tkanki miasta nie da się tak po prostu usunąć bez uszczerbku dla całego organizmu. Chyba każdy z drugiej strony muru ma tu kogoś bliskiego.

– A ty?

– Panią Lubę – odpowiedziała tamta, mimowolnie się uśmiechając. – Odkąd poznałam ją na kursach w Ośrodku Zdrowia przy Świętojerskiej, wiedziałam, że chcę być dokładnie taką pielęgniarką jak ona. Jakimś cudem udało mi się przenieść do szkoły pielęgniarstwa przy szpitalu starozakonnych.

– Przy szpitalu starozakonnych? Dlaczego, skoro nie jesteś... no... Żydówką? – wyrwało się Annie.

– To nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Tam najwięcej zajęć prowadziła pani Luba, a ja chciałam chłonąć od niej wiedzę, uczyć się, jak traktować pacjentów, jak nieść im ulgę. Wiedziałaś, że była stypendystką Rockefellera?

Anna pokręciła głową.

– Dzięki stypendium mogła wyjechać i uczyć się nowoczesnego pielęgniarstwa w Belgii i we Francji – opowiadała dziewczyna.

– Od zawsze musiała być bardzo zdolna i pracowita – stwierdziła Anna, a w jej głosie wyraźnie pobrzmiwał podziw.

– Była i nadal jest – odparła tamta z przekonaniem. – Czasem się zastanawiam, skąd bierze tyle energii. Jak zapewne wiesz, w sierpniu, niedługo po tym, jak zrobiła dyplom, i tuż przed wojną, została dyrek-

torką tej placówki. Miała tak wiele pomysłów na przekształcenie jej w prawdziwie nowoczesną szkołę – westchnęła tęsknie dziewczyna, ale zaraz się rozpogodziła. – I nadal ma. Trochę ci zazdrozczę, że jesteś uczennicą i możesz słuchać jej wykładów i przyglądać się jej codziennej pracy. Ja rzadko mam już teraz po temu sposobność.

Anna potwierdziła ruchem głowy. Doskonale to rozumiała. Luba Blum była niezwykłą osobą. Charyzmatyczna i wymagająca, codziennie doprowadzała którąś z dziewcząt do łez, a mimo to wszystkie ją kochały. „Bezradność jest najgorszym przewinieniem” – powtarzała. „Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście i to wy musicie je znaleźć, dla dobra pacjenta”.

– Wiem, że niektórzy surowiej ją oceniają – ciągnęła nieznajoma. – Słyszałam, jak jedna z dziewcząt nazwała ją „pielęgniarką o kostycznych zasadach zakonnicy”, ale wierz mi, pod tą powłoką kryją się złote serce i wola z najtwardszego żelaza.

Zza okna znów dobiegł umówiony sygnał. Franek z Markiem wyraźnie się niecierpliwił. Anna zawstydziała się, że kazała kolegom czekać w taką niepogodę.

– Przepraszam, rozgadałam się – powiedziała dziewczyna.

– Nic nie szkodzi, przyjemnie mi się rozmawiało – odparła Anna. – Tylko teraz naprawdę powinnam już iść.

– A ja? Myślisz, że mogłabym zabrać się z wami? – raz jeszcze poprosiła dziewczyna.

Zanim Anna zdążyła pomyśleć, skinęła głową.

– A tak w ogóle, jestem Lucyna – przedstawiła się nowa znajoma. – Lucyna Bednarczyk.

– Anna Zatorska.

Ruszyły korytarzem, po drodze zgarniając płaszcze. Wkładając je w biegu, minęły wiszący przy drzwiach portret matki współczesnego pielęgniarstwa, Angielki Florence Nightingale w białym czepku,

i wypadły na zewnątrz. Dziurawe buty Anny przemokły natychmiast, gdy znalazły się na zalanej deszczem ulicy.

– Serwus, panowie! – Pomachała do Franka i Marka.

– Długo każesz na siebie czekać... – zaczął Kajzer, ale zaraz umilkł, dostrzegłszy towarzyszkę Anny.

– To jest Lucyna. – Zatorska przedstawiła koleżankę, zadowolona, że nie będzie musiała wysłuchiwać pretensji kolegi. – Musimy ją podwieźć.

– A niby jak to sobie wyobrażasz? – zapytał Franek, po czym z gracją obrócił się wokół własnej osi i skłonił przed Lucyną. – Franciszek Kajzer. Bez związków rodzinnych z potomkami władców rodzimej krainy Hitlera i jego obecnej ojczyzny.

Lucyna uśmiechnęła się i podała mu rękę.

– Miło mi pana poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie, choć żałuję, że nie spotykamy się w nieco bardziej sprzyjających okolicznościach.

– Rozumiem – zapewniła czym prędzej Lucyna. – Wiem, że każdy ma dziś swoje sprawy. Nie będę się narzucać...

– Źle mnie pani zrozumiała – wpadł jej w słowo Franek. – Wolałbym, żeby okoliczności zewnętrzne były nieco przyjemniejsze. Mogłoby świecić słońce, koszula nie kleiłaby mi się wówczas do pleców, fryzura mogłaby przydawać mi uroku zamiast upodabniać do zmokłej kury, a czas przejazdu przez suche ulice byłby zdecydowanie krótszy.

Anna przypatrywała się tej scenie z pobłażliwym uśmiechem. Ach, ten Franek i jego słowotok. Raz po raz wymieniała z Markiem znaczące spojrzenia; oboje starali się nie roześmiać. O tym, że Kajzer jest wyjątkowo wrażliwy na wszelkie kobiece niedole, wiedzieli doskonale. Trudno jednak było wyobrazić sobie bardziej niedopasowaną parę. Ona wysoka, wiotka i jasna, on niski, przysadzisty, o włosach i oczach barwy jesiennych kasztanów

– Zaczyna się taniec godowy – zakpiła szeptem Anna, odwracając się do Marka, ale on nawet na nią nie spojrział. Poczowała ukłucie przykrości.

– Obdarza pan taką atencją każdą nowo poznaną damę? – spytała tymczasem Lucyna, naśladowując ton, w jakim do niej przemawiano.

Anna uśmiechnęła się pod nosem. Trafił swój na swego. Wzięła wdech, by znów szepnąć do Marka, ale zaraz zamknęła usta i spochmurniała.

– Bez wyjątku – zapewnił Kajzer i z szelmowskim uśmiechem znów się jej uklonił.

– Zabawny z pana człowiek – stwierdziła Lucyna, śmiejąc się wesoło.

– Nie mogła mnie pani obdarzyć wspanialszym komplementem.

– Komplementy komplementami, ale ja, prawdę mówiąc, marznę – przerwała im Anna.

Ostentacyjnie objęła rękoma ramiona, jakby chciała się ogrzać. W rzeczywistości nie było jej aż tak zimno. Gdyby nie dziwaczne zachowanie Marka, mogłaby jeszcze długo tak stać, przysłuchując się radosnej paplaninie Franka, który zdawał się nosić w sobie niewyczerpane pokłady wesołości i potrafił żartować w każdych okolicznościach i na każdy temat.

Co go dziś ugryzło? – myślała, zerkając na Goldmana.

– Ruszajmy więc – rzucił wesoło Franek.

– Czy mogę prosić, byście mnie podwieźli? – spytała Lucyna z nadzieją, spoglądając przy tym na zegarek. Czasu było już bardzo mało.

– Ja panią podwoję, panno Lucynko, dokądkolwiek panienka zechce – zapewnił żarliwie Kajzer.

– A co ze mną, Franiu? – spytała szybko Anna, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że wszyscy nie zmieszczą się na wąskiej ławeczce małej rikszy.

– Ciebie, moja droga, czeka spacer w towarzystwie naszego milczącego dziś bardziej niż zwykle przyjaciela – odrzekł. – Mogę też odwiedzić was obie, a jego porzucimy tu, by w samotności rozważał, na czym świat stoi.

Marek rzucił przyjacielowi spojrzenie spode łba, ale nie odpowiedział na jego zaczepki.

– Nie chciałam sprawiać kłopotu... – Lucyna wydawała się wyraźnie zmieszana.

– Ależ skąd! To żaden kłopot – zapewniła ją Anna. – Chętnie się przejdę.

– Mówiłaś, że zamarzasz... – Lucyna nie dawała się przekonać.

– Więc spacer dobrze mi zrobi – odparowała Zatorska. – Marsz mnie rozgrzeje.

– Zatem ustalone. – Franek klasnął w dłonie. – Panno Lucyno, zapraszam do powozu.

– Dziękuję. – Lucyna zwróciła się do Anny i serdecznie uściśniła jej dłoń. – Mam nadzieję, że wkrótce uda nam się lepiej poznać.

– I ja mam taką nadzieję – odpowiedziała Zatorska szczerze, odważając się uśmiechnąć. – A teraz jedźcie już, bo robi się coraz później.

Lucyna przytaknęła i usiadła na ławeczce rikszy.

– Komu w drogę, temu czas! – zawołał Franek.

Machnął do przyjaciół i ruszył przed siebie. W zetknięciu z rozpedzonymi kołami kałuże zdawały się rozstępować jak wody Morza Czerwonego. Anna chciała podzielić się tą obserwacją z Markiem, ale on stał pogrążony we własnych myślach.

– Idziemy? – zagadnęła, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę. Początkowa irytacja gdzieś zniknęła, a jej miejsce zajął niepokój. Może coś go trapi? Może stało się coś złego?

W odpowiedzi skinął tylko głową.

Szli w milczeniu przez opustoszałe z powodu deszczu getto. Ulica Leszno, przy której mieściło się mnóstwo ważnych instytucji, zwykle tak gwarna i tłoczna, jako że była jedną z najczęściej uczęszczanych, teraz świeciła pustkami. Jak dziwnie było wędrować tak w samotności, wąskimi uliczkami, którymi zwykle od rana do nocy w obu kierunkach płynął wartki strumień ludzi. Zupełnie jakby musieli się przemieszczać, by żyć – pomyślała Anna.

Starła się ignorować to wszystko, nie pozwolić się przytłoczyć tej niecodziennej ciszy, lecz w rzeczywistości wciąż zdawało jej się, że czuje na karku delikatny chłód, jakby tchnienie śmierci.

Usiłowała przekonać samą siebie, że dygocze z zimna. Wciąż miała na sobie przepisowy strój uczennicy szkoły pielęgniarstwa – różową sukienkę, wykrochmalony biały fartuch i niebieską pelerynkę. Wszyscy trochę podśmiewywali się z tych strojów. Mówiono, że wychowanki Luby Blum wyglądają w nich jak istoty nie z tego świata, elfy czy wróżki, co zupełnie nie pasowało do ponurego nastroju panującego wokoło. Anna nie miała w tym temacie zdania. Podobało jej się to, że nie musi co rano zastanawiać się, co na siebie włożyć, i że nikt z nikim się nie porównuje, bo wszyscy mają na sobie to samo. To znacznie ułatwiało życie. Szczególnie w getcie, gdzie rozwarstwienie między ludźmi zamożnymi i biednymi pogłębiało się z każdym tygodniem.

Wyrzucała sobie, że zdejmując biały czepek, nie pozbyła się też peleryny i nie włożyła swetra, który trzymała w szafce. Teraz z pewnością byłoby jej odrobinę cieplej.

*

Marek milczał. Odkąd Franek jasno nazwał jego uczucia do Anny, czasem nie potrafił sobie poradzić z jej obecnością. Czuł, że zachowuje się jeszcze dziwniej niż zwykle. Dostrzegał to w jej spojrzeniu, wyczuwał w zachowaniu, słyszał w słowach, ale to wszystko było silniejsze od niego. Dlatego starał się, by nie zostawali sami, by był z nimi ktoś jeszcze – Franek, Andrzej czy chociażby mały Antoś, którego Goldman serdecznie polubił.

Dzisiejsze popołudnie miało wyglądać całkiem inaczej. Nieoczekiwane pojawienie się tej całej Lucyny wywróciło jego plany do góry nogami.

– Wiesz, co myślę? – zapytała Anna, przerywając gęste milczenie.

Pokręcił głową.

– Myślę, że zaraz zamarznę – odparła, jakby to była całkiem zwyczajna sprawa.

Marek sięgnął do zamka kurtki, chcąc oddać jej ubranie, ale powstrzymała go ruchem ręki.

– Nie, czekaj, mam lepszy pomysł.

– Tak? – spytał.

– Odzyskałeś głos! – ucieszyła się. – To dobry znak.

– Być może... – zgodził się, nie bardzo wiedząc, co dodać. Mimo wszystko on także poczuł ulgę, że zaczęli rozmowę.

– Jesteśmy na ulicy Leszno... – powiedziała Anna, przybierając tajemniczy ton. – Gdzie znajduje się...

– Wszystko?

– W zasadzie masz rację – stwierdziła pogodnie. – Ale jest tu też pewien lokal...

„Sztuka” – odgadł zaraz Marek i gorączkowo zaczął przeliczać zawartość portfela.

Lokal mieszczący się pod adresem Leszno 2 był znany ze swojego przedwojennego klimatu. Występowały tu wielkie sławy żydowskich scen: Diana Blumenfeld, Wiera Gran, Leonida Fokszańska czy słowik getta – Marysia Ajzensztadt, a także wybitni muzycy, jak Adolf Goldfeder czy Władysław Szpilman. Jedynym problemem było to, że na wizyty w tym miejscu stać było wyłącznie najbogatszych mieszkańców getta.

– „Sztuka” – dokończyła zgodnie z jego przewidywaniami, a dostrzegłszy wyraz twarzy Marka, pospiesznie dodała ze śmiechem: –

Nie martw się, niczego nie zamówimy!

– Chyba nie rozumiem...

– Usiądziemy sobie tylko na chwilę, żeby się rozgrzać.

– Przecież nas wyproszą.

– Sami wyjdziemy, zanim zdążą.

– Anno, to chyba nie jest dobry pomysł.

– Wejdziemy tylko na chwilę – przekonywała. – Usiądziemy przy stoliku, mój pielęgniarzki strój wreszcie się na coś przyda; może pomyślą, że rzeczywiście jesteśmy personelem medycznym, kimś ważnym. Posiedzimy, pilnie studiując karty dań, po czym głośno zapewniając, że nie znaleźliśmy tam nic interesującego, dumnie wymaszerujemy z lokalu.

– To niemądre – skwitował szczerze.

– Wiem – odparła, patrząc na niego nagle zupełnie poważnie. – Ale dziś bardzo potrzebuję zrobić coś niemądrego. Choć przez najkrótszą chwilę nie być zastępczą matką dla Antosia, nie troszczyć się o ojca i starszego brata, którzy przecież powinni troszczyć się o mnie, nie myśleć o tym, czym ich wszystkich nakarmię i ile to będzie kosztowało. Chcę choć na moment poczuć się dawną mną.

Marek przyglądał się jej dłuższy czas w milczeniu, a w jego duszy toczyła się walka.

– Anno... – zaczął wreszcie.

– Tak?

– Nie mogę tego zrobić.

– Ale dlaczego? – spytała, a w jej głosie dało się słyszeć prawdziwy żal.

– Nigdy nie byłem w eleganckiej kawiarni – wyznał wreszcie, czerwieniąc się ze wstydu.

To była prawda. Marek Goldman miał dwadzieścia lat i nigdy nie był w eleganckiej kawiarni. Przed wojną – owszem, bywał w rozma-

itych piwiarniach, karczmach i wyszynkach, a nawet raz czy drugi zaszedli z Frankiem na potańcówkę, ale żadnego z tych lokali nie można było określić mianem eleganckiego. Był przekonany, że gdy tylko stanie w progu „Sztuki”, wszyscy natychmiast dostrzegą, że jest niepasującym elementem.

Anna jednak uśmiechnęła się szeroko. Bez cienia kpiny, z wyraźnym entuzjazmem.

– Zatem nadszedł czas, by to zmienić, a ja z radością wcielę się w rolę twojej przewodniczki po nieznanym lądzie.

Rozdział 7

Nie pytając o nic, Franek zawiózł Lucynkę pod wskazany przez nią adres. Nie umawiali się, co dalej, ale gdy dziewczyna wbiegła do kamienicy, on czekał na nią, paląc kiepskiego papierosa.

– Możemy jechać – rzuciła, wróciwszy zbyt szybko, by mógł chociaż porządnie rozejrzeć się po okolicy, i usadowiła się na siedzeniu rikszy. – No już, ruszajmy, proszę. Nie chciałabym, żeby ktoś mnie tu zauważył.

Franek zgniótł żarzącą się końcówkę w zwilżonych palcach i schował niedopałek do kieszeni, by wypalić go później. Wskoczył na siodelko i popedałował co sił w nogach.

Byli już blisko bramy, gdy Kajzer wykonał nagle gwałtowny skręt i wjechał w małą uliczkę, wyjątkowo krzywo wybrukowaną.

– Co się stało? – spytała Lucynka, przechylając się w jego stronę. – Powinniśmy jechać tamtędy.

– To nie była zwykła warta – odparł Franek, nie przestając pedałowić. Chciał jak najszybciej oddalić się od tamtej bramy.

– O czym ty mówisz? – spytała, nie siląc się na grzecznościowe formy.

– Widziałaś ciężarówkę i dwa duże samochody osobowe? – odpowiedział pytaniem na pytanie Franek, zwracając się do dopiero poznanej dziewczyny jak do dobrej koleżanki.

Przyszło mu to tak naturalnie, jakby znali się od dawna, choć nic o tym nie wiedzieli.

– Nie – odpowiedziała szczerze.

– Musisz mi zatem zaufać – odparł. – Coś się tam działo. Może wozili ludzi na cmentarz na egzekucję? Nie wiem i nie chcę się domyślać, ale intuicja podpowiada mi, że najlepiej zrobimy, jeśli szybko się stąd oddalimy.

Lucynka opadła na siedzenie rikszy. Po jakimś czasie Franek zatrzymał się i zsiadł z roweru. Wyjął z kieszeni chustkę i otarł pot z czoła.

– Tu już jesteśmy bezpieczni.

– Co teraz? – spytała dziewczyna, spoglądając na zegarek. Do godziny policyjnej zostało niecałe dwadzieścia minut.

– Chyba najrozsądniej będzie, jak dziś w nocy zostaniesz w getcie – powiedział niepewnym głosem.

Dziewczyna wyglądała na zakłopotaną.

– Moi będą się martwić...

– Tam w aptece na rogu jest telefon. – Skinął ręką, pokazując jej niską kamienicę po lewej stronie ulicy. – Znam aptekarza, pozwoli ci zadzwonić i przekazać komuś wiadomość.

– To dobry pomysł, dziękuję.

Franek popatrzył na dziewczynę, która wyglądała, jakby usilnie nad czymś rozmyślała.

– Masz gdzie się zatrzymać? – spytał.

Pokręciła głową.

– Mógłbym cię zawieźć do Anny, ale to kawał drogi, a zaraz będzie godzina policyjna – zastanawiał się głośno Franek. – Może odwiozę cię z powrotem do szkoły?

– To chyba jeszcze dalej... – westchnęła Lucynka. – A przecież ty sam też musisz zdążyć do domu na czas.

– I to jest doskonała myśl! – wykrzyknął Franek.

– To znaczy? – spytała niepewnie Lucynka.

– Po prostu pojedziemy do mnie – odparł. – To blisko.

– Nie jestem pewna... – Zawahała się.

– Powinnaś chyba zadać sobie inne pytanie – odrzekł całkiem niezrażony jej brakiem entuzjazmu.

– Mianowicie?

– Jakie masz alternatywy? – podpowiedział. – Jeśli żadnych, to chyba powinnaś jednak rozważyć moją propozycję.

– A skąd mam wiedzieć, że nie masz jakichś niecnych zamiarów? – zapytała, starając się, by pytanie zabrzmiało lekko i żartobliwie. W rzeczywistości czuła, jak serce tłucze się jej w piersi. Już sama myśl o pozostaniu na noc w getcie była niepokojąca. W dodatku wyglądało na to, że spędzi ją z dopiero co poznanym chłopakiem, o którym w gruncie rzeczy nie wiedziała nic. Owszem, zdawał się zabawny i miał ujmujący sposób bycia, ale to, zważywszy na okoliczności, wciąż było niewiele.

– Ciekawie postawione pytanie – rzekł, markując powagę. – W zasadzie nikt nigdy mi go jeszcze nie zadał.

– Naprawdę?

– Mhm – potwierdził. – Możliwe, że to dlatego, że tak dobrze patrzy mi z oczu.

Lucynka znów się roześmiała. Od początku wojny nie śmiała się tak dużo jak przez to jedno popołudnie.

– Niech będzie – powiedziała wreszcie. – Raz kozie śmierć, jak mawiają.

– Rzekłbym raczej: śmiałym szczęście sprzyja.

*

– Bardzo tu czysto – pochwaliła Lucyna, omiótłszy szybkim spojrzeniem pokój Franka, w którym znaleźli się kwadrans później.

– Porządek to podstawa – odparł Kajzer.

– Mówisz jak Luba Blum – zachichotała Lucynka. – „W trudnych czasach porządek pozwala duchowi nie osłabnąć” – dodała, naśladowując surowy ton dyrektorki szkoły pielęgniarstwa.

– Śmieć się do woli, ale ja tam się z nią zgadzam. Porządek wokoło pozwala zachować jasność umysłu.

– To samo mówi pani Luba! To znaczy nie chciałam cię urazić – zapewniła zaraz Lucynka, ale Franek tylko uśmiechnął się do niej życzliwie.

– A w jaki sposób miałabyś mnie urazić, chwając porządek w moim domu, co? – powiedział z taką swobodą i lekkością, że dziewczyna natychmiast odetchnęła z ulgą.

Nie miała zbyt wielkiego doświadczenia w kontaktach z mężczyznami. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy była z jednym z nich całkiem sama. W szkole uczyła się wyłącznie z dziewczętami, a w szpitalu, gdzie opiekowała się przecież pacjentami obojga płci, zawsze był ktoś obok.

Coś jednak podpowiadało jej, że może zaufać temu człowiekowi. Miała tylko nadzieję, że intuicja i tym razem jej nie zawiedzie.

– Jeśli chcesz, możesz zostać tu, a ja pójdę na noc do mojego przyjaciela – powiedział, jakby odczytał jej myśli. – Poznałeś go dzisiaj. Mieszka niedaleko. Powinien już być u siebie.

– Nie, nie – zaprzeczyła prędko, kręcąc głową. Myśl o zostaniu całkiem samej w obcym miejscu nazbyt ją przerażała.

– Jak chcesz. – Franek wzruszył ramionami. – W takim razie ja prześpię się w korytarzu przy kuchni, a ty będziesz miała całe to lśniące czystością królestwo tylko dla siebie. Dostaniesz nawet dodatkowy koc.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Szkoda tylko, że nie zdążyłem dziś załatwić czegoś do jedzenia – westchnął Franek. – Miałem zakręcić się na cmentarzu, gdy Anna będzie załatwiała swoje sprawy...

– Na cmentarzu?! – Lucynka wydawała się porażona tą wizją.

– Niemcy dbają o to, żeby wciąż były jakieś zwłoki do grzebania. Świeże zwłoki, świeża krew. Oczywiście słyszałaś, że Żydzi robią macę z krwi, prawda?

Widząc wyraz jej twarzy, Franek roześmiał się głośno.

- Spokojnie, przecież to tylko żarty.
- Niezbyt mądre i z całą pewnością niesmaczne.
- Co prawda, to prawda – zgodził się pogodnie. – Ale twoja mina...

Lucynka z trudem powstrzymała chęć uszczypnięcia go.

- To o co chodzi z tym cmentarzem? – spytała.
- Cmentarz Żydowski sąsiaduje bezpośrednio z Cmentarzem Powązkowskim, prawda?
- Mhm – przytaknęła dziewczyna. – Nie widzę jednak związku...
- Słyszałaś może o ulicy Smętnej?

Pokręciła głową.

– Smętna biegnie między Powązkami a Cmentarzem Żydowskim. Jest wybrukowana, skanalizowana, oświetlona latarniami, prawdziwie nowoczesna miniaturowa arteria.

– I?

– Bardzo ułatwia komunikację wozów. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że cmentarz to doskonale miejsce do przerzutu żywności – wyjaśnił. – Mnóstwo dyskretnych zakątków do prowadzenia transakcji. No i karawany.

– Co: karawany?

– Wiesz, ile towaru można w nich zmieścić? A w pustych trumnach...?!

Lucynka wzdrygnęła się na tę wizję, ale nic nie powiedziała. Wiedziała, w jak tragicznym położeniu znajdują się mieszkańcy getta. Mimo wszystko nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby kupić coś, co chwilę wcześniej leżało w trumnie, ale podobna niechęć świadczyła tylko o tym, że mimo wszystko wciąż żyła w dobrobycie i mogła sobie pozwolić na wybrzydzenie.

– Niektóre przekupki zza muru potrafią założyć opaski i dołączyć do żydowskiego konduktu pogrzebowego, by w czasie uroczystości

do kieszeni płaszcza współnika, również udającego żałobnika, wsunąć baleron, słoninę czy kilo mąki. To właśnie uwielbiam w tej robocie, że fantazja warszawiaków w robieniu szkopów w wała zdaje się nie mieć granic.

– Niesamowite – szepnęła Lucynka z prawdziwym podziwem.

Wiedziała, iż żywność jest przemycana do getta, ale spodziewała się, że to wszystko odbywa się bardziej tradycyjnymi metodami.

– Długo mógłbym opowiadać – rzekł Franek, zadowolony z jej uznania. – Ale jesteś pewnie bardzo głodna, co? Już dawno po porze kolacji.

Lucynka chciała zaprzeczyć. Wiedziała, że jakoś zdoła do rana obejść się bez jedzenia, a za nic na świecie nie chciałyby wyjadać zapasów tego chłopaka, który już i tak zrobił dla niej dziś tak dużo dobrego. Niestety, gdy tylko otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, jej brzuch zaburczał żałośnie.

– Przepraszam... – wymamrotała bez reszty zawstydzona, ale Franek zachowywał się tak, jakby niczego nie usłyszał.

– Smutna prawda jest taka, że ponieważ nie dotarłem na cmentarz, mam tylko trochę ziemniaków – wyznał.

– W „Gazecie Żydowskiej”, w rubryce „Poradnik dla gospodyń”, na pewno znalazłoby się jakieś wykwintne danie do przyrządzenia z tych składników – zażartowała Lucynka.

Franek uśmiechnął się lewym kącikiem ust. Zaczynał naprawdę lubić tę dziewczynę. Umiejętność wybrnięcia z niezręcznej sytuacji, i w dodatku z humorem, znajdowała się wysoko na liście zalet, które doceniał w ludziach. Niestety, była to też zaleta niezwykle rzadko spotykana.

– O, wiem! – ciągnęła Lucynka. – Niedawno był przepis na purée ziemniaczane.

– Ładna nazwa – skwitował Franek już całkiem wesoło. – A co to takiego?

– Tłuczone ziemniaki – wyjaśniła, tłumiąc śmiech. – Tylko elegancko.

– Elegancko tłuczone?

– Elegancko nazwane.

Oboje się roześmiali.

– To jak się przyrządza tę potrawę? – dopytywał Franek.

– A żebym to ja pamiętała – odparła Lucynka, udając zmartwienie. – To była bardzo długa i szczegółowa receptura. Na pewno była mowa o tym, że wiele gospodyń nie wyobraża sobie gotowania nieobranych ziemniaków, podczas gdy można je ugotować ze skórą, a potem obrać i wówczas... Zaraz, zaraz, jak to było...? Już pamiętam: traci się jedną dziesiątą części łupin, która zostałaby, gdyby ziemniaki obrać przed ugotowaniem.

– Że też komuś chciało się coś takiego liczyć! – Franek gwizdnął z podziwem.

– Prawda? – Lucynka uśmiechnęła się do niego szelmowsko.

– Nie wiedziałem, że nie-Żydzi też czytają żydowską prasę.

– Jeśli uda mi się zorganizować przepustkę i mam czas, staram się pomagać żydowskiemu personelowi medycznemu u Bersohnów i Baumanów. Gdy nie ma jakiejś pilnej roboty, czytam starszym paniom gazety, te po polsku, rzecz jasna.

– To miłe – pochwalił.

– Być może, nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Od zawsze byłam uczona, że pielęgniarka ma nieść ulgę w cierpieniu. Nuda nie pomaga chorym zdrowieć, więc jeśli mogę dostarczyć im jakiejś rozrywki czy czymś ich zainteresować, staram się to robić.

Popatrzyli na siebie i natychmiast odwrócili wzrok. Franek odchrząknął.

– Sądzę, że takie purée ze smalcem może smakować wcale nieźle – powiedziała Lucynka, byle powiedzieć cokolwiek.

– Niestety, o smalec dziś niełatwo – rzekł Kajzer. – Zwłaszcza o tej porze. Zresztą, gdybyśmy mieli smalec, z pewnością nie zmarnowalibyśmy go na jakieś paćki. Ze smalcem można by się porwać na usmażenie latkes...

– Latkes?

– To takie placki ziemniaczane, tylko ziemniaki trze się na dużych oczkach – rozmarzył się Franek. – To nasza ulubiona potrawa, moja i Marka. Gdy byliśmy dziećmi, wydawało nam się, że na świecie nie istnieje nic smaczniejszego. Codziennie, nawet w najgorętsze dni lata, błagaliśmy panią Goldman, żeby nam je smażyła.

Lucynka uśmiechnęła się znowu i sięgnęła do torby. Wyjęła z niej duży słoik smalcu ze skwarkami. Oczy Franka natychmiast zaślniły radością.

– Czy to stałe wyposażenie personelu medycznego Czerwonego Krzyża? – zapytał. – Jeśli tak, gdy tylko otworzą placówkę w getcie, zgłoszę się na ochotnika.

– Niestety, nie jest to aż tak lukratywna praca – odparła, po czym wyjaśniła: – Zawsze mam przy sobie coś, co ewentualnie mogłoby mi pomóc przekonać kogoś do czegoś.

– Łapówka. – Franek mrugnął porozumiewawczo.

– Konkretny argument – sprostowała Lucynka, po czym znów sięgnąwszy do torby, wyjęła z niej niewielką butelkę z czerwonym płynem. – Podobnie jak ta nalewka z czerwonej porzeczki.

– Jesteś pewna, że chcesz się pozbyć tych *argumentów*? – spytał Franek, choć w duchu modlił się, by nie zasiać wątpliwości i by dziewczyna nie zmieniła zdania. Po przejażdżce w grudniowym chłódzie był głodny jak wilk.

– Powiedzmy, że dobrze je wykorzystam – odpowiedziała. – Muszę przecież czymś opłacić kwaterę na tę noc.

– O nie, nie – zaperzył się Kajzer. – Gościna jest gościna i jeśli tak stawia panna sprawę, proszę natychmiast schować te przysmaki znów

do torby. Z naszego koleżeństwa nici.

– W takim razie proszę mi pozwolić przyrządzić sobie kolację.

– Po koleżeńsku?

– Po koleżeńsku – przytaknęła.

Razem obrali ziemniaki, rozmawiając przy tym o wszystkim i o niczym. Franek znalazł w jednej z szafek reszkę mąki i choć nie mieli jajka ani cebuli, udało im się usmażyć prawdziwe placki ziemniaczane.

Gdy on obracał je na patelni, Lucynka nakryła do stołu. Na parapecie znalazła kilka grubych świec, przestawiła je na stół i zapaliła. W pokoju od razu zrobiło się przytulniej.

– Czuję się winny – powiedział Franek z pełnymi ustami, gdy zaspokoił już pierwszy głód.

– A czemuż to? – chciała wiedzieć Lucynka.

– Powinienem pójść po Marka i zaprosić go na tę ucztę – wyjaśnił, pakując sobie do ust kolejny chrupiący kawałek placka. – Tyle że okropnie mi się nie chce.

Lucynka zachichotała.

– Od dawna się znacie?

– Od zawsze – odparł Franek. – Jest dla mnie jak brat. Nie mam innej rodziny poza Goldmanem.

– W takim razie może rzeczywiście powinniśmy po niego pójść? – zasugerowała Lucynka, choć żal jej było zmącić atmosferę panującą dotąd. Było im tak dobrze tylko we dwoje.

Franek spojrzał sugestywnie na talerz, na którym pozostały dwa najmniejsze placki.

– Za późno – westchnął z żalem. – Jestem fatalnym przyjacielem.

– Po prostu byłeś głodny.

– To żadne usprawiedliwienie – odparł. – Poza prawdziwymi bogaczami wszyscy w getcie ciągle są głodni.

Lucynka spuściła wzrok zawstydzona, że tak dużo zjadła. W jej świecie po aryjskiej stronie muru było wiele problemów, ale jedzenia raczej nie brakowało.

– Mam pomysł – rzucił Franek, widząc jej zakłopotanie. – Wynagrodzimy to Markowi.

– Doskonale, a w jaki sposób?

– Wypijemy za jego zdrowie! – odparł wesoło Franek.

Wstał i przyniósł z szafki dwa małe kieliszki, pozostałe jeszcze z czasów, gdy jego babka raczyła się prozdrowotnymi nalewkami. Napełnił je karmazynowym płynem.

– Za przyjaźń i placki ziemniaczane, niech będą wieczne! – wzniósł toast.

– Za przyjaźń – powtórzyła, zanosząc się śmiechem.

1941

Rozdział 1

Franek siedział przy stole i myślał o Zatorskich. Poprzedniego dnia długo grali w karty z Markiem i Andrzejem. O ile do Anny wciąż nie mógł się przekonać – wydawało mu się, że strasznie zadziera nosa, i miał do niej niezwerbalizowaną pretensję o to, że wciąż nie dostrzega, jak wielkim uczuciem darzy ją przyjaciel – o tyle Andrzej od pierwszej chwili wzbudził jego sympatię. Polubił go na tyle, że gotów był mu wybaczyć sentencje łacińskie, które ten raz po raz wtrącał, jakby nie dało się tego samego powiedzieć zwyczajnie po polsku. Przymykał oko na nieco przydługie wypowiedzi i budowanie piętro-nych zdań, gdy tę samą rzecz można było powiedzieć w pięciu słowach. Rozgrzeszał go też z najcięższej przewiny: że podczas gry jego mina natychmiast zdradzała, czy karty mu podeszły, czym psuł oczywiście sporą część zabawy. Były to jednak drobnostki i Franek musiał przyznać sam przed sobą, że całkiem nieoczekiwanie zaczyna wpuszczać do swojego samotniczego życia kolejną osobę.

Tego wieczoru Kajzer wygrał pięć razy z rzędu i wreszcie pozostali odmówili dalszej gry, stwierdzając, że z góry mogą założyć, kto zwycięży.

– To się nazywa rachunek prawdopodobieństwa – mędrkował Andrzej. – Korzenie tej teorii sięgają bodaj siedemnastego wieku, gdy Fermat i Pascal wykonywali pierwsze analizy wyników gier losowych.

– Fascynujące – rzekł z przekąsem Franek i ziewnął znacząco.

– Zrozumiałem – powiedział Zatorski, podnosząc obie ręce. – Ogłaszam się winnym przynudzenia. Obiecuję poprawę.

– Wypiję za to! – zawołał Franek.

– I ja! – powiedział Marek, wznosząc szklanekę z wódką.

Tak się zasiedzieli, że Andrzej został u Kajzera na noc. Po rozpiciu większej ilości żytniówki zaczęli typową pijacką rozmowę o sensie istnienia.

– Jesteśmy dla nich zwierzętami... – wymamrotał niewyraźnie Franek.

– Zwierzęta traktują lepiej – bąknął Marek, wspominając jednego ze strażników getta, który zwykł przechadzać się w towarzystwie ogromnego czarnego psa. Od czasu do czasu rzucał mu jakieś smakołyki, niekiedy nawet przykucał i drapał go za uszami, uśmiechając się przy tym szeroko. Pies merdał ogonem, równie zadowolony z pieszczoty. Żydowskie dzieci mogły liczyć jedynie na kopniaka podkutym żołnierskim butem. – O wiele lepiej.

– Masz rację – rzekł Franek, sięgając do kieszeni. – Zwierzęta już dawno by tu wyzdychały.

Wetknął w usta połówkę krzywo zwiniętego papierosa, lecz po chwili wahania wyjął go z powrotem.

– A może zachowam na gorsze czasy – parsknął gniewnie. – Nawet zapalić po ludzku już nie można. Chciałbym, żeby znów coś było tak po prostu, a nie ciągłe liczenie: jak dziś wypalę za dużo, jutro nie będzie.

– Jak dziś zjem do syta, to jutro nie będzie – dodał Marek ponuro.

– Albo jakaś dostawa nie zagra i papierosów nie będzie – ciągnął Franek. – Pamiętacie jeszcze kioski tytoniowe i ich pełne półki?

– Rozmarzyłeś się. – Marek posłał mu kuksańca.

– Chyba jednak wypalę tego papierosa – zdecydował Franek, znów sięgając do kieszeni. – To będzie mój dzisiejszy akt wolności.

– Żeby zakosztować wolności, trzeba by wyjść z getta – rzekł Andrzej.

Pozostali mężczyźni wbili w niego wzrok.

– Co to da... – westchnął cicho Marek.

Nie chciał nawet myśleć o tym, co by się z nim stało, gdyby Zatorscy postanowili spróbować przedostać się na aryjską stronę. Miał nadzieję, że Andrzej mówi tak w pijackim widzie i do jutra o niczym nie będzie pamiętał. Jego własne życie toczyło się zawsze w tej okolicy,

ale Zatorscy z pewnością mają za murami jakichś znajomych, którzy mimo grożącego im ze strony Niemców niebezpieczeństwa gotowi byłiby im pomóc.

– Po aryjskiej stronie nikt na nas nie czeka – wyznał z żalem Andrzej. Marek odetchnął z ulgą. – Gdyby czekał, już jutro byłibyśmy wolni.

– Po drugiej stronie też nie ma prawdziwej wolności – wtrącił Franek.

– Lepsza iluzoryczna wolność niż to – powiedział Andrzej, wykonując ręką bliżej nieokreślony, zamaszty gest, którego znaczenia jego kompani nie potrafili dociec. – W prawdziwą chyba już przestałem wierzyć, a może zapomniałem, jaka ona jest...

– Takie rzeczy najszybciej się zapomina – przytaknął Franek. – Człowiek się przyzwyczaja i po chwili nie pamięta już, że kiedykolwiek żył inaczej.

– To wszystko nasza wina! – wybełkotał Andrzej. Zerwał się z krzesła i stanął w pozie rzymskiego senatora, z jedną ręką przyłożoną do piersi, jakby podtrzymywał materiał togi, a z drugą wyciągniętą przed siebie. – *Nostra maxima culpa!* Wszystko zaczyna się od pojedynczej rzeczy. Ten jeden niewykonany krok, jedno odwrócone spojrzenie, jeden powstrzymany gest, jedno przemilczane słowo. Potem jest już łatwiej nie wyrażać sprzeciwu, nie reagować dopóty, dopóki dotyczy to kogoś innego, nie mnie. Wszyscy jesteśmy winni. Wszyscy zgrzeszyliśmy biernością.

Marek przyglądał mu się z zaciekawieniem. Franek tymczasem spuścił wzrok i wpatrywał się w swoje nierówno obcięte paznokcie. Wiedział, że Zatorski ma rację. Powinni byli zareagować. Stawić opór. Wznieść bunt. Codziennie uprzykrzać Niemcom życie. Zrobić cokolwiek. Tymczasem oni skupili się na życiu.

– Przymykaliśmy oczy, karmiliśmy się złudzeniami, skupialiśmy się na dziś – mówił Andrzej coraz głośniej, coraz bardziej wzburzony. – Ile razy powtarzaliśmy: byle do jutra?! Wszystko mogłoby wyglądać inaczej, gdybyśmy wcześniej wzięli sprawy w swoje ręce.

Niemcy nie daliby rady okiełznać kilkuset tysięcy ludzi, którzy postanowiliby stawić im opór. – Umilkł, opuszczając głowę na pierś. – Muszę się napić – stwierdził po chwili, sięgając po niemal pustą butelkę. Opróżnił ją do dna.

– To nie jest dobry czas na wyjście, wiesz o tym – powiedział Marek, który mimo alkoholowego szumu w głowie nie mógł się pozbyć niepokojących myśli o tym, że Andrzej spróbuje wyprowadzić swoją rodzinę za mur.

– Żaden czas nie będzie dobry – wymamrotał Zatorski, któremu powieki zaczęły nagle okropnie ciążyć. – Już nie będzie dobrego czasu.

– Ale może kiedyś jakiś będzie przynajmniej mniej zły?

– Może świat się o nas upomni? – włączył się Franek. – Przecież muszą wiedzieć, co tu się dzieje.

– Świat? – powtórzył z pogardą Andrzej. – Świat w ogóle się nad tym nie zastanowi. Każdy ma swój świat. Narody kręcą się wokół własnych spraw. Żydzi nikogo nie obchodzą. Nikogo.

Przez parę chwil kiwali głowami, pogrążeni w ponurych myślach. Panującą w pomieszczeniu ciszę przerwało w końcu ciche pochrapywanie Andrzeja.

– Biedny człowiek... – szepnął Kajzer.

– Jak my wszyscy – odparł Marek. Wstał i nakrył śpiącego na krześle kolegę kocem.

– Nie. – Franek pokręcił głową. – Biedniejszy.

– Dlaczego?

– Takim jak my łatwiej się przystosować – odparł przyjaciel, a Goldman natychmiast zrozumiał, co miał na myśli. Sam przecież wielokrotnie w podobny sposób myślał o Annie.

Byli rówieśnikami, lecz Frankowi zdawało się, że Andrzej jest od niego o wiele starszy, a z pewnością bardziej zmęczony życiem.

Niektórzy mówili, że chrześcijanie w obrębie murów mają lepiej, bo otrzymują pomoc z zewnątrz. Podobno było ich tu całkiem sporo, trochę ponad półtora tysiąca katolików, blisko stu pięćdziesięciu protestantów i trzydziestu prawosławnych. Jednak on wiedział już, że w zamkniętej dzielnicy żydowskiej łatwiej przetrwać w masie. Wychrzczonych Żydów uważano za dziwolągów i zdaniem Franka ludzie tacy jak Zatorscy należeli do najtragiczniejszych postaci w zamkniętej dzielnicy.

Cztery kościoły znalazły się w granicach getta. Kościół Wszystkich Świętych przy placu Grzybowski, Świętego Augustyna na rogu Nowolipek i Dzielnej, Narodzenia Najświętszej Maryi Panny i ewangelicko-augsburski na Lesznie, nieopodal sądów. Kościół Świętego Augustyna był zamknięty na głucho. Wejście do zboru ewangelicko-reformowanego od strony Leszna zamurowano, a nowe poprowadzono przez dom przy ulicy Przejazd 5. Po obu stronach jego bramy odgrodzony został murami w poprzek chodników łączących się z murami okalającymi. W zasadzie więc tylko dwa kościoły pozostawały do dyspozycji wiernych.

Szeroko komentowano jednak to, że niektórzy mechesi mogli mieszkać w wygodnych lokalach na parafii czy że organizowano dla nich kasy pożyczkowe. Księża z ambon głosili, że nie zapomną o swych braciach w Chrystusie, i dotrzymywali słowa. W stołówkach parafialnych wydawano obiady.

Kajzer wiedział jednak, że przynajmniej w parafii Wszystkich Świętych rozdawano ponad sto zup dziennie bez względu na wiarę głodnego. Sam raz czy drugi tam był, nie po to jednak, by korzystać z darmowych posiłków. Z Twardej i placu Grzybowskiego wąskim przejściem z boku kościoła można było wejść na dziedziniec, na którym rosła wspaniała, wysoka akacja. Dalej był śliczny mały ogródek kościelny, jak oni wszyscy otoczony murem. To miejsce uspokajało go. Pomagało mu wyciszyć emocje. Nie chadzał tam często, żeby ktoś nie zaczął podejrzewać, że i on zamierzał się przechrzcić. Podobna plotka mogłaby poważnie zaszkodzić jego interesom.

Caritas i inne organizacje dobroczynne troszczyły się o swoich i o neofitów. Po getcie krążyły nawet plotki, że specjalnie dla nich gdzieś na Żoliborzu zostanie utworzona czwarta dzielnica, ale Kajzer w to nie wierzył. Były to tylko kolejne pogłoski mające pogłębić niechęć do Żydów, którzy nie chcieli być Żydami lub jak Anna i jej bracia nigdy nimi tak naprawdę nie byli.

Andrzejowi przydałoby się jakieś sensowne zadanie – rozmyślał Kajzer. – Jakiś konkretny cel. Przerzucanie papierów w gminie nie jest chyba specjalnie satysfakcjonującym zajęciem.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wciągnąć go w swoje interesy, ale Zatorski nadawał się do tego jeszcze mniej niż Marek. Ze swoimi manierami intelektualisty i skłonnością do dywagowania nad wszystkim, raczej nie zagrzałby przy szmuglu miejsca.

Nagle Kajzer się wzdrygnął. Usłyszał pukanie do drzwi. Nie spodziewał się nikogo, a Marek miał klucze i starym zwyczajem wszedłby bez pukania.

Otworzył okno, by mieć drogę ucieczki, narzucił na ramiona kurtkę i najciszej, jak mógł, podszedł do drzwi. Zerknął przez wizjer. Marek zamontował mu zaślepkę w taki sposób, że mógł przez wąską szparę wyjrzieć na zewnątrz, nie ruszając jej.

Kajzer odetchnął z ulgą, ujrawszy na korytarzu znajomą postać. Szybko przekręcił klucz w zamku.

– Wpadłam tylko na chwilę – uprzedziła zamiast przywitania Lucynka.

Oddychała ciężko, jakby przebiegła całą drogę od bramy getta.

– A co tym razem cię tu sprowadza? – zażartował, odbierając od niej palto, przy okazji odwieszając też swoją kurtkę.

– Przyniosłam ci kolejny przepis z „Gazety Żydowskiej” – powiedziała, wyłuskując z bocznej kieszeni dużej skórzanej torby złożony na czworo świstek papieru. – Nie jest to wprawdzie najświeższy numer, ale wiedza wyjątkowo przydatna.

– Coś interesującego? – Franek uniósł brew.

Podjął jej grę, ale mimowolnie zastanawiał się, po co tak naprawdę tu przyszła. Dlaczego biegła? Przecież nie mogło chodzić tylko o artykuł z poradami dla gospodyń. To byłoby niedorzeczne.

– Mhm – potwierdziła z powagą Lucynka. – Tym razem o tym, jak przechowywać główki kapusty, żeby długo były świeże.

W rzeczywistości w specjalnej kieszeni pod podszewką torby miała ukrytą paczuszkę dla doktor Hirszfeldowej.

Jeszcze trzy miesiące po zamknięciu getta, dzięki wstawiennictwu niemieckiego lekarza, doktora Kochmanna, Hirszfeldowie mogli pozostać w swojej willi na Saskiej Kępie. Jednak na początku roku upomniał się o nich sam generalny gubernator Hans Frank i musieli przenieść się do getta. Oboje mieli jednak rozległe kontakty po aryjskiej stronie. Lucynka często oprócz oficjalnych przesyłek przynosiła do getta coś dla pani doktor.

Franek udął, że czyta z zainteresowaniem. Tak naprawdę jednak raz po raz spoglądał na wysoką dziewczynę. Dziwiło go to, jak bardzo ucieszył się na jej widok. Nie miało to oczywiście nic wspólnego z romantycznymi uniesieniami, jakich doświadczał Marek. Nic podobnego. Po prostu miło było ją znów widzieć, to wszystko.

– „...między dwiema ścianami przeciągnąć gruby sznur, na którym zawiesza się w dość dużych odległościach główki kapusty obwiązane sznurkiem za głąby. Należy uważać, aby jedna głowa kapusty nie dotykała drugiej, gdyż przez dotknięcie łatwo ulegają gniciu...” – czytał, po czym dodał po chwili milczenia: – Trochę to skomplikowane. No i skąd wziąć tak dużą piwnicę?

– Czyli odpowiedni zapas kapusty już masz? – zapytała dziewczyna, śmiejąc się.

Franek od zawsze lubił ludzki śmiech. Zdawało mu się, że przybysza mu siłą, ilekroć słyszał kogoś śmiejącego się, nieważne, czy było to dziecko, staruszek czy przekupka. Choćby miał nie wiadomo jakie zmartwienia, gdy słyszał czyjś śmiech, zaraz robiło mu się lżej na

sercu i nabierał wiary w to, że wszystko się ułoży. Gdy śmiała się Lucyna, działo się coś jeszcze. Miał wrażenie, jakby ktoś przekręcał włącznik prądu i w jego wnętrzu zapalało się światło.

– Powiedzmy, że mimo wszystko o porządną przestrzenną piwnicę trudniej – odparł, uśmiechając się szeroko.

Dłuższy czas stali, patrząc na siebie w ciszy.

– Muszę już iść – odparła.

– Odwiozę cię – zaproponował Franek, sięgając po kurtkę. – Cholera, Marek wziął riksze!

– Cóż, zawsze możesz mnie odprowadzić – podpowiedziała Lucynka, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

Będziemy mieli więcej czasu – pomyślał Franek i zawstydził się tą myślą na tyle, że przez chwilę miał ochotę zdjąć kurtkę i zostać w domu.

W tym momencie na klatce schodowej dało się słyszeć ciężkie kroki. Po chwili do mieszkania wpadł Marek.

– Matka... – wysapał.

Kajzer nawet nie spojrzał na Lucynkę, tylko pobiegł za nim.

Gdy znaleźli się przy łóżku pani Goldman, Franek miał wrażenie, że czuje znajomy zapach. Zdawało mu się, że podobnie pachniało wówczas, gdy umarła jego babka – a może była to tylko sugestia wywołana rozmowami o kapuście.

Lucynka, która przyszła za nimi, uprzednio zamknąwszy na klucz mieszkanie Franka, przysiadła na łóżku matki Marka. Dotknęła jej szyi, delikatnie uniosła powieki, po chwili pokręciła głową.

Goldman nie mógł uwierzyć, że jego matka umarła tak samo jak matka Anny. Bez pożegnania, bez powodu.

– Musiała długo chorować – stwierdziła Lucynka, przyglądając się kobiecie.

Marek szarpnął głową i spojrzał na nią zszokowany.

– Była całkiem zdrowa – zaprotestował Franek, który przecież nie dalej jak wczoraj sam rozmawiał z panią Goldman. – Na tyle, na ile, oczywiście, może być zdrowy ktoś, kto całe życie ciężko pracował.

Lucynka nie wiedziała, jak się zachować, wreszcie zdecydowała się mimo wszystko powiedzieć prawdę.

– Nie jestem lekarzem, ale widziałam już niejedno – zaczęła ostrożnie. – Wielu chorych na białaczkę...

– Białaczkę? – powtórzył Kajzer.

– Czy nie straciła ostatnio mocno na wadze? – spytała Lucynka.

– Oczywiście – odparł Franek. – Jak my wszyscy.

– Nie wypadły jej włosy? – pytała dalej.

– A skąd miałbym to wiedzieć? Całe życie nosiła chusteczkę. – Franek rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Nie skarżyła się na bóle stawów i kości? Nie miała biegunek? Gorączki? Nie była osłabiona?

Oboje z Frankiem spojrzeli na Marka, który przez cały ten czas ani razu się nie odezwał. Przyjaciel nie wiedział wielu rzeczy, ale on tak. Wszystko, o czym mówiła Lucynka, się zgadzało, ale on zwrócił na to uwagę dopiero teraz. Wcześniej wmawiał sobie, że to zwyczajne jesienne przeziębienie, a może po prostu nie chciał widzieć, nazbyt pochłonięty własnymi sprawami. Matka zaś zawsze starała się go chronić. Nigdy na nic się nie skarżyła, żeby go nie martwić.

– Mimo wszystko to dziwne – powiedział Franek, do którego powróciły wspomnienia śmierci babki i starego stróża. – Tak nagle umrzeć, bez żadnego uprzedzenia...

– Białaczka potrafi zabić w kilka tygodni – odparła Lucynka. – Bardzo mi przykro.

Marek zdołał jedynie skinąć głową. Lucynka spojrzała na Kajzera, a ten dał jej znak, by wyszli.

– Powinam już iść – powiedziała cicho, gdy znaleźli się na klatce schodowej.

– Powinienem z nim zostać – odparł, a po chwili wiedziony odruchem, którego nie zdołał powstrzymać, dodał: – Przykro mi, że cię dziś nie odprowadzę.

– To nic. Przecież jeszcze się kiedyś spotkamy – zapewniła z bladym uśmiechem.

– Będę czekał.

Rozdział 2

Od stycznia do marca w getcie jeszcze się zagęściło. Przywieziono około pięćdziesięciu tysięcy Żydów z zachodniej części dystryktu warszawskiego. Taka liczba dodatkowych ludzi nie pozostała bez znaczenia dla już wcześniej ledwo wiążących koniec z końcem mieszkańców zamkniętej dzielnicy.

Anna była głodna. Bardzo głodna. Pierwszy raz doświadczyła tego stanu już wcześniej, we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, gdy zaczął się ten cały koszmar. Wielu pamiętało poprzednią wojnę, od której minęło nieco ponad dwadzieścia lat, dlatego też już w czerwcu, gdy jedni kopali rowy przeciwlotnicze, inni zajmowali się gromadzeniem zapasów. Oficjalnie nie było jeszcze żadnego konfliktu, nikt nie naruszył granic, a ceny już szybowały w górę. Matka posyłała ją niekiedy na odległe rubieże miasta, bo ktoś życzliwy przyniósł wieści, że można tam dostać cukier czy mąkę w korzystnych cenach. Anna marudziła, gniewała się, a nawet płakała, bo dla szesnastoletniej dziewczyny początek lata niósł obietnice o wiele bardziej kuszące niż jazda w upale z nieeleganckimi ciężkimi tobołami. Matka jednak była nieprzejednana.

– Jeszcze mi za to podziękujesz – odpowiadała twardo.

Anna patrzyła na piętrzące się worki z kaszami, mąką, cukrem, kolorowe słoiki z warzywami stojące w równych rzędach na półkach, puszki z konserwami i mlekiem i za nic nie mogła pojąć, jak niby miałyby im kiedykolwiek zabraknąć jedzenia. Chodziła obrażona na matkę, przekonana, że ta przez swoje dziwaczne uprzedzenia zmusza ją do marnowania kolejnych chwil tak pięknego lata.

Mijały jednak kolejne dni września, walki się przedłużały, a dziewczyna na poły z przerażeniem, na poły z niedowierzaniem patrzyła, w jak zastraszającym tempie topnieją zapasy matki. Z dnia na dzień czuła wzbierającą wdzięczność, a wraz z nią rosło i poczucie winy za te wszystkie chwile, gdy tak bardzo się buntowała.

Kiedy wiele jej koleżanek narzekało, że w domach nie ma już co jeść, a sklepowe półki świecą pustkami, ona wciąż nie martwiła się o jedzenie. Wszyscy domownicy wychwalali wówczas pod niebiosa zapobiegliwość matki, a ta uśmiechała się tylko, wyrozumiała jak zawsze. Jednak w końcu i ich zapasy niemal się wyczerpały. Choć matka po odprawieniu gosposi dokonywała prawdziwych cudów, by potrawy były jak najbardziej kaloryczne i mogły choć częściowo zaspokoić apetyt jej dorastających dzieci, nie dało się już ukryć niedostatku. Za całe jedzenie musiała wystarczyć im w tych dniach cienka polewka, w której z rzadka można było znaleźć ziemniaka czy odrobinę fasoli.

Wtedy Anna po raz pierwszy zrozumiała, czym naprawdę jest głód. Owszem, wcześniej niejednokrotnie zdarzało jej się w upalne letnie dni zbyt długo bawić się nad rzeką czy jeziorem, a potem zasiadać do ustawionego pod jabłonią stołu z uczuciem, że mogłaby sama zjeść całego świniaka. Głód był wówczas czymś nawet przyjemnym, wyostrażającym zmysły, lecz przede wszystkim łatwym do ukojenia, czymś, co zniknęło równie szybko, jak się pojawiało. Przede wszystkim nie było w nim lęku.

Głód w getcie sięgał o wiele głębiej, był czymś więcej niż tylko doświadczeniem ciała. Przejmował władzę nad wszystkim, odbierał siły, zmysły, nadzieję. Najgorszy był strach, że nie zdoła się ocalić przed nim najbliższych i samego siebie.

Anna czuła się coraz bardziej bezradna. Wciąż się uczyła, a pielęgniarki bez skończonej szkoły nie były nikomu potrzebne. Uczniowie przestali przychodzić na lekcje do ojca. Nawet najcierpliwszi spośród nich nie mogli już znieść jego braku zaangażowania i milczenia.

– Przepraszamy – mówili, po raz ostatni kładąc na stole pieniądze za lekcje, nie patrząc jej w oczy. – Do widzenia.

Pensja Andrzeja w gminie była zbyt mała, by przy panującej w getcie drożyznie utrzymać czteroosobową rodzinę. Anna z zazdrością spoglądała na Franka, który jako szmugler radził sobie naprawdę nieźle. Kilka razy próbowała zdobyć się na odwagę i podpytać go o ja-

kieś dodatkowe zajęcie dla Andrzeja, ale ostatecznie zawsze tchórzyła. Nie miała nawet pewności, czy brat w ogóle zgodziłby się podjąć taką pracę. Od zawsze powtarzał, że nie nadaje się do robót fizycznych. W dodatku od dziecka brzydził się przemocy, a tej z pewnością przy szmuglerskiej działalności na granicy prawa nie zdołałby uniknąć, co rzecz jasna budziło w nim jeszcze większy sprzeciw.

– Antosiu, co tobie? – spytała Anna, gdy pewnego dnia, wróciwszy do domu, zastała braciszka płaczącego.

– Boli mnie brzusek. Tak bardzo boli...

– Może zaparzę ci ziółek?

Chłopczyk pokręcił główką. Anna zauważyła, że usta ma popękane, a wokół oczu utworzyły się sine kręgi.

– To nie pomoże – zaseplenił. – Mam dziurę w brzuszku i to ona boli.

– Jaką dziurę? – zaśmiała się, a mimo to gdzieś w głębi duszy poczuła niepokój. – Co ty opowiadasz, Antosiu?

– Mam wielką dziurę – upierał się chłopczyk. – O tutaj.

Podniósł koszulkę i pokazał siostrze palcem właściwe miejsce. Anna spojrzała i wtedy właśnie poczuła ów strach. Brzuszek jej brata był zapadnięty, a drobne żeberka wystawały o wiele za mocno.

– Widzę, Antosiu, widzę, a teraz zakryj się, bo zimno – nalegała, by czym prędzej przestać patrzeć na małe wygłodzone ciało.

Tamtej nocy śniły jej się koszmary. W upiornych snach wracały do niej oglądane niegdyś w muzeach korowody śmierci. Widziała tańczące szkielety o czaszkach przyozdobionych wiankami i welonami.

Następnego dnia oddała połowę swojego śniadania Antosiowi, a potem przysięgła sobie, że znajdzie sposób, żeby nie chodził głodny.

Rozdział 3

– Przydział do Służby Porządkowej? – powtórzył Andrzej. – Do żydowskiej policji?

– Na stanowisko pisarza referenta Funduszu Służby Porządkowej – uściślił kierownik. – Spełniasz wszystkie wymogi. Masz odpowiedni wiek, wzrost i wagę, odbyłeś służbę wojskową, jesteś niekarany. Kandydaci muszą skończyć minimum sześć klas szkoły średniej, a ty, proszę, były student, i to jurysta. Potrzebne były wprawdzie referencje dwóch znanych w dzielnicy osób, ale to załatwiliśmy bez trudu, bo cieszysz się w urzędzie nieskazitelną opinią.

– Bardzo mi przyjemnie – bąknął kurtuazyjnie Andrzej, by nie okazać się niegrzecznym.

Kierownik aż promieniał szczęściem, pewien, że wyświadczył swemu ulubieńcowi wielką przysługę.

– To naprawdę wielka szansa. Oficjalnie zakończono rekrutację jesienią. Podań było podobno parę tysięcy, a zatrudniono około tysiąca sześciuset osób. Teraz przeprowadzono dodatkowy nabór, by dojść do dwóch tysięcy.

Andrzej parę razy skinął głową. O naborze do policji jesienią mówili wszyscy.

– Niejeden sprzedałby matkę, żeby znaleźć się na twoim miejscu – stwierdził kierownik. – Nie jestem pewien, czy zdajesz sobie sprawę z wpływów, jakie w ten sposób zyskasz.

Zatorski spojrział na niego spode łba. Nie tego się spodziewał, gdy kilka tygodni wcześniej poprosił o znalezienie mu jakiegoś dodatkowego zajęcia. Potrzebował pieniędzy. Anna codziennie robiła mu awantury z ich powodu. „Ja dostaję jeden posiłek w szkole, ale muszę czymś nakarmić ojca i Antka!” – krzyczała.

Wiedział, że jego siostra nie jest złą osobą, ale coraz trudniej było mu wracać do domu, w którym nie czekało go nic poza jej preten-

sjami, nieobecny ojcem i smutnym spojrzeniem apatycznego młodszego braciszka.

Gdy tego ranka został wezwany na rozmowę, poczuł ulgę. Miał nadzieję, że dzięki dodatkowym pieniądząom odzyska spokój. Teraz nie był już pewien, czy cena, jaką przyjdzie mu za to zapłacić, nie będzie zbyt wysoka.

O żydowskiej policji wiedział tyle, że w odróżnieniu od granatowej nie wchodziła w skład niemieckiej policji porządkowej, lecz podlegała Policji Polskiej w Warszawie. Jej kierownikiem był Józef Andrzej Szeryński, przedwojenny policjant. Poza tym, jak innym w getcie, Służba Porządkowa kojarzyła się Zatorskiemu z korupcją, przemocą i demoralizacją – wszystkim tym, czego nienawidził z całego serca.

– A wynagrodzenie? – spytał z nadzieją.

– W Służbie Porządkowej nie ma regularnej pensji, ale wiem, że koledzy dzielą się zarobkami z mandatów i ekhem... alternatywnych źródeł także z kolegami niepracującymi w terenie.

Andrzej zrozumiał, co tamten chciał mu powiedzieć. Brak stałego wynagrodzenia oznaczał życie z łapówek i wymuszeń.

Zastanawiał się nad motywacją kierownika. Nie był pewien, czy z rekomendowaniem go do policji nie wiązała jakichś prywatnych nadziei. W końcu za tak wielką przysługę należałoby się pewnego dnia odwdzięczyć.

Już chciał odmówić, gdy przed oczami stanęły mu opuchnięta od płaczu twarz Antosia i ściągnięte gniewem rysy Anny. W obrębie murów było zbyt ciasno na ideały. Teraz musiał przeżyć.

– Masz czas do jutra – uprzedził kierownik. – Rano muszę znać twoją odpowiedź.

– Nie potrzebuję czasu – odparł Andrzej, gardząc sobą za wypowiedzenie tych słów. – Przyjmuję posadę.

– Bardzo rozsądnie – pochwalił kierownik.

Zatorski wyszedł z biura, pozwalając, by drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Był to jedyny znak sprzeciwu, na jaki było go stać. Nie przyniósł mu jednak żadnej ulgi.

*

– Andrzej będzie policjantem? – dopytywał Antek, żywo zainteresowany tematem, choć z przyczyn zgoła innych niż reszta rodziny. – I będziesz miał mundur i czapkę?

– I kajdanki, i gumową pałkę – dodała Anna, na poły drwiąco.

Andrzej posłał jej pełne wyrzutu spojrzenie. Przecież to przez nią i dla niej w ogóle zgodził się przyjąć posadę w tak hańbiącej instytucji.

– A nie przeszkadza im, że nie jesteś Żydem? – zapytał ojciec.

– Formalnie jest – odparła Anna. – Inaczej nie byłoby nas tu, ojczu.

– No tak, tak – powiedział pan Zatorski i znów zamilkł, zapadając się w głąb siebie.

Andrzej przeszedł szybkie szkolenie i rozpoczął pracę w kancelarii. Po kilku tygodniach okazało się jednak, że nawet ci z za biurka muszą czasem wesprzeć kolegów w działaniu.

Tej zimy i wiosny do stołecznego getta przesiedlano mnóstwo ludzi. Najpierw zwieziono wszystkich tych, którzy mieszkali w powiecie warszawskim na zachód od Wisły, a później resztę żydowskich mieszkańców powiatu.

Ci, którzy mieli w mieście jakichś bliskich czy znajomych, jakoś sobie radzili. Najgorzej było z ludźmi, którzy nigdy wcześniej nie opuścili ojcowizny – rodzili się, dorastali, żenili się, płodzili dzieci i zamierzali umrzeć wciąż na tej samej ziemi. Andrzej patrzył na nich ze współczuciem, które starał się ukrywać w cieniu granatowej czapki z jasnoniebieskim otokiem i dodatkowym biało-niebieskim sznurkiem wokół niego, ponieważ uznano, że dwa lata studiów wystarczą, by wpisać mu wyższe wykształcenie.

Dla takich ludzi urządzono punkty w opuszczonych salach różnych instytucji, dawnych teatrach, salach kinowych czy wystawowych. Były to głównie duże pomieszczenia, trudne do ogrzania, całkowicie pozbawione mebli, jeśli nie liczyć rzędów skleconych z desek piętrowych prycz, ustawionych obok siebie tak ciasno, że trudno było przejść pomiędzy nimi, by o coś nie zawadzić. Warunki sanitarne były okropne. Ludzie siedzieli całymi dniami na pryczach, pilnując swojego dobytku, którym nierzadko była tylko pierzyna i kilka drobiazgów, iskali wszy, czasem rozmawiali, ale wspólne tematy szybko się kończyły. Bali się wychodzić na zewnątrz, by poszukać pracy czy choćby spróbować pożebrać na ulicy. Raz dziennie dostawali cienkie zupki, czasem trochę chleba. Głodowali. Gdy nie mieli już sił siedzieć, kładli się i lśnięcymi oczami wpatrywali w brudne sufity lub deski górnej pryczy, a potem zasypiali. Umierali w ciszy, bez słowa skargi, jakby uschli odłączeni od rodzinnej ziemi.

Punkty szybko zyskały sobie przydomek umieralni. Były też siedliskami chorób i wszy, dlatego po każdej wizycie tam mundur należało oddać do prania, a samemu poddać się dezynfekcji.

Andrzej z całego serca nienawidził zaglądać do tych miejsc. Zdawało mu się, że w getcie widział już tyle, iż stwardniał, uodpornił się i żadne cudze cierpienie nie zdoła go poruszyć, ale to nie była prawda. Ogrom udręki w punktach przerósł jego wyobrażenia. Każda inspekcja przytłaczała go tak, że przez długie godziny po takiej wizytacji nie mógł dojść do siebie.

– Jak ty to wytrzymujesz? – zapytał kolegę, z którym odbywał patrol w punkcie.

Icchak uśmiechnął się szelmowsko i sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął z niej sporą piersiówkę.

– Odrobina przed i odrobina po nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

Od tamtej pory Andrzej nigdy nie przyszedł na punkt trzeźwy. Miał z tego powodu straszne wyrzuty sumienia i za każdym razem się spowiadał, ale nie potrafił inaczej.

*

Tego dnia przeprowadzał inspekcję w lokalu dawnego kina „Świt” przy Krochmalnej. Gdy stanął przed budynkiem, uderzyły go wspomnienia. Był tu kilka razy. Uwielbiał kino, w czym zresztą nie był odosobniony. Czytał kiedyś statystyki, zgodnie z którymi przeciętny mieszkaniec Warszawy w ciągu roku bywał w kinie aż szesnaście razy. Andrzej zwykle chadzał do „Colosseum”, gdzie jednocześnie film mogło obejrzeć ponad dwa tysiące osób, czasem do „Apolla” na Marszałkowskiej. Rzadziej do „Feminy”, gdzie dominowała żeńska publiczność, gdyż w repertuarze znajdowały się głównie melodramaty, czy właśnie do „Świtu”. Uwielbiał ten krótki moment, gdy gaśły światła i zapadała całkowita ciemność. Potem słychać było cichutki turkot projektora, szmery i trzaski na ekranie i zaczynała się projekcja.

Wspomnienia, zamiast przyjemności, sprawiły mu ból. Nie mógł sobie wyobrazić, że w tym miejscu jest teraz punkt, umieralnia dla kolejnych nieszczęśników zwiezionych do getta.

Czekał na kolegę, z którym miał odbyć patrol. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął butelkę wódki. Odkręcił korek i upił spory łyk.

– Panom wolno tak pić na służbie? – usłyszał kobiecy głos.

Znał ją. To znaczy nie osobiście. Nie wiedział, jak ma na imię ani czym się zajmuje. Zanim wstąpił do Służby Porządkowej, często mijali się na korytarzach urzędu gminy. Nie była ładna. Miała zbyt okrągłą twarz, zbyt małe oczy, nieco za szeroki nos, wąskie usta, z których wystawały duże białe zęby. Nigdy nie wyparłaby się też swego pochodzenia. Jej lśniąca włosy były kruczoczarne, a ciemna oprawa oczu nie pozostawiała złudzeń.

Było jednak w tej twarzy coś miękkiego, przyjaznego, coś, co sprawiało, że przyciągała uwagę. Już wcześniej zauważył, że każda mijana osoba uśmiechała się do tej dziewczyny, a ona zagadywała, pytając o zdrowie, rodzinę czy po prostu pozdrawiając miłym słowem. Do niego zwykle też się uśmiechała, a on odpowiadał nieuważnym, nieco skrępowanym uśmiechem i przyspieszał kroku. Bał się, że i do niego

zagadnie, a on zaskoczony nie będzie wiedział, co odpowiedzieć, i zrobi z siebie głupca.

Nigdy nie był specjalnie biegły w kontaktach z kobietami. Peszyły go, krępowały, onieśmiały – jak tajemniczy łąd, nieodkryta jeszcze przestrzeń, jednocześnie upragniona i całkiem nieznaną. Owszem, miał matkę i siostrę, ale one były częścią jego samego, czymś oczywistym, prostym, zrozumiałym. Chodził do męskiego gimnazjum, więc dopiero na studiach przekonał się, że kobiety stanowią dla niego zagadkę.

Nigdy dotąd jednak nie czuł potrzeby, by ją rozwikłać.

Ta mijana na korytarzach dziewczyna go niepokoiła, a teraz stała przed nim i zwracała mu uwagę, jakby nie czuła żadnego lęku przed mundurem. Pod wpływem jej jasnego, czystego spojrzenia zawstydział się, a trzymana w ręku butelka zaczęła mu ciążyć.

Dziewczyna nie czekała na odpowiedź, tylko prześlizgnęła się obok niego i weszła do środka.

Andrzejowi wydało się niemożliwym, żeby była stąd, ale nie potrafił znaleźć żadnego powodu, dla którego ktoś miałby dobrowolnie przychodzić w takie miejsce.

Kwadrans później wkroczyli we dwóch do sali, w której na niewielkiej przestrzeni stłoczono kilkaset osób. Zatorski nie był pewien, gdzie kończy się jeden człowiek, a zaczyna drugi. W pomieszczeniu panował potworny smród. Mimo wczesnej wiosny okna pozostawały zabite dyktą, a ustawione wzdłuż ściany wiadra wydzielały mdlącą woń ludzkich ekskrementów.

Zatorski przyłożył do nosa nasączoną alkoholem chustkę – i wtedy ją zobaczył. Siedziała na łóżku i karmiła łyżką starszą kobietę, podtrzymując jej troskliwie głowę. Zapatrzył się na nią tak, że nie zauważył ruchu mężczyzny z dolnej pryczy łóżka, przy którym stał.

Sekundę później został z całej siły dźgnięty nożem w udo. Zawył dziko. Zaraz potem zrobiło się straszne zamieszanie. Mężczyzna został wyciągnięty przez drugiego policjanta i pobity do nieprzytomno-

ści. Andrzej tymczasem leżał na podłodze i w ośpieniu patrzył, jak plama krwi wokół jego nogi szybko się powiększa.

– Proszę mocno zacisnąć – usłyszał znów głos dziewczyny, tym razem stanowczy i jakby nieco władczy.

Dopiero teraz dostrzegł, że jakimś cudem obwiązała mu nogę najpierw zdjętą z głowy chustką, a na wierzchu skórzanym paskiem. Sięgnęła do torby i wyjęła z niej kawałek cukru.

– Proszę ssać, tylko powoli, nie mam więcej – poleciała, po czym westchnęła. – Ach, gdyby pan nie pił, krew płynęłaby wolniej!

Wprawnymi ruchami rozcięła mu nogawkę spodni. Bezceremonialnie sięgnęła do kieszeni jego płaszczka, wyjęła butelkę i wylała na ranę resztę jej zawartości, po czym wyjąwszy srebrne pudzderko ze stali chirurgicznej, zszyła mu skórę.

Andrzej patrzył na to wszystko tak długo, aż stracił świadomość. Gdy ją odzyskał, wciąż leżał na podłodze kina „Świt”, wokół tłoczyli się ludzie, a tym, co – jak mu się zdawało – przywróciło go do przytomności, był okropny odór. Dostrzegłszy, że się ocknął, dziewczyna zerwała się z miejsca i zaraz była przy nim, podając mu kubek z wodą.

– Słone. – Wzdrygnął się.

– Elektrolity – odparła krótko.

– Nie wiem, co bym zrobił bez pani pomocy – powiedział słabym głosem.

– Najdalej za dwa kwadransy by się pan wykrwawił – odparła rzeczowo, lecz zaraz uśmiechnęła się do niego życzliwie.

– Pani pozwoli, że się przedstawię. Andrzej Zatorski. – To rzekłszy, niezgrabnie wyciągnął do niej rękę. Lewą, gdyż w prawej wciąż trzymał kubek z wodą.

– Noemi Lichtenbaum – odpowiedziała, podając mu dłoń.

– Noemi? – powtórzył miękko, po czym odchrząknął zakłopotany. – Rzadko spotykane imię.

– Tam, gdzie się wychowałam, imię Andrzej u Żyda brzmiało raczej egzotycznie – skwitowała.

– Nie jestem Żydem – rzekł stanowczo.

– A to wielka szkoda! – westchnęła teatralnie Noemi.

Nie był pewien, czy dziewczyna kpi sobie z niego, czy mówi poważnie, więc by nie narazić się na śmieszność, w milczeniu upił łyk osolonej wody.

– Gdyby był pan tutaj na stałe, moglibyśmy jeszcze kiedyś wpaść na siebie, może w mniej krwawych okolicznościach – dodała po chwili.

Serce mocniej zabiło w piersi Andrzeja.

– Mieszkam tu – powiedział szybko.

– W getcie? – zdziwiła się.

– Tak. Przy placu Muranowskim.

– Ale przecież nie jest pan Żydem. – Dziewczyna była wyraźnie skonfundowana.

– No tak – odparł krótko Andrzej i zaczął się zastanawiać, ile razy przyjdzie mu jeszcze opowiadać tę samą historię.

– Czyli jest pan przechrztą? – dopytywała. – Neofitą?

– Nie jestem żadnym neofitą! – powiedział Andrzej nieco zbyt szorstko. – Nigdy nie zmieniłem wyznania.

– Nie chciałam pana urazić – zapewniła tak łagodnie, że Zatorski natychmiast pożałował swojej obcesowości. – Wiem tylko, że jest grupa Żydów, która wystarała się o chrzest, by otrzymywać pomoc z chrześcijańskiego Caritasu. Nie chciałam oceniać, po prostu spytałam. W tych czasach każdy stara się jakoś sobie poradzić...

– To nie jest opowieść o mojej rodzinie – oświadczył już całkiem spokojnie. – My od zawsze byliśmy katolikami. To znaczy niby wiedzieliśmy, że mamy jakieś żydowskie korzenie, ale to wszystko było

tak dawno, jakby w ogóle nie miało żadnego związku z naszym życiem.

– Trudno mi to wszystko zrozumieć – wyznała szczerze Noemi.

– To długa i dość skomplikowana opowieść. Może... – Zatorski przełknął głośno ślinę. – Może mógłbym ją kiedyś pani opowiedzieć?

– Tobie – poprawiła go. – Tobie, Noemi.

– Tak, oczywiście – odparł. – Andrzej.

Nagle poczuł, że lekko kręci mu się w głowie, mimo to spróbował wstać. Drugi policjant pomógł mu się spionizować.

– W porządku? – spytał, klepiąc Zatorskiego po plecach.

Andrzej przytaknął.

– Munduru szkoda – ciągnął tamten. – Ale nie martw się, ten szaleńiec jest już całkiem unieszkodliwiony.

Zatorski nie miał nawet ochoty spytać, jaki los spotkał napastnika, więc znów tylko skinął głową.

– Ustoisz? – spytał tamten.

– Tak.

Drugi policjant puścił jego ramię i po chwili wyszedł na zewnątrz.

– Może chociaż pozwolisz, bym w ramach podziękowania odprowadził cię do domu? – Andrzej zwrócił się do Noemi, która wciąż stała przy nim.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła na niego z powagą, jakby coś rozważała.

– Nie, nie sędzę, żeby to był dobry pomysł – odparła wreszcie.

– Ale dlaczego? – zapytał natychmiast, nieco dziecinnie rozzalony. Zdobył się na złożenie takiej propozycji po raz pierwszy w życiu i prawdę rzekłszy, nie spodziewał się odmowy. Zaraz jednak pomiarował, że dziewczyna prawdopodobnie martwi się o jego zdrowie. –

Przysięgam nie zemdleć po drodze i być dla ciebie wsparciem, a nie zawadą.

– Nie w tym rzecz. – Uśmiechnęła się do niego mile.

– Co zatem stoi na przeszkodzie?

– W moim domu jest teraz zbyt wielu ludzi, głównie literatów. Dziś wieczór czytania – odpowiedziała po prostu, jakby w jej słowach nie kryło się nic dziwnego.

Andrzejowi odebrało mowę. Zdawało mu się, że z każdą kolejną chwilą milczenia staje się w jej oczach coraz bardziej żalony. Wreszcie odchrząknął nieznacznie.

– Jesteś miłośniczką literatury? – spytał przez zaciśnięte z emocji gardło. Ta dziewczyna go onieśmiała.

– Trudno nie być, gdy wychowało się w domu takim jak mój.

– Czyli? – wymamrotał, byle powiedzieć cokolwiek.

– Mój ojciec przed wojną uczył języka polskiego w prywatnym gimnazjum żydowskim. – Jej głos przycichł lekko, jakby przywołanie wspomnień z minionego świata sprawiało jej przykrość.

Andrzej z trudem powstrzymał odruch nakazujący mu przyciągnąć jej głowę do swojej piersi, zamknąć ją w ramionach, osłonić przed całym światem. Skąd brała się w nim ta potrzeba? Przecież ledwie się znali.

– Gdy Niemcy zamknęli szkoły, ojciec nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wstawał wciąż tak samo jak wcześniej, przygotowywał materiały dla swoich uczniów, plany kolejnych zajęć. Aż żal było patrzeć. – Westchnęła ciężko.

Andrzej nie potrzebował słów, by rozumieć, o czym myślała. Sam nie mógł znieść widoku otępiałego ojca.

– Potem jednak zaangażował się w pewną pracę, o której nie mogę pisać ani słowa, i znów odzyskał wigor.

Andrzej jakoś nie mógł sobie wyobrazić, by rozmówany w literaturze polonista mógł zostać asem wywiadu, ale wiedział, że w tych czasach lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań.

– To zajęcie pochłonęło ich bez reszty – ciągnęła Noemi. – Jego i matkę, bo ojciec wystarał się także o posadę dla niej. Czasem mam wrażenie, że moi rodzice są jedynymi osobami w pełni zadowolonymi z pobytu w getcie.

– Przynajmniej oni mogą robić to, co kochają.

– Oni i paru innych wierzących, że piękne słowa są remedium na wszelkie zło tego świata.

– Nie wiem, czy współczuć im, czy zazdrościć.

Znów popatrzyła na niego z tym samym skupieniem.

– Zmieniłam zdanie – oświadczyła. – Proszę, odprowadź mnie i pozwól zaprosić się na herbatę. Ostrzegam tylko, że napój ten z prawdziwą herbatą nie będzie miał nic wspólnego.

Andrzej roześmiał się głośno i szczerze. Zrobiło mu się tak lekko na duszy, że całkiem zapomniał, gdzie się znajdują.

– Żaden problem. Prawdę mówiąc, nie jestem nawet pewien, czy wciąż pamiętam tamten smak. Przywykłem już do wszelakich naporów z suszu.

– Doskonale. W dzisiejszych czasach najmilej widziani są mało wymagający goście – odpowiedziała, a on, widząc iskierki humoru migoczące w jej oczach, znów się roześmiał.

– Chodźmy zatem – powiedział, podając dziewczynie ramię.

Dziewczyna jednak zignorowała je i ruszyła naprzód. Andrzej postąpił za nią.

– Na podobną poufałość jest jeszcze stanowczo zbyt wcześnie – wyjaśniła, dostrzegłszy jego zdziwienie. – Najpierw muszę sprawdzić, czy wolisz Słowackiego, czy Mickiewicza.

Rozdział 4

Dzień powoli dogasał. Pomarańczowa łuna na niebie musiała zastąpić mieszkańcom getta widok zachodu słońca. Gęsta zabudowa okalana murami wyznaczała granice wolności nie tylko ludziom.

Szli powoli. Andrzej wciąż nie czuł się w pełni sił, chociaż gdy zasli po drodze na posterunek, by mógł się przebrać, udało mu się wypić jeszcze trochę wody z cukrem i solą. Prawie całą drogę milczeli, ale to milczenie zdawało się nie przeszkadzać żadnemu z nich.

– To tu – powiedziała Noemi, przystając nagle.

Stali przed elegancką kamienicą, która lata świetności miała wprawdzie za sobą, ale wciąż dobrze się prezentowała. Weszli na podwórze. Andrzeja uderzył kwiatowy zapach, który natychmiast przywiódł wspomnienia z czasów, gdy mieszkali w kolonii profesorskiej. W rogu podwórza rósł bujny zielony krzew, z pewnością wyższy od Zatorskiego, pokryty mimo wczesnej wiosny kremowym kwieciem.

Mężczyzna wciągnął w płuca ten zapach.

– To jaśminowiec wonny – wyjaśniła Noemi, dostrzegając jego zachwyty. – Moja matka zasadziła go jeszcze przed wojną. Nie dawaliśmy mu zbyt wielkich szans, ale okazało się, że jest to wyjątkowo odporna roślina. Dobrze znosi mróz, ma małe wymagania wodne i glebowe, a kwitnie tak pięknie!

– I upojnie pachnie – powiedział Andrzej, ale zaraz ściszył głos, usłyszawszy, że ktoś przemawia.

– „Na twarzy Heleny odbił się niepokój, a w bystrym spojrzeniu, jakie rzuciła na pana Zagłobę, malowała się rozbudzona na nowo nieufność” – czytał mężczyzna głębokim głosem, nawykłym do recytacji.

– Sienkiewicz? – szepnął Andrzej.

– *Ogniem i mieczem.* – Noemi z uśmiechem skinęła głową.

– „Widzisz waćpanna, mam ja swój rozum i wierzaj, żem wszystko dobrze wykalkulował. A kalkulacja moja jest na następnej mądrej maksymie oparta: nie uciekaj w tę stronę, w którą cię gonić będą” – ciągnął mężczyzna.

Kilkoro spośród zgromadzonych zaśmiało się dyskretnie, by nie przerywać czytającemu.

– Chcesz posłuchać? – spytała Noemi, cicho przechylając się w stronę Andrzeja, tak że poczuł na policzku ciepło jej oddechu.

Skinął głową. Poprowadziła go między siedzącymi. Poruszała się swobodnie, raz po raz kiwała komuś na powitanie, wymieniała uśmiechy. Andrzejowi zdawało się, że wszyscy ją tu znają i podobnie jak w gminie, wszyscy żywią wobec niej wyłącznie dobre uczucia.

Usiedli na niskich stołeczkach ustawionych pod drzewem, tak by siedzący mogli oprzeć się o pień. Zasłuchany w głos czytającego Andrzej przymknął powieki.

– „Smok to jest na niewinność waćpanny srodze zażarty. [...] Co ja mu uczyniłam, nieszczęśliwa, że mnie prześladowuje? Z dawna go znałam i z dawna miałam go w nienawiści; z dawna bojaźń we mnie tylko wzbudzał. Czy to ja jedna na świecie, że mnie umiłował, że przeze mnie tyle krwi rozlał, że pomordował mi braci? [...] Boże, gdy wspomnę, krew we mnie krzepnie. Co pocznę? Gdzie się przed nim schronię?” – Przesączony dramatyzmem głos mężczyzny wsączał się w głowę Andrzeja.

Dopiero teraz Zatorski poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Powieki zaczęły mu ciążyć. Postanowił przymknąć oczy tylko na chwilę. Gdy znów je otworzył, wokół było niemal zupełnie ciemno, jeśli nie liczyć kilku dużych świec dających światło czytającemu.

– Zasnąłem – stwierdził zawstydzony.

– To dobrze – odpowiedziała Noemi bez cienia złości. – Straciłeś dużo krwi. Potrzebujesz odpoczynku.

– Niezwykłe, że pani... że ty – poprawił się zaraz, spoglądając nieśmiało w oczy dziewczyny. – ...że tak dobrze wiesz, czego mi po-

trzeba. Może to wyda ci się śmieszne, ale ja... zdaje mi się, jakbym... jakbym znał cię od zawsze.

– Mój ojciec zwykł mawiać, że nic tak nie łączy jak literatura – odparła pogodnie. – Andrzeju.

Zatorski miał wrażenie, jakby w jego sercu zatrzepotały skrzydła ptaka. Wciąż czuł się nieco oszołomiony po drzemce, ale jego dusza była lekka, umysł świeży, a myśl jasna.

– Zawsze czytają Sienkiewicza? – spytał, by ukryć wzruszenie.

– O nie! – zachnęła się Noemi, a minę zrobiła przy tym tak zabawna, że Andrzej nie zdołał powstrzymać uśmiechu. – Na początku czytają swoje dzieła.

– Swoje? To znaczy, że ci ludzie, którzy słuchali...

– Tak, to w znakomitej większości pisarze, dziennikarze, reportażyści – wyliczała Noemi. – Nie obyło się oczywiście bez kilku poetów.

– Doborowe towarzystwo.

– Wszyscy znają się jeszcze sprzed wojny – wyjaśniła. – A jeśli ktoś w getcie spotka kolejnego znajomego literata, zaraz go tu do nas kieruje. Nieznajomych zresztą też.

– I ci ludzie tak po prostu przychodzą tutaj słuchać głośnego czytania? – dopytywał, nie mogąc pojąć tego wszystkiego. W tak nieprzyjaznym otoczeniu i dramatycznych okolicznościach, w jakich wszyscy się znajdowali, wspólne czytanie na głos wydawało mu się całkiem niezwykle.

– Mhm. Zimą było trudniej. Uwierz mi, nawet na przedwojennych Nalewkach w dzień targowy nie było takiego ścisku jak w naszym mieszkaniu.

– Przynajmniej było ciepło, mimo problemów z węglem – zauważył zaraz.

– A to akurat prawda – zgodziła się Noemi. – Niemniej z ulgą przyjęliśmy nadejście ciepłych dni. Teraz można swobodnie rozsiąść się na podwórku i jest pewność, że dla nikogo nie braknie miejsca.

– A dozorca kamienicy nie ma nic przeciwko?

– Sam przychodzi słuchać.

Odwrócili głowę w kierunku czytającego.

– „Czekaj waćpanna. Jakoś duch wstępuje we mnie znowu...”

Andrzej i Noemi zachichotali, tknięci jednocześnie tą samą myślą.

– „Bywało się w różnych okazjach. Wolnym czasem opowiem waćpannie, co mnie w Galacie spotkało, z czego wraz zmiarkujesz, że i wtedy krucho było ze mną, a przecieżem się własnym dowcipem z tamtych terminów salwowałam i wyszedłem cało, chociaż mi broda, jak to widzisz, posiwiła...”

Andrzej klepnął się w czoło.

– Zapomniałem ci podziękować – jęknął.

– To zbędne – zapewniła nieuważnie, udając zasłuchaną. – Każdy na moim miejscu...

– Oj, nie każdy – przerwał jej Andrzej. – Po pierwsze, Służba Porządkowa nie cieszy się zbyt dobrą sławą, a po drugie, nie każdy by potrafił. Gdzie córka literatury nauczyła się tego wszystkiego?

– Wyrodna córka – powiedziała. – Która zamiast poświęcić się słowu, postanowiła po maturze zostać dentystką. Przed wojną chodziłam na dodatkowe zajęcia z przedmiotów ścisłych, żeby zdać egzaminy z jak najwyższym wynikiem. Jedynym pocieszeniem dla ojca było to, że przykładałam się też do łaciny.

Andrzej uśmiechnął się szeroko, słysząc te słowa.

– Tuż przed wybuchem wojny udało mi się ukończyć kurs sanitarny i na tym, jak na razie, zakończyły się moje marzenia...

– Przykro mi – rzekł szczerze Zatorski.

– Mnie też – westchnęła Noemi, ale zaraz dodała żywiej: – Ale nie za bardzo, bo ta wojna kiedyś się skończy, a wtedy zdam maturę i pójdę na studia.

– „Należy się pokrzepić – rzekł – bo droga daleka” – przeczytał mężczyzna, a słuchający go tłum nagle zafalował.

– To znak, że pora na herbatę – szepnęła Noemi.

Zaraz wszyscy zaczęli wstawać z miejsc. Wybuchły rozmowy. Ktoś wyniósł na zewnątrz wielki gar z chochlą. Ludzie wyjmowali z torebek kubki i filiżanki i podchodzili po porcję ciepłego napoju.

– Zostań tu – poleciała mu Noemi, a po chwili wróciła z dwoma kubkami parującej herbaty.

– To było... – Andrzej gorączkowo szukał w myślach właściwego określenia. – Surrealistyczne!

– A mnie się zdaje, że całkiem zwyczajne.

– Zwyczajne?! – zdziwił się Zatorski. – Trwa okupacja, jesteśmy zamknięci w getcie, tu nie ma nic zwyczajnego!

– Mówiłam o czytaniu Sienkiewicza – sprostowała Noemi i pociągnęła łyk herbaty.

– Ja też! – zapewnił Andrzej i jakby dla potwierdzenia tych słów kilkakrotnie pokiwał głową.

– W takim razie chyba czegoś nie rozumiem...

– Chodzi mi o to, że cały ten wieczór, lampki, zapachy wiosny, ludzie siedzący razem zasłuchani w głośne czytanie...

– To nie pasuje? – odgadła.

Przytaknął.

– Jakbym był w całkiem innym świecie. Bez tej całej grozy, okrucieństwa, cierpienia, niewoli.

– To, w jakim jesteśmy świecie, po części zależy od nas – odparła Noemi. – Człowieka można zniewolić tylko, gdy sam na to pozwoli – dodała, a Andrzej jeszcze długo po tym, jak się rozstali, rozważał te słowa.

Rozdział 5

Wiosną nasiliły się łapanki. Pochwyconych nieszczęśników wywózono do obozów pracy przymusowej w Łękach, Nartach, Skierniewicach, Drewnicy i Sosnowych, gdzie pracowali przy nowo powstających drogach, na budowach, przy kopaniu rowów melioracyjnych i na roli. W getcie zmniejszono dzienny przydział żywności, ustawiając jego wartość energetyczną na poziomie 180 kilokalorii.

Zamknięcie wydobywało z wielu ludzi to, co było w nich najciemniejsze. Niekiedy Noemi miała wrażenie, że wielu mieszkańców getta zachowywało się jak chorzy na światłowstręt, z tak wielką nienawiścią reagowali na każdy przejaw serdeczności, współczucia czy miłości.

– Pani go zostawi – słyszała po wielokroć. – Jemu już nic nie pomoże.

Czasami zastanawiała się, czy wrogość, którą jej okazywali, naprawdę wynikała z niechęci, czy może z żalu, że udało się jej wciąż zachować namiastkę człowieczeństwa, którą oni sami dawno już utracili. Może jej obecność przypominała im o utraconej zdolności czucia czegokolwiek poza najbardziej pierwotnymi z potrzeb.

Każdego dnia na nowo przekonywała samą siebie, że jeśli ma choćby spróbować ocalić ideały tamtego dawnego świata, w którym wyrosła, nie może się poddać. Wiedziała, jak na nią patrzą przyjaciele, rodzina, Andrzej, a przede wszystkim dzieci. To dla nich musiała być silna, choć niekiedy tak bardzo brakowało jej już sił.

Odsunęła kołdrę. Zadrżała, gdy opuściła nogi na zimną podłogę. Chłód przeniknął zaraz całe jej ciało. Najchętniej wróciłaby znów pod ciepłą pierzynę, ale wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić.

Odkąd zmuszona była przerwać naukę, całą swoją energię i wiedzę wkładała w pomoc najuboższym. Chodziła po punktach, odwiedzała sierocińce, starała się w każdy sposób, choćby najdrobniejszym gestem pomagać tym, którymi nikt się nie przejmował.

Przez cały dzień, mimo oglądanego nieustannie cierpienia, tak bardzo starała się uśmiechać, że drętwiały jej policzki. Oczy miała zawsze całkiem suche. To było jej zwycięstwo. Nie okazać słabości, być świadectwem niezłomności żydowskich kobiet w obliczu próby. Czasem wyobrażała sobie, że jest ową matką siedmiu synów z Księgi Machabejskiej. Patrzyła na udrękę swych kolejnych dzieci i „zniosła to mężnie. Nadzieję bowiem pokładała w Panu”.

Ta myśl przynosiła jej pocieszenie w najtrudniejszych chwilach.

Czasem bardzo zazdrościła swoim rodzicom. Oboje pracowali w konspiracyjnym archiwum getta, które otrzymało krzepiącą nazwę Oneg Szabat, czyli Radość Soboty. Nazwa ta pochodziła od wyznaczonego dnia spotkań całego zespołu. Sam Emanuel Ringelblum, wybitny historyk i akademik, zaproponował tę pracę rodzicom Noemi. Pan Lichtenbaum znał go jeszcze sprzed wojny z warszawskiej Komisji Historii Żydów w Polsce. Wysoko cenił wydaną w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku rozprawę Ringelbluma pod tytułem *Żydzi w powstaniu kościuszkowskim*. Gdy wybuchła wojna, do pana Lichtenbauma dotarła informacja, że Emanuel Ringelblum organizuje obronę cywilną w żydowskiej części Warszawy, ale sam nie zdecydował się do nich dołączyć. Spotkali się ponownie w wakacje czterdziestego roku, podczas zebrania Żydowskiej Samopomocy Społecznej, której jednym ze współtwórców był Ringelblum. To właśnie tamtego wieczoru po raz pierwszy opowiedział on panu Lichtenbaumowi o swoim projekcie dokumentacji losów Żydów pod niemiecką okupacją. Mógł nawet pochwalić się pierwszymi zapiskami, które zaczął sporządzać zaraz po defiladzie zwycięstwa, tydzień po kapitulacji Warszawy.

Ojciec Noemi natychmiast zapalił się do tego projektu, a gdy usłyszał, że wezmą w nim udział także Eliezer Lipe Bloch, rabin Szymon Huberband, Menachem Linder czy Szmuel Bresław, nie miał już cienia wątpliwości, że też chce być jego częścią.

Dwudziestego drugiego listopada, dokładnie tydzień po zamknięciu getta, w mieszkaniu Emanuela Ringelbluma na Lesznie odbyło się pierwsze spotkanie zespołu badawczo-dokumentacyjnego. Kolejne

organizowano w najściślejszej tajemnicy w zaprojektowanym przez Edwarda Ebera budynku Głównej Biblioteki Judaistycznej przy ulicy Tłomackie, nieopodal Wielkiej Synagogi.

– To niezwykła rzecz, Noemi – powtarzał córce Lichtenbaum, a ona z przyjemnością patrzyła w jego błyszczące entuzjazmem oczy.

Z kilkunastoma innymi osobami w ścisłej tajemnicy porządkowali oryginały dokumentów, sporządzali odpisy, gromadzili wycinki prasowe, ogłoszenia, ulotki, zaproszenia, plakaty, bilety, niekiedy nawet prywatną korespondencję czy pamiętniki – wszystko, cokolwiek mogło posłużyć za wiarygodne świadectwo tego czasu, być elementem układanki ukazującej jak najpełniej obraz codziennego życia w getcie.

Noemi ten pomysł wydawał się dziwnie przejmujący, ale nigdy nie powiedziała rodzicom o swoich obawach. Oni twierdzili, że pewnego dnia ich praca okaże się bezcennym źródłem historycznym. Archiwizowali teraźniejszość, powodowani faktyczną wiarą w przyszłość. Noemi zaś zdawało się, że w pracy Oneg Szabat kryje się jakaś rozpacz wynikająca z pewności, że owo jutro nie nadejdzie, że pewnego dnia wydarzy się coś, co sprawi, że nie będzie świadków mogących opowiedzieć o wszystkim, co widzieli i słyszeli.

By opowieść o życiu getta nie rozplynęła się jak mgła, trzeba było tak dbać o każdy skrawek pamięci.

Starła się odsuwać od siebie te myśli, lecz ilekroć patrzyła na rodziców, jak w skupieniu pochyleni nad dokumentami robią staranne zapiski, ścisnęło jej się serce.

Jak długo jeszcze? To nieznośne pytanie kołatało jej w głowie. Ile dni nam pozostało?

Za każdym razem miała ochotę przerwać im, wtulić się w miękką pierś matki, pogłodzić dłoń ojca i zapewnić ich o swojej miłości. Po co mieli tracić czas na pracę dla przyszłości, trwoniąc swoje dziś, marnując szansę, by okazać czułość i oddanie najbliższym. Stojąc w progu, walczyła ze sobą, ale ostatecznie zawsze wycofywała się cicho, nie zakłócając ich spokoju.

Praca archiwisty nie była zajęciem specjalnie dochodowym, choć utrzymywane w ścisłej tajemnicy Oneg Szabat funkcjonowało w ramach Żydowskiej Samopomocy Społecznej, której działalność była w pełni legalna i tolerowana przez Niemców, i dysponowało pewnymi zasobami finansowymi.

Zajęcie to miało jednak ten zasadniczy plus, że pozwalało rodzicom podtrzymać nadzieję na przyszłość, dać im misję, cel. Intelktualiści w getcie radzili sobie najslabiej. Pewna grupa zajęła się edukacją dzieci i młodzieży. Organizowano też zajęcia dla studentów różnych wydziałów. Rodzice mogli do nich dołączyć, ale wówczas musieliby codziennie przemierzać ulice zamkniętej dzielnicy, a tego Noemi chciała im ze wszystkich sił oszczędzić. Wołała, by archiwizowali opowieść o getcie, ale nie byli uczestnikami tych wydarzeń. Chciała, by pozostali w swoim świecie, wciąż wierząc w człowieka. A wiarę tę bardzo trudno było zachować, gdy patrzyło się na życie codzienne getta warszawskiego.

Nie chodziło tu tylko o mury i Niemców z ich wielkimi psami i zawsze naładowaną bronią. Noemi zdawało się, że getto nierzadko wyciąga z ludzi to, co najgorsze. Rozumiała potrzebę życia za wszelką cenę, ale dla dorabiania się na cudzej krzywdzie nie potrafiła znaleźć żadnego usprawiedliwienia.

Nie pojmowała też obojętności.

Wychowano ją w świecie, w którym miłosierdzie i współczucie były najszlachetniejszymi z cnót i należało je w sobie pielęgnować. Najważniejsza zaś była opieka nad najslabszymi, tymi, którzy nie potrafili poradzić sobie sami.

Najmłodsze dzieci miały najmniejsze szanse na przetrwanie. Były z natury rzeczy najslabsze. Nikt nie chciał marnować własnych sił na zajmowanie się nimi. Starsze szybko uczyły się złodziejskiego fachu, grupowały w bandy, bo w grupie szanse na przetrwanie rosły. Większe dzieci często zostawały chaperami, grasowały po ulicach i wyrwały przechodniom z rąk jedzenie. Pozostawione same sobie dziczały, traciły ludzkie odruchy.

Pewnego dnia Noemi zobaczyła dziewczynkę, która siedząc na krawężniku, szukała wszy z posklejanych w długie strąki włosów i wkładała sobie bezskrzydłe owady do ust. Na jej twarzy malowała się całkowita obojętność. Przepelnione pustką oczy patrzyły na toczące się na ulicy życie, ale jakby go nie dostrzegały. Cienkie jak zapalki palce bez trudu natrafiały na robaki i przenosiły je do popękanych białych ust. Dziewczynka wciąż żyła, a jednak zdawała się nic nie czuć, o niczym nie myśleć, jakby była równie martwa jak leżące nieopodal trupy, które ktoś litościwie nakrył papierem pakowym.

Noemi chciała podejść do niej, ale nie mogła się przemóc. Wieczorem, płacząc w poduszkę nad własną niegodziwością, odkryła, że za bardzo bała się wszy. Przysięgła samej sobie, że już nigdy nie będzie bierna, a już na pewno nie z powodu próżności. Od tamtej pory jednak zawsze wychodziła na ulicę z głową szczelnie zakrytą chustką.

Najpierw zgłosiła się po pracy do pomocy w CENTOS-ie, czyli Centralnym Związku Towarzystw Opieki nad Sierotami i Dziećmi Opuszczonymi. Do jej zadań miało należeć porządkowanie piętrzącego się wciąż od nowa stosu rachunków za jedzenie.

Tłumaczyła sobie, że to też jest praca na rzecz najmłodszych, ważna i potrzebna. Ktoś przecież musiał ją wykonywać. Porządne wykonywanie tego zadania powinno było uciszyć jej sumienie, ale obraz dziewczynki zjadającej własne wszy, nade wszystko zaś jej całkowicie pozbawionych życia oczu, nadal prześladował ją w snach.

W rzeczywistości bowiem to, co robiła, wydawało jej się jedynie teorią niezaspokajającą żadnych potrzeb. Chciała naprawdę opiekować się dziećmi, ale nie potrafiła przemóc swojej nieśmiałości. Całkiem nie wiedziała też, jak miałyby się do tego zabrać.

Pewnego wyjątkowo słotnego dnia, gdy wiatr i deszcz wdzierały się pod poły palta, a lodowata wilgoć przenikała przez warstwy ubrań, powodując nieprzyjemne drżenie i gęsią skórę, Noemi wracała do domu Smoczą i kuląc się pod parasolem, usiłowała zachować choć odrobinę ciepła. Postawiła wysoko kołnierz płaszcza i pochyliła

głowę, tak że przez zasłonę deszczu i parasola ledwie dostrzegała cokolwiek.

W pewnej chwili jej trzewik napotkał przeszkodę. Noemi zachwiała się, lecz udało jej się utrzymać równowagę. Odsunęła parasolkę.

Na chodniku u jej stóp leżało dwoje martwych dzieci. Widocznie tuliły się do siebie, aby w ten sposób ogrzać się choć trochę. Parasol wysunął się z jej rąk, nakrywając dzieci. Krople wody spływały po twarzy dziewczyny, która jak zahipnotyzowana wpatrywała się w nagie nóżki i obwiązane szmatami stopy wystające spod parasola.

To był moment, którego miała już nigdy nie zapomnieć. Chwila, w której przestała się bać. Rzuciła się w wir pomocy, starając się być wszędzie tam, gdzie ktoś mógł jej potrzebować. Szybko zaczęto ją po cichu nazywać aniołem. Parę razy słyszała to określenie, ale nigdy nie pomyślała, że mogłoby dotyczyć jej samej.

Cały wolny czas, a było go niewiele, spędzała z Andrzejem. Z początku spotykali się tylko podczas wieczorów czytelnicznych. Potem zaczęli chodzić na spacer, najczęściej na kładkę nad ulicą Przebieg. Stali tam tak długo, jak tylko mogli, rozmawiając, zapatrzeni w migoczące w oddali wody Wisły.

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia. Przez wiele dni Noemi nawet nie zauważyła, że coś się w niej zmieniło. Nie dostrzegała, jak niecierpliwie wypatruje każdego spotkania z Zatorskim, jak nerwowa się stawała, gdy długo go nie widziała, jak często myślała o nim i jak wielki spokój ją ogarniał, gdy był blisko. W takich chwilach czuła się oddzielona murem od całego zła tego świata. Wiedziała, że przetrwa kolejny dzień, znajdzie siły, by nieść ulgę cierpiącym, byle tylko on był blisko.

Rozdział 6

Był pierwszy tak ciepły i słoneczny dzień czerwca. Po chłodnym i deszczowym maju zdawało się, że wszyscy mieszkańcy getta wylegli na ulicę, by wygrzewać się w promieniach słońca. Siadali na murkach, krawężnikach, a niekiedy wprost na ziemi, opierali plecy o ciepławe już ściany i wystawiali twarze w stronę życiodajnego światła.

Po trudach pierwszej zimy i kapryśnej wiosny w ludziach na nowo zakiełkowała nadzieja.

Noemi i Anna siedziały na niewielkim skrawku trawy i wyszukiwały wśród zieleni rachitycznych stokrotek. O tym zieleńcu, czy raczej jeszcze niezagospodarowanej plamie zieleni, Zatorska dowiedziała się przypadkiem od jednej z koleżanek ze szkoły pielęgniarzkiej. Jej brat, który przed wojną chciał zostać leśnikiem, zgłosił się na kursy Przystosowania Rolniczego w Toporolu, czyli Towarzystwie Popierania Rolnictwa, kierowanym przez agronoma Izraela Sudowicza. Toporol powstał jeszcze przed wojną, a jego celem było nauczanie rolnictwa osób, które chciały wybrać się na zamorską emigrację do Palestyny. Teraz w getcie do głównych zadań Toporolu należało tworzenie zielników i ogrodów dla dzieci oraz organizacja upraw warzyw i owoców, przeznaczonych głównie dla instytucji pomocowych. Program kursów zakładał naukę w szkolnych ławach i zajęcia praktyczne. Zanim jednak można było przystąpić do prac, o każdą połąć ziemi najpierw trzeba było stoczyć batalię administracyjną, a potem najczęściej uprzątnąć z danego terenu cegły i inne elementy ruin.

Na Smoczej założono sad, na terenie dawnego więzienia przy Zamenhofa mieścił się ogromny ogród warzywny, na polu przy Niskiej wysiano dwadzieścia sześć odmian roślin, w tym owies, pszenicę, len, konopie, brukiew i rzepak. Na polu przy Cmentarzu Żydowskim posadzono kartofle, na boisku Skry uprawiano kartofle, buraki i kapustę. Działacze Toporolu naprawili też szklarnie, w których wyhodowano begonie, petunie, lobelie, dalie i pomidory na rozsadę. Uprzątnięto i obsiano skwery przy Wielkiej Synagodze oraz te przy placu Grzy-

bowskim, na Zamenhofa i w paru innych miejscach. Toporol zachęcał też do ukwiecania balkonów, podwórek, okien. Zapewniał darmowe nasiona i ziemię ogrodową, wypożyczał narzędzia ogrodnicze.

Koleżanka Zatorskiej chwaliła się, że jej brat z pozostałymi adeptami rolnictwa obsadzili półtora tysiąca metrów kwadratowych ziemi.

Wszystkie te wysiłki były kroplą w morzu potrzeb, ale każdy najmniejszy choćby skrawek zieleni podnosił ludzi na duchu.

– Aż żal je zrywać – westchnęła Noemi.

– Aż żal nie upleść wianka – upierała się Anna, której ta czynność przywodziła na myśl wspomnienia szczęśliwej beztroski dzieciństwa, gdy co roku wraz z pojawieniem się pierwszych stokrotek szły z matką na łąkę.

Dziewczęta plotły wianki z trawy i maleńkich stokrotek. Chłopcy leżeli z przymkniętymi powiekami, żując źdźbła świeżej trawy. Rozmowa, którą prowadzili na przekór pięknemu dniu, robiła się coraz bardziej ponura.

– Tu nie chodzi o przetrwanie. – Noemi przerwała kolejną falę czarnowidztwa.

Wszyscy spojrzeli w jej stronę, bo po raz pierwszy podczas tej dyskusji zabrała głos. Dotąd tylko przysłuchiwała się z uwagą, plotąc wianek, a łagodny uśmiech błąkał się w kąciku jej ust, przez co nikt nie mógł odgadnąć jej myśli.

– Zdaje mi się, że wobec bestialstwa, którego jesteśmy świadkami, chodzi wyłącznie o przetrwanie – odezwał się Franek.

Był zbyt rozdrażniony, by silić się na właściwą sobie kurtuazję wobec dam. To spotkanie całkiem wytrąciło go z równowagi. Nie mógł znieść kontrastu pomiędzy tym sielankowym obrazem, który sobą przedstawiali, a tym, co tego ranka widział podczas porannego prze rzutu. Kobieta o opuchniętych nogach usiłowała podnieść worek z mąką, za którego przeniesienie dostałaby kawałek chleba. Nie dała rady. Upadła. Nie wiadomo skąd znalazło się przy niej dziecko. „Mamusiu” – powtarzało raz po raz. „Wstań, mamusiu” – prosiło, ale ko-

bieta już się nie poruszyła. Była martwa. Dziecko mimo skwaru siedziało przy niej. Franek chciał coś zrobić, jakkolwiek pomóc temu maluchowi, ale tego dnia wokół kręciło się wielu meciarzy. Przy nich nie wolno było okazać litości, która uchodziła tu za słabość. Wiedział, że obraz dziecka czuwającego przy zwłokach matki już nigdy go nie opuści. Wcześniej zdawało mu się, że zdołał się znieczulić, uodpornić, a jednak wciąż przydarzały się rzeczy, które były w stanie dotknąć go o wiele głębiej i mocniej, niż gotów był przyznać.

Noemi pokręciła głową, ale na jej twarzy nadal malował się niczym niezmacony spokój.

– W takim razie o co chodzi? – spytał Franek, nie kryjąc irytacji. – Proszę oświecić ciemny lud.

Marek dał mu kuksańca.

– Auć!

– Zachowuj się – syknął Goldman, ukradkiem popatrując na Annę. Zaczynał żałować, że wziął Kajzera na to spotkanie w dobrym towarzystwie. Sam miał wątpliwości, czy się do tego nadaje, więc zabrał przyjaciela, by dodać sobie animuszu. Teraz jednak jaskrawo dostrzegł wszelkie braki w jego wychowaniu, niezgrabność zachowania, brak ogłady.

To, co zwykle zyskiwało Frankowi sympatię, teraz raziło i zawstydzalo Marka. Jednocześnie dręczyły go z tego powodu wyrzuty sumienia, jakby wstydził się bliskiego członka rodziny. Wszystko to sprawiało, że spotkanie, którego wyczekiwał z tak wielką niecierpliwością, powoli stawało się dlań udręką.

Kajzer rzucił przyjacielowi gniewne spojrzenie, ale nie odezwał się więcej.

– Tu nie chodzi o przetrwanie – powtórzył Andrzej, zwracając się do Noemi.

– Nie – odparła. – Chodzi o życie.

Franek sapnął i przewrócił oczami.

– Chodzi o to, żeby mimo wszystko żyć – ciągnęła niezrażona Noemi. – Najlepiej, jak można w danych okolicznościach. Najpełniej. Najszczęśliwiej.

– Warunkiem szczęścia jest wolność – powiedziała Anna. – Za murem jest trochę jak w więzieniu.

– Wolność to możliwość wyboru. Nawet przy ograniczeniach zewnętrznych można pozostać wewnętrznie wolnym – przekonywała Noemi.

– Trudno myśleć o wolności, gdy jest się głodnym – bąknął Franek, wspominając dzieci ulic getta.

– To prawda – zgodziła się Noemi. – Mimo wszystko masz wybór.

– Utopia – skwitowała Anna. – Wybacz...

– Życie w zgodzie ze sobą. Podejmowanie decyzji, dokonywanie wyborów, choćby najmniejszych, jest wolnością.

– Walka zbrojna byłaby wolnością. Pogonienie szkopa wystrzałami z kaemów. Rozwalenie muru porządną dawką dynamitu. Wyjście na zewnątrz, bez strachu, bez ciągłego obracania się za siebie. Przejście się ulicami miasta, w którym się urodziliśmy, wejście do kawiarni, siedzenie na ławce w parku, kupienie wody sodowej i precla za uczciwie zarobione pieniądze. To jest wolność – wyrzucił na jednym oddechu Franek.

– Życie po swojemu mimo wszystko też jest walką i wolnością – powtórzyła Noemi. – Przemocą wtłoczono nas w tę sytuację, nikt z nas nie wybrał tego położenia, a mimo to wydaje mi się, że powinniśmy spełniać swoją powinność.

– A jaka to powinność? – spytał Andrzej.

– Każdy ma swoją – odpowiedziała. – Własne przeznaczenie.

– Nikt nie wie, co będzie jutro – rzekła enigmatycznie Lucynka.

– Zgoda, ale na razie mamy dziś. Możemy spróbować żyć jak najlepiej i może... nie dać się zabić, przynajmniej do jutra.

– I tak co dnia... – szepnął Marek w zamyśleniu.

– Co dnia – przytaknęła Noemi. – Co dnia starać się dziś jeszcze przeżyć.

Chwilę milczeli, rozważając te słowa. Andrzej zmarszczył czoło. Ze wszystkich sił chciał wesprzeć Noemi, lecz nie wiedział jak. Nagle przez głowę przemknęła mu myśl, którą bez zastanowienia wypowiedział na głos.

– Wiem, urządzimy sobie tańce!

Pozostali spojrzeli na Andrzeja ze zdziwieniem. Pomysł wydawał się niedorzeczny i całkiem nie pasował do toczonej właśnie rozmowy, ale nikt nie zaproponował. Wiosna w rozkwicie we wszystkich budziła jeszcze większe pragnienie życia. Noemi posłała mu ciepłe spojrzenie.

– A niby jak to sobie wyobrażasz? – spytała, a w kącikach jej ust błąkał się uśmiech.

Zatorski wzruszył ramionami.

– Chyba trudno będzie to zorganizować – stwierdziła Lucynka.

– Jeśli zechcemy, nic nie stanie nam na przeszkodzie, moja duszko – rzekł Franek, po czym, skłoniwszy się przed nią, ujął jej dłoń i ucałował. – Trzeba ci jednak wiedzieć, że właśnie zapalałem trudną do okiełznania potrzebą zatańczenia z panną Lucynką.

To powiedziawszy, zerwał się z ziemi, mocniej chwycił jej dłoń, zmuszając, by również wstała, po czym zakręcił dziewczyną i przechylił ją sobie przez ramię, tak że zaczerwieniona zawisała nad ziemią.

– Sama panna widzi – westchnął, prostując ją. – Nic nie poradzę, ciało samo rwie się do tańca.

– Błazen z pana! – śmiała się Lucynka, ale jasne iskierki w jej oczach świadczyły niezbicie, że żarty chłopaka sprawiają jej przyjemność.

– Jeśli przyjmie mnie pani na swoją służbę, królowo, bycie błaznem przyniesie mi jedynie zaszczyt.

Marek i Anna wymienili porozumiewawcze spojrzenia, z trudem tłumiąc śmiech.

Lucynka ściągnęła łopatki i wysunęła lekko brodę, przyjmując pełną dostojeństwa pozę.

– Uklęknij – rozkazała z powagą.

Franek natychmiast padł przed nią na kolana. Lucynka zdjęła z głowy wianek.

– Ja, Lucyna *de domo* Bednarczyk, córka Jana i Zofii, mianuję ciebie, Franciszku Kajzerze, mym sługą. Czy przysięgasz robić wszystko, co rozkażę?

– Zawsze, pani – rzekł Franek i choć starał się także zachować powagę, w jego głosie wibrowały nutki rozbawienia.

– Czy będziesz mi bezwzględnie posłuszny i będziesz spełniał moje prośby o każdej porze dnia i nocy, choćby wydawały ci się najbardziej niedorzeczne?

– Szczególnie te nocne – potwierdził Franek i chcąc okazać jeszcze większą gorliwość, kilkakrotnie skinął głową.

Lucynka nie zdołała dłużej utrzymać w ryzach wesołości. Wybuchła śmiechem i zamiast nałożyć wianek na głowę Franka, pacnęła go nim. Pogięte źdźbła trawy i stokrotki zawirowały w powietrzu.

– Czyli postanowione? – spytał znów Kajzer, otrzepując kolana z trawy i podciągając opadające portki.

– Będą tańce! – pisnęły dziewczęta.

– Zatem przejdźmy do spraw organizacyjnych – zaproponował Franek. – Jakoś to trzeba elegancko urządzić.

– Chyba będę miał coś specjalnego – powiedział Marek, który wyglądał, jakby nagle coś mu się przypomniało.

– Wódeczkę? – zagadnął Andrzej, unosząc brwi.

– Przyzwoici Żydzi nie pijają wódki – upomniał go Franek. – Tylko spirytus.

– Widzisz! Kolejny dowód na to, że nie jestem Żydem. – Zatorski rozłożył bezradnie ramiona. – A Niemcy ciągle nie chcą mi uwierzyć.

Wszyscy się roześmiali.

– Doskonale, panowie – odezwał się znów Marek. – To wy zorganizujecie coś do wypicia, a ja zagryzkę.

– A co to niby będzie? – chciał koniecznie wiedzieć Kajzer. – Bo jeśli pieczone żołędzie z jesieni albo jakiś inny doskonały przysmak, to ja jednak chyba wolę bez zagryzki.

– Ogórki kiszzone – rzekł Goldman.

Andrzej aż gwizdnął z uznaniem.

– A skąd ty je weźmiesz, co? – spytał.

– A z przedwojennych zapasów – odparł Marek, a Franek, który w mig pojął wszystko, mrugnął do niego porozumiewawczo.

– We wrześniu bomba trafiła w fabrykę ogórków na Czerniakowie. Zaraz gruchnęła wieść, że jak kto się nie boi, to może sobie te ogórki brać, żeby się nie zmarnowały. To wywieźliśmy z chłopakami na taczkach, ile się dało. Ale żeś ty, Mareczku, zachował je aż do tej pory! – Kajzer cmoknął z podziwem.

– Jedną puszkę – przyznał Goldman. – Na specjalną okazję.

– Menu ustalone. – Franek klepnął się po kolanach. – Jeszcze przydałaby się jakaś muzyka...

– Może Anna zaśpiewa? – zasugerował Andrzej, rzucając siostrze pytające spojrzenie.

– Nie – wtrąciła się Noemi. – Przecież Anna musi tańczyć, inaczej będzie nie do pary i z zabawy nici.

Marek odetchnął z ulgą. Miał nadzieję, że podczas zabawy nadarzy się okazja do rozmowy w cztery oczy. Ostatnio nigdy nie bywali sami, czemu sam w dużej mierze był winien. Obawiając się własnych uczuć, zabiegał o dodatkowe towarzystwo. Bywało, że włączył się z nimi Franek, czasem Lucynka, kiedy indziej znów Andrzej i Noemi.

Wokół Marka zrobiło się nagle zbyt wiele ludzi i choć darzył ich wszystkich ogromną sympatią, dziś akurat zapragnął, żeby znikli i pozwolili mu zostać z Anną sam na sam.

Tylko czy wtedy na pewno odważyłbyś się na cokolwiek? – zapytywał samego siebie i nie potrafił udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

– Może tańczyć i śpiewać – stwierdził głośno Zatorski. Siostra spiorunowała go wzrokiem, ale nikt nie zwrócił na nich uwagi. – To chyba nie jest takie trudne: kołysać się i trzymać melodię.

– Mogę spróbować pożyczyć gramofon – powiedział szybko Marek.

Nie wiedział jeszcze wprawdzie, jak wypełni tę obietnicę, kto zgodzi się pożyczyć mu tak drogą rzecz, ale chciał jakoś odkleić Andrzeja od wizji siostry śpiewającej im wszystkim do taktu. Pocieszał się myślą, że kilku spośród jego stałych klientów miało takie sprzęty grające. Może za jakąś zniżkę albo darmową naprawę zechcą mu zufać.

– Tylko nie zapomnij o płytach – rzucił Franek. – Najlepiej kilku, żebyśmy mieli wybór repertuaru.

– Zobaczą, co da się zrobić – zapewnił Goldman, zadowolony, że zwrócił rozmowę w inną stronę.

Umówili się na kolejną niedzielę w samo południe, na podwórku kamienicy Noemi, której mieszkańcy przywykli już do wszelkiego rodzaju osobliwych wydarzeń. Nie mogli zakazać nikomu wstępu, ale nikogo też nie zapraszali.

– Jak kto przyjdzie z własną flaszeczką i zagryzką, uszu mu przecież nie zatkamy ani nie skrupujemy nóg – skwitował tę kwestię Franek. – Im więcej tańczących, tym zawsze weselej.

Andrzej z Noemi całe przedpołudnie spędzili, dekorując prowizoryczną salę. Wycinali girlandy z kawałków papieru, kleili je mąką z wodą, a potem rozwieszali, gdzie się tylko dało. Na drzewie powiesili lampki, tak jak podczas wieczorów głośnego czytania, w kilku miejscach ustawili też duże słoje, w które wstawili świece. Za parkiet

miało im służyć podwórkowe klepisko, które poczciwy dozorca zamiółł starannie specjalnie na tę okazję.

– Jak pięknie! – westchnęła z zachwytem Noemi, gdy skończył im się papier.

Andrzej cofnął się kilka kroków, by uważniej przyjrzeć się ich dziełu. Przed wojną był na kilku potańcówkach, większość odbywała się w eleganckich lokalach, ale nawet ta na drewnianym parkiecie na Bielanach wydawała mu się teraz dostojniejszym przyjęciem. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie w roziskrzone radością oczy Noemi, by przekonał samego siebie, że nigdy nie widział piękniejszego miejsca.

– A teraz już idź – zarządziła Noemi.

– Wyganasz mnie? – spytał niskim głosem, podchodząc do niej powoli, jakby był skradającym się kotem. – Tak po prostu?

Objął ją w pasie i musnął nosem jej policzek. Noemi odsunęła go delikatnie. Wciąż nie wyznali sobie miłości, nic nie zostało zadeklarowane, ale ich dusze i ciała coraz śmieiej lgnęły ku sobie.

– Tak po prostu – odparła wesoło. – Ty musisz sobie iść, a ja zabrać się do przygotowań. Nawet nie wiesz, ile czasu zajmują kobietom fryzury, makijaże i tym podobne sprawy.

Andrzej przyciągnął ją znów do siebie.

– Moim zdaniem nie musisz robić absolutnie nic – wymruczał jej do ucha. – Jesteś najcudowniejszą osobą na całym świecie.

– I najbardziej rozczochraną – odpowiedziała podobnym rozmarzonym szeptem, po czym wybuchnęła głośnym śmiechem. – No idźże już!

– Pozbycie się mnie będzie cię drogo kosztowało!

– Tak?

Andrzej pokiwał głową.

– Przynajmniej dwa pocałunki – oświadczył.

Noemi przyłożyła palec do ust i przyglądała mu się w zamyśleniu.

– To dość nieprzyzwoita prośba – stwierdziła wreszcie. – A i cena wysoka.

Zatorski bezradnie rozłożył ręce.

– Cóż ja mogę, sama widzisz, co się dzieje wokół. Drożyzna wszędzie.

– Stanowczo za dużo czasu spędzasz z Kajzerem.

– Uczę się od najlepszych, szczególnie gdy idzie o względy kobiecie.

– Nie jestem pewna, czy akurat w tej dziedzinie Franek jest najlepszym doradcą! – Noemi znów się roześmiała.

– Jest jedynym, jakiego mam – odparł szczerze Andrzej, po czym spojrzał jej poważnie w oczy. – Ja sam jestem jak dziecko we mgle, bo nigdy wcześniej nie... Aż tak...

Dziewczyna przysunęła się do niego. Nie chciała, by zbyt pochopnie wypowiedział te dwa słowa, jeśli wciąż nie był ich pewien.

– Dwa pocałunki, tak? – spytała cicho. – Nie ma szansy na jakąś obniżkę?

Pokręcił głową. Noemi westchnęła ciężko, po czym wspięła się na palce i pocałowała Andrzeja w czubek nosa i brodę.

– Czy teraz już sobie pójdziesz?

– Nie jestem pewien...

Noemi raz jeszcze wspięła się na palce, ujęła jego twarz w obie dłonie i pocałowała go prosto w usta.

– A teraz? – szepnęła po chwili.

– Teraz nigdzie już nie pójde – odparł i sam ją pocałował.

– Oszust! – westchnęła, zapadając się w jego objęcia.

Rozdział 7

Anna postawiła na stole cztery talerze z rzadką kartoflanką.

– Obiad! – zawołała, choć przecież wszyscy gnieździli się w jednym pokoju z kuchnią. Mimo to wołała codziennie, pragnąc zachować możliwie wiele elementów dawnego życia, podtrzymać iluzję normalności. W getcie wciąż ktoś poszukiwał mieszkania, więc by dorobić parę groszy, Zatorscy zdecydowali się wynająć pokoje.

Antoś natychmiast porzucił drewnianego konika, którym bawił się na podłodze, i przybiegł do siostry. Zajrzał do talerza.

– Błeee, znowu kartoflanka. – Skrzywił się.

– Wolisz pusty talerz? – zapytała.

Chłopiec natychmiast pokręcił głową.

– A widzisz, to myj ręce, siadaj i zajadaj, zamiast marudzić.

Ojciec powoli przemierzył pokój i ciężko opadł na krzesło. Anna przyglądała mu się ukradkiem, a jej serce zaciskało się z żalu. Od śmierci matki pan Zatorski postarzał się o kilkadziesiąt lat. Z pełnego energii mężczyzny w sile wieku stał się nagle zmęczonym życiem starcem. Mijały kolejne dni wypełnione bezczynnością, która wyraźnie mu nie służyła. Anna próbowała namówić go, by usiadł do deski kreślarskiej i znów zaczął rysować. Miała nadzieję, że zajęcie rąk pracą da wytchnienie głowie i ojciec powoli wróci do dawnego siebie. Ten jednak za nic nie chciał wziąć do ręki ołówka.

– Niech tata wspomni lany poniedziałek – nęciła. – Po odzyskaniu wolności trzeba będzie to wszystko jakoś odbudować.

– Nie moja to już rzecz, córuś – wzdychał zmęczonym głosem. – Nie moja.

– A dlaczegoż to, jeśli można wiedzieć? – pytała wojowniczo.

Tak bardzo chciała, by się na nią zdenerwował, upomniał ją, skarcił za niestosowność takiego odzywania się do ojca, ale on zdawał się

w ogóle nie zwracać na to uwagi.

– Chyba po to studiowałeś w Petersburgu i Wiedniu, żeby jednak z tej wiedzy korzystać, ojcze. Pamiętasz, co powtarzałeś swoim studentom na Politechnice Warszawskiej?

Odpowiedziało jej milczenie.

– Ja pamiętam, bo słuchałam tych słów jakieś pięćset milionów razy. Mówiłeś trochę jak prezydent Starzyński, pamiętasz? Że mają dbać o swoją kreskę, żeby Warszawa dzięki nim mogła stawać się coraz wspanialsza i coraz piękniejsza.

Ojciec uśmiechnął się słabo, jakby powróciły doń wspomnienia z bardzo odległych czasów, ale nie powiedział nic więcej. Reszta obiadu upłynęła w milczeniu.

Każda taka rozmowa wprawiała Annę w zły nastrój. Odkąd Andrzej się zakochał, czuła się zostawiona całkiem sama ze wszystkimi problemami rodziny. Lubiła Noemi i cieszyło ją szczęście brata, ale czasami wolałaby móc zrzucić cały ciężar na jego barki. Szczególnie codzienną troskę o jedzenie.

Wieczorem, gdy wszyscy już spali, Anna raz jeszcze w skupieniu przeliczyła pieniądze, choć po prawdzie jedno spojrzenie wystarczyło, by ocenić, w jak tragicznym znaleźli się położeniu. Wbrew nadziejom posada Andrzeja w Służbie Porządkowej nie przynosiła zbyt wielkich dochodów, zwłaszcza że jej brat, przyjmując jakiegokolwiek pieniądze czy jedzenie, zawsze dopytywał o okoliczności ich zdobycia i nie rzadko odmawiał, jeśli zostały wzięte przemocą. Anna wiedziała, że brat kilkakrotnie rozmawiał z przełożonymi o stałej pensji, ale ci odpowiadali tylko, że wszystkim jest teraz ciężko i że musi poczekać na lepsze czasy, które to słowa następnie powtarzał jej brat.

– A one pewnie nigdy nie nadejdą! – bąknęła Anna, zaplatając ramiona na piersiach.

– Musisz zrozumieć – próbował tłumaczyć jej Andrzej. – Wszyscy powinniśmy się teraz wspierać.

– Tak, zwłaszcza te cwaniaki z Judenratu. Oni najgorliwiej wspierają współbraci! Ideałami nie nakarmisz Antka! – krzyczała, ale Andrzej tylko posyłał jej to swoje pełne cierpienia spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „co mogę poradzić, nie umiem inaczej”.

Ta bezradność wobec wyimaginowanych zasad, których przecież od dawna nikt poza nim i Noemi się tu nie trzymał, wprawiała ją w rozpacz.

Wreszcie zrozumiała, że jeśli mają przeżyć, musi ostatecznie wziąć sprawy w swoje ręce, jak najszybciej znaleźć pracę, najlepiej dobrze płatną, z dostępem do jedzenia.

Tylko gdzie? Kto mnie zatrudni? – rozmyślała gorączkowo.

Jej umiejętności na niewiele mogły się teraz komukolwiek zdać, a żeby ktoś chciał za murami zapłacić komukolwiek za cokolwiek, musiał być w wielkiej potrzebie.

Poczuła się zmęczona. W dodatku – czy to od dokonywania obliczeń przy nikłym świetle świecy, czy z nerwów – rozboleła ją głowa. Anna ścisnęła skronie palcami, próbując uciszyć pulsowanie.

Za ścianą zakwiliło dziecko Baumanów. Wiedziała, że jest uprzywilejowana. Za murem robiło się coraz ciasniej. Pewnego dnia Andrzej wspomniał, że statystyki prowadzone w gminie wskazują, iż na jeden kilometr kwadratowy w getcie przypada aż sto czterdzieści sześć tysięcy mieszkańców. Dzięki pomocy Marka jej rodzina miała do dyspozycji kilka pokoi na wysokim piętrze, co dawało przynajmniej namiastkę przestrzeni. Teraz cieszyła się, że mają co podnając, lecz dzielenie mieszkania z obcymi ludźmi z każdym dniem coraz mocniej jej doskwierało.

– Tylko nie to... – jęknęła, ale wiedziała, że próba uciszenia dziecka siłą umysłu na nic się nie zda. – Nie teraz, proszę.

Po chwili niemowlę krzyczało już na całe gardło, a cienkie jak papier wewnętrzne ściany mieszkania nie chroniły przed naporem dźwięków. Anna spojrzała w stronę łóżka, ale wyczerpani przeżyciami minionego dnia ojciec i Antoś spali głęboko. Z drugiego po-

koju, który służył im też za kuchnię i łazienkę, dobiegało ciche pochrapywanie Andrzeja.

Dziecięce zawrodozenie świdrowało w głowie dziewczyny. Poczwała, że jeśli zostanie tu choć chwilę dłużej, postrada zmysły. Włóczenie się po getcie nocą bez przepustki było niebezpieczne, ale ona musiała wyjść choć na chwilę, choć na kilka minut. Niemcy nie kontrolowali przecież każdej ulicy przez całą noc.

Złożyła papiery i wsunęła je z powrotem do teczki, po czym wstała od stołu. Zgasła świecę. Jej wzrok przez chwilę przyzwyczajając się do ciemności. W zimnym świetle księżycy podeszła jeszcze do posłania Antosia i nakryła gołą stópkę, która wychynawszy spod kołdry, natychmiast zrobiła się zimna.

Anna sięgnęła po płaszcz, owinęła się nim ciasno i najciszej, jak mogła, wyszła na korytarz. Skradanie się było wprawdzie bez sensu, bo płacz niemowlęcia bez trudu zagłuszyłby o wiele głośniejsze dźwięki, ale nie zdołała powstrzymać odruchu. Czasy, gdy po zmroku mogła swobodnie poruszać się po mieście, niemal zatarły się w jej pamięci. Niekiedy nawet przyłapywała się na myśli, że może to jej dawne życie było tylko wytworem wyobraźni, może tak naprawdę nigdy nie cieszyła się aż taką wolnością, nie była tak swobodna. Może zawsze było tak jak teraz, a to, co brała za wspomnienia, w rzeczywistości było jedynie snem.

Płacz się nasilał. Do kwilenia dziecka dołączyły nerwowy szept pani Bauman, która starała się uspokoić maleństwo, i kolejne pełne dezaprobaty pomruki wyrwanych ze snu lokatorów. Anna przemierzyła ostatnie metry korytarza i wypadła na klatkę schodową. Najciszej, jak się dało, zamknęła drzwi. Panujący na klatce chłód sprawił, że zadrzała. Od przeprowadzki do getta wciąż było jej zimno. Zbiegła po schodach i wypadła na skąpaną w mroku ulicę.

Nie myślała o niczym. Cieszyła się ciszą. Pozwoliła, by nogi same ją niosły. Ciemność sprawiała, że wszystkie mijane zakątki wydawały się tak samo obce. Zresztą dla niej były obce, nieznane, a przez to nieprzyjazne. W którąkolwiek stronę by poszła, to i tak nie była jej War-

szawa. Dawniej nigdy nie miała potrzeby zapuszczać się w te części miasta. Poza rodziną cały świat, jaki dotąd znała, został za murem. Tym światem była kolonia profesorska, ulica Bagatela, dawne rogatki miejskie przy placu Unii Lubelskiej, Łazienki, Agrykola, plac Trzech Krzyży, park Ujazdowski, podupadająca Dolina Szwajcarska, Aleja Róż, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście. Na Stare Miasto nie zapuszczała się prawie nigdy. Granicę jej świata wyznaczał Uniwersytet Warszawski, gdzie niekiedy zaglądała, by zawieźć coś bratu. Te ulice mieściły w sobie całe jej życie, wszystkie wspomnienia. Tam była u siebie. Miała swoją ulubioną ławeczkę, ukochane drzewo, ulubiony zakątek parku, ulubioną piekarnię, ulubioną kwiaciarkę, a nawet ulubiony słup ogłoszeniowy, ten jeden, na który zawsze zerkała w drodze do szkoły. Tutaj, w getcie, wszystko było obce, a ona sama czuła się intruzem.

Szła pogrążona w ponurych myślach, gdy nagle stanęła jak wryta. Tuż przed nią wyrósł jasno oświetlony budynek, z którego dochodziła muzyka.

Hotel „Britania” – głosił napis nad wejściem.

Anna poczuła dreszcz na plecach. Słyszała o tym miejscu, ale traktowała te opowieści jak kolejne legendy, których mnóstwo można było usłyszeć na ulicach getta. Kto przy zdrowych zmysłach dałby wiarę opowieściom o nocnym życiu toczącym się w przedwojennym hotelu, o dansingach, szampanie, czystej pościeli, elektryczności, wodzie w kranach i restauracji, w której można było zamawiać dania z kart i dobierać do nich odpowiednie trunki?

Nikt w nie nie wierzył. Anna też nie wierzyła, choć słuchała tego wszystkiego z przyjemnością, tak jak dzieci słuchają przed snem bajek o fantastycznych stworzeniach czy odległych krainach pełnych cudowności.

– Nie powinno cię tu być, dziecko.

Dziewczyna drgnęła przerażona. Zrobiła krok w tył, cofając się w cień. Głos miał rację. Nie powinna była w ogóle wychodzić z domu. Nie powinna była włóczyć się po getcie nocą. Nie powinna

była wysuwać się w krąg padającego z okien hotelu „Britania” światła. Ten moment nieuwagi będzie ją kosztować życie. W getcie była to standardowa cena za każde odstępstwo od normy. Nie była nawet pewna, czy Andrzej zdołałby ją uratować. Tu nigdy nie ociągano się z wykonywaniem wyroków.

Krople zimnego potu spływały jej po plecach, powodując nieprzyjemne dreszcze. Czujnie rozejrzała się na boki, usiłując ustalić, skąd dochodzi głos i do kogo należy, ale nikogo nie widziała. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, oddech się rwał. Zagrożenie, którego nie można zobaczyć, pozbawione kształtu, jest najbardziej przerażające. Zdawało jej się, że dobiegające z wnętrza hotelu muzyka i gwar rozmów przycichły, zagłuszone przez dudnienie jej serca.

A więc tu nastąpi koniec. Bez pożegnań. Wśród nocy. Będzie kolejnymi anonimowymi zwłokami, które rano zostaną znalezione na ulicy.

Mocniej zacisnęła palce na połatanym swetrze. Wiedziała, że ktoś jej go zabierze. To żyjący potrzebują ciepłych ubrań, nie trupy.

– Skąd tyś się tu w ogóle wzięła, co? – odezwał się znów głos. Coś zaszeleściło przy prawej ścianie hotelu.

Dziewczyna natychmiast spojrzała w tamtą stronę. Wzrok, który na nowo przyzwyczaił się do ciemności, tym razem wyłuskał z mroku zarys postaci. Drobnej, niskiej, niewątpliwie należącej do kobiety. Annie z ulgi zakręciło się w głowie. Była to wprawdzie całkiem irracjonalna ulga, wystarczyła bowiem chwila, by nieznajoma zaalarmowała bywalców „Britanii” o pojawieniu się intruza, ale zdenerwowanie i tak osłabło. Ta kobieta z pewnością miała prawo tu być, inaczej nie odważyłaby się zagadnąć do obcej osoby.

Anna odetchnęła głęboko, starając się opanować drżenie całego ciała. Jeśli miała mieć jakiegokolwiek szanse na przeżycie, nie mogła okazać strachu.

– Przechodziłam obok – odparła krótko, starając się ze wszystkich sił brzmieć przekonująco.

W odpowiedzi usłyszała chrapliwy śmiech, a potem salwę suchego kaszlu.

– Charakterna dziewczyna – rzekła kobieta, gdy suchotniczy atak minął. – Podejź no tu, niech ci się przyjrzę.

Anna się zawahała. Wiedziała już, że jej rozmówczyni była osobą starszą i niewątpliwie schorowaną. Gdyby dziewczyna odwróciła się i uciekła, ta z pewnością nie zdołałaby jej dogonić. Rozsądek podpowiadał jej, że jak najszybsze oddalenie się stąd byłoby dobrym rozwiązaniem, jednak jakiś niezrozumiały odruch kazał jej pokonać dzielącą je odległość i stanąć przed staruszką, która aż cmoknęła z zadowolenia, gdy smuga światła spomiędzy na wpół przymkniętych drzwi padła na Annę.

– Jakaś ty ładna!

Zatorska milczała, całkiem zdezorientowana. Spodziewałaby się wszystkiego, tylko nie komplementów.

Staruszka bezceremonialnie położyła jej obie ręce na talii, musnęła dłonią policzki i włosy dziewczyny, raz po raz pomrukując z aprobatą.

Gdy nagle ręka dotknęła jej piersi, Anna wciągnęła głośno powietrze i odskoczyła jak oparzona.

– Cnotka! – Kobieta znów się zaśmiała. – Tym lepiej, tym lepiej.

Anna cofnęła się jeszcze o krok. W getcie codziennie widywała ludzi, którym ogrom cierpienia mieszał zmysły. Najwyraźniej i teraz miała do czynienia z wariatką.

No tak, kto inny włóczyłby się po nocy i grzebał w śmietnikach tuż pod nosem bawiących się „trzynastkowców”, bandy zwyrodnialców niby w imieniu prawa walczących z lichwą i spekulacją? – pomyślała.

Szaleńcy byli niebezpieczni, bo nijak nie szło przewidzieć, jak się zachowają.

Muszę szybko stąd zniknąć – nakazała sobie dziewczyna. Odwróciła się i zaczęła pospiesznie oddalać się od rozświetlonego hotelu.

– Zaczekaj! – zawołała za nią staruszka.

Jej głos na pustej ulicy zabrzmiał jak wystrzał armatni. Anna natychmiast się zatrzymała, całkowicie sparaliżowana strachem. Powolne kroki kobiety odbiły się echem od ścian budynków. Anna przymknęła oczy. Wiedziała, że teraz nie było już ratunku. Zaraz otworzą się drzwi hotelu. Ktoś wymierzy w nią z pistoletu i naciśnie spust.

Całe jej ciało napięło się, przygotowując do przyjęcia ciosu.

– Chyba nie zamierzasz tak tutaj stać? – zagadnęła staruszka, a Anna była pewna, że usłyszała w jej głosie nie strach, ale kpinę. – Chodź, porozmawiamy.

Nim dziewczyna zdążyła zaproponować, kobieta chwyciła ją za rękę i pociągnęła z powrotem w stronę śmietników. Po chwili wprowadziła ją do jasno oświetlonego pomieszczenia. Anna zmrużyła oczy.

– Siadaj – poleciła jej staruszka. – Tu możemy spokojnie porozmawiać. Nikt do mnie nie zagląda.

Podeszła do niskiego stolika, otworzyła chlebak i wyjęła z niego kilka małych, wytwornie przyozdobionych kanapek. Anna widywała podobne na przedwojennych przyjęciach.

– Częstuj się – zachęciła ją kobieta.

Wyględzona dziewczyna rzuciła się na jedzenie, a gospodyni przyglądała jej się uważnie.

– Aż trudno uwierzyć, że jesteś Żydówką.

– Nie jestem – odpowiedziała Anna, zakrywając dłonią pełne usta.

– Skoro jesteś po tej stronie muru, czy tego chcesz, czy nie, musisz nią być – stwierdziła staruszka.

Anna przyjrzała się jej uważniej. Kobieta miała kruczoczarne włosy, gęsto poprzetykane pasmami siwizny, haczykowaty nos, ciemne oczy okolone granatowymi cieniami i siecią głębokich zmarszczek. Ona z pewnością nie zdołałaby ukryć swoich korzeni.

– Masz jakieś zajęcie? – spytała kobieta.

Anna pokręciła głową.

– Ale znajdę – odparła z pełnymi ustami. – Niedługo znajdę. Muszę znaleźć. Potrzebujemy pieniędzy.

– A może chciałabyś pracować tu?

Zatorska szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Tu? – powtórzyła z niedowierzaniem.

Staruszka potwierdziła.

– Och, to byłoby cudowne! – wykrzyknęła Anna.

Praca w takim miejscu! Czystym, ciepłym, jasnym, nieważne, jak ciężka miałyby być, i tak byłaby spełnieniem marzeń.

– Mogę gotować, sprzątać, umiem nawet trochę szyć i prasować.

Kobieta pokręciła głową. Annie serce zastygło w piersi. Nie, nie mogła stracić tej szansy. Nie teraz, gdy nie mieli już żadnych pieniędzy, a ojciec się poddał.

– Wiem, że to niewiele, ale bardzo szybko się uczę – zapewniła gorączkowo. – Mogę robić cokolwiek, naprawdę.

Staruszka wpatrywała się w nią bez słowa.

– Proszę... – szepnęła błagalnie dziewczyna.

– Umiesz tańczyć?

– Tańczyć? – powtórzyła Anna, która w tej chwili przestała rozumieć cokolwiek.

– Tańczyć. A może śpiewasz albo grasz na jakimś instrumencie?

– W szkole trochę grałam na pianinie – odparła Anna posłusznie. – Brałam też lekcje śpiewu i tańca. Kiedyś taniec był całym moim życiem.

– I co mówili nauczyciele?

– Że mam dobry słuch – powiedziała niechętnie Zatorska.

Nie lubiła wspominać tamtych dni, gdy – jak naiwnie sądziła – cały świat stał przed nią otworem, a profesorowie karmili jej wyobraźnię

wizjami wspaniałych występów na największych europejskich scenach.

– Nadasz się – skwitowała staruszka.

– Ale do czego?

– No, do pracy, przecież mówię.

Kobieta wstała i podeszła do ogromnej szafy. Gdy otworzyła drzwi, oczom Anny ukazała się migocząca cekinami kolekcja sukienek we wszystkich fasonach i kolorach.

– Nina potrzebuje partnerki. Klienci lubią, gdy dziewczęta są dwie. Poprzednia dziewczyna nie miała za grosz rozsądku. Zakochała się w jednym z „trzynastkowców”. Uwierzyła, że i on ją kocha. Dała mu, czego chciał, a gdy potem ją zostawił, nie umiała uznać swojej porażki. Jak się domyślasz, finał był tragiczny.

– Nie, ja... – Anna pokręciła głową, bo wyobraźnia zaczęła podsuwać jej niepokojące wizje. – Ja nie mogę. Uczę się w szkole pielęgniarstwa...

– A kto ci broni dalej się uczyć, co? – zachnęła się staruszka. – Za dnia rób to, co dawniej. Nawet lepiej, że będziesz miała jakąś dobrą wymówkę do znikania nocami.

– To znaczy? – nie zrozumiała Anna, której od nadmiaru wrażeń zaczynało kręcić się w głowie.

– Wymyślisz sobie jakieś nocne dyżury w szpitalu czy coś. Wszystko elegancko się złoży, nikt nie będzie o nic dopytywał, a to dobrze, bo tu ceni się dyskrecję – dodała i uśmiechnęła się szeroko.

Annie zdawało się, że w tym grymasie było coś złowieszczonego.

– Nie chcę – oznajmiła stanowczo.

– Wolisz zdechnąć jak inni?

Popatrzyły sobie w oczy. Obie wiedziały, że mimo wszystko pragną żyć. Anna spuściła wzrok.

– Nie mogę... – szepnęła słabo.

– Ale czego, u licha, nie możesz? – Staruszka wydawała się zniecierpliwiona.

Zatorska czuła, że się czerwieni. Nigdy z nikim nie rozmawiała o tych sprawach. Nie wiedziała nawet, jakich użyć słów, by wyznać, czego się obawia.

– Ja nigdy...

– Przecież pytam cię o śpiew i taniec – zrugła ją kobieta.

– Bałam się, że...

– Mało to w getcie miejsc oferujących płatną miłość? – bąknęła staruszka. – „Trzynastkowcy” mają swoje mety na panienki, Niemcy swoje...

– A co z Rassenschande? – spytała Anna, nie patrząc kobiecie w oczy.

– Dziecko drogie, te wzniosłe hasła pięknie brzmią na sztandarach, ale w życiu i tak liczą się pieniądze, kobiety i wino.

– Wino? – Anna uniosła brwi. – Mają tu wino? Prawdziwe?

– Najprawdziwsze. We wszystkich kolorach – odparła staruszka z pobłażliwym uśmiechem. – Wódkę, szampana, francuski koniak, szkocką whisky... czego tylko zapragnie gardło klienta z grubym portfelem.

Anna nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Nie możesz włączyć się po getcie nocą – orzekła kobieta. – Zostaniesz tu, a rano wrócisz do swoich. Tak będzie bezpiecznie.

Anna wiedziała, że tamta ma rację. Miała tylko nadzieję, że ojciec ani Antoś nie obudzą się przed jej powrotem. Planowała czuwać, by wyjść o pierwszym brzasku, ale gdy tylko przyłożyła głowę do zwinętej bluzy od munduru, która miała posłużyć jej za poduszkę, zasnęła natychmiast.

*

– Zaczyniesz dziś – obudziła ją kobieta. Za oknem było już jasno. – Zwykle będziesz przychodzić tuż przed godziną policyjną, ale przed pierwszym występem musisz przyjść wcześniej.

– Dlaczego? – spytała Anna, choć nie była pewna, czy ma prawo o cokolwiek pytać.

– Ponieważ muszę cię przygotować...

– To znaczy?

– Zrobić z ciebie kobietę elegancką. Tak nie możesz pokazać się ludziom.

Zatorska poczuła się zawstydzona. Schowała brudne paznokcie.

– A teraz poprawię ci fryzurę, bo wyglądasz jak czupiradło, i spotkasz się z dyrektorem. Do niego należy ostatnie słowo, to, czy dostaniesz tę pracę, czy nie.

Staruszka poprowadziła ją wąskim, ciemnym korytarzem. Odgłos ich kroków tłumił gruby dywan. Annie zdawało się, że kobieta musi słyszeć dudnienie jej serca. Wreszcie stanęły przed lśniącoymi drzwiami nieopatrzonymi żadną tabliczką. Staruszka zapukała.

– Wejść! – usłyszały zza drzwi tubalny głos.

– To ta, o której mówiłam panu dyrektorowi – zaczęła bez wstępów kobieta i popchnęła Annę do przodu. We wnętrzu unosił się zapach prawdziwej kawy.

Dyrektor podniósł wzrok. Był potężnym, otyłym mężczyzną o przerzedzonej czuprynie zaczesanej na gładko i mięsistych wargach.

Dziewczyna stanęła na środku ogromnego pokoju. Wzrok dyrektora powoli przesuwał się po jej ciele, a ona miała wrażenie, że jest naga. Z trudem powstrzymywała odruch nakazujący jej zasłonić piersi.

– Możesz odejść – odezwał się dyrektor po chwili, która wydawała się Annie nieskończenie długa.

Nie wiedziała wprawdzie, czy oględziny wypadły pomyślnie, mimo to odetchnęła z ulgą, że nie musi tu dłużej stać. Ruszyła w stronę wyjścia.

– Nie ty – zatrzymała ją staruszka, a Zatorska dostrzegła w jej oczach współczucie. – Pan dyrektor mówił do mnie.

– Ale... – Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale kobieta powstrzymała ją ruchem głowy.

– Im szybciej będziesz to miała za sobą, tym lepiej, wierz mi – szepnęła, pochylając się w stronę Anny i udając, że poprawia jej skrzycone naprędce loki.

Gdy za staruszką zamknęły się drzwi, dyrektor dźwignął się z krzesła. Obszedł biurko i oparł się o blat po przeciwnej stronie.

– Podejdz. – Skinął na Annę.

Nogi miała jak z waty, mimo to podeszła. Potrzebowała tej pracy i zamierzała ją zdobyć. Gdy była już całkiem blisko, dyrektor chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Świat zawirował jej przed oczami. Poczowała na szyi wilgoć mięsistych warg. Wstrząsnęły nią mdłości. Wyprostowała się gwałtownie.

– Proszę natychmiast mnie puścić! – wykrzyknęła piskliwie, bo gardło miała zaciśnięte z przerażenia.

Dyrektor uśmiechnął się jak lis polujący na ofiarę i znów pociągnął ją ku sobie. Anna zaczęła się szamotać.

– Proszę zostawić mnie w spokoju! – krzyczała, jednocześnie usiłując za wszelką cenę zasłonić piersi, ku którym wyraźnie zdążyły błędzące po jej ciele dłonie mężczyzny.

– Rozmyśliłem się – powiedział nagle, odsuwając się od niej. – To twoje zawstydzenie jest nawet urocze. Z pewnością znajdzie się ktoś chętny zapłacić okrągłą sumę, by pozbawić cię tego rumieńca.

Zachichotał rubasznie. Anna słyszała jego słowa, ale nie pojmowała ich sensu. Kręciło jej się w głowie.

Czuła się jak skazaniec, któremu odroczone wyrok śmierci. Nie myślała o tym, co miało kiedyś nastąpić. Wypełniła ją bezbrzeżna ulga, że teraz zostało to od niej odsunięte.

Żywiła nadzieję, że dyrektor pozwoli jej odejść, ale on pociągnął za klamrę pasa u spodni. Metaliczne brzdęknięcie odbiło się złowrogim echem w głowie oszołomionej dziewczyny.

– Nie odmówię sobie jednak przyjemności zostania twoim nauczycielem – kontynuował, jednocześnie rozpinając kolejne guziki spodni. Anna patrzyła jak zahipnotyzowana, niezdolna uczynić żadnego ruchu. – Pokażę ci, jak zaspokoić mężczyznę, nie tracąc cnoty.

Anna z przerażeniem pokręciła głową. Chciała się odsunąć, ale dyrektor znów chwycił ją mocno za nadgarstek. Drugą ręką sięgnął pomiędzy poły rozpiętych spodni. Dziewczyna czuła, że żółć podchodzi jej do gardła. Zamknęła oczy. Dyrektor siłą zmusił ją, by go dotknęła. Wstrząsnęły nią torsje, a łyż jedna po drugiej wymknęły się spomiędzy mocno zaciśniętych powiek.

A potem policzek zapiekł ją od mocnego ciosu, który spadł na nią niespodziewanie.

– Nie, tak się tego nie robi. Nie mazgaisz się. Uśmiechasz. Uśmiechasz, słyszysz? Patrzysz mi prosto w oczy. No już – warknął.

Posłusznie otworzyła oczy.

– Ani na chwilę nie odwracasz wzroku, tylko mocniej zaciskasz palce. O tak.

Oddech dyrektora przyspieszył, a potem usłyszała jęknięcie i coś lepkiego spłynęło jej po dłoni. Mężczyzna rozluźnił uścisk i odetchnął głęboko.

– Lekcja pierwsza zakończona sukcesem – powiedział, zapinając spodnie. – Zaczynasz jutro.

Anna jak w transie wyszła z hotelu. Czuła się brudna. Przysięgła sobie, że już nigdy tam nie wróci.

Ucieszyła się, gdy po wejściu do pokoju przywitała ją cisza. Miała nadzieję, że Andrzej wyszedł wcześniej na służbę, a Antoś z ojcem jeszcze spali i nikt nie zauważy jej nocnej nieobecności.

Po chwili jednak zorientowała się, że Antoś leży na podłodze.

– Aniu...

Kwilenie dziecka sprawiło, że natychmiast zapomniała o wszystkim.

– Aniu...

Zatorska przypadła do niego. Pochyliła się nad braciszkiem i pocałowała go w rozpalone czoło. Miał wysoką gorączkę.

– Jestem tu – zapewniła. – Jestem.

Na twarzy dziecka odmalowała się ulga.

– Gdzie tata? – spytała, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Poszedł cię szukać – odparł słabo chłopiec.

Co ja narobiłam? – pomyślała, ale zaraz przywołała samą siebie do porządku. Na razie musiała zaopiekować się braciszkiem, później pomartwi się, jak wyjaśnić to wszystko ojcu.

Podniosła chłopczyka i położyła go w jego łóżeczku. Gdy otuliła go kołdrą, przymknął powieki.

– Czy ja umrę, Aniu? – zapytał, nie otwierając oczu. – Tak jak mamusia?

Dziewczyna poczuła bolesny skurcz żołądka. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie miała pojęcia, co mu dolega, ani pieniędzy, by wezwać doktora na prywatną wizytę. Być może Andrzej zdoła wystarać się o kwit na wizytę społeczną, ale skutek jego zabiegów może być różny. Chętnych było o wiele za dużo, by lekarze mogli obsłużyć wszystkich.

Zmieniała braciszкови okłady, poiła wodą z resztkami cukru, ale nie przynosiło to żadnych rezultatów. Czuła się bezradna jak nigdy

przedtem. Tęskniła za matką, która na pewno wiedziałaby, jak pomóc malcowi.

– Bo wiesz, Aniu, ja to bym chciał jeszcze trochę żyć – odezwał się znowu chłopiec, słabym głosem. Słowa oddzielały od siebie głośnie świsty niezdrowego oddechu. – I zobaczyć znowu Wisłę. I puszczać stateczki – zakończył sennie.

Anna czuła, że musi się czymś zająć. Echo słów braciszka rozdzierało jej serce. Sięgnęła do miski, zamoczyła szmatkę i odcisnąwszy wodę, przyłożyła ją do gorącego czoła dziecka. Antek wzdrygnął się, ale nie otworzył oczu.

Zmieniała bratu opatrunki jak w transie.

– Masz kwit? – Przypadła do Andrzeja, którego wcześniej zdołała powiadomić o złym stanie Antosia.

Sine kręgi pod oczami świadczyły o tym, jak bardzo był zmęczony, ale nie zamierzała się nad nim litować. Teraz najważniejszy był Antos.

– Zdobyłeś je? – dopytywała ostro.

– Wszystkie zostały już rozdane – odpowiedział Andrzej i spuścił wzrok. – Pytałem dyżurnego lekarza Służby Porządkowej, ale powiedział, że nie chodzi z wizytami domowymi.

– Franek z pewnością pomoże nam zawieźć Antka do niego! – wykrzyknęła, ujrawszy światelko w tunelu. Mimo nieprzespanej nocy poczuła nagły przypływ energii. – Zaraz do niego pójde. Na pewno mi nie odmówi.

– Wiesz, on powiedział to w taki sposób...

– O czym ty mówisz?

– O doktorze. On... on tak naprawdę odmówił.

Anna miała wrażenie, jakby ktoś nagle spuścił z niej powietrze.

– Odbywa tylko płatne wizyty.

– Przecież jest lekarzem, na miłość boską!

– Może ty zapytasz w szpitalu? – zasugerował. – Chodzisz tam na jakieś praktyki, prawda?

– Przecież nikogo nie znam osobiście! – krzyknęła zrozpaczona. – Wiesz, jak to jest, gdy dopiero się przyuczysz, wszyscy traktują cię z góry. Andrzej, zrób coś!

– Chwilowo nie mam siły na nic więcej. – Brat przerwał potok jej wyrzutów. – Muszę się położyć.

– Znowu zostawiasz mnie samą ze zmartwieniem! – rzuciła oskarżycielsko.

– A co innego mogę zrobić?! Przecież próbowałem.

– Niedostatecznie mocno – odcięła się, choć czuła, że jest niesprawiedliwa. Musiała jednak dać upust kłębiącej się w niej bezsilnej wściekłości.

– Być może – zgodził się Andrzej.

Wyminął ją i padł na posłanie obok nieprzytomnego Antosia.

Anna nie wiedziała, co rozwścieczyło ją bardziej. To, że Andrzejowi nie udało się załatwić kwitu, czy ta jego rezygnacja. Usiadła wprost na podłodze i ukryła twarz w dłoniach.

Było coś jeszcze. Wiedziała, że to ona może spróbować uratować braciszka, ale cena była bardzo wysoka. Aż do tej chwili miała nadzieję, że Andrzej ocali nie tylko Antosia, ale i ją. Teraz nie miała już złudzeń. Musiała wrócić do hotelu.

*

– To ty! – Staruszka nie wydawała się zdziwiona jej nagłym pojawieniem się.

Anna przytaknęła.

– Każda wraca – odparła tamta.

W milczeniu przeszły przez ciemnawy korytarz. Staruszka otworzyła szafę.

– Wybierz sobie sukienkę – poleciła. – Najlepiej długą i z rękawami. Musimy cię trochę odżywić, zanim będziesz mogła pokazać więcej ciała.

Na dźwięk tych ostatnich słów zółć znów podeszła Annie do gardła. Z trudem powstrzymała mdłości.

– Przywykniesz – powiedziała kobieta, najwyraźniej dobrze rozumiejąc, co dzieje się z dziewczyną. – Człowiek jest w stanie przywyknąć do wszystkiego.

Anna usiłowała zapanować nad zalewającą ją falą paniki zmieszanej z obrzydzeniem. Wspomnienie tego, co wydarzyło się w gabinecie dyrektora, napawało ją wstrętem, a myśl, że kiedykolwiek mogłoby się to powtórzyć, ją przerażała. Nie, ta kobieta nie miała racji, Anna była pewna, że nie zdoła przywyknąć do wszystkiego.

Wzięła głęboki wdech, a potem wypuściła powietrze. Musiała się opanować. Potrzebowała pomocy tych ludzi. Nie dla siebie, dla Antosia.

– Mam prośbę – odważyła się zagadnąć, gdy staruszka układała jej loki.

– Tak?

– Potrzebuję lekarza.

– Od razu wiedziałam, że musisz mieć jakiś cel.

– Chodzi o mojego brata. Jest mały. – Głos jej się łamał. – Od kilku dni ma gorączkę. Nie potrafię mu pomóc.

– Biedne dziecko – westchnęła staruszka, a Anna nie była pewna, czy mówi o Antosiu, czy może o niej samej. – Podaj mi adres i idź do domu. Wróc tu jutro. Będziesz miała dług do spłacenia.

*

Umówiony przez staruszkę lekarz długo osłuchiwał chłopca. Wreszcie zdjął stetoskop i wciąż w milczeniu odgarnął włosy z czoła Antosia. To właśnie ten gest sprawił, że Anna się zaniepokoiła.

– Doktorze, co z nim? – szepnęła.

– To gruźlica – rzekł po chwili, nie patrząc na nią.

– Ale coś się da zrobić, prawda? – spytała, z nadzieją wbijając w niego wzrok.

Lekarz uśmiechnął się smutno.

– Nie tu, droga pani.

Anna poczuła, że brakuje jej powietrza. Pociemniało jej w oczach, a świat wokół zaczął niebezpiecznie się oddalać, jakby miała zaraz stracić przytomność. Z całej siły zacisnęła palce na ramie łóżka. Chłód metalu powoli przywracał ją do rzeczywistości. Lekarz mógł się mylić. Antos żył i musiała zrobić wszystko, by zatrzymać go na tym świecie.

– Doktorze, mam pieniądze... – zapewniła drżącym głosem. – Ja będę miała pracę, dobrze płatną. Zdobędę wszystko, co potrzeba...

– To na nic, proszę mi wierzyć – przerwał medyk i posłał jej współczujące spojrzenie. – Trzeba by go wysłać do sanatorium w górach, gdzie panuje niższe ciśnienie i miałyby suche, świeże powietrze, ale to oczywiście niemożliwe. W dodatku w tym stadium zaawansowania choroby nie jestem pewien, czy nawet to na cokolwiek by się zdało.

– Doktorze, musi być jakieś wyjście. Zawsze jest – przekonywała coraz rozpaczliwiej, wyraźnie wyczuwając rezygnację mężczyzny. Chciała, żeby walczył o życie Antosia. Pragnęła, by dał jej jakąkolwiek nadzieję, coś, czego mogłaby się uchwycić. – Zrobię wszystko – zapewniała. – Załatwię każdy lek...

– Proszę posłuchać...

– Nie, to pan musi mnie posłuchać, doktorze. – Anna powoli traciła panowanie nad sobą. Kłębiące się w niej emocje domagały się ujścia. Łzy same jedna po drugiej zaczęły spływać jej po policzkach, coraz szybciej i szybciej. Głos wiązał jej w gardle. – Musi pan zrozumieć. Ja... To mój braciszek... On chce żyć. Powiedział mi to... Powiedział... On musi znów zobaczyć Wisłę i zwodować stateczki.

Tama puściła. Anna opadła na kolana, wciąż nie odrywając dłoni od ramy łóżka, i rozszlochała się na dobre. Lekarz stał w milczeniu, czekając, aż się uspokoi.

– Co teraz... – wychlipała, gdy ucisk w piersi zelżał odrobinę. – Co mam zrobić?

– Proszę pozwolić mu odejść – odparł cicho doktor. Anna wciągnęła głośno powietrze, ale nie przerywała, gdy kontynuował: – Wiem, że nie powinienem tak mówić, ale w tym piekle śmierć bez opuchliny głodowej, we własnym łóżku, w czystej pościeli, w otoczeniu bliskich wydaje mi się czasem cenniejsza od życia. Jest taka zwyczajna. Zasłużył na nią.

Anna pokręciła głową. Nie mogła się na to zgodzić, nie mogła się poddać, choć jakaś część jej duszy wiedziała, że doktor ma rację.

– Proszę pozwolić mu odejść – powtórzył lekarz i nie czekając na zapłatę, wyszedł z pokoju.

Jego słowa przebrzmiewały echem w uszach Anny, która czuła, jak jej serce kruszy się w pył.

*

Antoś zmarł kilka dni później – spokojnie, we śnie. Dzięki staraniom księdza Godlewskiego został pochowany z matką.

– Są już razem – powiedział pan Zatorski, obejmując ramieniem córkę.

Anna odruchowo przyłgnęła do niego, ale wciąż nic nie czuła. Miała wrażenie, jakby ktoś nałożył na nią przezroczysty klosz, oddzielający ją od wszystkiego, co działo się wokół. Dźwięki dochodziły do niej z oddali, nie czuła wiatru we włosach ani ciepła słońca, które wyszło zza stalowych chmur, gdy karawan z małą trumną opuszczał bramy getta.

Następnego dnia ze złamanym sercem i pękniętą duszą po raz pierwszy wystąpiła na scenie hotelu „Britania”. Przyrzekła sobie, że dopóki żyje, nikt więcej z jej rodziny nie umrze z powodu choroby

czy z głodu. Było jej obojętne, co ją czeka, co się z nią stanie. Nigdy więcej nie pozwoli głodować ojcu czy Andrzejowi, choćby miało ją to kosztować życie.

Rozdział 8

– O proszę, w getcie po ponad roku zamknięcia uchowali się jacyś bogacze – powiedział Andrzej, przewracając stronę gazety.

Anna wzdrygnęła się jak człowiek przyłapany na gorącym uczynku.

– To znaczy? – spytała, byle powiedzieć cokolwiek.

Od rana bolała ją głowa i czuła się rozdrażniona. Ogarnęła wzrokiem stół ze śniadaniem. Kilka kromek kartkowego chleba, kawałek margaryny, pozbawiona smaku marmolada dyniowa. Najchętniej poszłaby na Koźłą i bezpośrednio od szmuglerów kupiła kiełbasę, ser i warzywa, a do tego alkohol, bez którego coraz trudniej było jej znieść poranki, najlepiej zaś szampana. Wiedziała jednak, że musi się ukrywać. Zaledwie część zarabianych pieniędzy przeznaczała na utrzymanie, resztę odkładała na czarną godzinę, gdyby zaszła konieczność poczynienia większych wydatków. W czasie kryzysu nikt nie będzie pytał, skąd ma te pieniądze. Będą się cieszyć, że mają za co wydobyć kogoś z łap Niemców czy opłacić lekarza. Teraz jednak musiała utrzymywać swoje zarobki w tajemnicy. Ani ojciec, ani Andrzej nie uwierzyliby przecież, że wciąż ucząca się przyszła adeptka pielęgniarstwa na nocnych zmianach w szpitalu zarabiała takie kwoty.

– Posłuchaj tego – rzucił Andrzej, szeleszcząc gazetą. Ręce miał powalane tuszem, bo prasa wychodząca w getcie była słabej jakości, ale to nie przeszkadzało mu w codziennej lekturze. – Hotel „Britania”...

Zimny dreszcz przeszedł Annie po plecach. Serce załomotało jej w piersi. Oddech przyspieszył. Szybko sięgnęła po kawałek chleba i zaczęła nerwowo rozsmarowywać na nim twardą margarynę.

– ...pokoje do wynajęcia miesięcznie – czytał Andrzej. – Rozumiesz? Ktoś może wynająć sobie pokoje w hotelu na miesiąc!

– Mhm... – mruknęła, udając pochłoniętą smarowaniem. Tymczasem całą sobą w napięciu czekała na ciąg dalszy.

– Centralne ogrzewanie, wszelkie wygody, ceny od złotych stu dziesięciu.

Ta kwota nie zrobiła na Annie wrażenia. Wiedziała, jak bawili się ludzie w „Britanii”, wiedziała, na co było ich stać.

– Sto dziesięć złotych za miesiąc. A, i to jest cena „od”, czyli równie dobrze ktoś może płacić i dwieście.

Anna rozumiała jego wzburzenie.

– Dwieście złotych... – powtórzył z niedowierzaniem ojciec. – Kogo stać na coś takiego?

– Wyjątkowych skurw...

– Andrzej! – upomniała go siostra.

– Przepraszam, tato – pomiarkował się natychmiast młody Zatorski.

Anna podniosła do ust nierówno posmarowaną kromkę, ale nie zdołała się zmusić do jedzenia. Odłożyła chleb na talerz.

– Nie jesz? – zapytał po chwili Andrzej.

Pokręciła głową i przesunęła naczynie w jego stronę.

– To ja zjem – rzucił i dwoma kęsami pochłonał chleb.

Anna popatrzyła na brata ze współczuciem. Był głodny. Postanowiła, że zrobi mu niespodziankę.

*

– Skąd to wszystko? – zapytał parę godzin później ojciec, patrząc na córkę, która właśnie wróciła do domu z siatkami pełnymi zakupów. Od nocy, w której zniknęła, gdy Antoś ciężko zaniemógł, w głowie pana Zatorskiego mnożyły się kolejne pytania. Przywykł jednak do milczenia na tyle, że nie odważył się ich zadać, a potem śmierć Antosia sprawiła, że na chwilę zapomniał o dręczących go podejrzeniach. Teraz jednak wszystkie wątpliwości znów się pojawiły.

Anna odwróciła wzrok. Pochyliła się nad jedną z toreb, udając, że czegoś w niej szuka. Po chwili zaczęła wyciągać na stół rozmaite wiktuały.

– Przecież mówiłam już, że dziś jeden z pacjentów...

Trzasnęły drzwi.

– O, a co to za święto?! – wykrzyknął Andrzej, którego wzrok od progu przykuły leżące na stole przysmaki. Nie zważając na nic, sięgnął do talerza, wziął spory kawałek kiełbasy i wepchnął sobie do ust.

– Usiłuję właśnie ustalić i dowiedzieć się, skąd to wszystko się wzięło – powiedział ojciec.

– Tato, w tych dniach nie pyta się o nic, tylko cieszy się z tego, że jest – tłumaczył Andrzej, nic sobie nie robiąc z tego, że mówi z pełnymi ustami. – Zwłaszcza gdy idzie o jedzenie. I to jakie! Kiełbaska jak przedwojenna, z czosnkiem i ziołami.

Ojciec dłuższy czas patrzył na Annę. Nie powiedział nic więcej, ale ona i tak widziała w jego oczach pytania, których znów nie odważył się zadać. Poczula coś na kształt złości. Przez chwilę zapragnęła, by ojciec zażądał wyjaśnień, by wymógł na niej opowiadanie wszystkiego, a poznawszy prawdę, surowo zakazał takiego życia. Potrzebowała, by obronił ją przed nią samą, ale on milczał. Znów przymknął oczy, wycofał się w głąb siebie, zostawiając ją.

– Powieś palto, umyj ręce i siadamy do stołu – poleciła bratu nieco zbyt ożywionym tonem, którym próbowała zagłuszyć żal.

– Tak jest! – rzekł Andrzej i chciał wziąć jeszcze kawałek kiełbasy, ale Anna klepnęła go po palcach.

– Najpierw umyj ręce!

– Nie musisz mi dwa razy powtarzać – rzucił, obracając się wokół własnej osi i kierując w stronę urządzonej za przepierzeniem umywalni. – Nie jestem dzieckiem!

– A zachowujesz się całkiem jak dziecko – stwierdziła, kręcąc głową, choć w geście tym było więcej pobłażliwości niż oburzenia.

Rozdział 9

Druga jesień po zamknięciu bram getta nadeszła zdecydowanie zbyt szybko. Mówiono, że około sześćdziesięciu pięciu procent mieszkańców nie miało już jakichkolwiek oszczędności. Wybuchła epidemia duru brzuszego i plamistego, jakby spełniając przepowiednię Ludwika Fischera, który wieszczyl, że „Żydzi będą ginęli z głodu i nędzy, a z kwestii żydowskiej pozostanie cmentarz”. Tłąca się dotąd nadzieja zdawała się dogasać.

W grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku z terenu getta wyłączono Cmentarz Żydowski. Z dnia na dzień zamurowano wejścia, postawiono zakazy. Oficjalnym powodem był nielegalny szmugiel. Przez cmentarz potrafiono pędzić nawet krowy do szochetów, mimo zakazów nadal parających się ubojem rytualnym. Franek był przerażony. Wprawdzie jego własne interesy toczyły się głównie wokół Koźlej, a wyeliminowanie szmuglu przez cmentarz mogło tylko przyczynić się do wzrostu jego dochodów, ale nie mógł wyobrazić sobie skutków odcięcia tego szlaku przerzutu żywności dla całego getta. Podejrzał, że śmiertelność z powodu choroby głodowej wzrośnie, a druga zima zamknięcia okaże się dla mieszkańców o wiele tragiczniejsza w skutkach niż pierwsza.

– A ty gdzieś się podziewał? – zapytał Marek, który od kilku godzin z niepokojem wypatrywał przyjaciela, wędrując tam i z powrotem ciemnym korytarzem mieszkania Kajzera.

– Chyba powinienem zadać ci to samo pytanie, skoro ty mnie o to pytasz – odparł Franek.

– E... chyba nie łapię – przyznał Goldman. – Nawet jeśli powinienem coś wiedzieć, nie mogę, bo dopiero co wracam. Trzy dni byłem na adresie w „alei neofitów”.

– Na Siennej?

– Co z tobą, Franek? Czemu się tak dziwisz? Przecież sam mi nagrałeś tę robotę. Miałem zrobić w mieszkaniu skrytkę na kosztowno-

ści, nie pamiętasz? Swoją drogą wyszła koncertowo, dokładnie pod progiem drzwi balkonowych. Cienka, że ledwo dłoń się mieści, i na dłoń głęboka. Wszystko idealnie spasowane. Nikt się nie połapie.

Zaaferowany, dopiero teraz na kilka chwil skupił wzrok na przyjacielu.

– Nowa fryzura – zauważył.

Franek podniósł dłoń do głowy i przejechał po krzywo przyciętej szczecinie.

– Za gorąco mi było ostatnio – zażartował ponuro, bo w tych dniach temperatury nadal trzymały się mocno poniżej zera.

– Powiesz mi wreszcie, co się stało? – poprosił poważnie Marek.

– Niemcy się stali – odrzekł Kajzer. – Ta cholerna niemiecka zaraza i ich wyrafinowane metody dręczenia niewinnych ludzi.

– Łapanka?

– Parówka – bąknął Franek.

Marek szybko zdjął z głowy czapkę i podał przyjacielowi.

– Zakładaj, bo się pochorujesz – polecił.

– Skąd! Przymusowa dezynfekcja wybiła ze mnie wszystkie bakterie.

– Nie błaznuj, tylko zakładaj czapkę!

Franek posłusznie wcisnął nakrycie na głowę.

– Będę zdrow jak ryba, zobaczysz. Ja i połowa naszej kamienicy. Tyfus będzie nas omijał szerokim łukiem. Bakterie będą padać na sam widok naszej bramy.

– Chodźmy do mnie. Mam mleko. – Marek odchylił klapę torby z narzędziami, pokazując przyjacielowi butelkę. – Prawdziwe, nie rozwodnione. Zrobię ci z czosnkiem, a ty opowiesz mi, jak to się odbyło.

Parę minut później Franek siedział na łóżku Marka przykryty kilkoma kocami i powoli popijał ciepły napój.

– Wieczorem chyba właśnie tego dnia, kiedy byłeś pierwszą noc na robocie, gruchnęła informacja, że nasz adres wyznaczono na inspekcję lekarską.

– Zła wróżba – westchnął Marek.

– Gorsza od nalotu. Przynajmniej nasi sąsiedzi bardziej się przejęli. Zaczęło się gorączkowe bieganie po piętrach, sprzątanie, wynoszenie do piwnic balii z niedosuszonym praniem, dotąd spokojnie wiszącym w mieszkaniu. Przez całą noc słychać było odgłos twardych szczotek szorujących ściany, schody, podłogi. No i wietrzenie, wszędzie okna pootwierane, lodowato tak, że mózg zamarzał.

Na samą myśl Marek aż się wzdrygnął i zaplótł palce na ciepłym od mleka blaszanym kubku.

– Ciężko było oko zmrużyć, ale od rana znowu się zaczęło. Co chwilę tylko któraś z sąsiadek wołała na klatce: „Lekarz już jest?”. No i wreszcie przyszła inspekcja. Zamknęli bramę, żeby przypadkiem nikt się nie wymknął, na co, prawdę mówiąc, sam miałem wielką ochotę i dlatego niezbyt się tymi wszystkimi porządkami przejmowałem. Tak czy owak, komisja nie była w najlepszym humorze. Założę się, że to przez to zimno. Nic im się nie podobało. I chociaż u nas nikt chory nie był, nakleili nam kartkę po szwabsku i po polsku, że „dur plamisty”, i zarządzili parówkę. Żebyś ty widział, co się tu działo!

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wiele gospodyń znali od dziecka i Marek doskonale potrafił sobie wyobrazić lamenty jednych, jęki drugich i kłótnie wyrzaskiwania trzecich.

– Rzeczy latały z okien, baby krzyczały, mężczyźni próbowali coś tłumaczyć i raz po raz który w gębę zarobił – ciągnął Franek. – A potem ustawili nas w kolumnę, żeby zabrać na dezynfekcję. Nie wszyscy zdążyli się ubrać, bo inspektorzy oglądali nawet gacie, które ludzie mieli na tyłkach. Dobrze, że ze mną nie próbowali, bobym im dał lekcję.

Marek uśmiechnął się pod nosem, wyobraziwszy sobie, jak inspektor próbuje obejrzeć dokładnie bieliznę Pelcowej spod ósemki, której ogromny tyłek i wielka cnotliwość były słynne w całej dzielnicy.

– Wszystko, co uznali za skażone, zrzucali na wielki stos i mówili, że zaraz będą podpalać, coby się zaraza nie szerzyła. Wtedy dopiero podniósł się lament!

– Aż boję się próbować sobie to wyobrazić.

– I słusznie – skwitował Franek i upił spory łyk mleka. – Ja miałem szczęście, bo do mnie nawet nie zajrzeli.

– Jak to?! – zdziwił się Marek.

– No przecież ci mówię, że to jacyś dziwni ludzie byli. I zamiast od dołu, zaczęli leżeć od góry. Najpierw wspięli się na najwyższe piętra i tam sprawdzali.

– Faktycznie, dziwne.

Kajzer wzruszył ramionami.

– Ja tam się cieszyłem, bo mi bajzlu nie zrobili, chociaż rzeczy i tak wieczorem wyniosłem i schowałem w kominie.

– Sprytnie, sprytnie.

– Wśród tego płaczu i szczękania zębami z zimna zapędzili nas do łaźni. Przed łaźnią kolejka. Widać inspektorzy szczególnie upodobali sobie sezon zimowy.

– Żeby dodatkowo Żydów podręczyć, bo przecież mało im na co dzień – bąknął Marek.

Wstał po ronderek i rozlał im do kubków resztę mleka.

– Ze dwóch, na szczęście nie od nas, padło w tej kolejce. Zamarzli na kość, ale nikt się tym specjalnie nie przejął. No, może tyle, że ludzie zbili się jeszcze ciaśniej, żeby było cieplej.

– Ile tak staliście?

– Nie wiem, straciłem rachubę czasu, ale jak wchodziłem do środka, to było już całkiem ciemno. Potem musieliśmy się rozebrać

do naga. Wszyscy, i kobiety, i mężczyźni.

Marek znów mimowolnie pomyślał o Pelcowej.

– Ubrania wzięli do odkazania, a nas ogolili.

– Kobiety też?

– No a jak. Szkoda mi niektórych było, bo takie ładne warkocze jednym ciachnięciem obcinali, aż przykro było patrzeć. A golili wszędzie.

– Wszędzie? – Marek odkaszlnął, lekko krztusząc się mlekiem.

– Wszędzie – przytaknął Kajzer. – No i wielki finał, czyli porządny prysznic.

– Ciepły przynajmniej? – zapytał Marek, byle powiedzieć cokolwiek, bo zawstydyził się poprzedniego pytania.

– A gdzie tam! – zachnął się Franek. – Brakło węgla. Lodowaty. Idę o zakład, że wielu umrze na płuca po tych zabiegach.

– Dobrze, żeś cały i zdrow.

– Chwilowo... – bąknął Franek, któremu naraz zrzędła mina. – Pochoruję się jak nic.

– Lucynka na pewno będzie zachwycona tą zmianą – zażartował Marek, chcąc rozchmurzyć nieco przyjaciela. Wiedział, co było powodem jego zmartwienia. Choroba oznaczała brak możliwości pracy, a Franek szmuglował jedzenie nie tylko dla własnego zysku, ale i pomagał wielu biedakom. Bez niego nie daliby rady przetrwać nawet paru dni.

– Wiesz, siedząc tam, miałem dużo czasu na myślenie... – zaczął Franek dziwnym, jakby nie swoim tonem.

– Chwali się, chwali.

– Myślałem o miłości – wypalił Kajzer.

Marek natychmiast spoważniał i teraz przyglądał się przyjacielowi, czekając, co powie.

– Myślałem o Noemi i o Annie, i o Lucynce... – Franek urwał, jakby brakowało mu słów albo nie wiedział, w jakie wyrazy ubrać własne myśli. – Wiesz, zdaje mi się, że miłość zaczyna się wtedy, gdy o kogoś troszczysz się bardziej i chcesz dla tej osoby lepiej niż dla samego siebie – powiedział z wysiłkiem.

Zawsze z wielkim trudem przychodziło mu szczerze rozmawiać o uczuciach. Dlatego zwykle chował się za żartami, tak było łatwiej.

– Wiesz, jesteś z dziewczyną nie dlatego, że jest piękna i wszyscy ci zazdroszczą, tylko... Tylko dlatego, że chcesz, żeby była szczęśliwa, i chcesz na to patrzeć. Gdy wyszliśmy z parówki, nieopodal na chodniku stał chłopak. Wyglądał na zziębniętego, jakby czekał przez cały ten czas. Szybko odnalazł dziewczynę, którą ogolono na łyso. Podszedł do niej, okrył ją swoim płaszczem, a potem pogłaskał po ogolonej głowie z taką czułością... To była miłość, prawdziwa miłość, taka na przekór wszystkiemu.

Marek przez chwilę trawił te słowa. Dokładnie rozumiał to, o czym mówił Franek. Znał dobrze to pragnienie, ten stan, gdy zapominał o sobie, a po głowie tłukło mu się pytanie, co może zrobić, by choć na chwilę ulżyć Annie. Nie przypuszczał jednak, że Kajzer może to wszystko tak dobrze pojmować. Jego przyjaciel zdawał się kochać jednakowo wszystkie kobiety, małe dziewczynki, dziewczęta piękne i mniej urodziwe, matki, ciotki, sąsiadki, staruszki. Każdą traktował z jednakową atencją i jednakowo im nadskakiwał. Taki po prostu był. Teraz jednak Marek zaczął się zastanawiać, czy i Franek się nie zakochał.

Rozdział 10

Marek leżał na łóżku i patrzył, jak Franek ubiera się w pożyczony od Andrzeja garnitur. Wyglądał żałośnie. Nie dość, że Zatorski był od niego wyższy o głowę, to przedwojenne ubranie wisiało na Franku jak na wieszaku. Mimo to riksarz i szmugler nie tracił właściwej sobie pogody ducha. Z użyciem szpilek i agrahek usiłował nadać całości jakiś kształt.

– Wstawaj i przytrzymaj tu – polecił Goldmanowi.

– Przecież nie będziesz w stanie w tym usiąść.

– Nie muszę siadać – odparł wciąż niezrażony Franek. – Grunt, żeby jakoś wyglądało. Wyraźnie powiedzieli, że obowiązują stroje wieczorowe.

– Nadal nie rozumiem, jak to się stało, że „trzynastkowcy” zaprosili cię na raut.

Na samo brzmienie tego słowa Marek poczuł bolesny skurcz żołądka. „Raut” oznaczał jedzenie, którego w tych dniach bardzo mu brakowało. Był nieustannie głodny. Czasem zdawało mu się, że niemal wszystkie jego myśli krążą wokół pożywienia.

– Mówiłem ci przecież, wrodzony czar.

– Który roztoczyłeś przed bandziorami kolaborującymi ze szkopami? – zadrwił Goldman. – Chyba musisz wymyślić jakąś lepszą gadkę.

– Wiesz, krążą o nich różne plotki, a co z tego jest prawdą, nie wie nikt – mówił Franek, w skupieniu upinając spodnie w okolicach tali. – Teoria nie była zła. Mieli przeciwdziałać wyzyskowi, regulować ceny żywności i takie tam.

– Taaaa, a ponieważ o żywność w getcie trudno, z nudów i bezczynności zajęli się wymuszeniami, szantażem i donosicielstwem – bąknął Marek.

– Szczerze mówiąc, dziś jest mi całkiem wszystko jedno, czym się zajmują – oświadczył Franek, sięgając po kolejną szpilkę. – Jedyne, o czym myślę, to te legendarne stoły zastawione półmiskami.

– Tak, o biesiadach „trzynastkowców” też krążą legendy.

– I mam nadzieję, że akurat one są prawdziwe.

– Pchasz się do jaskini lwa – ostrzegł Marek.

– Nie przeczę – zgodził się przyjaciel. – Ale czego się nie robi dla dodatkowej porcji jedzenia całkiem darmo?

Na ten argument Goldman nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

– No i jak wyglądam? – spytał Franek, wyginając się i próbując dostrzec w szybie, jak się prezentuje.

Marek przyglądał mu się kilka chwil w doskonale udawanym skupieniu.

– No jakby nieco mniej żałośnie – stwierdził wreszcie.

– Doskonale! – ucieszył się Kajzer. – Ten strój zagwarantuje mi wstęp do środka, a potem będzie tarczą zniechęcającą do rozmów ze mną.

– Mniej rozmów, więcej czasu na jedzenie – odgadł zaraz Goldman.

– Otóż to, przyjacielu. – Franek chciał klepnąć Marka po ramieniu, ale gdy próbował podnieść rękę, cała konstrukcja zatrzeszczała niebezpiecznie.

– Chyba nie powinieneś wykonywać zbyt gwałtownych ruchów! – zaśmiał się Marek.

Franciszek Kajzer nie należał do ludzi płochliwych. Przeciwnie – jego śmiałość nierzadko graniczyła z bezczelnością. Lubił jednak swoje usposobienie. Zawsze wydawało mu się, że zuchwałym wszystko przychodzi jakoś łatwiej. Gdy zamknięto getto, szybko przekonał się, że tupet może uratować życie. Nawet Niemcy łatwo ulegali złudzeniu. Kiedy ktoś zwracał się do nich z odpowiednią

dawką pewności siebie, wysoko podnosząc głowę, najczęściej nie zadawali dodatkowych pytań. Franek bez większych trudności przedostawał się na drugą stronę.

Wiosną w getcie pojawiła się nowa grupa meciarzy, których przywódcą był policjant. Szybko zaczęli przeciągać na swoją stronę co obrotniejsze jednostki, rozbijając dotychczas istniejący układ. Także Franek został zaproszony na rozmowę, podczas której uświadomiono mu zakres jego przyszłych obowiązków, zakładający stosowanie przemocy, oszukiwanie na wagach, kradzieże i podział zysków. Gdy nie zechciał tego zaakceptować, przy użyciu pięści i kastetu dano mu wyraźnie do zrozumienia, że nie ma możliwości odmowy – kto nie działał z nowymi, był ich wrogiem. Kajzer postanowił więc jak najszybciej wycofać się z tej działalności. Wiedział, że go obserwują, czekając, aż zmieni zdanie, toteż jeszcze kilka dni przychodził na metę jak zwykle, jakby nic się nie wydarzyło, jakby rozważał zaakceptowanie tego nowego porządku, aż pewnego dnia po prostu zniknął i więcej nie pojawił się na Koźlej. Miał nadzieję, że nie będą go szukać. W getcie ludzie znikali każdego dnia i nikt się już temu nie dziwił.

Teraz działał sam na mniejszą skalę, ale przynajmniej noce przesypiał spokojnie, nie dręczyły go już wyrzuty sumienia, że sprzedawana biedakom żywność jest tak droga, żeby meciarze mieli odpowiedni zysk. W skrzyni pod siedzeniem swojej rikszy szmuglował jedzenie do getta. Wiedział, że to, co sprzedawa handlarzom, trafi na rynek opatrzone dużo wyższą ceną. Miał świadomość, że mógłby się porządnie dorobić, a mimo to nie potrafił się przemóc. Zarabianie na cudzej krzywdzie i cierpieniu wydawało mu się przerażające. Wreszcie przestał bić się z myślami. Odrzucił pokusy i jak zawsze jakoś wiązał koniec z końcem. By zapewnić sobie bezpieczeństwo, dbał o prywatne kontakty ze Służbą Porządkową, granatowymi policjantami i „trzy-nastkowcami”. Wielu z nich lubiło grać w karty, w której to dziedzinie Franek nie miał sobie równych, więc okazje do spotkań przytrafiały się same.

Na ten wieczór otrzymał specjalną przepustkę. Szedł więc przez na wpół uśpione miasto i miał wrażenie, jakby sam śnił. Tak dawno nie

włóczył się nocą po mieście. To była kolejna całkiem zwyczajna rzecz, jedna z tych, których istnienia niemal się nie dostrzega, gdy się je ma. Zabronienie tego było kolejnym elementem wolności odbieranej po kawałeczku tak małym, że niemal niedostrzegalnym, kolejną przebiegłą torturą, którą trudno oficjalnie nazwać przemocą.

Gdy Kajzer okazał zaproszenie, portier z wyraźną niechęcią otworzył przed nim szklane drzwi. Franciszek uśmiechnął się szeroko i zamaszystym krokiem wszedł do środka. Zaraz jednak przystanął i nie mógł się poruszyć. Spodziewał się stołów pełnych smakołyków, ale to, co ujrzał, wywołało w nim głęboki wstrząs. Zdawało mu się, że na blatach pokrytych śnieżnobiałymi obrusami znajduje się wszystko, o czym mógłby marzyć.

– Jestem w raj – szepnął do siebie, zacierając ręce.

W połowie kanapki z wołowiną i warzywami pojął, że jego żołądek odwykł od jedzenia dużych ilości w krótkim tempie. Zrobiło mu się niedobrze.

– Wódka – stwierdził. – Oto, czego mi trzeba.

Skierował się w stronę baru, przy którym sztywno wyprostowany kelner serwował gościom napoje wysokoprocentowe.

– Na jedną nóżkę – poprosił Franek, kilka razy uderzając rytmicznie w barowy blat.

Kelner spojrział na niego podejrzliwie, ale bez słowa podał zamówienie. Kajzer jednym haustem wychylił zawartość kieliszka. Znajome ciepło rozlało się po jego wnętrzu, a żołądek w jednej chwili się uspokoił.

– I na drugą, panie kochany – rzucił raz jeszcze w stronę kelnera.

Tym razem wziął kieliszek ze sobą i wrócił do stołów z jedzeniem. Nałożył na talerz plaster mięsa, gotowane warzywa oraz ziemniaki i wszystko obficie polał gęstym sosem ze srebrnej sosjerki, który pachniał jak ziołowe masło.

Franek wsadził serwetkę za kołnierz, by nie powalać eleganckiej koszuli Andrzeja, i zabrał się do jedzenia.

W miarę jak zaspokajał apetyt, zdawało mu się, że powraca do rzeczywistości. Powoli zaczynał dostrzegać eleganckie suknie i nienagannie skrojone fraki opinające dobrze odżywione ciała, jakich nie widział od wielu miesięcy. Dyskretnie wygładził koszulę, jakby dopiero teraz naprawdę dotarło do niego, jak nędznie musi się prezentować przy nich wszystkich.

Podniósł wzrok i spojrzał na scenę, na której dwie kobiety zwrócone do siebie plecami siedziały na pianinie i machając do taktu zgrabnymi nogami, śpiewały jakąś wesołą niemiecką piosenkę, której Franek nie słyszał nigdy przedtem. Ich jasne rozpuszczone włosy zlewały się w jedno, spływając kaskadami na plecy.

Nagle pianista mocniej uderzył w klawisze. Dziewczęta zerwały się z miejsc i tyłem do publiczności zaczęły tańczyć charlestona, mocno kręcąc pośladkami opiętymi lśniącem materiałem. Publiczność nie posiadała się z radości. Raz po raz ktoś wykrzykiwał uwagi pod adresem tancerek, ktoś inny gwizdał, ktoś klaskał zapamiętale, wołając: „Brawo!”. Franek uśmiechnął się pod nosem. Dobrze pamiętał przedwojenne kabarety, na które chadzał, ilekroć pozwolił mu na to stan portfela, czyli zdecydowanie zbyt rzadko.

– Szukałem cię – usłyszał głos znajomego meciarza, który, o czym wiedzieli nieliczni, należał też do elitarnej grupy „trzynastkowców”.

Rozmowa była krótka i rzeczowa. Franek otrzymał listę dyskretnych zadań, za które miał otrzymać sowitą nagrodę, po czym meciarz zniknął między gośćmi równie nagle, jak się pojawił. Franek nie był szczególnie zadowolony z przebiegu tej rozmowy. Nie znosił, gdy ktoś wydawał mu polecenia, a już tym bardziej, gdy robił to w sposób sugerujący, że jakikolwiek sprzeciw jest nieakceptowalny.

By rozproszyć ponure myśli, podszedł bliżej i stanął na skraju grupy ludzi, którzy z kryształowymi kieliszkami w dłoniach rozmawiali, kołysząc się lekko w takt muzyki z twarzami zwróconymi ku

scenie. Ten wieczór był jak piękny sen i Franciszek Kajzer zamierzał na przekór wszystkiemu używać życia.

O resztę pomartwię się jutro – postanowił.

Tancerki wykonały piruet. Krótkie spódniczki zawirowały w powietrzu, na ułamek sekundy ukazując krągłości pośladków, co wzbudziło kolejną falę radości. Pianista uniósł się lekko na stołku, wkładając całe serce w ostatnie akordy. Tancerki odwróciły się twarzą do publiczności.

Franek poczuł, jak uśmiech zastyga mu na wargach. Przed sobą na scenie ujrzał Annę Zatorską.

Po skończonej piosence przyłączył się do oklasków, nie odrywając wzroku od dziewczyny. W głowie miał całkowitą ciszę. Wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jego natrętne spojrzenie zwróciło w końcu uwagę jej towarzyszkę. Dziewczyna lekko szturchnęła Zatorską i skinęła głową w stronę Franka. Anna ją zignorowała. Zastygła w bezruchu z tym sztucznym uśmiechem, którym obdarzała wszystkich wokół.

Nagle światła przygasły. Druga z dziewcząt prędko zeszła ze sceny. Pianista uklonił się raz jeszcze, po czym znów położył palce na klawiaturze. Zagrał kilka pierwszych nut spokojnej, rzewnej piosenki. Anna wzdrygnęła się jak człowiek wyrwany ze snu. Powoli podeszła do mikrofonu.

Franek nigdy wcześniej nie słyszał, jak śpiewa. Radosny utwór, który przed chwilą wykonywała w duecie, pozwalał zaprezentować jedynie nikły wycinek możliwości jej głosu. Teraz, w przyciemnionym świetle, przy wtórze delikatnych dźwięków pianina, głos Anny wznosił się i opadał, wibrował i muskał, wabił i odpychał.

Kajzer czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Zapomniał o wszystkim. Nie pamiętał o zamknięciu za murami, niedostatku, bólu, biedzie, nie pamiętał o przyjaciółkach. Nie myślał o niczym. Był muzyką. Był pieśnią wydobywającą się z ust Anny.

Gdy skończyła, zawrzały brawa.

Tym razem Zatorska się nie uśmiechała. Stała wyprostowana, z dłonią wciąż opartą na mikrofonie. Światła zgasły, skrywając ją w mroku. Burza braw nie milkła ani na chwilę, a potem znów się wzmogła, gdy dziewczyna wyłoniła się z mroku, powoli schodząc po schodach ze sceny w stronę publiczności.

Dopiero wtedy go dostrzegła. Zachwiała się lekko. Patrzyli sobie w oczy, oboje nie wiedząc, co zrobić ze wzajemną obecnością.

Franek wykonał pierwszy krok. Szybko podszedł do Anny i chwycił ją za łokieć.

– Chyba powinniśmy porozmawiać – powiedział.

– Nie tu – syknęła i szarpnęła się lekko, nie przestając się uśmiechać. – Puść mnie.

– Miejsce dobre jak każde inne. – Chłopak nie ustępował.

– Daj spokój, Franek, to nie jest zabawa – upomniała go szeptem i ukłoniła się łysemu mężczyźnie o wyjątkowo gęstych, ciemnych brwiach, który z daleka zamaszystymi gestami przekazywał jej wyrazy uwielbienia. – Tu szybko może się zrobić naprawdę niebezpiecznie. Dobrze ci radzę, nie mieszaj się. To nie tak, jak myślisz, nie widzisz całej prawdy. Poza tym to w ogóle nie twoje sprawy.

– A czyje?! – zachnął się, lecz gdy spiorunowała go wzrokiem, natychmiast ściszył głos. – Okłamujesz nas wszystkich. Okłamujesz Marka.

– Marka? – zdziwiła się. – A co on ma do tego?

Kocha cię jak wariat – chciał odpowiedzieć Franek, ale w porę ugryzł się w język.

– Marka, Noemi, Lucynkę, własnego brata – dodał szybko.

Zatorska zachichotała i klepnęła go w ramię.

– Przyglądają nam się – szepnęła. – Masz przepustkę na dziś?

Skinął głową.

– Po przyjęciu zaczekaj na mnie przy tym krzywym budynku na rogu ulicy – poleciła. – Czekaj dwa kwadransy po zgaszeniu świateł w głównej sali. Jeśli mnie nie będzie, idź do domu.

– A co z tobą? – zapytał, ale już nie odpowiedziała.

Określiła się wokół własnej osi i nie obdarzywszy go nawet jednym spojrzeniem, popłynęła przez salę w stronę grupki policjantów siedzących przy okrągłym stoliku. Franek patrzył za nią i krew w nim zawrzała, gdy jeden z mężczyzn położył dłoń na pośladku Anny i zaciśnął palce. Miał ochotę rzucić się na niego, lecz zaraz pojął, że był bez szans. Wyprowadziliby go i zatłukli na podwórku jak zwierzę, z czystego okrucieństwa, dla pijackiej rozrywki, za którą – jak wiedzieli – nie spotkałaby ich żadna kara. Jeden Żyd więcej, jeden mniej, kto by się tam przejmował?

Sięgnął do patery, na której piętrzyła się wielokolorowa piramida owoców, i wtedy poczuł, że cała radość gdzieś się ulotniła. Co gorsza, zniknął także apetyt. Zatorska miała rację, nie wiedział, jaka jest prawda, ale to wszystko nie wyglądało dobrze. Jego najlepszy przyjaciel był beznadziejnie zakochany w dziewczynie, która zamiast adeptką sztuki pielęgniarstwa, okazała się kurtyzaną szpicli i katów getta.

Poluzował kołnierzyk. Potrzebował się napić. Wychylił kieliszek wódki, ale całkiem przestała mu smakować.

*

O umówionej porze stał z rękoma wbitymi w kieszenie, bo od mrozu dłonie całkiem mu już zgrabiały. Przytupywał na poły ze zniecierpliwienia, na poły, by trochę się rozgrzać. Przeklinał eleganckie pantofle, w których nogi marzły mu niemiłosiernie. Marzył o papierosie... Po zbyt dużej ilości wódki zawsze chciało mu się palić, ale po pierwsze, już od dawna nie miał papierosów, a po drugie, gdyby nawet miał, zapalanie ich w ciemności byłoby szaleństwem. Z każdą minutą stawał się coraz bardziej rozdrażniony.

Anna wyszła z hotelu po godzinie. Wzdrygnęła się, gdy Franek wyrósł przed nią jak spod ziemi.

– Zgubiłaś się gdzieś? – zapytał bez przywitania. Miał przekrwione oczy i mocno zaczerwienione od alkoholu i zimna policzki.

– Przykro mi, że czekałeś – odpowiedziała cicho, nie patrząc mu w oczy. – Mówiłam, że jeśli nie będzie mnie po dwóch kwadransach...

– Miałem ochotę postać sobie tu trochę dłużej – zakpił. – Jest tak rześko.

– Twoje prawo – odpowiedziała cicho. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

Czekał przez chwilę, licząc, że Anna zacznie mówić, ale milczała, uparcie unikając jego wzroku.

– Będziemy tak beczynnie stali na mrozie, aż jakiś pijany szkop się nami zainteresuje, czy może powiesz mi jednak, o co w tym wszystkim chodzi? – ponaglił wreszcie.

– O życie – odparła jeszcze ciszej.

Franek prychnął zniecierpliwiony. Nie znosił tych wszystkich kobiecych sztuczek. Minek, enigmatycznych odpowiedzi, których sensu należało się domyślać, przedłużającego się milczenia. Spojrzał na Annę. Stała ze spuszczoną głową i w niczym nie przypominała hipnotyzującej publiczności diwy, którą niewątpliwie była zaledwie kilka godzin temu. Znów widział tę dziewczynę, którą znał, a jednak nie potrafił już patrzeć na nią jak dawniej.

– Posłuchaj, jestem prostym chłopakiem i nie mam ochoty na żadne gierki – powiedział znużonym głosem. Niemal stracił czucie w stopach, okropnie łupało go w głowie i najchętniej napiłby się czegoś mocniejszego, lecz niestety piękny sen o dostatku jedzenia i trunków już się skończył. Pozostały stara bieda i świat, w którym wódka, nawet najpodlejsza, osiągała w tych dniach zawrotne ceny.

– Nie pogrywam z tobą – odparła Anna. – Po prostu nie wiem, od czego zacząć...

– Może od początku? – zasugerował, przykładając palce do pulsujących skroni. – Tak zwykle jest najprościej.

Pokiwała głową. Dłuższą chwilę znów milczeli.

– Sympiasz z nimi wszystkimi, prawda? – wyrzucił z siebie pytanie, które od pierwszej chwili, gdy zobaczył ją na scenie, tłukło mu się po głowie.

Dziewczyna szarpnęła głową, jakby ją spoliczkował.

– Myślisz, że nic nie wiem o życiu? – ciągnął niezrażony Franek.

Anna wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, jakby i ona zobaczyła go teraz w całkiem innym świetle.

– Że się z choinki urwałem? Nie zapominaj, że ty i ja pochodzimy z całkiem różnych światów. Nie jestem niewinnym, eleganckim, dobrze wychowanym młodzieńcem jak twój brat. Gdyby nie ta cała cholerna wojna, pewnie nigdy byś ze mną nie gadała.

– To nie tak...

– Dokładnie tak. – Chłopak nie pozwolił jej sobie przerwać. – Tak jest skonstruowany świat, panienko. Biedni i bogaci żyją w jednym mieście, ale jakby osobno. Drogi prostych chłopaków i panienek z dobrego domu w normalnym świecie nie mają szansy się przeciąć.

Anna chciała znów zaprzeczyć, ale wiedziała, że Franek ma rację. Nagle zrozumiała też, że gdyby nie getto, nie wydarzyłoby się w jej życiu nie tylko całe to zło, ale i tak wiele dobrego. Nigdy nie poznałaby Franka, Noemi, Marka.

– Mężczyźni mają swoje potrzeby, a gdzie są mężczyźni z potrzebami, tam są i dziewczynki do ich zaspokajania – mówił dalej Kajzer, nie siląc się na delikatność.

– To nie tak...

– To nie tak, to nie tak – przedrzeźniał ją. – Chyba zacznę zapisywać, ile razy na godzinę to powtarzasz.

– Naprawdę tylko tańczę i śpiewam – powiedziała cicho. – I karmię ich marzeniami, nigdy nie pozwalając, by się spełniły.

– Sprytne – pochwalił. – Mają gonić sny.

Skinęła głową.

– Potrzebowałam pieniędzy na lekarza dla Antosia... – zaczęła, ale głos jej zadygotał i nie mogła mówić więcej. – W szpitalu nie płacą uczennicom...

Franek odwrócił wzrok. Czuł, że dziewczyna postąpiła słusznie. Wiedział, jak niewielu ludzi w getcie miało jakikolwiek wybór, jeśli chodzi o własny los. Mimo to gniew mącił mu myśli. Anna miała być ideałem, o którym śnił Marek, a nie kokotą dostarczającą rozrywek najpodlejszemu elementowi. By dać upust emocjom, kopnął z całej siły w koślawą ścianę budynku.

– Psia mać! – syknął z bólu. Po chwili jednak poczuł, że odrobinę mu ulżyło.

– Powiesz mu? – spytała Anna, gdy uspokoiła się na tyle, by odzyskać głos.

– Andrzejowi? Aż cud, że sam się nie zorientował, co jego cnotliwa za dnia siostrunia, pielęgniarczka za pięć złotych, porabia nocami, albo się nie dowiedział, jak się zabawiasz, od kogoś ze swoich koleżków po fachu.

Franek był niemal pewny, że Anna mówiła o swoim bracie, dlatego zdziwił się niebotycznie, gdy pokręciła głową.

– Markowi – szepnęła.

Kajzer przyglądał się jej przez chwilę. Aż dotąd nie podejrzewał nawet, że uczucie przyjaciela mogłoby być odwzajemnione. Anna traktowała Goldmana dokładnie tak, jak jego samego, jednocześnie swobodnie i z odpowiednim dystansem.

– Powiesz? – zapytała znowu, wpatrując się w niego w napięciu.

Wzruszył ramionami.

– Co mam mówić, skoro sam nie jestem pewien, czy wszystko rozumiem – bąknął nieskładnie. – Sama mu powiesz.

– Dziękuję...

1942

Rozdział 1

W grudniu poprzedniego roku z terenu getta wyłączono fragment Chłodnej pomiędzy Wronią a Żelazną. Tym sposobem odcięto możliwość przejścia z małego getta do dużego. Dwudziestego szóstego stycznia oddano do użytku kolejną, trzecią kładkę, która szybko stała się centralnym punktem getta. Poprzednie dwie ustawiono nad ulicą Sapieżyńską i nad ulicą Przebieg. Nowy drewniany most nad ulicą Chłodną, która dzieliła getto na dwie części – północną nazywaną „dużym gettem” oraz południową, tzw. małe getto, w której mieszkali w większości ludzie zamożni, obwołani na poły żartobliwie, na poły złośliwie arystokracją getta – wykonała firma Schmied i Muetzermann. Odtąd piesi mieli chodzić ponad aryjską ulicą, dwa piętra nad ziemią, a wozy i riksze przejeżdżały z jednej części getta na drugą przez specjalne mechaniczne wrota zamontowane na skrzyżowaniu Żelaznej z Chłodną. Mówiono, że tak wysoka kładka, na którą prowadziły pięćdziesięciostopniowe schody, ma być kolejnym sposobem na dręczenie ludzi. Wygłodniali i osłabieni, nie mieli sił, by wspinać się po licznych stopniach, a innej drogi w zasadzie nie było. Istniała jednak spora grupa ludzi zadowolonych z tej wysokości. Dzięki temu z mostu widać było bowiem Ogród Saski, Hale Mirowskie i spory kawałek aryjskiej Warszawy, ale nie wolno było nawet na chwilę przystawać, by uważniej przyjrzeć się miastu. Strumień ludzi płynął nieprzerwanie w obu kierunkach. Czasem było tak tłoczno, że cały pochód się zatrzymywał albo był zmuszony zwolnić kroku, a wówczas udawało się dłużej popatrzeć na kościół Świętego Karola Boromeusza czy ledwie widoczną w oddali wstęgę Wisły.

Anna najbardziej lubiła dni, gdy Andrzej miał dyżury na kładce. Mogła tak jak dziś na chwilę przystanąć i popatrzeć na miasto. To przynosiło jej chwilową ulgę, pozwalało zapomnieć o życiu, którego nienawidziła. Powiedziała Frankowi prawdę, nie sypiała z bywalcami hotelu „Britania”. Robiła jednak z nimi i dla nich rzeczy, które rozpały ich zmysły i kazały im wracać z nadzieją na więcej. Nienawidziła za to nie tylko swojego życia, ale i samej siebie. Tylko tu, na kładce,

gdy wiatr rozwiewał jej włosy, odzyskiwała spokój. Czasem, gdy nikt nie patrzył, przechylała się przez barierkę i wyobrażała sobie, że spada, a potem uderza o ziemię prosto pod kołami tramwaju wiozącego tych lepszych Polaków. Zapada cisza. Otula ją miękka ciemność. To całe cierpienie, któremu w żaden sposób nie mogła ulżyć, którego nawet nie mogła wypowiedzieć, wreszcie mija.

Miała zaledwie dziewiętnaście lat i nie chciała już żyć. Była zmęczona. Coraz częściej zdarzało jej się marzyć o tym, by to wszystko się skończyło, a perspektywa śmierci zdawała się coraz bardziej kusząca. Jedynym, co ją przed tym powstrzymywało, była przysięga złożona po śmierci Antosia. Musiała chronić ojca i Andrzeja, choć Bóg jeden widział, jak było jej ciężko.

Dzień był wyjątkowo mroźny. Anna dygotała z zimna, a mimo to stała, by cieszyć się tą namiastką wolności, wiedząc, że brat pozwoli jej tu zostać tak długo, jak będzie mógł.

Nagle ktoś przystanął zbyt blisko, dotykając przedramieniem jej opartego o barierkę łokcia. Odwróciła się prędko. Serce zadudniło jej w piersi.

– A, to ty – powiedziała na widok Marka Goldmana.

Ostatnimi czasy unikała jego towarzystwa. Wiedziała, że Franek dotrzymał obietnicy i niczego mu nie zdradził, lecz i tak sekret ciążył jej teraz bardziej niż dawniej. Pod pewnymi względami Marek przypominał jej Noemi. Oboje byli nieskalani, odporni na panujące wokół zło, które zdawało się niszczyć pozostałych. Wszystkich poza nimi. Nie, nie mógł dowiedzieć się prawdy. Musiała podtrzymywać go w przekonaniu, że nadal marzy o pracy pielęgniarki, dlatego za dnia siedzi w szkole, a noce spędza na dyżurach w różnych szpitalach. Marek nigdy nie zadawał zbyt wielu pytań, więc nie musiała nawet kłamać. Po prostu zatrzymywała dla siebie prawdę.

Choć obawiała się tego spotkania, ucieszyła się, gdy stanął przy niej.

– Wiesz, jak nazywają to miejsce? – zagadnęła w zamyśleniu.

Marek pokręcił głową.

– Ponte dei Sospiri – powiedziała, a dostrzegłszy, że ta nazwa nic mu nie mówi, dodała: – Most Westchnień.

– Ładnie – skwitował Goldman.

Wyraźnie czuł, że powinien wiedzieć, do czego nawiązywała Anna. W takich chwilach najmocniej odczuwał dzielące ich różnice. To, co dla niej i ludzi z jej świata było czymś oczywistym, jemu nie mówiło nic. Uznał, że to dlatego ostatnio zaczęła się od niego odsuwać. Nie spełniał jej oczekiwań, zmęczyło ją jego towarzystwo.

– To taki znany bardzo stary most w Wenecji we Włoszech – popieszyła z wyjaśnieniem Anna. – Dawniej łączył on budynek sądu, gdzie zapadały wyroki, z więzieniem. Skazaniec przed pójściem do celi, czasem nawet do celi śmierci, z tego zadaszonego mostu mógł przez okna korytarza po raz ostatni spojrzeć na miasto, kanał i widoczną w oddali lagunę z Wyspą Świętego Jerzego.

– Prawie jak my...

– Prawie jak my – powtórzyła. – Patrzę na ludzi za murem i w jego obrębie, niezliczone malutkie wycinki niegdysiejszej Warszawy, i nie rozumiem, Marku. Całkiem nie rozumiem tego wszystkiego. Przecież oni wszyscy, my wszyscy jesteśmy takimi samymi ludźmi. W naszych żyłach płynie krew, płuca muszą tłoczyć powietrze. Co z nami jest nie tak? Dlaczego to wszystko spotyka właśnie nas?

Marek nie wiedział, co odpowiedzieć. Sam wielokrotnie zadawał sobie to pytanie, szczególnie gdy zbijał małe trumny dla dzieci.

– Nie wiem, skąd w Noemi ta pewność jutra, tyle nadziei na przyszłość – ciągnęła Anna. – Ja... ja... nie wiem, czy w ogóle mam jeszcze choć okruchy.

Goldman ukradkiem przyglądał się profilowi dziewczyny. Coś się w niej zmieniło, widział to wyraźnie. Wprawdzie wyglądała lepiej, jej włosy lśniły, paznokcie były zadbane, a cera promieniała, ale stała się bardziej milcząca i nerwowa. Przeczynał, że dźwiga jakiś ciężar, o wiele dla niej za ciężki. Gdyby tylko mógł, poniósłby go za nią, ale

Anna zamknęła się w sobie i czuł, że nie zdoła skłonić jej do zwierzeń. Namówić, by podzieliła się z nim zmartwieniami, które tak ją przygniatały.

– Pamiętasz jeszcze tamten świat? – spytała znowu.

Nie wiedział, czy to z powodu początku roku, kolejnego roku w zamknięciu, czy może melancholijnej aury tego zimowego dnia, ale Anna wyraźnie miała dziś potrzebę głębszej rozmowy.

– Próbuję sięgać w głąb pamięci, szukać dobrych wspomnień ukrytych pod tamtymi, ale nie mogę ich odnaleźć. Jakby pobyt tu przekreślił wszystkie jasne chwile z przeszłości.

Milczał przez moment, zastanawiając się nad odpowiedzią. Nie wiedział, jak jej wyjaśnić, że całe jego życie było i jest tu, że nie potrzebuje niczego więcej. Mieszkał w domu swojego dzieciństwa, nieopodal przyjaciela, w piwnicy trzymał narzędzia, a Franek jakimś cudem zdobywał dla niego ładne kawałki drewna. Miał pracę, która nawet w tak trudnych warunkach dawała mu namiastkę wolności. Na Cmentarzu Żydowskim pochowana została jego matka, co jeszcze mocniej związało go z tą ziemią. Nie był pewien, czy Anna by to zrozumiała. I choć okoliczności były wyjątkowo sprzyjające, wciąż nie był gotów zdobyć się na wyznanie, że nie tęskni do przeszłości, w której jej nie znał.

– A ty za czym tęsknisz najbardziej? – odpowiedział pytaniem na pytanie, przeczuwając, że Anna ma potrzebę zwierzeń.

– Za matką... – szepnęła. – Za Antosiem. Za drzewami wokół domu i za samym domem, który był tylko nasz. Za spokojem, czystym sumieniem, samotnością.

Marek spojrzał na nią na poły z wyrzutem, na poły z żalem.

– Przepraszam – wydukał wreszcie. – Nie chciałem ci przeszkadzać.

Odwrócił się i zaczął iść przez kładkę. Anna dopiero po chwili pojęła, że opacznie zrozumiał jej słowa. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Nie, to niemożliwe, nie mógł jej zostawić. Potrzebowała go,

dziś bardziej niż zwykle. Choć... czy naprawdę nie mógł? Przecież nic ich nie łączyło. Byli tylko parą znajomych, kolegami z tego samego grona. Nikim więcej.

– Marku! – zawołała za nim.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił w jej stronę. Podbiegła do niego. Stała blisko. Tak blisko, że jej szarpane wiatrem włosy raz po raz muskały jego twarz.

– Marku... – Spuściła głowę.

Goldman czuł, że oto nadszedł właściwy moment. Teraz. Powinien natychmiast powiedzieć jej wszystko, co czuje. Wyznać całą prawdę.

– Hej, nie możecie tu dłużej stać! – syknął Andrzej, nie przystając, a jedynie zwalniając kroku. – Szkopy idą. No już, prędko, uciekajcie stąd.

Anna z Markiem natychmiast odsunęli się od siebie. Z ust chłopaka wypłynął jedynie biały obłoczek oddechu. Właściwy moment przeminął bezpowrotnie. Nie wypowiedział ani jednego słowa.

Rozdział 2

Wiosna wybuchła niespodziewanie, ale mieszkańcom getta przyniosła raczej kolejne zmartwienia niż radość. Do zamkniętej dzielnicy żydowskiej zwieziono jeszcze więcej ludzi. Najpierw Żydów ze wschodniej części dystryktu warszawskiego, a w kwietniu przyjechał transport około czterech tysięcy Żydów niemieckich. Rodziło to kolejne konflikty. Brakowało pracy, żywności, miejsc do spania.

W dodatku w nocy z siedemnastego na osiemnastego kwietnia miała miejsce pierwsza zorganizowana akcja masowego terroru w getcie. Funkcjonariusze gestapo wyciągnęli z łóżek pięćdziesiąt dwie osoby i bez żadnych wyjaśnień zastrzelili je na ulicy. Oficjalnym powodem były podobno represje za znalezienie w getcie nielegalnej prasy, ale i tak nikt w to nie uwierzył. Wszyscy czuli, że coś się zmieniło i że nadchodzi coś nowego, coś niepokojącego.

Mimo to Noemi wciąż starała się nie podupadać na duchu. Pomagała, gdzie tylko mogła, w trudniejszych momentach, gdy i ją przygniała ogrom panującego wokół cierpienia, pocieszając się słowami z Talmudu: „Jeśli człowiek niszczy jedno życie, to jest tak, jak gdyby zniszczył cały świat. A jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak, jak gdyby ratował cały świat”.

Tego dnia szła na Dzielną z odwiedzinami do starszej schorowanej kobiety.

W podwórzu kamienicy przy Dzielnej 38 działała mykwa, basen, do którego tradycyjnie winna być zbierana nietknięta ludzką ręką deszczówka. Osoba zanurzająca się w wodzie musiała być już czysta, bo mykwa nie była miejscem dbania o higienę, ale przestrzenią duchowej przemiany, nowego początku, jak mawiała matka Noemi.

Obie zjawiały się tu regularnie, by oczyścić się po miesięcznym krwawieniu. Najpierw łaźnia ta była zakonspirowana, ale wiosną tego roku Niemcy nieoczekiwanie zalegalizowali jej działalność.

Noemi lubiła to miejsce. Działo na nią kojąco. Wydawało jej się, że za drzwiami łaźni czas płynie inaczej, jakby to wewnątrz w tajemniczy sposób oddalało ją od świata, wszystkich jego ciemności i trosk, jakby było poza czasem i przestrzenią, a żadne zło tego świata nie miało tu wstępu. Ilekroć przestępowała próg mykwy, czuła, jak ogarnia ją spokój, a wychodziła zawsze przepełniona głębokim przekonaniem, że jeszcze wszystko się ułoży.

Mykwa zazwyczaj pełna była kobiet. Miejsce to bowiem oprócz swojej tradycyjnej roli w ciasnocie i braku prywatności w getcie stało się też przestrzenią spotkań. Kobiety pozostawały tu więc o wiele dłużej, niż wymagało tego oczyszczenie. Wymieniały się informacjami, plotkowały, dzieliły swoim życiem.

Podczas jednej z takich wizyt Noemi poznała dziewczynę, która mieszkała z matką w przylegającej do mykwy części kamienicy. Miała na imię Adela, była kilka lat młodszą od Noemi córką tokarza, który zginął w czasie kampanii wrześniowej, i miała twarz jak z obrazka. Wielkie, czarne jak węgiel oczy, porcelanowa cera, lśniące ciemne włosy opadające na ramiona, mocno zarysowane kości policzkowe i doskonale skrojone usta.

– Jak przyjemnie jest na ciebie patrzeć! – wyznała pewnego dnia z prostotą Noemi, zachwycona urodą nowej koleżanki.

Matka Adeli była krawcową, więc w getcie żyło im się z początku całkiem dobrze. Przerabiała i naprawiała odzież, bieliznę, okrycia wierzchnie i jakoś udawało jej się wiązać koniec z końcem, a nawet opłacić Adeli lekcje, by po zamknięciu szkół mogła kontynuować naukę. Ostatnio miała jednak coraz mniej sił. Noemi słyszała, jak skarżyła się pani Lichtenbaum na rozmaite bóle. Dziewczęta zaprzyjaźniły się, a gdy matka Adeli ostatecznie zaniemogła, Noemi starała się jej pomagać najlepiej, jak potrafiła. Dzięki Lucynce udawało jej się czasem załatwić leki dla kobiety, rzadziej dodatkowe porcje jedzenia.

– Powinnam już iść – powiedziała Noemi, mimo ciepłego majowego popołudnia okrywając staruszkę dodatkowym kocem. Tego dnia przyniosła trochę kaszy i proszki na uśmierzenie bólu.

– Zajrzy pani do mnie jeszcze? – spytała słabym głosem kobieta.

Noemi uśmiechnęła się do niej.

– Oczywiście – zapewniła, ściskając dłoń tamtej. – Kiedy tylko będę mogła, na pewno zajrzę.

– Niech Bóg cię błogosławi, dziecino – wymamrotała chora.

Noemi wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Co z nią? – zapytała Adela.

Mieszkające samotnie kobiety ledwo wiązały koniec z końcem, a gdy matka zaniemogła, córki nie stać było na wezwanie lekarza, więc poprosiła o Noemi, która jak wiedziała, kolegowala się z adeptkami sztuki pielęgniarstwa.

– Jest bardzo słaba – odparła Noemi. – Ale nie trać nadziei, na pewno wszystko dobrze się skończy. Wiosną wszyscy szybciej odzyskują zdrowie. Ani się obejrzysz, a twoja mama znów będzie godzinami przesiadywała przy maszynie.

Uśmiechnęły się do siebie i do wspomnień nie tak odległych dni, gdy każdej ich rozmowie towarzyszył turkot maszyny.

Adela chciała coś powiedzieć, lecz nagle zza otwartego okna dobiegł ich pisk opon. Dziewczęta przypadły do parapetu. W bramie kamienicy, zastawiając wejście, zatrzymały się dwa duże samochody, a za nimi niewielkie eleganckie auto, w którym siedzieli oficerowie SS.

– Już po nas – jęknęła Adela, osuwając się na podłogę i wplatając palce we włosy.

– Spokojnie, przecież jeszcze nic nie wiadomo. – Noemi starała się ją uspokoić, choć sama była przerażona. – Na pewno zaraz odjadą. Może to tylko rutynowa kontrola albo przyjechali pod konkretny adres.

Wyrzucała z siebie słowa, choć w jej głowie panował zamęt. Wiedziała, że kłamie. Tyle żołnierzy i te dwie ciężarówki nie zwiastowały niczego dobrego. Usiłowała jednak zaklinać rzeczywistość.

Po chwili na klatce schodowej dało się słyszeć pokrzykiwania i stukot podkutych butów.

– Wszyscy na zewnątrz! *Rauss!*

Adela uderzyła w płacz. Noemi wzięła ją pod ramię i zmusiła do wstania.

– Chodź – powiedziała stanowczo, ciągnąc ją w stronę drzwi. – Lepiej wyjść do nich niż mieliby tu przyjść po ciebie. Pospiesz się! Wolałabym, żebyśmy nie wyszły jako ostatnie. Wiesz przecież, jak Niemcy nie lubią maruderów.

– A co z mamą? – spytała płaczliwie Adela, obracając się w stronę drzwi, za którymi leżała kobieta.

– Już dawno śpi – powiedziała Noemi, pewna, że zioła, które podała staruszce, do tej pory zaczęły już działać. – Zostawimy otwarte szeroko drzwi. Może uznają, że wszyscy wyszli, i nie będą dokładnie przeszukiwali.

Nie był to najlepszy plan, ale jedyny, który miał jakiejkolwiek szanse powodzenia. Schorowana kobieta nie dałaby rady zejść po schodach nawet jednego piętra, a taka próba mogła się skończyć tragicznie dla wszystkich. Tak każda z nich miała większą szansę.

Adela nie protestowała więcej. Potulnie pozwoliła Noemi się prowadzić. Na ciemnej klatce schodowej włączyły się w strumień zderwowanych sąsiadów. Nienaturalną, pełną napięcia ciszę mąciły jedynie odgłosy kroków, odbijające się głuchym echem od ścian, i szmer przyspieszonych emocjami oddechów.

Noemi odetchnęła z ulgą, gdy kilka minut później Niemcy wyszli z kamienicy. Staruszka była bezpieczna. Nie padł żaden strzał. Nie przeszukiwali mieszkań. Nie wyrzucali przedmiotów z okien. Nie ładowali skradzionych rzeczy na jedną z ciężarówek.

– Ustawić się w szeregu! – ryknął esesman, a jego głos niczym ostrze noża natychmiast rozdzielił ludzi zbitych w stadko.

Wszyscy wyglądali na jednakowo zdeorientowanych i przerażonych. Noemi mocno ścisnęła dłoń koleżanki, która dygotała jak w febrze.

– Zabiją nas – mamrotała Adela. – Zabiją, jak tamtych w nocy.

– Cicho tam, Adelka – warknął stojący obok mężczyzna. – Bo sam utłukę.

Adela przestała więc mamrotać i tylko pojękiwała cicho.

Tymczasem kilku oficerów i jeden cywil, wysoki jasnowłosy mężczyzna w długim, cienkim popielatym płaszczu i dobranym kapeluszu, przechadzało się powoli wzdłuż stojących na baczność ludzi. Przyglądali się im bacznie, raz po raz wymieniając jakieś uwagi.

Noemi usiłowała usłyszeć, o czym rozmawiają, ale krew zbyt głośno tętniła jej w skroniach, a serce tłukące się w piersi zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Starła się myśleć o Andrzeju. Tak bardzo chciała go jeszcze zobaczyć. Choć raz, jeszcze jeden raz. Żałowała, że poprzedniego wieczoru tak bardzo spieszyła się do domu. Powinna była zostać z nim dłużej, obdarzyć go jeszcze jednym pocałunkiem, jeszcze raz wyznać, jak bardzo go kocha.

– Te dwie. – Męski, twardy głos wdarł się w jej myśli.

Czyjeś ręce wyciągnęły ją i Adelę z szeregu. Adela zawyla i spróbowała rzucić się do ucieczki, ale mocne uderzenie w policzek natychmiast ją otrzeźwiło.

– Nie po twarzy, idioto – syknął jeden z oficerów. – Musi jakoś wyglądać.

Ta uwaga sprawiła, że w Noemi wstąpiła nowa nadzieja. Nie planowali ich zabić. Mieli jakiś cel. Potrzebowali do czegoś mieszkańców kamienicy, a zatem przynajmniej jeszcze trochę będą żyć. To nie była egzekucja ani wywózka na roboty. Wiedziała dobrze, że gdyby mieli zostać wywiezieni, Niemcy dokładnie sprawdziliby dokumenty i daliby im parę minut na spakowanie rzeczy osobistych.

W pierwszej chwili pomyślała, że może zamierzają zrobić im jakąś krzywdę, bo z początku z szeregu wyciągane były same młode dziewczęta, ale wkrótce dołączyło do nich kilku chłopaków, paru starszych mężczyzn i kobiet w wieku matki Noemi. Wszyscy byli dość przystojni i mieli typowo semicką urodę.

Reszcie pozwolono odejść. Rozpierzchli się natychmiast we wszystkie strony, niemal bezszelestnie, jakby nie chcieli przypadkiem przypomnieć Niemcom o swoim istnieniu. Większość nawet nie spojrzała na pozostałych na podwórzu, choć byli to przecież ich sąsiedzi.

Gdy na podwórzu pozostali tylko wyznaczeni ludzie, padł kolejny szczekliwy rozkaz i kilku żołnierzy pobiegło w stronę samochodów zastawiających wejście do kamienicy. Po chwili wrócili, taszcząc statywy i aparaty fotograficzne. Noemi z rosnącym zdumieniem przyglądała się, jak sprawnie rozstawiają sprzęt, i uznała, że granice jej wyobraźni nie sięgają chyba tak daleko, by pojąć, o co w tym wszystkim chodzi. Pozostawało jedynie czekać, aż zagadka sama się rozwiąże.

– A teraz – cywil w płaszczu zawiesił teatralnie głos – proszę państwa o uśmiech.

Noemi natychmiast wyszczerzyła się razem z innymi i choć czuła, że mięśnie posłusznie wygięły się w zgrabny łuk, była pewna, że wyraz jej twarzy w rzeczywistości nie miał zbyt wiele wspólnego z uśmiechem.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – krzyknął mężczyzna, wymachując przy tym rękoma.

Przerażeni ludzie wymieniali między sobą zdezorientowane spojrzenia.

– Jeszcze raz. Na mój znak! I... Uśmiech! *Nein!* – wrzasnął, złapał rondo kapelusza i desperacko pociągnął w dół.

Noemi przygryzła wewnątrz policzka, żeby się nie roześmiać. Esesmani patrzyli na mężczyznę wyraźnie zde gustowani, ale nawet oficerowie nie zwrócili mu uwagi. Dziewczyna doszła do wniosku, że ten zabawny człowiek w rzeczywistości musi być kimś ważnym.

– Nic z tego nie będzie – stwierdził. – Są zbyt ponurzy. Znajdźcie mi innych!

– To idealne miejsce – odezwał się jeden z oficerów. – To musi być tu.

Noemi w napięciu przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Rozumiesz, co mówią? – szepnęła Adela, ledwie poruszając wargami.

Tamta nieznacznie skinęła głową.

– To co z nami będzie? – dopytywała Adelka, ale koleżanka wzruszyła dyskretnie ramionami, dając znak, że nie ma pojęcia.

– Jeśli to musi być tu, to zróbcie coś z tymi ludźmi! Nie wiem, dajcie im coś na rozluźnienie! – wykrzyknął mężczyzna w płaszczu, a potem uradowany klasnął w dłonie. – Wódki! Dajcie im wódki!

Po chwili wśród zgromadzonych na podwórzu zaczęły krążyć butelki. Noemi nawet nie wzięła żadnej z nich do ręki. Wiedziała, że w sytuacji zagrożenia najważniejsze to zachować przytomność umysłu. Nie zdążyła natomiast powstrzymać koleżanki, która pociągnęła spory łyk.

– Adela, co ty wyprawiasz? – syknęła, ale dziewczyna nawet nie zareagowała na jej słowa, tylko znów przyłożyła butelkę do ust.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. Po chwili policzki Adeli poczerwieniały, a usta rozciągnęły się w błogim uśmiechu.

– O tak, tak lepiej! – Niespodziewanie mężczyzna w płaszczu znalazł się tuż przy nich.

Trzymał aparat na wysokości twarzy Adeli.

– Tak dobrze, uśmiechaj się! – mówił, a gdy Adela zaczęła stroić słodkie minki, wyraźnie się rozpromienił. – Co za uroda!

– To Żydówka – przypomniał mu ostro oficer, końcówką czarnego bata zwiększając dystans między fotografem a modelką. Najwyraźniej wpływy tamtego miały jednak swoje granice. – Żadnych komplemen-

tów, żadnych rozmów. A może mam panu przypomnieć, po co się tu znaleźliśmy? Albo poprosić Berlin o przysłanie nowej ekipy filmowej?

Mężczyzna w płaszczu wyraźnie się zmieszał i cofnął kilka kroków.

– Pij – rzucił oficer do Adeli, a potem raz jeszcze zwrócił się do mężczyzny w cywilnym ubraniu: – Koniecznie musi pan to uwiecznić.

Fotograf zrobił kilka zdjęć Adeli pijącej wódkę prosto z butelki. Noemi tylko się temu przyglądała. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wiedziała dobrze, że jest o wiele mniej urodziwa od Adelki, i po prawdzie, choć sama myśl o tym powodowała u niej wyrzuty sumienia, teraz była z tego powodu bardzo, ale to bardzo wdzięczna losowi.

– Pijaczka – warknął esesman i mocno uderzył końcówką bata w butelkę, którą Adelka przykładała właśnie do ust.

Szkle pękło z trzaskiem. Odłamki zmieszały się z przezroczystym płynem i posypały się na Adelę. Noemi wciągnęła głośno powietrze, ale jej koleżanka tylko głośno się roześmiała.

– Zabierzcie ją! – ryknął esesman. – Pójdzie pierwsza.

Żołnierz szarpnął Adelę. Dziewczyna zachichotała i ruszyła za nim chwiejnym krokiem. Noemi chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle – a może to strach go tam zatrzymał. Zrobiono zdjęcia jeszcze wielu osobom, a po skończonej sesji każdy był prowadzony w miejsce, dokąd zaciągnięto Adelę. Dopiero po jakimś czasie do Noemi dotarło, że wszystkich kierują do mykwy.

Wreszcie przyszła i jej kolej. Zrobiła kilka min, ale fotograf nie wydawał się usatysfakcjonowany.

– Zabrać! – krzyknął i machnął niedbale ręką.

Noemi także poprowadzono do mykwy i jak wszystkim pozostałym rozkazano rozebrać się do naga.

Starszej korpulentnej kobiecie kazano pomalować usta na czerwono. Ustawiono ją potem do pary z chłopcem, któremu dopiero co wąs sypnął się pod nosem. Chłopiec, zaczerwieniony od góry do dołu, starał się nie patrzeć na kobietę, ale jej wielkie piersi raz po raz muskały jego ciało. Jego członek zeszywniał, co wywołało gwizdy i niewybredne komentarze.

– Mamy to! – rzekł reżyser, przerywając zabawę. Jak gdyby nigdy nic odsunął kamerę i przeszedł w głąb sali.

Kobieta natychmiast odskoczyła od chłopaka, któremu nagle grunt zakołysał się pod nogami. Odszedł na bok, opadł na kolana i zwymiotował.

Rozpoczęła się diabelska zabawa, w której lalkarzem był mężczyzna w popielatym płaszczu, a zabawkami nieszczęśnicy, którzy o złej godzinie znaleźli się w tym przeklętym miejscu. Sznurkami zaś spajającymi wszystko w jedno, wymuszającymi posłuszeństwo na lalkach, byli uzbrojeni Niemcy, których po mykwie kręciło się około dwustu.

Łączyli rozebranych ludzi w osobliwe pary, młodych mężczyzn z kobietami, które mogłyby być ich matkami, dziewczęta z mężczyznami w wieku ich ojców lub dziadków.

Wchodząc, Noemi ujrzała w oddali znajomą postać. Adela była całkiem naga. Klęczała na podwyższeniu, a dwóch żołnierzy polewało jej głowę czymś, co chyba musiało być alkoholem, bo oczy dziewczyny były mętne, a jej ruchy coraz bardziej swobodne.

– Ty! – Esesman wskazał na przystojnego mężczyznę w okrągłych okularach. – Ty ją weźmiesz.

Mężczyzna ze wzrokiem wbitym ponad ramieniem Niemca pokręcił głową.

– Weźmiesz, weźmiesz, a my sobie popatrzemy – rzucił esesman twardo.

– Od tyłu, jak zwierzę – zarechotał drugi, klepiąc towarzysza po plecach. – Pokażemy zwyrodniałą żydowską naturę. Zresztą zobacz, jaka chętna i jak na sukę wcale niebrzydka.

To powiedziawszy, chwycił Adelę za włosy i uniósł twarz tak, by móc na nią spojrzeć. Adela jęknęła.

– Jak się spiszesz, może zawyje głośniej! – Mężczyźni zarechotali rubasznie.

Noemi poczuła, że żółć podchodzi jej do gardła. Człowiek w okularach znów zaprzeczył.

– Nikt cię nie pyta o zdanie, psie! – ryknął esesman i uderzył go pałą w podbrzusze.

Okularnik zgiął się z bólu, a wówczas drugi z żołnierzy kopnął go w nagie pośladki, tak że tamten zatoczył się prosto na Adelę.

– Widzisz, jak łatwo poszło – pochwalił Żyda esesman. – A teraz kopulujcie.

Noemi zamarła. Zapomniała o samej sobie, o własnym wstydzie i nagości. Stała i z przerażeniem wpatrywała się w grupkę otaczającą Adelę. Robiono zdjęcia, kręcono kolejne ujęcia.

– Przecież to nie musi być naprawdę – przerwał im operator i zaczął sam ustawiać mężczyznę. – Dajcie tu więcej światła, na bok. Dobrze. Teraz ruchy.

Esesman stanął za mężczyzną i przyłożył mu pistolet do pleców. Adela dygotała jak w febrze.

– Ruch.

– Adelka... – szepnęła Noemi, choć tamta nie mogła jej przecież usłyszeć.

Mężczyzna w okularach już nie protestował. Coś w nim pękło. Stał się tym, kim miał się stać, bezwolną zabawką. Położył dłonie na biodrach Adeli i zaczął się rytmicznie poruszać, czym wzbudził gromki aplauz.

Drugiego, który ośmielił się odmówić, skatowano dla przykładu. Kilkunastu żołnierzy pastwiło się nad nim, kopiąc oficerskimi butami jego wychudzone ciało tak długo, aż na podłodze została tylko czer-

wona miazga, w której trudno było dopatrzeć się człowieczego kształtu.

Im dłużej trwało to wszystko, tym większa rosła w Noemi nadzieja, że uda jej się pozostać tylko świadkiem orgii. Stała przy ścianie i zamknęła oczy. Czuła, że nie zniesie już więcej. Jej głowa była przepelniona obrazami, do których opowiedzenia mimo tysięcy przeczytanych ksiąg zabrakłoby jej właściwych słów. A może słowa mogące oddać tak wielkie i perfidne okrucieństwo w ogóle nie istniały? Wciąż słyszała krzyki, jęki, błaganie, śmiechy rozochoczonej żołnierskiej gawiedzi, ale pod powiekami miała jedynie kojącą ciemność. Przypomniało jej się, jak w dzieciństwie wierzyła, że gdy zamknie oczy, stanie się niewidzialna. To, że przestawała widzieć świat, oznaczało, że i ona nie mogła być zauważona. Nagle wróciła do niej ta dziecięca wiara. Oddech powoli jej się uspokajał, bicie serca nieco zwolniło i choć drżała od panującego chłodu, poczuła, że jeszcze nie wszystko stracone, uwierzyła, że ocaleje.

– Dawajcie tamtą.

Tubalny męski głos dochodził ze zbyt bliska. Noemi zadrżała.

Nie otwieraj oczu – powtarzała sobie w myślach. – Nie otwieraj oczu.

Ktoś mocno złapał ją za ramię. Natychmiast przestała czuć zimno. Całe jej ciało zalała fala gorąca. Pchnięto ją i przewrócono na podłogę, tak że upadła na plecy.

Już cię widzą – pomyślała. – Już po wszystkim. Znaleźli cię.

Otworzyła oczy. Nad nią stało kilkunastu mężczyzn i drobny chudy Żyd z długą, siwą brodą, który wznosił oczy ku niebu, bezgłośnie mamrocząc. Znała jednego z żołnierzy. Nazywano go Złotym Bażantem. W całym getcie słynął z brutalności, rankami często można go było spotkać przy murze przed Żelazną Bramą, gdzie kibicował wy czynom swojego kolegi, który miał w zwyczaju po śniadaniu strzelać do złapanych chwilę wcześniej Żydów. Musiał trenować, by nie wyjść z wprawy i utrzymać status najlepszego strzelca wśród niemieckich lotników.

Złoty Bażant znany był także ze swej porywczosci, zmiennych nastrojów, spektakularnej wręcz głupoty i słabości do dziewcząt, które dopiero co stawały się kobietami. Szczególnie te ostatnie unikały go jak ognia.

– Piękna parka, nie ma co – zażartował żołnierz.

Noemi czuła jego wzrok na swoich obnażonych piersiach. Miała wrażenie, że gdyby nie obecność pozostałych, mężczyzna rzuciłby się na nią. Nie wiedział jednak, że już samo jego lubieżne spojrzenie wystarczyło, by czuła się zbrukana. Była pewna, że przyniosłoby mu to swego rodzaju satysfakcję.

Noemi patrzyła, a dźwięki powoli cichły, jakby oglądała tę scenę z coraz odleglejszego miejsca na widowni.

– Rozsunąć nogi – rozkazał mężczyzna z aparatem. – Tylko szeroko.

Noemi nie rozróżniała słów, które do niej kierowano. Czuła tylko zawartą w nich grozę, która całkowicie ją paraliżowała. Nie mogła się poruszyć. Gdyby jej ciało samo nie oddychało, niechybnie by się uduśiła.

– Głucha?! – ryknął tamten. – Nie mam całego dnia.

Noemi milczała, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. Pustka. Niemoc.

– Tej trzeba pomóc – zwrócił się fotograf do żołnierza.

Młody mężczyzna tylko skinął głową, po czym sięgnął do kabury, wyjął pistolet, odbezpieczył i przyłożył Noemi do skroni. Dziewczyna głośno wciągnęła powietrze.

– Nie warto – szepnął do niej starszek. – Żyj.

Ciało i umysł Noemi były sparaliżowane. Widziała tylko sufit mykwy i czuła się jak dawniej, gdy leżała na plecach z głową zanurzoną tak, że uszy miała pod powierzchnią. Wszystkie dźwięki były wówczas przytłumione, jakby docierały do niej z innego świata. Unosiła się bezwolnie, kołysana łagodnie ruchami wody.

Żołnierz odsunął pistolet. Położył dłonie na udach Noemi i brutalnie je rozsunął. Nie stawiała oporu. Nie było jej tam.

– A teraz głowa między jej nogi – wrzasnął fotograf do starca.

Ten posłusznie się pochylił.

– Dobrze, że nie widać ich parszywych ryjów – stwierdził fotograf, patrząc przez obiektyw. – I tak ciężko nazwać to estetycznym.

Noemi poczuła twarz starca na swoim łonie, ale było to tylko fizyczne odczucie. Ona sama była już daleko stąd.

– Taśma się skończyła. – Esesman zaklął szpetnie. – Na dzisiaj koniec.

– Jak to, już?!

– Zabawa dopiero się zaczęła – podniosły się głosy sprzeciwu i niezadowolenia, ale filmowiec tylko bezradnie rozkładał ręce.

Kilka minut później w mykwie nie było już nikogo, jeśli nie liczyć zwłok zamęczonego mężczyzny, jedyne świadectwo tego, co przed chwilą się tu działo. Dopiero teraz dało się słyszeć rytmiczne kapanie z jednego z kranów. Kap, kap, kap, woda opłakiwała krzywdę ludzką.

Światło słońca oślepiło Noemi. Nie wiedziała, jak odnalazła swoje ubranie i buty. Nie pamiętała, jak wyszła z bramy i znalazła się na ulicy. Dopiero blask majowego popołudniowego słońca przywrócił ją do rzeczywistości.

A więc wciąż jestem – pomyślała z niemałym zaskoczeniem.

Coś się nie zgadzało. To wszystko nie pasowało do siebie. Jak mogła być tu, skoro nie wyszła stamtąd?

Noemi spojrzała na zegar z wystawy sklepowej. Dochodziła osiemnasta. Orgia w mykwie trwała więc zaledwie trzy godziny, ale Noemi zdawało się, jakby od poprzedniego życia, w którym poiła matkę Adeli ziołami, dzieliły ją lata, szmat czasu skutecznie zacierający wspomnienia osoby, którą niegdyś była.

Nie zrobiono jej żadnej krzywdy. Nie została zgwałcona. Nikt jej nie uderzył. Nie okaleczył. Oddano jej ubrania, pozwolono odejść. Znów była na gwarnej ulicy, wtopiona w tłum, anonimowa. Był ciepły, jasny wiosenny wieczór. Ciemniejące powoli niebo było gładkie, nieskalane ani jedną chmurą. Na rachitycznym samotnym krzaku kwitły forsycje. Szary ptak przysiadł na gałęzi i wyśpiewywał swoją piosenkę. Tuż obok niej przemknął rikszarz, wzbijając w powietrze tuman ulicznego kurzu. Mały gazeciarz wykrzykiwał najważniejsze wydarzenia dnia. Życie toczyło się nadal, jakby nic się nie wydarzyło. Wszystko było jak zawsze.

– Wszystko w porządku – mamrotała Noemi. – Już dobrze. Nic się nie stało.

Tylko dlaczego zdawało jej się, jakby wcale jej tu nie było? Czemu nie mogła wrócić? Czemu czuła się tak, jakby była martwa?

– Nic się nie stało. Nic się nie stało.

Rozdział 3

– Dyrektor życzy sobie, żebyście dziś wieczorem wyglądały szczególnie ładnie – oznajmiła starucha, wchodząc do pomieszczenia, w którym Anna i Nina przygotowywały się do występu.

– Nic nowego – bąknęła Nina, tuszując odrobiną koloryzującego kremu siniaka pod okiem, wspomnienie minionej nocy.

– Dziś to szczególnie ważne – powtórzyła z naciskiem kobieta.

– Bo? – Anna spojrzała na nią w lustrze.

– Nie powinnam, naprawdę...

– Skoro już pani zaczęła, równie dobrze możemy się dowiedzieć wszystkiego – oznajmiła Zatorska i odwróciwszy wzrok, przejechała delikatnym włosiem pędzla po kości policzkowej, by nie wyglądać na nadmiernie zainteresowaną.

– Będą kręcić film – szepnęła kobieta, odruchowo oglądając się za siebie.

– Film? – Anna zatrzymała pędzel. – Jaki film?

– Przyjechała specjalna ekipa z Niemiec z kamerami i lampami i całą masą kabli i innych sprzętów potrzebnych do kręcenia filmu. Na pudłach z taśmami napisane jest „Das Ghetto”, więc domyślam się, że taki będzie tytuł.

– *Das Ghetto?* – powtórzyła Anna. – Osobliwy tytuł.

– I osobliwa tematyka – dodała Nina. – Naprawdę sądzą, że ktoś będzie chciał coś takiego oglądać?

– Ten film ma podobno pokazać całą prawdę o getcie.

– W takim razie powinni raczej przejść się Nalewkami, Ostrowską czy Wołyńską i nagrywać trupy leżące przed domami – bąknęła Nina. – Dzieci ze wzdętymi brzuchami i pustym wzrokiem będą prezentowały się znakomicie.

– Co to, to nie – zachnęła się staruszka. – To ma być ładny film.

– Ładny film o getcie? – Anna usiłowała zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– A coś ty myślała?! – Nina zaśmiała się gorzko. – Że pokażą prawdę?

– Pokażą – rzekła staruszka. – Słyszałam, że wczoraj kręcili sceny w restauracji. W prawdziwej. Tej na rogu Nowolipek i Karmelickiej.

– U Szulca – odgadły jednocześnie Anna i Nina.

– Tak, tam właśnie – przytaknęła kobieta. – Wyselekcjonowali parę osób, ubrali elegancko, posadzili przy stołach i kazali jeść. Naprawdę jedli przez kilka godzin, a tamci kręcili, jak jedzą.

– Chleb z trocinami i wyśmienite gettowe zupki? – zadrwiła Nina.

– Nie no, oczywiście, że nie. Tego przecież nikt nie chciałby oglądać – wyjaśniała staruszka. – Były mięsa i ryby, i delikatne jasne bułki, i owoce, i ciasta, no i wino. Same wiecie, że bez wina nie ma prawdziwie uroczystej kolacji.

– Pewnie wszyscy przypłacili tę ucztę skrętem kiszek – stwierdziła ponuro Nina.

– A wiesz, że jednego czy dwóch faktycznie odwieziono do szpitala. – Staruszka wydawała się zaskoczona wiedzą Niny. – W każdym razie biedę też pokazali. Kręcili taką scenę, w której wygłodzone dziecko wyciąga rękę do kelnerki, żebrząc o pomoc.

– I co ona na to? – spytała szybko Nina, odwracając się na krześle tak, by dobrze widzieć jej twarz.

– Jeden z mężczyzn w mundurze, który ustawiał wszystkich, mówił im, co mają robić, jak się ruszać i takie tam, kazał jej pokręcić głową i odejść. Zaznaczył, że ma przy tym ładnie kręcić biodrami. „Miętko! Miętko!”, wykrzykiwał.

– Cholerne szkopy! – warknęła Nina, ukradkiem ścierając z oczu łzę.

– Paru ludzi nakarmili. Zawsze to jakaś korzyść, ktoś nie był gł... – powiedziała Anna, ale Nina rzuciła jej tak twarde spojrzenie, że natychmiast zamilkła.

– Nic nie rozumiesz?

– A ty?

– Nie widzisz, że to kolejny akt udręczania?

– Bo?

– Bo kręcą film, który pewnie obejrzy cały świat!

– I dobrze – upierała się Anna. – Zobaczą te żebrzące wygłodniałe dzieci i może wreszcie ktoś zareaguje. Amerykańscy Żydzi upomną się o swoich, los polskich Żydów wreszcie będzie tematem na ustach wszystkich. Przecież na to czekamy od...

– Zobaczą żydowską kelnerkę bez serca, która odmawia pomocy głodnemu żydowskiemu dziecku – wpadła jej w słowo Nina. – Pokażą jedynie to, że okrutni Żydzi nie przejmują się losem dzieci.

– Nikt w to przecież nie uwierzy.

– Była taka powieść Prusa, *Dzieci*. Czytałaś?

Zatorska pokręciła głową.

– Nie jest tak znana jak *Lalka* czy *Emancypantki* – pocieszyła ją Nina. – To historia życia Kazia Świrskiego, który chciał zmienić świat na lepsze.

– Klasyczny pozytywizm. A jak to się ma do nazistów kręcących filmy propagandowe o getcie?

– Zaczekaj, to się dowiesz – upomniała ją Nina. – W tej powieści pan szlachcic dzielił Żydów na dwie grupy: lichwiarzy i oszustów.

– To w zasadzie jedna grupa, złych ludzi.

– Otóż to! Według pana szlachcica kategoria „dobry Żyd” w ogóle nie istniała. Wyjątek robił dla dwóch ludzi, z którymi współpracował, faktora Symchy i kupca zbożowego Weintrauba. „Tylko ci dwaj są

coś niecoś warci, reszta – na suchą gałąź” czy jakoś tak to szło, nie pamiętam.

Anna i tak patrzyła na nią z podziwem. Nie spodziewała się, że Nina tak dobrze zna się na literaturze. Pomyślała, że w innych okolicznościach mogłaby ją zapoznać z Noemi, na pewno by się polubiły.

– Jako ogół Żydzi mają raczej kiepską opinię – podjęła znów Nina. – A taki film tylko pogorszy sprawę. Pokazuje przecież najędzonych Żydów, bawiących się, roześmianych i totalnie nieczułych na biedę i tragiczne położenie swoich współbraci. Widzisz to?

Anna pokiwała głową.

– Woda na młyn nazistowskiej propagandy – szepnęła. Dopiero teraz dotarła do niej perfidia tego przedsięwzięcia.

– Dość tego dobrego, moje panie – przerwała im staruszka. – Koniec pogaduszek. Szykujcie się!

Godzinę później Anna, ubrana w długą, lśniąca suknię z głębokim dekoltem i rozcięciem przy nodze sięgającym niemal do biodra oraz w szalenie niewygodne, za małe buty na zbyt wysokim obcasie, wsparta na ramieniu przystojnego mężczyzny o typowo semickich rysach, którego widziała pierwszy raz w życiu, sunęła przez parkiet.

– Nie, nie, nie i jeszcze raz nie! – Reżyser znów przerwał kręcenie ujęcia. – To jest zabawa! Ma być widać radość życia!

Z każdą kolejną próbą zmniejszał się dystans pomiędzy nią i partnerem, bo Anna robiła się coraz bardziej zmęczona i coraz silniej opierała się na ramieniu mężczyzny. W pewnej chwili znaleźli się tuż przy kamerze. Kołysząc się w tańcu, Anna spojrzała prosto w obiektyw. Jej oczy były poważne i smutne. Nie mogła zrobić nic więcej, nic powiedzieć, wykonać żadnego gestu. Miała jednak nadzieję, że ktoś oglądający ten film dostrzeże jej sprzeciw.

Po skończonych zdjęciach rozpoczęło się prawdziwe przyjęcie. Anna mogła wreszcie zmienić dziwaczne wysokie buty na swoje zwykłe pantofelki do tańca, co przyniosło jej nieopisaną ulgę.

Korzystając z chwili, gdy nikt nie łaknął jej towarzystwa, przysiadła przy okrągłym stoliku nieco na uboczu sali. Po chwili podszedł do niej mężczyzna, którego widziała wśród ekipy filmowej.

– To pani spojrzała prosto w kamerę – oznajmił, zakładając nogę na nogę.

– Patrzyłam wszędzie i nigdzie – odparła, siląc się na lekki ton.

– Willy Wist – przedstawił się. – Jestem operatorem kamery.

– Anna Zatorska – odpowiedziała, doskonale wystudiowanym gestem podając mu dłoń do ucałowania. Z trudem powstrzymała westchnienie. Czas odpoczynku się skończył. Znowu musiała grać swoją rolę.

– Bardzo mi przyjemnie – rzekł, ściskając delikatnie jej palce.

Uśmiechnęła się zdawkowo. Skinął na kelnera.

– Proszę podać szampana.

Po chwili kelner znowu był przy nich, w jednej ręce niosąc brzęczący kubek z lodem, w drugiej tacę, na której stały dwa oszronione kieliszki i butelka szampana. Sprawnie odkorkował butelkę i nalał im musującego płynu. Willy Wist sięgnął do kieszeni, wyciągnął skórzany portfel, wyjął zeń banknot dziesięciodolarowy i wręczył kelnerowi. Anna miała wrażenie, że cała krew odpłynęła z twarzy chłopaka. Na jego czole zalśniły krople potu.

– Możesz odejść – powiedziała nieco głośniejszym głosem, niż powinna, by wyrwać go z otępienia.

Chłopak uklonił się i odszedł szybko, jakby musiał znaleźć się gdzieś daleko, by zaczerpnąć powietrza.

– Musi pan być majątym człowiekiem – stwierdziła Anna, upijając niewielki łyk z kieliszka.

– Skąd ten pomysł?

– Wysokie napiwki...

Willy Wist spojrzał jej prosto w oczy.

– Ma mnie pani za głupca? – spytał.

Anna oprzytomniała. W duchu skarciła samą siebie za brak rozwagi. Nie powinna była niczego komentować, nie taka była jej rola. Ze zmęczenia na chwilę straciła czujność.

– Słucham? – Posłała mu jeden ze swoich słodkich, naiwnych uśmiechów, ale on go nie odwzajemnił.

– Myśli pani, że niczego nie widzę? – zapytał poważnie. – Od kilku dni filmujemy życie w getcie. To, co się tu dzieje... Przecież to jest straszne.

Anna rozejrzała się dyskretnie. Ta rozmowa robiła się coraz bardziej niebezpieczna. Powinna ją jak najszybciej zakończyć. Modliła się, by któryś z jej stałych klientów zamówił u orkiestry jej piosenkę. Jak na złość jednak dziś nikt nie zgłaszał takiego życzenia.

Upiła duży haust szampana. Wiedziała, że w razie niebezpieczeństwa będzie to jej jedyny ratunek. Potrafiła znakomicie udawać pijaną idiotkę i dziś zamierzała odegrać tę rolę najlepiej w swoim życiu.

– Nie wierzę w dobrych Niemców – oświadczyła twardo mimo to. – Tym bardziej gdy udaje go ktoś, kto pracuje dla nazistów. Pewnie i pan należy do partii.

– Oczywiście.

Zdziwiła się, że nawet nie próbował zaprzeczyć. Nie była pewna, czy mówi prawdę, czy coraz głębiej wciąga ją w pułapkę. Wyrzucała sobie od najgorszych, ale nie potrafiła powstrzymać języka. Rozmowa z Niną wprowadziła ją w buntowniczy nastrój.

– Trudno uwierzyć w naród, który składa się wyłącznie z młodych, zdrowych i silnych wyznawców Hitlera, nieprawdaż? – rzekł w zamyśleniu.

Uznała, że nie oczekuje od niej odpowiedzi, więc tylko wzruszyła ramionami.

– Wielu myśli, że filmy dokumentalne nie kłamią. Zapominają jednak, że oko kamery widzi tylko to, na co skieruje się jej wzrok.

– To chyba czyni filmy niebezpieczną bronią, a ich twórców obciąża olbrzymią odpowiedzialnością – stwierdziła. – Jest pan współwinni wszystkiemu, co widział.

Pożałowała tych słów natychmiast, gdy je wypowiedziała. To mógł być wyrok. Kilka nieopatrznych słów mogło ściągnąć nieszczęście na nią i na tych, których przyrzekła chronić.

– Za dużo szampana! – Zachichotała sztucznie. Udawanie pijanej wydawało jej się teraz jedynym rozsądnym wyjściem. – Potrzebuję powietrza.

Wstała, a Willy Wist natychmiast także zerwał się z krzesła.

– Odprowadzę panią.

– Nie, nie – zatrzymała go Anna. – W takich sytuacjach damy potrzebują odrobiny samotności. To chroni je przed kompromitacją.

Wist uśmiechnął się smutno i skinął głową.

Anna zostawiła operatora przy stoliku i wyszła na zewnątrz.

Rozdział 4

W jednym nie skłamała, naprawdę potrzebowała chwili samotności. Skręciła za róg hotelu. Oparła się o ścianę, przymknęła oczy i z przyjemnością wciągnęła w nozdrza zapach majowego wieczoru.

– A co nasza słodka panna Anna robi tutaj całkiem sama? – usłyszała głos, od którego zimny dreszcz przebiegł jej wzdłuż pleców.

Natychmiast otworzyła oczy. Od Złotego Bązanta dzieliło ją nie więcej jak sześć kroków. Stał z jedną ręką niedbale wsadzoną w kieszeń mundurowych spodni, drugą przykładał do ust papierosa. W ciemności nocy zobaczyła lśniąca czerwoną plamkę żaru, po chwili wypuścił w jej kierunku smugę białawego dymu. Woń maja została zmącona ostrym zapachem mocnego tytoniu.

Bez trudu mogła wyobrazić sobie wyraz jego twarzy. To prymitywne zadowolenie z samego siebie, tępotę spojrzenia i wąskie wargi rozsunięte w lekko kpiącym uśmiechu. Złoty Bązant był znienawidzonym gościem „Britanii”. Stanowił doskonały egzemplarz skrajnie głupiego syna ważnego ojca, podobno człowieka z otoczenia samego Hitlera, który dzięki protekcji i wrodzonej skłonności do okrucieństwa zdobywał coraz większą władzę.

– Nie spodziewałem się zastać tu pani – odezwał się znowu. – Zdawało mi się, że przyjemnie się pani gawędziło z naszym operatorem z Berlina.

– Zabawianie gości jest naszym obowiązkiem – odparła, starając się, by te słowa brzmiały jak najoschlej.

– Oczywiście, oczywiście. – Złoty Bązant postąpił kilka kroków w jej kierunku. – Najważniejsze jest pilne wypełnianie obowiązków.

Rzucił niedopałek na ziemię i przydepnął butem. Niepokój Anny narastał. Stając plecami do ściany, odcięła sobie jakąkolwiek drogę ucieczki. Była uwięziona pomiędzy potężnym esesmanem a murem.

– Ciekaw jestem, o czym tak rozprawialiście? – spytał.

– O kręceniu filmów – odpowiedziała prędko.

– Tak, to bardzo interesujący temat. Bardzo interesujący.

Był już na tyle blisko, że Anna wyraźnie wyczuwała woń wypitego alkoholu.

– Dzisiaj na przykład kręciliśmy wielce interesujące sceny w łaźni. – Mężczyzna zarechotał niedwuznacznie. – Żydóweczkom służy nasza dieta. Jak na tak podłe istoty, bez ubrań prezentowały się całkiem, całkiem. – Zacmokał.

Anna odruchowo spróbowała się cofnąć, ale za plecami miała tylko zimny mur.

– Była tam jedna taka – ciągnął Złoty Bażant. – Twarz niezbyt urodziwa, ale ciało... Mmmm... Nie chciała zrzucić ubrania, więc trochę jej pomogliśmy, a potem wszyscy mogli sobie do woli popatrzeć, zanim zaczęła się właściwa zabawa. Bo wy, Żydóweczki, lubicie się bawić, prawda?

Złe przeczucia targnęły Anną, ale nim zdążyła zrobić cokolwiek, Złoty Bażant zamknął ją w uścisku, całym ciężarem ciała przygniatając do ściany. Nie mogła się ruszyć. Nie mogła nabrać powietrza. Wiła się śmiertelnie przerażona. Zalały ją wspomnienia tamtej pierwszej wizyty w gabinecie dyrektora. Ciało napięło się do granic możliwości, zmysły się wyciszyły, przestała czuć cokolwiek. Jej umysł jak gdyby zapadł się w siebie, tonąc w koszmarze bezsilności. Nie miała żadnych szans. Wiedziała, co się teraz wydarzy.

W getcie nie było sprawiedliwości. Byli tylko panowie życia i śmierci, których nie obowiązywały żadne reguły.

Mężczyzna przesunął rozchylonymi wargami po szyi dziewczyny, ale ona była już bardzo daleko. Zbyt daleko, by usłyszeć, że ktoś nagle pojawił się na podwórzu.

– Przepraszam, chciałem tylko sprawdzić, czy dobrze się pani czuje – usłyszała z oddali głos wyraźnie zmieszanego operatora. – Nie miałem zamiaru przeszkadzać.

Złoty Bażant natychmiast odskoczył od Anny. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął papierośnicę.

– Zapali pan? – Jak gdyby nigdy nic wysunął lśniące puzderko w stronę Wista.

– Dziękuję. – Skonsternowany Willy Wist poczęstował się papierosem.

Zatorska przyglądała się temu, jakby oglądała nagranie, a nie scenę, która rozgrywała się w teraźniejszości tuż obok niej. Czas płatał jej figle.

Złoty Bażant zachowywał się tak, jakby Anna nagle zniknęła. Nawet ktoś tak prymitywny jak on wiedział, że czym innym było dyskretne zażywanie rozkoszy z Żydówkami, a czym innym obcowanie z nimi w miejscu publicznym, w dodatku w obecności niemal obcego człowieka przysłanego z Berlina. Przepisy rasowe nadal obowiązywały. Za ich łamanie groziły dość surowe kary, a wobec wojny niemiecko-sowieckiej nikomu, szczególnie Złotemu Bażantowi, nie uśmiechała się wizja wysłania na front wschodni za cenę paru chwil rozkoszy.

– Papieros wypalony, można wracać do zabawy – rzekł, przydeptując niedopałek czubkiem buta.

Po czym, nie czekając na ich reakcję, odszedł w stronę wejścia do hotelu.

– Nic pani nie jest? – spytał operator.

– Uratował mnie pan – powiedziała rozdygotanym głosem.

– Przynajmniej panią... – westchnął, patrząc na nią smutno.

Rozdział 5

Anna cudem dotrwała do końca wieczoru, czujnie unikając operatora i Złotego Bazaranta. Uśmiechała się, piła i tańczyła, jakby nic się nie wydarzyło. Ją samą zadziwiła, z jak wielką łatwością jej to przyszło. Koniec zabawy przyjęła jednak z wielką ulgą. Starannie zmyła makijaż, mocno trąc twarz watką nasączoną emulsją. Rozpląkała się dopiero, gdy zobaczyła swoje prawdziwe odbicie w lustrze. Szarą cerę, podkrążone oczy, blade usta. Nina, która weszła do garderoby, objęła ją ramionami. Trwały tak dłuższy czas, a potem, nie porozmawiawszy, poszły każda w swoją stronę.

Zatorska była już obok domu, gdy gwałtownie się zatrzymała. Zobaczyła nieruchomą postać stojącą w cieniu przed wejściem do kamienicy, w której mieszkała. W pierwszej chwili pomyślała, że to Złoty Bazarant wytropił ją i czeka, by ją pochwycić i dokończyć to, co mu przerwano.

Skoncentrowała wzrok, usiłując lepiej się przyjrzeć. Postać kryjąca się w cieniu była drobna i niska. Zatorska odetchnęła z ulgą. Podeszła bliżej, ale i to nie wzbudziło żadnej reakcji u tamtej osoby.

– Noemi, aleś mnie przestraszyła! – Anna poczuła się nagle okropnie zmęczona. Ten wieczór obfitował w zbyt wiele nieoczekiwanych zwrotów akcji. Marzyła już tylko o tym, by znaleźć się w łóżku i zapadnąć w głęboki sen, najlepiej bez snów. Zbyt bała się koszmarów, które mogłyby ją dziś dręczyć. – Co ty tu robisz? Przecież jest już po godzinie policyjnej.

Noemi odwróciła wzrok i spojrzała na Annę nieprzytomnie.

– Noemi, co tobie? – spytała zaniepokojona Zatorska.

Chciała wziąć przyjaciółkę za rękę, ale ta wyrwała się jak oparzona. Anna przestraszyła się nie na żarty.

– Noemi, błagam cię, powiedz mi, co się stało.

– Mieli nagrać film – wybełkotała wreszcie Noemi. Nienaturalnie rozszerzonymi oczami patrzyła w ciemność ponad ramieniem Anny. – To miał być tylko film. Tylko film. W łaźni na Dzielnej.

Żołądek Anny zacisnął się boleśnie.

Nie, tylko nie Noemi, błagała w duszy, choć przecież było już za późno. Zło związane z tym przeklętym filmem już się wydarzyło.

– Zmusili nas... Zmusili... – Noemi wyrzucała z siebie słowa, niezdolna opowiedzieć tego, co zaszło. – Ja nie chciałam... Ten mężczyzna... On też nie chciał... – Zamilkła nagle.

Anna czuła na policzkach łzy. Oczy Noemi pozostały suche, a wzrok nieobecny.

– Musisz o tym zapomnieć, rozumiesz? – odezwała się Zatorska, usiłując zapanować nad drzeniem głosu.

Noemi spojrzała na nią, co Anna postanowiła przyjąć za dobry znak. Przynajmniej udało jej się skupić na sobie uwagę dziewczyny.

– Co się stało, już się nie odstanie – ciągnęła surowiej, niż zamierzała, ale zdawało jej się, że rzeczowy ton działa kojąco na jej przyjaciółkę. – To nie twoja wina. Szkopy to zwyrodnialcy, realizujący chore pomysły swojego szalonego wodza. To jeden wielki teatr przemocy, w której my nie mamy mocy sprawczej. Niczemu nie jesteś winna – powtórzyła, cedząc słowa.

– Andrzej... – szepnęła Noemi.

– Co z nim?

– Jestem obrzydliwa. Andrzej nigdy już nie spojrzy na mnie jak dawniej... – Oczy Noemi wypełniły się łzami, jakby wspomnienie ukochanego sprawiło, że tamy w jej wnętrzu puściły. – Nie będzie chciał kogoś takiego jak ja...

– Nie myśl o nim! – przerwała jej Anna, chwytając przyjaciółkę za ramiona. – Nie teraz! Musisz schować to wszystko gdzieś głęboko i zatrzaskać drzwi, rozumiesz?

– Nie zapomnę... – wychlipała Noemi.

– Wiem – odparła Anna, patrząc jej prosto w oczy. – Tego nie sposób zapomnieć.

Przez chwilę milczały, przyglądając się sobie nawzajem. Obie nosiły w sobie rany, których nie potrafiły nikomu pokazać, a które już na zawsze miały pozostawić straszne blizny.

– Czasem trzeba dużo znieść, by przetrwać – odezwała się znów Anna. – A ty... a my... Musimy przetrwać. Dla Andrzeja.

Noemi skinęła głową.

– A teraz chodź, odprowadzę cię do domu – powiedziała Anna.

*

Przez kilka kolejnych dni Andrzej usiłował spotkać się z Noemi, ale jej matka go odprawiała.

– Wciąż powtarza, że Noemi jest chora, ale nie chce powiedzieć, co jej dolega – żalił się siostrze.

Anna patrzyła na niego ze współczuciem. Widziała, jak bardzo się martwi, ale nie mogła nic zrobić. By go pocieszyć, musiałyby zdradzić tajemnicę przyjaciółki, ale nie tylko lojalność wobec niej powstrzymywała ją przed powiedzeniem prawdy bratu. Wiedziała, że taka rozmowa była niebezpieczna także dla jej sekretów. Andrzej zacząłby zadawać pytania, dociekać, wyciągać wnioski. Przede wszystkim chciałby zrozumieć, dlaczego Noemi wyznała wszystko jej, a nie swojemu ukochanemu. Czy przekonałby go argument, że łatwiej było wyznać to jej jako kobiecie? A może nie byłaby dość przekonująca i Andrzej zacząłby podejrzewać, że jej dobre rozeznanie w sytuacji jest wynikiem czegoś innego, może własnych doświadczeń. Wątpliwości mnożyły się jej w głowie, a zachowanie tajemnicy wydawało się jedynym dobrym rozwiązaniem.

Musiała w milczeniu patrzeć, jak Andrzej szaleje z niepokoju. Wreszcie zdecydowała się sama spróbować odwiedzić przyjaciółkę.

– Wejdz, proszę. – Pani Lichtenbaum zaprosiła ją do środka. – Noemi czeka na ciebie.

Nie widziały się zaledwie kilka dni, ale Annie zdawało się, że ukochana jej brata przez ten czas bardzo wychudła. Jej skóra zdawała się niemal przezroczysta, usta były pozbawione koloru, granatowe kręgi pod oczami świadczyły o ogromnym wyczerpaniu. Annie przemknęło przez myśl, że Noemi bardziej przypomina zjawę niż młodą dziewczynę.

Przygasła. Zatorskiej wydawało się, że zwątpiła, straciła wiarę, która działała na nich wszystkich tak kojąco, a jednocześnie napełniała ich energią i nadzieją na lepsze jutro. Na to, że w ogóle będzie jakieś jutro. Dopiero teraz dotarło do niej z całą mocą, jak ważna była dla niej Noemi. Ta eteryczna, marzycielska, tak niepasująca do getta, ciemności, tego całego upiornego teatrum wojny i zagłady. Noemi była światłem.

A teraz to światło straciło blask, pełgało zaledwie.

– Anno! – wykrzyknęła, padając Zatorskiej w ramiona.

– Jak się czujesz? – spytała Anna, lecz zaraz pożałowała tych słów.

Noemi nie odpowiedziała. Usiadła na łóżku i odwróciła twarz w stronę okna. Zatorskiej zdawało się jednak, że przyjaciółka wcale nie dostrzega widoku na zewnątrz.

– Spójrz, jaki piękny dziś dzień. – Spróbowała raz jeszcze. – Może poszłybyśmy na spacer. Odrobina słońca dobrze ci zrobi.

Noemi szarpnęła głową i wbiła w nią przerażony wzrok.

– Nigdy stąd nie wyjdę – powiedziała głucho.

Przyjaciółka podeszła do niej, otoczyła ramionami jej wychudłe ciało, kości przyobleczone lichą odzieżą.

– Noemi, tak nie można... Tak się nie da.

– Nigdy stąd nie wyjdę – powtórzyła tamta.

W tym momencie Anna zrozumiała, że była tylko jedna droga, żeby uratować Noemi. Trzeba było ją stąd zabrać. Wyrwać ze świata, w którym na każdym kroku coś przypominało jej o tym, co najpew-

niej przeżyła w łaźni. Jeśli Noemi miała przeżyć, musiała przejść na aryjską stronę i zacząć wszystko od nowa.

Rozdział 6

Lucynka przedostała się do getta, choć ostatnio nie było to proste. Niemcy zaostrzyli patrole, wydawali mniej przepustek. Wyraźnie szykowali się do czegoś, ściślej odizolowując getto. Chciała przeczekać ten czas, ale doszły do niej wieści, że w nocy z ósmego na dziewiątego czerwca Niemcy rozstrzelali kilkudziesięciu szmuglerów. Próbowała poznać ich nazwiska, ale informatorzy wciąż powtarzali, że lista jest trudna do ustalenia. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, musiała wrócić do getta i dowiedzieć się, czy był wśród nich Franek. Gdy nie zastała go w domu, gnana strachem popędziła do Zatorskich.

– Żyje i ma się dobrze – zapewniła ją Anna, uśmiechając się przy tym ciepło. Od dawna podejrzewała, że Lucynka żywi do Franka głębsze uczucia, ale teraz miała już pewność. – Po getcie chodzą różne plotki – zagadnęła, gdy dziewczyna uspokoiła się nieco. – Podobno żydowscy działacze nawiązali kontakt z gettem wileńskim, w którym dzieją się straszne rzeczy. Słyszałaś coś o Ponarach?

Lucynka pokręciła głową, jednocześnie pochylając twarz nad filiżanką, by nie patrzeć przyjaciółce w oczy.

– Ktoś dostał też list z Lublina – ciągnęła Anna. – Pisano tam o deportacjach.

– Nie mogę... – Lucynka się zawahała. – Nie powinnam.

Anna przytaknęła. Rozumiała ją. Każdy miał swoje tajemnice. Zdawało jej się jednak, że Lucynka mimo swoich deklaracji bardzo potrzebuje podzielić się z kimś ciężarem, który przyszło jej dźwigać. Anna nie chciała zmuszać jej do mówienia, ale czuła, że powinna spytać jeszcze raz. Poza tym potrzebowała informacji ze świata spoza muru. Jeśli miała spróbować namówić Andrzeja do wyjścia z Noemi, musiała jakoś się do tego przygotować.

– Chodzi o to, że te pociągi nie jadą do pracy na wschód, prawda?

Lucynka skinęła głową.

– Nikomu nie powiem – obiecała Anna. – Wiesz, że twoje tajemnice będą u mnie bezpieczne.

– Nie jestem pewna, czy powinny być bezpieczne... – odparła Lucynka z wahaniem. – Mam wrażenie, że należałoby oplakatować każdą wolną ścianę i krzyczeć o tym na ulicach.

– O czym, Lucynko?

– O masowych mordach Żydów za pomocą gazu – wyrzuciła na jednym oddechu.

– O czym ty mówisz? – Anna była wstrząśnięta.

– Widziałam biuletyn „Polish Fortnightly Review” przemycony z Londynu.

– Nie znam angielskiego – przypomniała Anna.

– Tytuł jest bez znaczenia. – Lucynka machnęła ręką. – Trafił w moje ręce całkiem przypadkowo. Miałam przekazać go dalej. Nie powinnam była w ogóle do niego zaglądać.

Podniosła dłonie do czoła.

– No dobrze, nie powinnaś była, ale zajrzałaś. I? – ponagliła ją Anna.

– To był numer z pierwszego lipca ubiegłego roku. Pisano w nim o KL Auschwitz.

– Tak, słyszałam, to ten obóz pracy.

Lucynka pokręciła głową.

– Nie... To miejsce zagłady. – Wzięła głęboki wdech, a potem wypuściła powietrze, by uspokoić emocje. – Niemcy zabijają tam ludzi trującym gazem, cyklonem B, a potem palą w wielkich piecach.

Annie ten pomysł wydał się naraz przerażający i całkiem niedorzeczny. Spróbowała sobie to wszystko wyobrazić, ale jej umysł nie potrafił objąć tej wizji. Palenie zwłok w piecach? Masowe mordy gazem? Nie, nawet Niemcy nie byliby zdolni do podobnego barbarzyństwa.

– Getto to tylko poczekalnia, ostatni przystanek przed ostateczną zagładą – dodała Lucynka.

– To niemożliwe, po prostu niemożliwe. Kolejna fantastyczna opowieść o bestialstwie Niemców mająca wzbudzić strach i niechęć – stwierdziła Zatorska. – Pomyśl logicznie. Niemcom zupełnie by się to nie opłacało. Szopy pracują we dnie i w nocy, przynosząc niemałe korzyści. Te warsztaty produkują przecież dla wojska niemieckiego ogromne ilości towarów. W getcie panuje względny spokój. Zapowiedziano nawet otwarcie placów zabaw dla dzieci. No powiedz sama, po co mieliby mordować darmową siłę roboczą, pozbywać się swoich niewolników? – Anna pokręciła głową. – Nie, to nie może być prawda.

Lucynka popatrzyła smutno na przyjaciółkę, ale nie odezwała się więcej. Dokładnie takiej reakcji spodziewali się jej przełożeni w organizacji. „Nikt ci nie uwierzy” – uprzedzali i najwyraźniej mieli rację.

Rozdział 7

Tego wieczoru, gdy wszyscy rozeszli się już po głośnym czytaniu na podwórzu, by przed godziną policyjną zdążyć do domu, Andrzej został zaproszony na kolację. Noemi wciąż nie wychodziła z domu, ale tęsknota za ukochanym okazała się silniejsza niż wszystko inne. Nie musiała udawać choroby, bo wyglądała bardzo blado, mimo to Zatorski nie posiadał się z radości, mogąc znów ją widzieć, a ona powoli rozmrażała się w ciepłe jego przywiązania.

Jako członek Żydowskiej Służby Porządkowej Andrzej dysponował specjalną przepustką, dzięki której po godzinie policyjnej mógł przebywać poza domem.

Państwo Lichtenbaum nawet w getcie prowadzili bardzo bogate życie towarzyskie. Na stole wprowadzie jako poczęstunek najczęściej pojawiał się tylko napar z suszu serwowany zawsze w eleganckich, delikatnych filiżankach, ale nikomu zdawało się to nie przeszkadzać. Andrzej miał czasem wrażenie, że w tym domu karmiono się rozmowami o literaturze, sztuce, historii. Na wychudłych twarzach członków rodziny Noemi i ich gości nigdy nie dostrzegał owego wyrazu rezygnacji czy bezradności właściwego pozostałym mieszkańcom getta. Przeciwnie, gdy rozmawiali, byli ożywieni, pełni energii, a ich oczy błyszczały ciekawością.

Sam pochodził przecież z inteligenckiej rodziny, a jednak u nich w domu nigdy nie rozmawiało się w ten sposób. Zwykle omawiano po prostu codzienne sprawy. Matka próbowała czasem zwrócić konwersację w stronę muzyki, ale nie znajdowała wśród nich partnera do wymiany myśli. Antoś był oczywiście zbyt mały, a Anna, Andrzej i ojciec muzykę traktowali jak jedzenie czy dobry napitek. Można było złożyć wyrazy uznania dla kunsztu kucharza, ale rozmawiać ich zdaniem zupełnie nie było o czym.

Tymczasem gdy przysłuchiwał się rozmowom toczonym przy stole w mieszkaniu państwa Lichtenbaum, zaczynał przeczuwać, że jednak coś stracił, coś go ominęło. Świat ten fascynował go coraz bardziej.

Przy pożegnaniu ostrożnie przyciągnął Noemi do siebie. Pozwoliła mu na to, choć od czasu choroby wyraźnie stroniła od dotyku. Teraz wciągnął w nozdrza rumiankowy zapach jej włosów.

– Kocham cię, Noemi – powiedział. – Zawsze będę cię kochać.

Następnego dnia, dwudziestego drugiego lipca, ogłoszono obwieszczenie o rozpoczęciu wielkiej akcji likwidacyjnej warszawskiego getta. Hermann Höfle, mianowany przez dowódcę SS Odilo Globocnika szefem sztabu akcji „Reinhardt”, zażądał od przewodniczącego Judenratu, by na dzień następny przygotowano kontyngent minimum sześciu tysięcy ludzi do wywózki na wschód.

Ludzie mieli się gromadzić na Umschlagplatzu.

W drugiej połowie XIX wieku konieczne stało się doprowadzenie bocznic kolejowej do magazynów wojskowych przy ulicy Stawki. Już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości nieopodal wyznaczono placówki Miejskich Zakładów Zaopatrywania Warszawy. Ich magazyny wzniesiono wzdłuż ramp kolejowych. Teraz Niemcy wydzielili fragment tego terenu i nazwali go Umschlagplatz, czyli plac przeładunkowy. Stamtąd miały odjeżdżać wyładowane ludźmi pociągi.

– Dopilnujcie, by znalazło się tam jak najwięcej dzieci – dodał Höfle, wychodząc z gabinetu Adama Czerniakowa.

W odpowiedzi następnego dnia Czerniaków łyknął kapsułkę cyjanku potasu. Wiedział bowiem, co naprawdę kryje się za hasłem wywózki na wschód.

„Żądają ode mnie, bym własnymi rękami zabijał dzieci mego narodu. Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć” – napisał w krótkim liście pożegnalnym. „Jestem bezsilny, serce mi pęka z żalu i litości, dłużej tego znieść nie mogę...”

Niemcy obiecywali ochotnikom, którzy sami zgłosiliby się do wyjazdu, trzy kilogramy chleba i kilogram marmolady, co dla wielu było wystarczającym argumentem. Ochotnicy zgłaszali się jednak tylko na początku i wkrótce trzeba było zastosować rozwiązanie siłowe.

Pierwszego dnia akcji wzięto zakładników. Kilku członków gminy, paru szanowanych przedstawicieli społeczności, lekarzy oraz kilka całkiem przypadkowych osób złapanych na ulicy. Osadzono ich na Pawiaku, a wszystkich poinformowano, że zostaną rozstrzelani natychmiast, gdyby Niemcy napotkali jakikolwiek opór.

– Jak przy kapitulacji Warszawy – szeptano, wspominając wydarzenia z początku wojny.

Getto zostało otoczone kordonem. Nikomu nie wolno było do niego wchodzić ani z niego wychodzić. Niemal cały szmugiel ustał, co spowodowało natychmiastowe braki w zaopatrzeniu. Chleb kosztował ponad sto złotych, a w niektóre dni był w ogóle niedostępny.

Był piękny letni dzień. Niebo zdawało się lśnić błękitem niczym tafła lodu, ale upał nie doskwierał tak mocno, jak w ostatnich dniach, ponieważ tej nocy spadł niosący ulgę deszcz.

– Powinniśmy coś zrobić, jakoś się sprzeciwić, nie dać się tak po prostu wywozić jak bydło – mruknął Franek, niezadowolony z bezczynności. Wejścia do getta były pilnie strzeżone, szlaki szmuglerskie obstawione tak, by jakikolwiek przemyt był niemożliwy. Kajzer od zawsze, nawet w czasie kampanii wrześniowej i po zamknięciu getta, był nieustannie zajęty. Teraz musiał czekać, aż to wszystko się skończy, a bezczynność wprawiała go w ponury nastrój.

W getcie od kilku tygodni nie mówiono o niczym innym niż wywózki. Rozprawiano o tym, ile kilogramów bagażu tym razem będzie wolno ze sobą wziąć, iluosobowe będą wagony, czy będzie dodatkowy przydział żywności na czas podróży, jak długo ona potrwa. Nade wszystko zaś rozważano możliwe kierunki, w które potencjalnie mogliby zostać wysłani. Nikt jednak nie mówił o oporze.

– Na głodnego trochę ciężko rzucić się na Niemców – westchnął Marek.

Siedzieli na ławce we trzech z Andrzejem, który dostał rozkaz, by następnego dnia wziąć udział w akcji spędzania ludzi na Umschlagplatz.

– Studiowałem prawo. Wierzyłem w prawo! – mówił coraz bardziej nerwowo, ignorując słowa przyjaciół. – Chciałem być adwokatem, walczyć o wymierzanie sprawiedliwych wyroków. Naiwnie sądziłem, że będę zmieniał świat na lepsze, że będę miał na cokolwiek wpływ, że cokolwiek mogę ulepszyć, poprawić. Dziś widzę siebie w tym mundurze i nie wiem, kim jestem! – wyznał szczerze.

Franek i Marek popatrzyli na niego ze współczuciem. Milczeli, a on był im za to wdzięczny. Nie potrzebował dobrych rad ani złotych środków. Wiedzieli, że jak wszyscy ludzie w getcie, on także miał ograniczony wybór drogi życiowej. Mur nie wyznaczał tylko zewnętrznych granic wolności, lecz sięgał o wiele głębiej, przenikając wszystkie dziedziny życia.

– Mamy zapędzać ludzi na Umschlagplatz. Codziennie określoną liczbę. Każdy osobiście po pięć osób dziennie, plus większe grupy spędzane wspólnie. Jeśli nie wykonam rozkazu, grozi mi śmierć albo również wysiedlenie... wraz z rodziną. Tylko moja praca chroni ojca i Annę, pozwala tu zostać.

Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć. Przyjaciele doskonale rozumieli dramatyczne położenie Andrzeja, ale nie znajdowali żadnych słów pocieszenia.

– Nie mogę przestać myśleć o tym, dokąd pojedą te pociągi – wyznał Franek po dłuższej chwili milczenia. – Wciąż przypominają mi się wszystkie opowieści Lucynki o wypadkach w getcie w Wilnie i w Lublinie, o obozach pracy, katowniach, gazowaniu ludzi. Śnią mi się te warstwowe groby, warstwa umarłych, warstwa żywych, warstwa umarłych... Przecież to dosłownie szatański pomysł. Jak ktoś mógł wymyślić coś takiego? Grzebać żywych ze zmarłymi we wspólnym grobie. Raz śniło mi się nawet, że jestem jednym z tych żywych. Przygniatają mnie ciała, usiłuję złapać oddech, ale nie mogę. Duszę się, wciąż żyję. – Mimo ciepłego dnia Kajzer poczuł na plecach zimny dreszcz.

– Szpitale, służba zdrowia, sierocińce, gmina, policja na pewno są bezpieczne. Ci, którzy pracują dla Niemców, też. – Marek spróbował

nakierować uwagę przyjaciela na bardziej przyjemne sprawy.

– Wszyscy gorączkowo szukają pracy w szopach – zgodził się Franek. – Podobno zrobił się już z tego intratny interes.

– Z czego dokładnie? – zainteresował się Andrzej.

– Każdy, kogo na to stać, kupuje sobie miejsce pracy – wyjaśnił mu Marek.

– Co za paradoks... – mruknął Kajzer. – Niewolnicy kupują sobie miejsca w niewoli.

– Za wszelką cenę chcą żyć – rzekł cicho Goldman.

– A inne ofiary zmuszone są do wejścia w rolę katów – stwierdził gorzko Kajzer, ukradkiem spoglądając na Andrzeja. – Mówię wam, panowie, to początek końca.

Rozdział 8

Było późne popołudnie, trzeci dzień sierpnia. Wywózki trwały już od dwóch tygodni. Niepokój w getcie stawał się niemożliwy do zniesienia. Tego lata nikt nie dostrzegał zaduchu i upału, bo wszyscy dławili się strachem o siebie i swoich najbliższych.

Tego dnia około szesnastej pod budynkiem szkoły na Nowolipkach 68 zakopano dziesięć metalowych skrzyń z dokumentami Podziemnego Archiwum Getta Warszawskiego. Wielka akcja likwidacyjna nabrała rozpędu, więc zdecydowano o zabezpieczeniu i ukryciu zgromadzonych materiałów. Gdy archiwum było bezpieczne, państwo Lichtenbaum zaprosili na herbatę Andrzeja, który pilnował ulicy podczas ukrywania skrzyń.

– Podobno nie będą wywozić małżeństw – powiedział nagle Andrzej, a jego policzki oblał szkarłatny rumieniec. Od tygodni zbierał się do tej rozmowy, a groza ostatnich dni sprawiła, że postanowił dłużej nie zwlekać. Noemi była kobietą jego życia, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Sięgnął po łyżeczkę i zaczął mieszać nią w filiżance, choć przecież nie było w niej ani grama cukru czy konfitury.

Panujące w pokoju przygnębienie nieoczekiwanie pierzchnęło, ustępując miejsca pełnemu napięciu oczekiwaniu. Państwo Lichtenbaum dyskretnie wymienili spojrzenia. Tylko Noemi wyglądała wciąż na zatroskaną, jakby jej umysł w żaden sposób nie połączył tych wszystkich okoliczności w jedną całość.

– Tak, słyszałam – powiedziała. – Podobno gdzieś na Pawiej siedzi rabin, wystawia zaświadczenia o zawarciu małżeństwa, a ludzie zaplatają je sobie wokół palców jak obrączki. Tak przynajmniej mi mówiono, bo czy to prawda, nie wiem. Co za czasy... – westchnęła ciężko.

Pan Lichtenbaum zdjął okulary, przetarł szkła kraciastą chustką, po czym odchrząknął, jak to miał w zwyczaju, gdy zamierzał coś powie-

dzieć.

– Wydaje mi się, Noemi, że ta rozmowa zmieniła swój bieg i cel – oświadczył, a w jego oczach lśniła wesołość.

– O czym tatuś mówi? – spytała, patrząc niepewnie. Dopiero teraz zauważyła zaczerwienionego Andrzeja i radość w oczach rodziców. – Co tu się wyprawia?

– Zdaje mi się, że pan Andrzej właśnie ci się oświadczył – rzekł ojciec, po czym nałożył okulary na nos i starannie złożywszy chustkę na czworo, wsunął ją znów do kieszeni.

Pani Lichtenbaum zachichotała cicho, a mąż uśmiechnął się do niej.

– Dworujecie sobie ze mnie, prawda? – spytała Noemi, której krew uderzyła do głowy. – Takie żarty w tych okolicznościach wydają mi się nieco nieprzyzwoite.

– Ależ skąd, moja droga – zapewniła pani Lichtenbaum, poważniejąc natychmiast. – Nigdy nie ośmielilibyśmy się żartować z podobnych...

– Ze wszystkiego zawsze żartujecie – bąknęła Noemi, splatając ręce na piersiach.

– Bo tak jest zawsze trochę lżej żyć – odpowiedział jej ojciec, a matka skinęła głową, jakby na potwierdzenie prawdziwości tych słów.

– Byłabym jednakowoż wdzięczna, gdybyście pozostawili moje sprawy poza obszarem waszych figli.

– Kiedy my... – zaczął pan Lichtenbaum, ale Noemi nie zwróciła nań uwagi.

– A ciebie, Andrzeju, bardzo przepraszam – powiedziała. – To wszystko... Och, aż brak mi słów, żeby opisać, jak bardzo jestem zderwowana i zawstydzona.

– Tyle tylko, że... – odezwał się Zatorski, któremu serce tłukło się w piersi jak młotem. Wiedział, że oto nadszedł ten moment, właściwa

chwila, być może najważniejsza w jego życiu. Nie tak to zaplanował, ale skoro wydarzenia całkiem nieoczekiwanie pobiegły tym torem, czuł, że powinien wykorzystać okazję.

– Andrzej, nie musisz starać się być taktowny – przerwała mu Noemi. – Najprościej byłoby, gdybyśmy zapomnieli o tych dziwacznych żartach i wrócili do głównego tematu rozmowy, bo tym powinniśmy się realnie zmartwić. W końcu jest ryzyko, że...

– Tyle że twoi rodzice... państwo Lichtenbaum mają rację, Noemi! – wykrzyknął nagle Zatorski, czując, że jeśli pozwoli tej chwili przeminać, długi czas nie zdoła zdobyć się na odwagę.

– Jaką rację? Z czym? – wydukała dziewczyna, patrząc to na niego, to na swoich rodziców, którzy z wyraźnie rozbawionych nagle stali się uroczyście poważni.

– Noemi... ja... nigdy wcześniej tego nie robiłem... – zaczął nieskładnie Andrzej, zrywając się z miejsca.

– Może to i dobrze... – szepnął pan Lichtenbaum, ale umilkł zaraz, gdy żona ostrzegawczo klepnęła go w ramię.

Ani Noemi, ani Andrzej nie zwrócili na nich uwagi. Zatorski podszedł do miejsca, w którym siedziała jego ukochana.

– Nie mam pojęcia, czy nie łamię jakichś zasad... – powiedział Andrzej, przyklękając przed Noemi. – Ale chciałem... Chciałem zapytać, czy uczyniłabyś mi ten zaszczyt i została moją żoną?

Wszystko wokół umilkło. Byli tylko oni, patrzący sobie głęboko w oczy.

– Ale wiesz, że w judaizmie zaręczyny nie mogą być zerwane? – spytała słabym głosem Noemi. – Może chciałbyś się jeszcze zastanowić...

– Nie – odparł z mocą Andrzej. – Dość miałem na to czasu i jestem pewien, że choćbym zjechał najdalsze zakątki świata, nie znajdę kobiety nawet w połowie tak doskonałej jak ty.

– Dobrze – odpowiedziała Noemi, a jej matka przysunęła się do ojca, który objął ją ramieniem. – Wyjdę za ciebie, Andrzej.

– Przez wzgląd na okoliczności zewnętrzne *tenaim* pominiemy, ale talerze możemy stłuc, by choć jednej tradycji stało się zadość – szepnęła pani Lichtenbaum do męża. Wydawało jej się, że mówi cicho, ale i tak została usłyszana także przez innych.

– Talerze? – spytał niemądrze Andrzej, wciąż oszołomiony faktem, że oto stało się, został przyjęty. Noemi zgodziła się zostać jego żoną!

– Na znak, że niedługo zmienią się relacje moje i Noemi, bo wkrótce wy...

– Tak?

– Stworzymy własną rodzinę – wyjaśniła mu Noemi, uprzedzając matkę, po czym spuściła skromnie wzrok.

– Ale co mają z tym wspólnego talerze? – chciał wiedzieć Andrzej, lecz odpowiedział mu tylko gromki śmiech.

*

– Zaopiekuj się nią – powiedział pan Lichtenbaum, gdy Noemi z matką wyszły do kuchni poszukać czegoś, czym można by uczcić zaręczyny.

Andrzej skinął głową.

– Cokolwiek by się nie działo, nie troszcz się o nas.

– Proszę posłuchać...

– Nie, to ty mnie posłuchaj, synu – rzekł pan Lichtenbaum z nie-spotykaną u niego stanowczością. – Wiem, że dołożysz wszelkich starań, by nam pomóc, wiem to, ale gdyby nadeszła godzina próby, gdybyś musiał wybierać, zawsze wybierz Noemi. Ona jest wszystkim, co mamy. Jedynym, co się liczy, rozumiesz?

– Tak – powiedział Andrzej. Doskonale rozumiał.

– Ona musi żyć. Wtedy to wszystko nie będzie pozbawione sensu. Przeżyjemy i my, historia potoczy się dalej. Wraz z Noemi przetrwa

pamięć o nas, z archiwum Ringelbluma prawdziwy obraz getta. Dzięki temu pozostaniemy niezwyknięci. To ważne, Andrzeju. – Pan Lichtenbaum wyciągnął rękę do Zatorskiego. – Obiecaj mi to, proszę.

– Obiecuję – powiedział Andrzej i mocno uściskał dłoń przyszłego teścia.

Rozdział 9

Następnego dnia Noemi i Andrzej poszli na Pawią. Odnaleźli rabina, który udzielił im ślubu. Cała ceremonia trwała zaledwie kilka minut. Musiała odbyć się bez świadków i gości, ponieważ jakiegokolwiek zgromadzenie na ulicy stawało się pretekstem do zatrzymania i zabrania na Umschlagplatz.

– Nie przeszkadza ci, że jestem chrześcijaninem? – spytał Andrzej.

– A tobie, że jestem Żydówką? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Noemi.

Noc poślubną mieli spędzić u Marka, lecz gdy tam dotarli, nadeszła wiadomość, że rodzice Noemi znaleźli się na Umschlagplatzu.

Andrzej natychmiast przebrał się w mundur i pobiegli na Stawki.

– Mamo! – zawołała Noemi.

Pani Lichtenbaum odwróciła się w stronę córki. Obie dłonie trzymała zaciśnięte na rączce dużej skórzanej walizki. Pomimo grozy sytuacji Andrzej zaczął się zastanawiać, jak wiele miejsca zajmują w tej walizce ubrania czy przybory toaletowe, a jak wiele książki. Był niemal pewien, że tych pierwszych spakowano tylko niezbędne minimum.

Mimo upału matka Noemi miała na sobie długi, elegancki wełniany płaszcz i swój ulubiony kapelusz, spod którego wystawały starannie ufryzowane loki. Nawet usta zdążyła musnąć szminką. Uśmiechnęła się do córki i pomachała jej energicznie, jakby wyjeżdżała na długo wyczekiwane wakacje czy w jakąś ekscytującą podróż. Na tle otaczających ją zgnębionych twarzy bił od niej jakiś blask. Ponad jej ramieniem Zatorski zobaczył łysą głowę teścia. Dłuższy czas patrzyli sobie w oczy. Pan Lichtenbaum skinął głową i uśmiechnął się, jakby chciał dodać Andrzejowi otuchy. „Pamiętaj” – zdawało się mówić jego spojrzenie. Zatorski skinął głową.

– Mamo! – Noemi usiłowała się wyrwać, ale mąż mocno obejmował ją ramionami. Łzy ciekły mu po twarzy. Składając obietnicę panu Lichtenbaumowi, nie przypuszczał, że dotrzymanie jej będzie tak trudne. Wiedział jednak, że tu, przy nim, Noemi była bezpieczna. W każdej chwili mógł ją wyprowadzić z placu.

– Puść mnie! – Wyrывała się. – Muszę się z nią pożegnać. Nie możesz mi tego zabronić. Andrzej, ja muszę! Muszę przynajmniej raz jeszcze ich uściskać.

Nie mógł jej na to pozwolić. Dziś było spokojnie, ale wystarczył jeden impuls, by przy załadunku do wagonów zaczęły rozgrywać się dantejskie sceny. W takich chwilach nikt tak naprawdę nie panował nad rozszalałym tłumem, a mimo to ludzie sami pchali się do wagonów, jakby nie widzieli już innego kierunku.

Gdyby coś zaczęło się dziać, byłby bezradny. Członkowie żydowskiej policji nie nosili broni palnej, a pałka, która miała im służyć za środek przymusu, w podobnych okolicznościach była całkiem bezużyteczna.

Trzymał żonę zamkniętą w objęciach. Gdy pociąg ruszył, szarpnęła się, raz jeszcze próbując się wyrwać, ale po chwili zwiotczała w jego ramionach, straciwszy przytomność. Andrzej wziął ją na ręce i zaniósł do pustego już mieszkania państwa Lichtenbaum.

Rozdział 10

Marek zawiadomił Annę o wywiezieniu rodziców Noemi. Zatorska wahała się tylko chwilę, zastanawiając się, czy nie powinna zostawić nowożeńców samych w tak trudnym momencie, zaraz jednak pomyślała, że być może będzie jednak potrzebna. Andrzej mógł mieć służbę i nie chce zostawić Noemi samej.

Tak, stanowczo powinnam pójść sprawdzić, co u nich – pomyślała.

Andrzej wpuścił ją do środka. Noemi nie wyszła nawet się z nią przywitać. Anna ze smutkiem rozglądała się po cichym mieszkaniu, które przecież jeszcze tak niedawno tętniło życiem.

– Musisz wybaczyć Noemi – powiedział Andrzej, stawiając przed siostrą szklankę z wodą. – Jest całkowicie rozstrojona tą sytuacją.

Anna spojrzała bratu prosto w oczy. Nie była pewna, czy to dobry moment, by odbyć rozmowę, do której zbierała się już od jakiegoś czasu, ale wreszcie uznała, że nie czas odkładać cokolwiek na później, które może nigdy nie nadejść.

– Ona nie może tu zostać, Andrzej – powiedziała, powoli wymawiając słowa.

– Wiem, jest na to wszystko zbyt delikatna, zbyt krucha – odparł Andrzej. – Nie powinna oglądać takich scen, tych wszystkich łapanek...

– Noemi jest silniejsza niż my wszyscy razem więci – rzekła Anna z mocą.

Brat rzucił jej zdziwione spojrzenie, ale nie poprosił, by rozwinęła tę myśl.

– Dlaczego więc... – chciał wiedzieć zamiast tego.

– Bo nie jest tu bezpieczna.

Kilka dni wcześniej Anna całkiem przypadkiem natknęła się na Złotego Bązanta. Chwalił się, że zamierza poszukać tamtej Żydów-

weczki z łaźni. Nie mogła jednak powiedzieć tego bratu. Upiła łyk chłodnej wody.

– O to się nie martw, zaopiekuję się nią – zapewnił Zatorski, prostując się nieco. – Wiesz przecież, że dla członków rodzin Służby Porządkowej przewidziano numerki, a poza tym...

– Nie zdołasz jej ochronić – przerwała mu siostra. – To jedno z tych niebezpieczeństw, przed którym jedyną obroną jest ucieczka. Noemi musi zniknąć z getta.

Andrzej w milczeniu trawił słowa siostry. Pytania w jego głowie się mnożyły. Nic z tego wszystkiego nie rozumiał, a mimo to przecucie podpowiadało mu, że Anna ma rację, choć mierzył się też z dziwną zazdrością, iż wiedziała o jego żonie coś więcej niż on sam.

– Jeśli jest w tak poważnym niebezpieczeństwie, dlaczego sama o tym ze mną nie porozmawiała? – spytał wreszcie.

– Ona o niczym nie wie – powiedziała cicho Anna. – Myśli, że jest bezpieczna.

– Chyba się pogubiłem – wyznał szczerze brat. – Czy możesz mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi?

Pokręciła głową.

– Nie mogę, nie prosź mnie o to, ale jestem twoją siostrą, Noemi też kocham jak siostrę. Dobrze wiesz, że możesz mi zaufać – zapewniła. – Ona musi zniknąć z getta, a ty nie dość, że powinienesz to zorganizować tak, by wszystko wyglądało na twój pomysł, to jeszcze musisz ją do tego przekonać.

– To może nie być takie proste... – westchnął, myśląc o tym, z jak wielką niechęcią żona wychodziła teraz z domu.

– Ona cię kocha – rzekła Anna. – Zrobi dla ciebie wszystko. Musi tylko uwierzyć, że niczego nie pragniesz bardziej niż znaleźć się z nią po drugiej stronie muru.

– A ty? Poradzisz sobie? – spytał, nie kryjąc troski. – Zaopiekujesz się ojcem?

Siostra skinęła głową.

– Gdy będziemy po drugiej stronie, postaram się jak najszybciej zorganizować dla was adres – obiecał.

Znów przytaknęła. Starła się nie patrzeć mu w oczy, żeby się nie rozplakać.

– Aniu... – powiedział cicho, zwracając się do niej dziecięcym zdrobieniem, którego nie używał od lat, po czym ujął jej brodę w dwa palce, zmuszając, by na niego spojrzała. – Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, my chcemy żyć pełnią życia na przekór wszystkiemu. To jest nasza zemsta i nasze zwycięstwo.

– Tak, wiem – odparła słabo. Jej głos drżał.

– Jesteś silna. Dasz sobie radę. To tylko parę dni.

Anna milczała. Jej brat idealista nie miał nawet pojęcia o tym, jak była silna. Ile musiała znieść aż dotąd, by zapewnić im wszystkim byt. Tak, była silna, ale miała już tego dość. Chciała, by ktoś zaopiekował się nią. Miała ochotę zarzucić ręce na szyję brata i błagać go, by został, by nie zostawiał jej samej z tonącym w rozpacz ojcem, by nie zrzucił na nią całej odpowiedzialności.

Wiedziała jednak, jak bardzo Andrzej kocha Noemi, i wiedziała, że Noemi nie może zostać w getcie. Ogrom cierpienia, któremu nie mogła zaradzić, wysysał z niej wolę życia.

– To wszystko wydaje mi się takie dziwne... – szepnęła.

– Co, Aniu? – zapytał.

– Jak inny był kiedyś świat – odparła. – Wciąż tak dobrze go pamiętam. Zamykam oczy i widzę to wszystko. Twoją czapkę studencką, walające się wszędzie teczki pełne rysunków, mój pokój, toaletkę, miękkie zasłony, pościel, szafę z sukienkami na różne okazje, Antosia bazgrzącego po milimetrycznym papierze, ojca, który w kręgu żółtawego światła lampki do późna pochylał się nad deską kreślarską, wiolonczelę mamy...

– Czasem nocami zdaje mi się, że słyszę, jak gra.

– A ja... ja nie mogę przypomnieć sobie jej dorosłej twarzy, choć przecież patrzyłam na nią codziennie przez tyle lat – wyznała, a łzy jedna po drugiej spłynęły jej po policzku. Anna odsunęła palce brata i odwróciła głowę. – Pamiętam cały tamten świat, choć coraz częściej zdaje mi się, że to wszystko nigdy naprawdę się nie działo, że to tylko wytwór wyobraźni, a zapominam mamę.

– Aniu...

– Tak bardzo się boję, że pewnego dnia całkiem ją zapomnę. – Słowa wymykały się z jej ust coraz bardziej gorączkowo. – Staram się wierzyć, że jest jakieś jutro, ale czasem mam wrażenie, że pewnego dnia wstanie dzień, a nas wszystkich już nie będzie. Mnie, ojca, ciebie, Antosia, wszyscy rozplniemy się w porannej mgle, znikniemy z pamięci innych jak mama. I będzie tak, jakbyśmy nigdy nie żyli, jakby nigdy nas nie było.

– Przemawia przez ciebie wzruszenie, a uczucia mają to do siebie, że prędko mijają – rzekł Andrzej. Usiłował posłać siostrze krzepiący uśmiech, ale wyszedł z tego koślawy grymas.

– Nie drwij – poprosiła bez gniewu.

– Próbuję cię jakoś pocieszyć – odparł.

– To chyba nie jest najlepsza droga – bąknęła, wodząc palcem po szklance.

– Czy ja wiem? Zamiast się smucić, zdenerwowałaś się na moje błazeństwa. – Andrzej mrugnął do niej porozumiewawczo.

Anna nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Też nie chcę się z wami rozstawać – powiedział Zatorski, poważniejąc nagle. – Gdyby było inne wyjście...

– Ale nie ma – rzekła stanowczo Anna. – Musisz ją stąd zabrać, ale to tylko na chwilę, pamiętaj – dodała i położyła dłoń na ramieniu brata.

– Zanim się obejrzysz, będziemy wszyscy razem po drugiej stronie muru. Obiecuję. – Andrzej chwycił jej rękę i mocno ścisnął.

– Nie obiecuj – poprosiła. – Tak bardzo boję się obietnic.

Rozdział 11

Gmach Sądów Grodzkich, największego budynku sądowego w Europie, zaprojektowanego przez jednego z kolegów profesora Zatorskiego, Bohdana Pniewskiego, oddano do użytku ostatniego dnia czerwca trzydziestego dziewiątego roku. Wówczas przeniesiono tu z Pasażu Simonsa na Długiej Sąd Apelacyjny i Najwyższy. Od tej pory nie mówiono o nim inaczej niż sądy warszawskie czy sądy na Lesznie, na tę ulicę bowiem prowadziło główne wejście. Tylne wypadało na ulicę Ogrodową.

Andrzej od zawsze lubił ten gmach. Być może dlatego, że gdy był w budowie, wraz z ojcem często przychodził obserwować postępy w pracach. A może dlatego, że jako adept prawa marzył, by kiedyś, po skończeniu kariery adwokackiej, orzekać w składzie sędziowskim Sądu Najwyższego. To miało być ukoronowanie dorobku jego życia. Budynek ten stał się więc ucieleśnieniem jego marzeń, celem, który zamierzał pewnego dnia osiągnąć.

Znał na pamięć umieszczony nad wejściem głównym cytat z Andrzeja Frycza Modrzewskiego: „Sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej”. Niegdyś często zastanawiał się nad znaczeniem tego zdania i swoją przyszlą rolą w budowaniu dobrostanu ojczyzny. Teraz starał się unikać zachodzenia w te okolice, bo patrzenie na niegdyś tak drogie słowa sprawiało mu wielką przykrość.

Po wyznaczeniu mapy getta sądy na Lesznie stały się punktem granicznym, przejściem między światami. Tu właśnie umówił się z kobietą, która miała udzielić im schronienia po drugiej stronie.

Wokół nich z każdej strony cisnęli się ludzie. Mundur członka Służby Porządkowej był wprawdzie gwarantem, że nikt nie będzie ich zaczepiał ani o nic wypytywał, a mimo to kobieta wyglądała, jakby miała zemdleć ze zdenerwowania. Szybko wsunęła mu w dłoń kartkę z adresem. Andrzej dyskretnie podał jej kopertę, którą schowała do torebki, nawet nie zajrzawszy do środka.

– Jeśli to wszystko... – zaczęła.

– Jest jeszcze jedna sprawa – przerwał jej Zatorski. Kobieta cmoknęła wyraźnie niezadowolona, ale nie ruszyła się z miejsca. – Czy mogłaby pani udawać przed moją żoną, że jesteśmy rodziną?

– Słucham? – Oczy kobiety rozszerzyły się, jakby właśnie zobaczyła jakiś wyjątkowo obrzydliwy okaz pająka.

– Wiem, że to być może nieco osobliwa prośba...

– Nieco?! Pan się chyba zapomina! – Na policzki kobiety wystąpiły czerwone plamy, a jej obfita pierś zaczęła mocno falować. Gdyby nie tłoczący się wokół nich ludzie, z pewnością zaczęłaby piskliwie krzyczeć. – Miałabym być spokrewniona z Żydem?! Proszę pana, ja pochodzę z porządnej rodziny!

Andrzej poczuł, że mocno zaciska szczęki. Z coraz większym trudem przychodziło mu panowanie nad gniewem, gdy słuchał tych wszystkich bzdur. Miał ochotę powiedzieć jej, że on też pochodzi z porządnej rodziny. Jego ojciec zaprojektował wiele znanych budynków w stolicy i był wykładowcą Politechniki Warszawskiej. Matka wspaniale grała na wiolonczeli. On sam studiował prawo, a jego siostra chciała zostać śpiewaczką i od najmłodszych lat pobierała lekcje śpiewu u znakomitych nauczycieli, którzy wychwalali jej doskonały słuch i wieszczili wielką przyszłość. Anna była też solistką w parafialnym chórze. Całą rodziną chodzili do kościoła nie tylko w niedzielę, lecz i na rozmaite nabożeństwa, odprawiali pierwsze piątki i nie mieli pojęcia, że w ogóle mają jakiegokolwiek żydowskie korzenie. Jedynie myśl o Noemi powstrzymywała go od wykrzyczenia tego wszystkiego w twarz tej okropnej kobiety. Miał bowiem świadomość, że jest ona być może ich jedyną nadzieją.

– Dopłacę – warknął tylko.

– Podwójna stawka. – Wyraz wzburzenia na twarzy kobiety natychmiast ustąpił miejsca skupieniu człowieka dobijającego targu.

– Półtora.

– Za każdy miesiąc – dodała, patrząc mu prosto w oczy. – Płatne z góry.

Skinął głową.

– Będziemy udawać, że jest pan moim...

– Dalekim kuzynem pani zmarłego męża? – zasugerował.

– Doskonale – zgodziła się.

Nie uścisnęli sobie dłoni. Każde odeszło w swoją stronę.

*

Andrzej czekał w umówionym miejscu. Jego przygnębienie nie uszło uwagi Noemi. Podeszła i bez słowa położyła dłoń na policzku ukochanego. Przymknął oczy.

– Jesteś pewien? – spytała, natychmiast odgadując jego myśli. Wiedziała, że niepokoi się o swoich bliskich.

– Jestem, przecież wiesz – odpowiedział. Podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

Noemi wciąż nie wyglądała na przekonaną.

– Twój ojciec i Anna powinni skorzystać z gościnności i wielkiego serca waszej rodziny, nie ja.

– Noemi, tyle razy o tym rozmawialiśmy.

– Mimo to mam wyrzuty...

– I na co się one komu zdadzą, kochanie? Na tę chwilę nie mamy możliwości wyprowadzenia za mury reszty mojej rodziny.

– Mhm – przytaknęła Noemi, słyszała przecież to wszystko tak wiele razy, a mimo to coś ciągle nie dawało jej spokoju. A może były to jedynie nerwy związane z ucieczką? Znała tak wiele historii o ludziach, którym nie udało się przedostać na drugą stronę.

– Anna ma dobre papiery i dobrą pracę. Personel medyczny jest bezpieczny. Anna zapewniała, że pieniędzy im nie zabraknie. Poradzą

sobie, a my nawiążemy odpowiednie kontakty po tamtej stronie i wtedy ich sprowadzimy.

Noemi się uśmiechnęła.

– Pamiętasz plan? – zapytał Andrzej.

– Oczywiście. Każdy najmniejszy szczegół.

– Adres po drugiej stronie? Gdybyśmy się rozdzielili...

– Pamiętam, Andrzejku, wszystko pamiętam – uspokajała go Noemi.

Tego dnia mieli dołączyć do grupy robotników idących na placówkę, do pracy w fabryce po aryjskiej stronie. Mimo wywózek życie toczyło się dalej. Zorganizowanie całej akcji zajęło Zatorskiemu dużo czasu i kosztowało go mnóstwo pieniędzy, których dostarczała mu Anna. Wreszcie jednak zostali dopisani do listy i zaopatrzeni w stosowne zaświadczenia. Chcieli wierzyć, że teraz wszystko w ich rękach, lecz choć konsekwentnie milczeli na ten temat, oboje zdawali sobie sprawę, że niewiele potrzeba, by te chwile były ich ostatnimi.

Andrzej objął Noemi. Wplótł palce w kruczoczarne włosy dziewczyny i mocno przytulił jej główkę do swojej piersi. Była tak drobna i krucha, że zdawało mu się, iż dłonią spoczywającą na jej plecach wyczuwa trzepot jej serca. Tak, Anna miała rację. Noemi była ptakiem. Rajskim ptakiem. Musiał zrobić wszystko, żeby ją chronić.

– Kocham cię – szepnął z mocą. – Tak bardzo cię kocham.

– Wiem – odpowiedziała, tuląc się do niego.

Nieopodal usłyszeli gwizdek. Wkrótce zaczęło się poruszenie.

– Czas na nas – powiedziała Noemi, delikatnie wyplątując się z objęć męża.

Gdy się od niego odsunęła, Andrzej poczuł się nagle przeraźliwie samotny. Owionął go chłód, a potem zalała fala lęku. Bał się. Bał się o nią. Bał się o siebie. Bał się o swoich najbliższych, których musiał zostawić w tym koszmarnym miejscu. Ucieczka, do której tak pieczołowicie się przygotowywali, teraz wydała mu się kompletnym szaleń-

stwem. Może ten ich pęd do wolności, to nieokiełznane pragnienie życia było naiwnością. Może powinni jak inni zgiąć karki i usiłować jakoś przetrwać, bez snów o przyszłości, bez nadziei.

– A jeśli popełniamy błąd?

– Poniesiemy jego konsekwencje – odparła ze spokojem Noemi. – Ale na pewno nie będziemy żałować, że nie spróbowaliśmy.

Andrzej skinął głową.

– Chodźmy.

Rozdział 12

Wiedział, że Noemi skrywa jakąś tajemnicę, ale ilekroć nachodziła go pokusa, by ją o to zapytać, zmuszał się do milczenia. Odkrył bowiem, że nie jest pewien, czy naprawdę chce znać odpowiedź na dręczące go pytania. Co by zrobił, gdyby wiedział? Czego mogłaby oczekiwać od niego Noemi? Jak miałby postąpić, żeby jej nie zawieść? To wszystko nie dawało mu spokoju, a myśl, że jego ukochana żona dźwiga sama jakiś straszliwy ciężar, była nieznośna. Mimo wszystko milczał, a to milczenie było dla niego torturą, szczególnie wówczas, gdy Noemi zapadała się w sobie. Cichła nagle i choć siedziała tuż obok, zdawała się przebywać gdzieś bardzo daleko, gdzieś, dokąd nie miał wstępu. Wyczuwał w niej samotność, na którą nie potrafił zaradzić. Czasem w nocy budziły go jej rozpaczliwe jęki. Ani razu jednak nie krzyknęła, jakby nawet śniąc, wiedziała, że muszą zachowywać się jak najciszej. Gdy majaczyła, brał ją w ramiona i lekko kołysał, jakby była małym dzieckiem.

– Jestem tu – zapewniał szeptem. – Jestem przy tobie, Noemi.

Uspokajała się wówczas, nierzadko nawet się nie budząc, a on czuł się szczęśliwy, że przynajmniej tak może jej ulżyć w cierpieniu.

Pokój, w którym zamieszkali, był niewielki, ale w porównaniu z panującą w getcie ciasnotą oboje mieli wrażenie, jakby otrzymali o wiele przestronniejsze lokum niż w rzeczywistości. Nie wolno było im podchodzić do okien ani spoglądać przez zasłonki, ale materiał, z którego zostały zrobione, przepuszczał nieco światła słonecznego, jednocześnie ukrywając ich samych. Za całe wyposażenie służyło im łóżko, okrągły stolik pokryty koronkową serwetką, dwa krzesła. Była też malutka komoda, ale oni i tak nie mieli dość rzeczy, by ją zapełnić. Największą radość sprawiał im jednak wysoki aż do sufitu regał z książkami.

Ku uciesze Andrzeja były tam też tomy po francusku, którego to języka uczył się jeszcze w gimnazjum. Wpadł więc na pomysł, że nauczy go także Noemi. W ten sposób dni zyskały nie tylko rytm, ale

i cel, którym było przerobienie kolejnej porcji materiału. Noemi podobała się rola uczennicy. Szczególnie że podczas lekcji ujawniały się kolejne zalety Andrzeja, w tym niewyczerpane, jak się jej zdawało, pokłady cierpliwości. Ona sama potrafiła zezłościć się na własną nieudolność, podczas gdy Andrzej mówił tylko:

– Spróbuj jeszcze raz.

Wzruszało ją to i głęboko uspokajało. Świadomość, że jej mąż, Andrzej Zatorski, w niczym nie przypomina tamtych strasznych ludzi, przywracała jej równowagę.

Nie zdołała wrócić na Dzielną. Czasami dopadały ją z tego powodu wyrzuty sumienia. Przekonywała samą siebie, że przed przejściem na aryjską stronę powinna była odwiedzić Adelę i jej matkę, pożegnać się. Dręczyła ją myśl, że będą jej wypatrywać, szczególnie starsza pani. Nie była jednak w stanie tam pójść. Nie wyobrażała sobie, jak po tym wszystkim, co przeszły, miałyby spojrzeć Adelce w oczy. Co zrobiłaby, gdyby tamta chciała z nią porozmawiać o tym, co zaszło? Nie, Noemi nie była w stanie nawet sobie tego wyobrazić. Chciała wymazać tamte zdarzenia z pamięci, a świadomość, że to wszystko zostało utrwalone na taśmie, niekiedy sprawiało, że odchodziła od zmysłów. Gdyby Andrzej to zobaczył, całe ich szczęście by się skończyło, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nie dlatego, że by ją obwiniał czy gniewał się na nią. Na to był zbyt mądry i dobry. Z pewnością starałby się ją pocieszyć, przekonać, że przecież nic takiego się nie stało, że wielu ze strony Niemców spotkały gorsze rzeczy, ale wiedziała też, że już nigdy nie patrzyłby na nią tak samo. Obrazów tamtej zainscenizowanej orgii nie dałoby się odwiedzić. Te sceny powracałyby do niego, czyby tego chciał, czy nie.

Myśl o Adeli i jej matce nie dawała jej spokoju. Wyrzucała sobie, że nie powiedziała nikomu, iż są w potrzebie. Może ktoś zaopiekowałby się nimi, pomógł choć trochę. Powinna była tak postąpić, ale nie potrafiła. Nie chciała, by ktokolwiek kojarzył ją z tamtym miejscem.

Liczyła, że gdy wyjdą z getta, znajdą się po drugiej stronie muru, oddzieleni od tego wszystkiego, wspomnienia zaczną blaknąć, a wyrzuty sumienia powoli ucichną. Nic takiego jednak się nie stało. Mijały kolejne dni, a upiorne obrazy wciąż wracały do niej w snach i na jawie, słyszała chichot pijanych dziewcząt, błagania starszych kobiet i mężczyzn, pełne skrępowania pytania młodych chłopców, wrzaski Niemców, zimny, fachowy ton filmowców, dla których nie byli przecież ludźmi, ale przedmiotami, które należało ustawić według właściwej kolejności.

Powoli zaczynała tracić nadzieję – a może tak naprawdę nigdy nie powinna jej mieć. Człowiek, który przeszedł przez piekło, nigdy już nie będzie taki jak dawniej. Nie da się odzyskać raz utraconej niewinności czy złudzeń. Noemi zastanawiała się tylko, czy w ogóle da radę dalej być.

Konieczność ukrywania się po aryjskiej stronie była dla niej wybawieniem. Żyła jak w pięknym śnie, tylko z Andrzejem w ich wewnętrznym świecie pełnym miłości, literatury i nauki. W takim świecie wyrosła i takiego życia zawsze pragnęła. A jednak gdzieś w głębi duszy wiedziała, że pewnego dnia to wszystko się skończy. Musi się skończyć. Taki był porządek świata, którego głównym prawidłem jest nieuchronność zmian. Nadejdzie czas, gdy będzie zmuszona wyjść znów do świata, do ludzi. Nie była pewna, czy zdoła znieść obecność innych; czy kiedykolwiek jeszcze będzie potrafiła.

Rozdział 13

Andrzej obudził się wcześniej, ale zza zaciągniętych zasłon wlewała się już do pokoju jasność letniego poranka. Ostrożnie wysunął się spod prześcieradła, pod którym spali w upały, i nagi stanął przy oknie. Delikatnie odsunął materiał zasłony i wyjrzał na ulicę. Zwykle nie podchodzili do okien, ale o tej porze dnia ulice świeciły pustkami, a ludzie spali, więc szanse, że ktoś go dostrzeże, były znikome.

Za lśniącymi w porannym słońcu dachami były dzikie plaże z bladym nadrzecznym piaskiem i Wisła, wielka, potężna woda.

Sięgnął po Pismo Święte, które zabrał ze sobą z domu, i spomiędzy zmyślnie sklejonych okładek wyjął poźółkłą kopertę z pieniędzmi. Jej zawartość była miarą pozostałego im czasu. Ze smutkiem skonstatował, że jest o wiele cieńsza, niżby chciał. Gospodyni nie dotrzymała umowy. Co chwilę żądała więcej i więcej.

Andrzej nie przyznał się Noemi, że gospodyni nie jest jego rodziną. Wiedział, że gdyby żona zdawała sobie sprawę, jak dużo pieniędzy kosztuje ich każdy dzień tej udawanej wolności, zażądałaby powrotu za mur. Była na to zbyt dumna i nawet lata spędzone w getcie nie zdołały tego zmienić. Właścicielka, choć antypatyczna, konsekwentnie grała rolę dalekiej ciotki.

– Nie wiem, jak można tak traktować krewnych – wzdychała czasem Noemi, gdy kobieta zachowywała się opryskliwie lub ignorowała ją, kiedy próbowała uprzejmie zagadnąć, próbując ją poznać, ale Andrzej tylko mamrotał coś wymijająco.

Kłamstwo ciążyło mu coraz bardziej. Sprawiało też, że czuł się straszliwie samotny. Nie mógł z nikim podzielić ciężaru, który nosił na swoich barkach, odkąd opuścili getto.

Z jednej strony był to niewątpliwie najszcześniejszy czas w jego dotychczasowym życiu. Nigdy wcześniej nie czuł się tak dobrze sam ze sobą. Zdawało mu się, że Noemi jest brakującym fragmentem jego duszy, którego nieobecność dotąd powodowała ów dziwny niepokój,

poczucie niedoskonałości. Teraz wszystko to zniknęło. Przy Noemi był dokładnie takim człowiekiem, jakim chciał się widzieć. Całe dni i noce spędzali we dwoje, zamknięci w ścianach mieszkania, ale nie odczuwali z tego powodu żadnego braku. Kiedy właścicielka była w domu, Noemi pomagała jej w porządkach czy gotowaniu, a Andrzej dokonywał drobnych napraw, których lista zdawała się nie mieć końca. Najszczęśliwsi byli jednak wtedy, gdy zostawali sami. Razem odkrywali wówczas dotąd nieznaną im sferę fizycznej miłości, z której oboje czerpali ogromną radość. Nasyceni pieśzcotami, leżeli potem nadzy w pościeli, a Andrzej czytał żonie na głos. Na szczęście w ich kryjówce nie brakowało książek.

– Chciałabym, żeby tak już było zawsze – westchnęła Noemi, gdy pewnego wieczoru tulili się do siebie w pomarańczowym świetle dogasającego dnia. Jej głowa spoczywała na piersi Andrzeja, który czytał na głos *Quo vadis*.

– Będzie – rzekł Andrzej, czując, że ogarnia go senność, i pocałował żonę w czubek głowy.

Noemi milczała chwilę. Zatorski odłożył książkę i przymknął oczy. Zaczął odpływać powoli w krainę snu, gdy głos dziewczyny znów przywiódł go do rzeczywistości.

– Mam przecucie, że nie – powiedziała cicho.

Andrzej natychmiast otworzył oczy, naraz całkiem rozbudzony. Podobne słowa nie pasowały do Noemi, tak pełnej nadziei i wiary w lepsze jutro.

– Ej, co z tobą? – spytał, odwracając się na bok, by móc spojrzeć ukochanej w oczy.

– Nic. – Delikatnie pokręciła głową. – Jestem tylko taka szczęśliwa i... i tak bardzo się boję, że to wszystko się skończy.

Andrzej uśmiechnął się i pocałował ją w nos.

– Nic się nie skończy – oświadczył. – No dobrze, wojna. Wojna się kiedyś skończy. Całe to piekło, getto, nasze zamknięcie w tym mieszkaniu. To wszystko, owszem, będzie miało swój oby jak najszybszy

kres. Ale to... – ujął dłoń Noemi i przyłożył do swojej piersi, tak by mogła poczuć bicie jego serca – ...co jest między nami, nigdy się nie skończy. Nigdy, rozumiesz? A teraz posłuchaj dalszych losów naszych bohaterów – dodał, sięgając po książkę.

*

Noemi przysnęła, a on wyszedł cicho, by napełnić karafkę świeżą wodą, bo od długiego czytania całkiem zaschło mu w gardle. Nagle drzwi pokoju gospodyni gwałtownie się otworzyły.

– Właśnie miałam iść do państwa – zaczęła.

– Coś się stało? – spytał Andrzej, tknięty niepokojem.

– Proszę wejść – powiedziała kobieta, szerzej otwierając drzwi. – Porozmawiamy.

Zatorski wszedł do środka. Nie zaproponowała mu, by usiadł, więc stanął przy oknie i przyglądał się kobiecie, która tymczasem wygodnie usadowiła się w fotelu. Wzięła do rąk robótkę i odszukawszy właściwe miejsce, zaczęła szybko poruszać drutami.

– Chciała pani o czymś porozmawiać – przypomniał Andrzej, gdy milczenie się przedłużało.

– Musicie się wyprowadzić – oświadczyła, nie podnosząc wzroku znad robótki. – Jeszcze dziś.

Andrzej czuł wyraźne pulsowanie krwi w skroniach i słyszał szum przyspieszonego oddechu. Jego ciało zareagowało szybciej niż umysł, który wciąż opierał się przyjęciu do wiadomości tego, co właśnie usłyszał.

– Byliśmy umówieni. – Andrzej starał się tłumić narastającą w nim mieszaninę rozpaczy i wściekłości. – Zapłaciłem pani.

– Nic takiego nie pamiętam – odparła kobieta. – I owszem, byliśmy umówieni, ale właśnie się rozmyśliłam i wycofuję się ze wszystkiego.

Andrzej wciągnął głęboko powietrze, usiłując zachować resztki spokoju.

– Nie może nas pani tak po prostu wyrzucić – spróbował raz jeszcze. – Proszę dać mi kilka dni, spróbuję się z kimś skontaktować, znaleźć nam nowy adres.

– A gdzie będzie pan szukał? Tamte kontakty są spalone – rzekła kobieta, a Andrzej gotów był przysiąc, że wyczuwa w jej głosie nutkę złośliwej satysfakcji. – Złapali ich. Słyszał pan o czymś takim jak Judenjagd?

– Polowanie na Żydów – przetłumaczył głośno Andrzej, który dobrze znał niemiecki. Nie miał jednak pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. – Nie, nie słyszałem.

– A szkoda. Prędzej czy później wszystkich was wyłapią.

Zatorski czuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Został wam jeden kierunek – ciągnęła kobieta. – Zawsze możecie przecież wrócić do getta, choć pewnie takich jak wy od razu zapakują do wagonów, co?

Palce Andrzeja same zacisnęły się w pięść.

– Będzie pan bić starą kobietę, która udzieliła wam gościny? – spytała kpiąco gospodyni. – To chyba nawet jak na Żyda zbyt ordynarny występki. Idę o zakład, że to nie spodoba się tej pańskiej cnotliwej żoneczce.

Andrzej czuł, jak krzyk podchodzi mu do gardła, ale przekonanie, że zachowanie ciszy jest sprawą życia i śmierci, okazało się silniejsze. Walnął więc tylko pięścią w stół. Kobieta zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Cóż, miałam pozwolić wam zostać do jutra, ale właśnie się rozmyśliłam – powiedziała. – W obawie o swoje bezpieczeństwo proszę, żebyście zniknęli stąd zaraz po kolacji. Nakarmię was ostatni raz, spełniając chrześcijański obowiązek miłosierdzia.

– Zapłaciłem za to – warknął Andrzej. – Zapłaciłem.

– Nic takiego nie pamiętam. – Kobieta wzruszyła ramionami.

Wstała i zaczęła krzątać się po pokoju, dając znać, że uważa rozmowę za zakończoną. Poprawiła koronkową chustę leżącą na sofie,

przesunęła popielniczkę z rzuńtego kryształu nieco w prawą stronę. Andrzej jeszcze chwilę przyglądał się jej poczynaniom, ale ona, jakby całkiem zapomniała o jego istnieniu, zaczęła nawet nucić coś pod nosem.

Zatorski wrócił do pokoju, usiadł przy stoliku i ukrył twarz w dłoniach. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bezradny. Popęłił błąd, gdy zaufał tej kobiecie. Popęłił błąd zaraz po wyjściu z getta, nie starając się o dobre dokumenty, metrykę urodzenia i chrztu, porządną kenkartę. Popęłił błąd, siedząc w tym przeklętym mieszkaniu, zamiast wyjść poszukać dawnych kolegów, spróbować odnowić przedwojenne kontakty lub przynajmniej pójść do księdza w parafii, w której się wychował – może on byłby w stanie im pomóc. Nie chciał jednak nawet na chwilę zostawiać Noemi. Bał się, tak strasznie się bał, że gdy tylko spuści ją z oczu, stanie się coś straszego. Łudził się, że wciąż jeszcze mają czas, tymczasem skończył się on o wiele szybciej, niżby przypuszczał.

Dopiero teraz dostrzegał, jak wielkim był głupcem, i pojął, jak straszliwą cenę przyjdzie mu zapłacić za tę lekkomyślność.

Noemi ze swoim wyglądem nie mogła przecież włóczyć się po Warszawie. Każdy natychmiast rozpozna w niej Żydówkę.

Dopiero po dłuższym czasie dostrzegł, że zbudzona ze snu żona usiadła na łóżku i mu się przyglądała.

– Coś cię trapi. Nie, nawet nie próbuj mnie przekonywać, że jest inaczej – stwierdziła ochrypłym po drzemce głosem. – Coś się stało?

Zatorski odruchowo zaprzeczył, ale nie podniósł głowy. Nie miał odwagi spojrzeć w szczerze oczy Noemi.

– Andrzej?

Zsunęła się z łóżka i podeszła do męża. Objęła go ramionami, przyciągając jego głowę do swojego brzucha. Zatorski wciąż milczał, wtulając twarz w pachnącą sukienkę. Jak miał wyznać jej prawdę? Jak miał się przyznać do tego, że właśnie stracili dach nad głową, że nie

mają pieniędzy, że tak bardzo ją zawiódł, choć obiecywał się nią opiekować?

– Andrzej, boję się – powiedziała cicho. – Odezwij się do mnie, proszę.

– Nie możemy tu dłużej zostać – powiedział. Odsunął się od niej i odwrócił twarz w stronę zasłoniętego okna. – Dziś wieczorem musimy odejść.

– Ktoś odkrył, że się tu ukrywamy? – spytała Noemi. – Doniesiono na nas? Boże, co teraz zrobi twoja biedna ciotka? Przecież za pomoc ukrywającym się Żydom grozi śmierć. Ma dokąd pójść? Sprowadziliśmy na nią jakieś nieszczęście?

Andrzej uśmiechnął się gorzko. Noemi jak zwykle bardziej troszczyła się o innych niż o siebie. Pokręcił głową. Żona umilkła i przyjrzała mu się z uwagą.

– W takim razie nie rozumiem, co...

– Okłamałem cię – wyznał. – Odkąd wyszliśmy z getta, przez cały czas cię okłamywałem.

Oczy Noemi rozszerzyły się ze zdumienia.

– O czym ty mówisz, Andrzej? – spytała i choć starała się nie dać nic po sobie poznać, jej głos drżał lekko.

– Gospodyni nie jest moją krewną – wyrzucił z siebie i mimo tragiźmu położenia, w którym się znaleźli, poczuł, jak wielki ciężar zsuwa mu się z barków.

– Nie?

– Wiedziałem, że się nie zgodzisz, bym opłacał naszą kryjówkę, a nie mogłaś przecież tam zostać. Anna o wszystkim mi powiedziała. To ona dała mi większość pieniędzy – mówił nieskładnie, dogłębnie przejęty.

– Anna o wszystkim ci powiedziała... – szepnęła Noemi tak cicho, że rozgorączkowany Andrzej nie dosłyszał jej słów.

– Nie mogłaś zostać w getcie, więc mimo marnych znajomości spróbowałem znaleźć za murami kontakt do kogoś, kto zgodziłby się nas ukryć. Wiesz przecież, jakie to niebezpieczne!

Noemi machinalnie skinęła głową, choć słowa Andrzeja docierały do niej z oddali. W myślach kołatało jej to jedno zdanie: „Anna o wszystkim mi powiedziała”.

– To naprawdę koniec... – powiedział Zatorski. – Musimy zniknąć, a nie mamy dokąd pójść.

Noemi sama się zdziwiła, z jak wielkim spokojem przyjęła tę informację. Zupełnie jakby od dawna na nią czekała. Nie było w niej lęku o jutro, niepewności przyszłości, a nawet smutku, że oto kończy się ich piękny sen.

Rozdział 14

Kolację, cieką kartoflanę niemal bez soli i kilka kromek przydziałowego chleba, zjedli w milczeniu. Gospodyni patrzyła w talerz, unikając ich wzroku. Oni też nie czuli potrzeby rozmawiania. Wszystko zostało już przecież ustalone. Tylko łyżki pobrzękiwały cicho, gdy raz po raz dotykały porcelany. Po skończonym posiłku Noemi jak zwykle zaczęła sprzątać ze stołu. Andrzej próbował ją powstrzymać, nie zamierzał wyświadczać gospodyni najmniejszej choćby przysługi po tym, jak ich potraktowała. Noemi jednak nie chciała go posłuchać.

– To, że ktoś zachowuje się podle, nie zwalnia nas z bycia przyzwoitymi – oznajmiła, zanurzając brudne talerze w misce z wodą. Owinęła się zdjętym z haczyka fartuchem i pocałowała Andrzeja w zmarszczone z niezadowolenia czoło.

Zatorski przyniósł na korytarz niewielką torbę, w którą spakowali cały swój dobytek.

– Dziękujemy za wszystko – rzekła uprzejmie Noemi. Chciała objąć i serdecznie ucałować kobietę, ale ta cofnęła się jak oparzona.

Wyszli na skąpaną w świetle księżycy ulicę. Było już po godzinie policyjnej, więc wokół panowała niemal zupełna cisza.

– Dokąd pójdziemy? – spytała Noemi, choć po prawdzie było jej to całkowicie obojętne.

Czuła się jak wypuszczony z klatki ptak. Ciekawie rozglądała się wokół, jakby widziała swoje miasto po raz pierwszy w życiu.

– Może nad Wisłę? – zaproponował Andrzej.

Oboje przeczuwali, że to koniec, ale choć żadne z nich nie powiedziało tego głośno, chcieli żyć do samego końca. Dla nich nie było już wojny, getta, oceanu udręka, nienawiści. Liczyła się tylko miłość i to, że jeszcze tych parę chwil, może godzin czy dni, będą razem.

– Dobry pomysł – odparła wesoło. – Nie zdołaliśmy się nacieszyć urokami tego lata.

– Powoli nadchodzi jesień – poprawił ją mąż. – Obawiam się, że noce mogą być już chłodne.

– O niczym tak nie marzę jak o nocnym chłodzie.

Siedzieli na dzikiej plaży. Wiejący od rzeki wiatr falował we włosach Noemi, raz po raz muskając nimi twarz Andrzeja. Księżyc migotał srebrzyście w ciemnych odmętach wody.

– Jesteś taka piękna – szepnął, przyglądając się jej twarzy, jakby widział ją po raz pierwszy.

Noemi wiedziała, że są to słowa, które kochankowie często szepczą sobie wśród nocy, a jednak nagle uderzyły ją z wielką mocą. Od tygodni nie umiała dostrzec w sobie nic pięknego. Czuła wstręt do samej siebie, nienawiść do swojego ciała i nawet wśród miłosnych uniesień, gdy jej ciało dawało rozkosz Andrzejowi, nie mogła przestać myśleć o sobie jak o kimś odrażającym. Ona nie potrafiła odnaleźć przyjemności innej niż bliskość i ciepło ramion ukochanego, ale to jej wystarczało, nie pragnęła więcej. A jednak teraz, gdy jej mąż wypowiedział te trzy całkiem zwyczajne słowa, poczuła, że coś w niej musuje.

– Ludzie mogą przeżyć całe życie i nigdy, przenigdy nie doświadczyć takiego szczęścia... Nigdy nie żyć tak pięknie jak my przez te ostatnie tygodnie.

– Mimo wszystko?

– Mimo wszystko, Andrzeju – odparła z mocą, patrząc mu prosto w oczy.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Oddała mu pocałunek. Mocno i namiętnie jak nigdy przedtem. Musowanie narastało. Każdy skrawek jej ciała pragnął pieszczot męża. Nic więcej się nie liczyło, tylko jego palce błądzące po jej ciele wśród nocy.

– Jestem szczęśliwa – powiedziała sennie, kładąc głowę na piersi Andrzeja.

Noemi spała już, ukołyszana szumem Wisły i rytmicznymi uderzeniami serca ukochanego.

Tyle cierpienia – myślał Andrzej – tyle krwi, tyle zła, ale i ta wojna przeminie jak wszystkie przed nią i po niej. Ludzie znów zaczną po prostu żyć, kochać, biegać dookoła swoich spraw, będą się rodzić i umierać, nadal będą istniały księżyc i rzeka, i nadbrzeżne trawy, i to miasto.

W końcu i on zasnął.

*

Zbudził go nagły trzask. A potem krzyk.

– Wstawać! – ryknął stojący nad nimi niemiecki żołnierz.

Noemi zerwała się z miejsca, dygocząc jak w febrze. Wszystkie wspomnienia wróciły nagle. Nie mogła nad nimi zapanować. Ten krzyk sprawił, że znów była w łaźni na Dzielnej, rozciągnięta na zimnej posadzce.

Andrzej uniósł ręce w obronnym geście.

– Proszę mnie wysłuchać! – zaczął płynną niemczyzną.

– *Jude?! –* wrzasnął żołnierz i odbezpieczył pistolet, mierząc w Noemi.

– *Nein.* – Andrzej gorączkowo pokręcił głową. – Ona nie jest Żydówką. Polacy, jesteśmy Polakami.

Żołnierz podszedł i kazał mu zdjąć spodnie.

– Nieobrzezany – rzucił do dowódcy, gdy Zatorski zapinał pasek.

– Dokumenty?

– Zgubiliśmy – odpowiedział Andrzej. Już wcześniej wymyślił przekonującą historyjkę na wszelki wypadek i liczył, że pozwolą mu ją opowiedzieć.

– Zgubiliście? – Niemiec uśmiechnął się nieprzyjemnie. Noemi pomyślała, że przypomina jej rekina z jednej z ilustrowanych encyklopedii.

– Dziś po południu przyjechaliśmy do Warszawy. Po drodze zgubiliśmy torbę, w której były dokumenty. Jutro zgłosimy się do urzędu...

– Cisza! – ryknął esesman. – Masz mnie za idiotę?

Andrzej szybko pokręcił głową.

– Przeszukać ich – polecił.

Zatorski czuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Znał przepisy. Wiedział, że dwudziestego pierwszego listopada poprzedniego roku Eberhard Schöngarth wydał tzw. Schießbefehl, rozkaz rozstrzelania, który zezwalał funkcjonariuszom Ordnungspolizei i SS bez sądu wymierzać karę śmierci wszystkim Żydom, w tym kobietom i dzieciom, przebywającym bez zezwolenia poza granicami getta. Jeden z żołnierzy obmacał mu klatkę piersiową. Posłał swojemu dowódcy znaczące spojrzenie i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął z niej dokumenty i podał przełożonemu.

– Proszę, proszę, nie dość, że kłamca, to jeszcze Żyd, tylko nie-
obrzezany!

– A może coś tam mu ponaciągali – zarechotał jego towarzysz. – Podobno Żydki mają na to jakieś sposoby.

– Proszę pozwolić mi wyjaśnić... – zaczął nerwowo Andrzej, ale tamten nawet nie podniósł na niego wzroku, tylko ruchem ręki nakazał mu milczenie.

– Pozbądźcie się ich!

Przerażony Andrzej spojrział na Noemi. W jej oczach nie dostrzegł jednak złości ani strachu. Patrzyła na niego łagodnie, z miłością.

– Przepraszam – szepnął.

Ich palce splotły się w jedno.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Dziękuję ci za tę miłość.

– Cel! – wrzasnął Niemiec. – Ognia!

Padły strzały. Dwa ciała osunęły się na ziemię, ale ich dłonie pozostały związane. Wyglądali, jakby wciąż jeszcze pogrążeni byli we śnie,

z twarzami zwróconymi ku sobie. Ich krew wchłonęła ziemia.

1943

Rozdział 1

Jeszcze przed zakończeniem Wielkiej Akcji kładka nad Chłodną została rozebrana, a teren getta znacznie się zmniejszył. Dla pozostałych w nim sześćdziesięciu tysięcy osób nie potrzeba było aż takiej przestrzeni. Getto nie było już przecież dzielnicą miasta, ale *de facto* obozem pracy, w którym miały prawo mieszkać tylko jednostki przydatne przemysłowi niemieckiemu, pracownicy szopów. Od początku istnienia getta warszawskiego jego granice zmieniały się co chwilę, teraz jednak zapanował całkowity chaos przestrzenny. Dzikie tereny, na których nikomu nie wolno było przebywać, mieszały się z trzema plamami szczątkowego getta: szopem szczotkarzy, szopem Többensa i Schultza oraz gettem centralnym.

Wielka Akcja zakończyła się dwudziestego pierwszego września, w kolejne okupacyjne święto Jom Kippur. Tego dnia na Umschlagplatz odesłano żydowskich policjantów z rodzinami, mieszkających przy Ostrowskiej i Wołyńskiej.

– Andrzej i tak nie miałby szans – westchnęła Anna, patrząc na prowadzonych mężczyzn, z których tak wielu znała.

Próbowała w ten sposób złagodzić palący ból, który nie dawał jej wytchnienia, odkąd dotarła do nich wieść o tym, co spotkało jej brata i Noemi. Wspomnienie wciąż było jednak jątrzącą się raną. Nie potrafiła pogodzić się z tym, że tych dwojga już nie ma, że ich także pochłonęły fale nienawiści.

W trzecim dniu astronomicznej jesieni tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku SS-Untersturmführer Karl Brandt poinformował Radę Żydowską, że akcja wysiedleńcza dobiegła końca.

Dowodzący Wielką Akcją SS-Sturmbannführer Hermann Höfle utrzymywał, że wszystko przebiegało bez zakłóceń i w sposób całkowicie humanitarny.

– Nie spostrzegłem żadnego okrucieństwa lub morderstwa popełnionego na ewakuowanej ludności żydowskiej – oświadczył, patrząc

pozostałym przy życiu Żydom prosto w oczy.

Odpowiedziało mu jedynie milczenie. Wszyscy widzieli. Nikt nie mógł zaprzeczyć.

Po zakończeniu Wielkiej Akcji Likwidacyjnej zmniejszono obszar getta. Następną nitkę muru poprowadzono przez środek placu Muranowskiego, fragmentując kolejny element miasta. Dom Zatorskich znów znalazł się po niewłaściwej stronie muru. Musieli poszukać nowego lokum, ale sytuacja była obecnie znacząco odmienna od tej z pierwszych dni jeszcze otwartego wówczas getta. Teraz po tym, jak w dwa miesiące wywieziono blisko trzysta tysięcy osób, po raz pierwszy w historii warszawskiej zamkniętej dzielnicy żydowskiej nie brakowało mieszkań. Wiele z nich wyglądało tak, jakby ich właściciele wyszli tylko na chwilę. Na stolikach pozostały filiżanki z niedopitą herbatą, otwarte na czytanej stronie książki, odkręcone pióra na niedokończonym liście.

Zatorscy, zbyt wstrząśnięci wiadomością o śmierci Andrzeja i Noemi, nie potrafili odnaleźć się w nowym mieszkaniu, które znalazł dla nich Marek. Mieli do swojej dyspozycji dwa przestronne pokoje, które popołudniami zalewało wczesnojesienne złote światło, ale oni zdawali się nie dostrzegać tego wszystkiego.

Zamieszkali jak dawniej: w jednym pokoju, na poły z przyzwyczajenia, na poły ze strachu przed irracjonalnym lękiem, który zwykle atakował wśród ciemności, a rozproszyć go mogła jedynie obecność kogoś bliskiego.

Drugi pokój pozostał nieużywany. Czasem, gdy Anna budziła się w nocy, kołysząc się na granicy jawy i snu, miała wrażenie, że zza zamkniętych drzwi słyszy głosy brata i jego żony. Za każdym razem wydawało jej się, że się śmieją, jakby i w zaświatach też byli razem tak szczęśliwi, jak tu na ziemi. Zasypiała znów spokojna. Nigdy jednak nie opowiadała o tych snach ojcu. Nie chciała go rozdrażniać.

Po śmierci starszego syna pan Zatorski wycofał się w głąb siebie. Dawniej lubił rozmowy z Markiem i Frankiem, teraz, gdy do nich zaglądali, jakby ich nie dostrzegał. Przestał czytać i rysować. Całymi

dniami siedział przy oknie i wpatrywał się w niebo. Słuchał jedynie poleceń Anny. Jadł, gdy kazała mu jeść, pił, gdy podała mu szklanę wody.

Anna wciąż dobrze pamiętała, jak przez kolejne miesiące po zamknięciu getta wszyscy tęsknili do dawnego, zwyczajnego życia, tego bez wojny i muru, które wydawało im się tak dobre, idealne. Teraz w podobny sposób doceniała dni sprzed Wielkiej Akcji, gdy byli razem, gdy żyli Antoś, Andrzej i Noemi, gdy mimo wszystko pracowała w cieple i mogła najadać się do syta, gdy getto tętniło życiem, a nie przypominało widmowego cmentarzyska, gdy choć czasem udawało im się zapomnieć o otaczającej ich grozie, a nade wszystko podtrzymać wiarę, że w ogóle czeka ich jakieś jutro.

Od pierwszych dni tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku w warszawskim getcie dało się wyczuć narastające napięcie. Jakby wszyscy się czegoś spodziewali, choć nikt nie potrafił, a może nie chciał nawet ubrać w słowa swojej obawy.

W pierwszych dniach letnich wywózek Anna przestała przychodzić do „Britanii”. Sama myśl o tańczeniu i śpiewaniu ku uciechu rozochoconych, czerwonych od alkoholu szkopów i ich pomagierów, gdy w tym samym czasie ładowano do wagonów tysiące niewinnych ludzi, przyprawiała ją o mdłości. Miała nadzieję, iż jej pracodawcy uznają, że ona także została wywieziona, i nikt nie będzie jej szukał. Żałowała trochę, że nie pożegnała się z Niną i ani słowem nie podziękowała staruszce, której mimo wszystko zawdzięczała tak wiele. Po zakończeniu akcji, dzięki nauce u Luby Blum, której szkoła przeniosła się latem na Gęsią 33, udało się Annie znaleźć zatrudnienie w pobliskim szpitalu mieszczącym się przy Gęsiej 6/8. Teraz jednak coraz częściej mówiono o likwidacji ostatniego szpitala w getcie. Gdy wieść o możliwości zamknięcia placówki zaczęła się szerzyć, zwolniono mniej wykwalifikowany personel. Zatorscy zostali bez pracy, a w getcie mieli teraz prawo mieszkać wyłącznie ludzie pracujący.

Anna wiedziała, że musi za wszelką cenę znaleźć legalne zatrudnienie gwarantujące posiadanie Arbeitskarte. Przez wzgląd na dobrą znajomość niemieckiego, a może dzięki protekcji jednego z dawnych

wielbicieli, który niewątpliwie ją rozpoznał, została przydzielona do pracy w Werterfassung, komenderowanej przez SS-Hauptsturmführera Waltera Geipla. Instytucja ta zajmowała się zbieraniem z opuszczonych mieszkań getta wszystkiego, co zostało po wysiedlonych w Wielkiej Akcji.

Anna szczerze nienawidziła Geipla, którego pamiętała dobrze jeszcze z czasów hotelu „Britania”. Zawsze starała się trzymać od niego z daleka. Wśród dziewcząt krążyły legendy na temat jego okrutnych upodobań. Podczas Wielkiej Akcji Anna sama była świadkiem jego zwyrodnienia. Widziała, jak rozmawiał z młodą, ładną kobietą trzymającą w ramionach niemowlę. Walter Geipel uśmiechał się do niej, zadawał pytania. Wreszcie dał jej dodatkowy bochenek chleba i życzył dobrej podróży na roboty. Kobieta podziękowała i niczego nie podejrzewając, odeszła, uśmiechając się to do dziecka, to do dodatkowej porcji jedzenia zesłanej przez miłosierny los. Zatorska miała jednak przeczucie, że to jeszcze nie koniec. Wpatrywała się w Geipla, który nie spuszczał kobiety z oczu. Nagle sięgnął do kabury. Anna chciała krzyknąć, ostrzec odchodzącą, ale wszystko potoczyło się zbyt szybko. Geipel wyciągnął rewolwer, wymierzył dokładnie i oddał strzał. W miejscu, gdzie jeszcze przed momentem widać było główkę tulącego się do matki dziecka, została tylko rdzawa miazga. Krew szybko wsiąkła w bochenek chleba.

Zwierzęce wycie kobiety prześladowało Annę wiele nocy. Śniło jej się często, że chce krzyknąć, ale nie może wydobyć z siebie głosu. Budziła się zlaną zimnym potem i z tłukącym się w piersi sercem.

Dla większości ludzi praca w Werterfassung była bardzo ciężka. Już po godzinie szóstej w ciemnościach zimowej nocy mężczyźni i kobiety wyruszali, by wśród opustoszałych mieszkań, pełnych głosów nieodległej przeszłości, przywodzących na myśl grobowce, szukać pozostawionego mienia, czegokolwiek, co mogło mieć jakąś wartość. Anna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że chodzi wśród duchów. Nienawidziła tej pracy, mimo iż dawała ona gwarancję bezpieczeństwa jej samej i ojcu. Pan Zatorski został zatrudniony przy inwentary-

zacji dobytku w jednym ze składów. Ona cieszyła się z tego, ponieważ mógł pracować w ciepłe.

Od kilku dni w getcie wrzało od plotek. Mówiono, że po kilku miesiącach spokoju Niemcy znów coś kombinują. Gdy rano przysłała do pracy, ktoś przyniósł wiadomość, że o szóstej rano otoczono bloki na Muranowskiej, gdzie mieszkali głównie pracownicy gminy. Zaraz zaczęto snuć domysły, co to może oznaczać, ale wszystkim nasuwał się jeden i ten sam koszmarne wniosek. Kolejna akcja likwidacyjna.

Anna nie uczestniczyła w tych rozmowach. Owszem, i jej udzielił się niepokój wszystkich, ale miała dość własnych powodów do zmartwień. Ojciec zaniemógł. Od tygodnia nie czuł się najlepiej. Nocami miał ataki okropnego kaszlu. Wkrótce zaczął gorączkować.

Na ten dzień pan Zatorski dostał zwolnienie z pracy. Wracając do domu, Anna zaszła jeszcze do jednej kobiety, która nadal zajmowała się szmuglem i obiecała załatwić dla niej gęsiego smalcu, żeby mogła nasmarować nim ojca. Zatorska niosła teraz słoiczek w kieszeni, cały czas trzymając na nim dłoń i obejmując wieczko palcami, jakby z obawy, że coś mogłoby mu się stać. Zaraz miała skręcać w stronę ich kamienicy, gdy usłyszała warkot ciężarówek. Instynktownie skręciła w najbliższe podwórze.

Wyjrzała dopiero, gdy miała pewność, że kolumna samochodów ją minęła. Znalazszy się znów na ulicy, spojrzała za odjeżdżającą kawkadą. Natychmiast zrozumiała, że gdzieś nieopodal musiała być łapanka. Wkrótce okazało się, że coś wydarzyło się w ich kamienicy.

Wnętrze wyglądało, jakby wybuchł w nim pocisk. Prawdziwe pojowisko. Powyrywane z zawiasów drzwi, odłamki szkła, szeleszczące od przeciągu papiery, pojedyncze rzeczy, które ktoś chciał, być może, zabrać ze sobą, ale nie zdołał unieść lub zgubił po drodze.

Anna stała przez chwilę, patrząc na to martwe miejsce, i z trudem łapała powietrze. Aż dotąd, mimo wszelkich przeciwności, byli tylko obserwatorami. Teraz zło upomniało się o strzępki jej rodziny, o nią i ojca, ostatnie nici mogące połączyć przeszłość z przyszłością, pozwolić zachować ciągłość ich historii. Oddech rozpierał jej płuca,

a mimo to nie mogła zaczerpnąć powietrza, jak ktoś, kogo mocno uderzono w pierś. W oszołomieniu oparła się o wyslizganą przez dziesiątki dłoni drewnianą poręcz schodów.

Nagle jej wzrok przykuł znajomy przedmiot. Anna zeszła kilka stopni i schyliła się, by podnieść szarego misia, ukochaną przytulankę jej małego braciszka. Spał z nią od chwili narodzin i w zasadzie nigdy się z nią nie rozstawał. Miś był całkiem wytarty, tak że nie dało się dojść, jakiego pierwotnie był koloru, jedno oczko zwisało smętnie na obluzowanej nitce, a szwy w kilku miejscach porozchodziły się brzydko. A jednak to był on, ten sam ukochany miś. Aż dotąd Anna była pewna, że ojciec włożył go do trumny Antosia. Tymczasem musiał go zachować na pamiątkę, a teraz chciał zabrać misia ze sobą na Umschlagplatz.

Myśl o tym, jak samotny musi czuć się ojciec, stary i chory w tak straszliwym miejscu, wstrząsnęła Anną, przywróciła ją do życia. W pierwszym odruchu zamierzała jeszcze zajrzeć do mieszkania, zobaczyć, w jakim stanie są jej rzeczy, wziąć coś przydatnego, ale nagle wszystko to stało się nieistotne. Musiała odnaleźć ojca.

Schowała misia do kieszeni, zbiegła po schodach i wypadła na podwórko.

– Pani Anno, proszę zaczekać! – usłyszała za sobą czyjś głos. Odwróciła się i natychmiast rozpoznała kobietę mieszkającą w sąsiedniej kamienicy. Nie znały się zbyt dobrze. Anna wiedziała, że sąsiadka była mniej więcej w wieku jej matki i kiedyś pracowała jako pielęgniarka. Czym zajmowała się teraz, gdy w pozostałym kadłubie getta nie było już szpitali ani ochronek, nie wiedziała. Dla takich jak ona nie było tu miejsca. Żydów nikt już nie leczył.

Przystanęła i odwróciła się w jej stronę.

– Pani Anno, widziałam wszystko. Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro...

Kobieta mówiła, a Anna czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Po chwili pragnęła już tylko, by sąsiadka przestała mówić, by zostawiła ją samą, by pozwoliła jej odejść.

– Co pani zamierza? – spytała Zatorską.

– Muszę dostać się na Umschlagplatz, a potem... – Zawiesiła głos. Co potem? Co zrobi, gdy już się tam znajdzie? – Nie wiem – wyznała szczerze.

Nagle kobieta wyciągnęła ręce i przyciągnęła do siebie Annę, przytulając ją mocno.

– Biedne dziecko – powiedziała.

Dziewczyna stała sztywno, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Tamta musiała wyczuć jej skrzępowanie, bo szybko wypuściła ją z objęć.

– Przepraszam... – wymamrotała kobieta. – W ubiegłym tygodniu zabrali moją siostrzenicę. Siostra zginęła w jednej z ulicznych egzekucji. Od tamtej pory byliśmy już tylko we dwie. Tylko we dwie.

Zatorska podniosła wzrok i przyjrzała się jej uważnie, licząc, że może kobieta zdoła coś jej podpowiedzieć, da jakąś pomocną wskazówkę, która ułatwi jej dotarcie do ojca.

– Nie pożegnałam się. Nie miałam odwagi, żeby tam pójść – mówiła dalej. – Nie miałam odwagi. Zabrakło mi jej. Ona poszła tam sama. Była sama. Całkiem sama.

Straszliwy szloch wydarł się z jej piersi.

– Nigdy sobie tego nie wybaczę! – łkała. – Nigdy.

Anna szukała w sobie współczucia, które mogłaby okazać, ale czuła wyłącznie narastającą irytację. Musiała odnaleźć ojca.

– Powinnam już iść – powiedziała nieco zbyt oschle.

– Przecież wiesz, że to na nic, i tak nic już nie zdołasz zrobić.

– Przynajmniej się pożegnaj – odparła Anna i natychmiast pożałowała tych okrutnych słów.

Sąsiadka nie odpowiedziała. Kilka razy pokiwała głową i odeszła. Zatorska patrzyła chwilę na jej zgarbione plecy i ramiona raz po raz wstrząsane kolejną falą szlochu.

Wiedziała, że kobieta miała rację. Ona sama nie zdoła nic zrobić. Umschlagplatz pozostawał dla niej zagadką. Nigdy tam nie była. Nie znała mechanizmów rządzących tym miejscem. Wiedziała jednak, że na młode dziewczęta czekają tam nie tylko wagony, ale i inne niebezpieczeństwa. Nie mogła pójść sama. W pojedynkę nic nie wskóra.

Była jednak osoba, która mogła spróbować wyprowadzić ojca z placu.

– Marek... – szepnęła cicho.

*

Anna biegła przez opustoszałe, oprószone śniegiem getto, gnana tak wielkim strachem, że wydawało jej się, jakby jej stopy nie dotykały ziemi. Nie czuła panującego tego dnia mrozu, który niemal pozbawił powietrza ciasne uliczki dzielnicy żydowskiej. Nie mogła zebrać myśli, panika rozlewała się po jej ciele niczym zbyt mocny trunk. Dobiegła do kamienicy, w której mieszkał Marek. Chciała go zawołać, ale brakło jej tchu. Z jej ust wymykały się tylko białe obłoczki pary. Pchnęła drzwi, z których odłaził lakier, i nie bacząc, że oklejone śniegiem buty zostawiają mokre plamy, wbiegła na klatkę schodową. Drewniane stopnie skrzypiały i ugiwały się dziwnie pod naciskiem jej ciała.

Załomotała do drzwi mieszkania Goldmana.

– Marek! – wołała. – Marek! Otwórz!

Odpowiedziała jej głucha cisza.

– Marek! – Anna waliła w drzwi z jeszcze większą zaciętością, jakby od tego zależało jej życie.

Szczękniętą zamek i drzwi sąsiedniego mieszkania uchyliły się nieznacznie.

– Przestanie się tak wydzierać! – Drobną staruszką o haczykowatym nosie ostro upomniała dziewczynę.

Anna zatrzymała w pół gestu złożoną w pięść dłoń, gotową do kolejnego uderzenia.

– Przecie widzi, że nie ma sąsiada – ciągnęła skrzeczącym głosem staruszka. – Wyszedł.

– A wie pani dokąd? – zapytała z nadzieją dziewczyna.

– A co mnie tam wiedzieć czy nie wiedzieć. – Staruszka zamachała ręką przed twarzą, jakby chciała odpędzić jakąś wyjątkowo natrętną muchę. – Młody jest, to goni ciągle gdzieś.

– Naprawdę nic pani nie wie? – Głos Zatorskiej drżał coraz mocniej. – To naprawdę ważne.

Staruszka przyglądała jej się dłuższy czas w milczeniu.

– Na szpicla panna nie wyglądasz... – wymamrotała, nie spuszcza-
jąc wzroku z Zatorskiej. – Chociaż w dzisiejszych czasach to nigdy
nic nie wiadomo. Nie wygląda taka, a wszystko szkopom wyśpiewa.

Anna prędko pokręciła głową.

– Nie, nie, proszę mi uwierzyć. Błagam. To prywatna sprawa. Bar-
dzo ważna. Chodzi o mojego ojca... – Ściszyła głos. – Zabrali go...
Zabrali go na Umschlagplatz.

– Sąsiad nie poszedł do pracy, bo wychodził bez narzędzi – poin-
formowała Annę kobieta. Najwyraźniej wzmianka o ojcu w miejscu
budzącym grozę u wszystkich pozostałych w getcie rozwiła resztki
jej wątpliwości. – Pewnie do tego Kajzera poszedł. Tego, co to na rik-
szy jeździ. Całymi dniami widzę ich razem, jak się gdzieś włóczą, coś
szepczą, coś kombinują.

W pierwszej chwili Anna poczuła ulgę. Jeszcze nie wszystko stra-
cone! Zaraz jednak zorientowała się, że nie zna adresu Franka. Spoty-
kali się zwykle w mieszkaniu rodziców Noemi albo gdzieś na mie-
ście. Nigdy nie była u niego w domu. Zimna obręcz strachu znów za-
cisnęła się wokół jej serca.

– A nie wie pani może, gdzie mieszka ów Kajzer? – spytała ostroż-
nie, choć bez większej nadziei. Skąd niby sąsiadka Marka miałaby
znać adresy jego kolegów?

– No jak to gdzie? – zachnęła się kobieta, jakby Anna zadała jakieś wyjątkowo niemądre pytanie. – O tu przecież. Na drugim podwórku. Jakoś na parterze. Oni tak razem biegają od dzieciaka.

Uczucie ulgi na chwilę odebrało Zatorskiej oddech. Miała ochotę ucałować staruszkę, ale ta wciąż tkwiła za ledwie uchylonymi drzwiami i ani myślała szerzej ich otwierać.

– Dziękuję – powiedziała więc tylko i już zbiegała po schodach.

Przebiegła ciemne przejście i znalazła się na drugim podwórzu kamienicy. Obróciła się wokół własnej osi, przyglądając się kolejnym drzwiom i usiłując zgadnąć, w której klatce może mieszkać Franek, gdy dostrzegła znajomą riksę.

Przyprószoney śniegiem rower stał oparty o niski murek przy wejściu po prawej stronie budynku, na którym utworzyła się równa puchata ząpa. Anna ruszyła w tamtym kierunku, gdy nagle drzwi otworzyły się i wyszły z niej dwie znajome sylwetki. Twarze były ledwie widoczne spomiędzy naciągniętych na oczy czapek i wysoko postawionych kołnierzy, ale o pomyłce nie mogło być mowy.

– Marek! – krzyknęła rozpaczliwie.

Goldman natychmiast znalazł się przy niej. Jedno spojrzenie wystarczyło, by miał pewność, że coś się wydarzyło.

– Co ty tu robisz? – zapytał. – Cała drżysz. Pewnie okropnie zmarzłaś. Straszny dziś ziąb. Jest za zimno, żeby bez potrzeby biegać po mieście.

– Zabrali go – wyszeptała. Owa resztką energii, która dotąd popychała ją do działania, na widok Marka gdzieś się ulotniła. Pociemniało jej przed oczami. Zachwiała się. – Zabrali go.

– Kogo? – spytał, łapiąc ją za łokcie, by nie upadła.

– Ojca... Zabrali mojego ojca.

– Jak to?

Teraz i Marek wyraźnie się zdenerwował. Anna spuściła głowę. Nie chciała widzieć jego zagniewanej twarzy. Wszystkich, tylko nie

jego. Nie teraz, gdy tak bardzo potrzebowała wiary w cokolwiek, jakiegokolwiek nadziei.

– Przecież miał numerki i dobre papiery.

Wszystkie dokumenty dla pana Zatorskiego, w tym bezcenny numerki na życie, podpisany i opatrzony specjalną pieczęcią żółty kwiatek zezwalający pracownikom szopów na pobyt w „getcie szczerkowym”, załatwił Franek, którego znajomości stały się bezcenne w organizacji życia po Wielkiej Akcji Likwidacyjnej. Papiery były więc na pewno najwyższej jakości.

– Nie patrzyli na nic. Kazali wszystkim wyjść na ulicę. – Anna usiłowała mówić składnie, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. – Ojciec wziął dokumenty i wyszedł z innymi.

Marek skinął głową z aprobatą. Zawsze powtarzał wszystkim, że jeśli nie ma się naprawdę dobrej kryjówki, w razie obławy na kamienicę lepiej wyjść niż pozostać w mieszkaniu. W czasie łapanek natychmiast po wyprowadzeniu mieszkańców lokale były bowiem starannie przeszukiwane i plądrowane, a gdy znaleziono kogokolwiek ukrywającego się wewnątrz, nie pytając o nic, natychmiast go rozstrzelano.

– To nie byli Niemcy – opowiadała dalej Anna. – Tylko Ukraińcy albo Łotysze, kobieta z sąsiedniej kamienicy, która przyglądała się temu, nie potrafiła powiedzieć. Słyszała tylko obco brzmiące krzyki. Ustawili ludzi z naszej kamienicy w szeregu, a potem zapędzili na ciężarówkę. Ta kobieta widziała, że ojciec wyciągał rękę z dokumentami, próbował coś tłumaczyć, ale uderzono go tylko... – Głos odmówił jej posłuszeństwa.

Wiedziony odruchem Marek przyciągnął dziewczynę do siebie i zamknął w ramionach. Tak wiele razy marzył o tej chwili, a teraz, gdy jego sen wreszcie się ziścił, nie umiał się cieszyć. Był zbyt poruszony jej nieszczęściem. Być może Franek miał rację, mówiąc, że miłość zaczyna się wtedy, kiedy czyjeś dobro jest dla ciebie ważniejsze niż własne.

Anna wtopiła się w jego ramiona jak ufne dziecko.

– Najpierw matka, potem Antoś, Andrzej... – łkała. – Mam już tylko ojca. Tylko on mi pozostał.

Masz jeszcze mnie – chciał powiedzieć Marek, ale milczał. Milczenie w kwestii uczuć, które żywił do Anny, stało się dlań tak naturalne, że czasem wydawało mu się, iż tak po prostu powinno być. Wciąż jednak gdzieś na dnie jego serca tliła się nadzieja, że to wszystko jest tylko etapem przejściowym, drogą wiodącą ostatecznie ku ich wspólnemu szczęściu, dniom, w których będzie mógł bez końca trzymać ją w ramionach.

– To okrutny, ponury żart. Przecież on jako jedyny nie ma żadnych żydowskich korzeni – szlochała. – Zgłosił się do getta dobrowolnie, żeby być z nami, ze swoją żoną i z dziećmi. On jest niewinny. Nie zrobił nic złego. To niewinny człowiek.

– Jak my wszyscy, Anno – szeptał Goldman, tuląc wargi do jej włosów, w których lśniły pojedyncze płatki śniegu.

Chciał ją pocieszyć, ukoić jej ból, a jednocześnie jakaś część jego serca pragnęła, żeby ta chwila trwała wiecznie, żeby dziewczyna już na zawsze pozostała w jego ramionach.

– Nie żebym was pospieszał czy coś, ale zimno jak cholera – odezwał się Franek, który przysłuchiwał się całej rozmowie z rękoma wbitymi w kieszeń kożucha, przestępując z nogi na nogę. – Może wrócimy do mnie i tam na spokojnie porozmawiacie?

– A twoje... – Marek zawahał się. – Twoje sprawy?

Kajzer pokręcił głową.

– Najpierw trzeba wyciągnąć pana Zatorskiego z placu – orzekł bez wahania. – Tamto może poczekać.

Goldman rzucił mu spojrzenie pełne wdzięczności.

– Najpierw papiery. Najlepiej z któregoś z największych szopów – ciągnął Franek. – Chodźcie, znam kogoś, kto nam pomoże.

– Oby tylko nie było za późno – szepnęła rozdygotana Anna, ale Marek mocno uścisnął jej dłoń.

– Zdążymy – zapewnił z mocą.

Rozdział 2

Choć usiłowała, nie mogła odseparować się od niedoli i przerażenia zgromadzonych na placu ludzi. Z ust do ust powtarzano informację, że to wywózki do pracy gdzieś na wschodzie, ale wszędzie wokół czuć było ów niemal zwierzęcy strach ludzi oczekujących na śmierć. Nie wiedzieli, co zgotuje im los, którego wysłannicy nosili podkute buty i pistolety, a przy ich nogach chodziły ogromne czarne wilczury, ale przeczuwali, że w jakimś sensie plac będzie ich końcem.

Wreszcie Anna wypatrzyła ojca. Stał w kolejce, by po dziwacznej konstrukcji z desek wejść do wagonu.

– Tato! – wrzasnęła i zaczęła przepychać się przez tłum.

Stał z innymi, czekając, aż na plac zostanie spędzona odpowiednia liczba osób. Żaden centymetr powierzchni wagonu nie mógł się przecież zmarnować.

Anna zaczęła się przeciskać pomiędzy ludźmi. Była szybka i zwinna jak łania. Marek z trudem za nią nadążał.

– Tatusiu... – Przypadła do ojca.

– Dziecko, na miłość boską, co ty tu robisz?

Pan Zatorski objął dłońmi jasną główkę córki i przycisnął ją do piersi.

– Anno – wzdychał raz po raz. – Anno, dziecko moje.

– Jestem, tatulku – odpowiadała tak cicho, że tylko oni dwoje mogli to usłyszeć.

Marek przyjrzał się mężczyźnie. Nie wyglądał dobrze. Policzki miał mocno zapadnięte, wargi popękane. Jego oczy lśniły chorobliwym blaskiem, jeszcze bardziej widocznym na tle okalających je ciemnych kręgów. Goldman wiedział, że ma przed sobą ciężko chorego człowieka.

Nie przeżyje transportu – uznał i zaraz skarcił się za tę myśl. No-emi nieustannie powtarzała im, że dopóki trwa życie, zawsze jeszcze można mieć nadzieję.

– Nie powinnaś była tu przychodzić – upomniał córkę pan Zatorski, ale jego roziskrzone szczęściem oczy przeczyły tym słowom.

– Nic mi nie grozi – zapewniła. – Mamy przepustki, a w razie czego Marek zaplanował dla nas drogę ucieczki.

– Proszę pójść z nami – powiedział Goldman.

Pan Zatorski skinął głową i pozwolił poprowadzić się między ludźmi. Marek pokazał dokumenty wartownikom. Długo je studiowali, przyglądając się całej trójce.

– Stary zostaje – rzucił w końcu żołnierz. – Wy dwoje możecie iść.

– Nie rozumiem... – zaczęła Anna, a Marek pokręcił głową.

– Tu są dokumenty tego pana – rzekł Goldman spokojnie. – To inżynier Zatorski, jest ważnym pracownikiem Schultza i Többensa. Jestem pewien, że pańscy przełożeni...

– Stary zostaje – powtórzył wartownik. – A wy znikajcie, bo zostanieie razem z nim.

– Chodźmy – poprosił pan Zatorski, wycofując się w stronę kłębiącego się na placu tłumy, do którego właśnie dołączyła kolejna grupa nieszczęśników popędzanych krzykiem i poszturchiwaniem.

– Spróbujemy innej drogi – postanowił Marek, gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku wartownika, ale pan Zatorski pokręcił głową. – Franek powiedział, że w razie kłopotów...

– Zostanę tu.

– Nie może tatuś... – zaczęła Anna, ale ojciec nie pozwolił jej dokończyć.

– Nie mogę cię narażać – rzekł. Głos miał spokojny, choć na jego twarzy widać było zmęczenie. Najwyraźniej próba opuszczenia placu i konfrontacja z wartownikiem kosztowały go o wiele więcej, niż go-

tów był dać po sobie poznać. – Ani ciebie, ani pana Marka. To na nic. Pamiętasz, co mówił Andrzej? Codziennie muszą wywieźć z getta określoną liczbę osób.

– Nikt się nie zorientuje, jeśli zabraknie jednego człowieka – upierała się dziewczyna.

– Najwyraźniej starych ludzi strzegą wyjątkowo pilnie.

– Przecież tata wcale nie jest stary! – sprzeciwiła się żarliwie.

Pan Zatorski uśmiechnął się do niej smutno.

– Jestem zmęczony, Anno – powiedział. – Nie mam siły uciekać, ukrywać się. Nie zniósłbym myśli, że jestem dla was ciężarem, że mógłbym sprowadzić na ciebie jakieś nieszczęście. Pojadę na roboty. Całe życie pracowałem, więc z pewnością i tym razem sobie poradzę. Ta wojna musi się kiedyś skończyć. Wtedy wrócę i znów będziemy razem.

– Andrzej też tak mówił... – westchnęła Anna, której z coraz większym trudem przychodziło trzymanie emocji na wodzy. – Nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

– Ja też nie chcę wyjeżdżać, ale zdaje mi się, że oboje mamy niewielki wybór.

Zgromadzony na placu tłum zafalował. Żołnierze zaczęli zmuszać ludzi do szybszego wchodzenia do wagonów. Najwyraźniej nadeszła godzina odjazdu.

Marek zbliżył się do Anny.

– Musimy już iść – szepnął, starając się nie patrzeć ani na nią, ani na pana Zatorskiego.

Mężczyzna skinął głową.

– Już czas, moja mała – powiedział czule. – Gdy tylko nadarzy się sposobność, napiszę.

Anna całą sobą przyłgnęła do ojca, a on kołysał ją w ramionach, jakby znów była małą dziewczynką, a nie dorosłą kobietą.

Marek patrzył na nich i czuł narastającą w gardle gulę. Łzy zapie-
kły go pod powiekami. Nie chciał na to patrzeć. To w ogóle nie po-
winno się dziać. Nikt nie powinien rozdzielać tego przedwcześnie po-
starzałego schorowanego człowieka i jego jedyne pozostałego przy
życiu dziecka. Dość już poświęcił, dość stracił, dość złożył w ofierze
na ołtarzu świętej wojny Hitlera.

„Dość!” – miał ochotę krzyknąć Marek. „Już dość!”

Pan Zatorski delikatnie odsunął od siebie córkę i uśmiechnął się
z wysiłkiem.

– Na mnie też już pora – powiedział i skinął lekko w stronę wa-
gonu. – Dziękuję, chłopcze – zwrócił się do Goldmana.

Głos uwiązał Markowi w gardle. Nie mógł nic odpowiedzieć.

Tłum wokół zgęstniał. Niemcy zaczęli popychać stojących na
końcu ludzi kolbami karabinów. Coraz częściej słychać było krzyki.

– No, idźcie już – ponaglił ich pan Zatorski. – Idźcie.

– Tatulu... – Łzy ciekły po twarzy Anny.

Marek chwycił jej rękę, by odciągnąć dziewczynę na bok, nim bę-
dzie za późno. Potulnie poszła za nim.

Nagle poczuł, że jej dłoń wysuwa się spomiędzy jego palców.

– Nie mogę go zostawić – powiedziała.

Już nie płakała. Oczy miała suche, usta ściągnięte w wyrazie zdecy-
dowania. Całą swoją postawą zdawała się ostrzegać, by nawet nie
próbował namawiać jej do zmiany zdania.

– Anno... – szepnął błagalnie.

Pokręciła głową.

– Nie mogę go zostawić – powtórzyła, cedząc słowa.

Przez chwilę intensywnie mu się przypatrywała, jakby chciała do-
dać coś jeszcze, ale nie starczyło jej odwagi. Spuściła wzrok. Odwró-
ciła się i z boku wskoczyła na rampę. Marek nawet nie zdążył zare-

agować. Nie zrobił nic, by ją zatrzymać. Patrzył, stojąc na brzegu rwącego potoku ludzi.

Po chwili Annę wchłonęła ludzka fala. Miodowe włosy dziewczyny zniknęły mu z oczu.

W ciągu godziny załadowano wszystkich do bydłych wagonów. Przez maleńkie zakratowane okienka słychać było ostatnie rozpaczliwe wołania, prośby o litość. W powodzi słów modlitwy mieszały się z przekleństwami.

Marek patrzył, jak jeden z policjantów, łkając, ścisnął wysunięte przez kraty palce małej dziewczynki. Nie zdołał ocalić własnego dziecka.

Zasuwno kolejne drzwi. Coraz to nowi wartownicy meldowali gotowość do odjazdu. Rozległ się gwizd. Pociąg ruszył powoli, uwożąc tysiące ludzi w nieznane. Przy rampach kolejowych leżały zwłoki osób zastrzelonych, zmarłych z wyczerpania i chłodu lub zdeptanych podczas załadunku do wagonów.

– Pojechali – usłyszał głos jednego z wartowników.

– Stamtąd nikt nie wraca – powiedział drugi.

Potem zapanowała cisza. Nawet wielkie czarne wilczury przy nogach esesmanów nie wydawały żadnych dźwięków.

Marek stał w bezpiecznym miejscu i patrzył na martwy plac. Pusty jak jego serce.

Rozdział 3

Jechali dwa dni.

Anna całkiem straciła poczucie czasu. Wiedziała jedynie, czy jest dzień, czy noc, bo przez szpary w deskach wagonu oprócz lodowatych podmuchów stycznego powietrza za dnia wpadały też smugi światła.

Podczas podróży jej jedynym celem było zapewnienie możliwie największego komfortu ojcu. Na tym skupiła wszystkie swoje myśli i temu przeznaczyła wszystkie siły. Gdy udało jej się zdobyć trochę wrzątku, podtrzymywała mu głowę i poila ostrożnie, małymi porcjami. Podobnie było z jedzeniem. Sama była wciąż dobrze odżywiona, więc każdy kęs stawy oddawała ojcu.

Gdy dotarli na miejsce, w pierwszej kolejności z pociągu wyrzucano zwłoki tych, którzy nie dożyli celu podróży. Walizki zrzucano obok.

Na rampie odbywała się wstępna selekcja.

– Mężczyźni na prawo, kobiety na lewo! – wykrzykiwali Niemcy.

Tłum zafalował. Anna mocniej przywarła do ramienia ojca i ruszyła w prawo. Liczyła, że w tej cisnącej się we wszystkich kierunkach ludzkiej masie nikt nie zwróci na nich uwagi.

– Tylko on. – Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nimi żołnierz z psem na smyczy.

– To mój ojciec. – Anna starała się mówić spokojnie, tak by jej nie-naganny niemiecki brzmiał jak najlepiej. – Jest bardzo chory, a ja jestem pielęgniarką. Proszę mi pozwolić pójść z nim. Muszę się nim opiekować. Proszę.

Esesman przyglądał się jej chwilę.

– Pielęgniarka? – powtórzył.

Przytaknęła i nieśmiało uśmiechnęła się z nadzieją, że go przekona. Jakaś część jej duszy liczyła, że i tu, w Auschwitz, działają podobne prawa jak w hotelu „Britania”, według których uroda i wdzięk są asem w rękawie.

– Ojciec choruje od jakiegoś czasu, ale mam wrażenie, że znacznie mu się polepsza – mówiła, przybierając ów swiergoczący, słodki ton, którym zwykła zwracać się niegdyś do swoich wielbicieli. – Za kilka dni będzie jak nowo narodzony, gotów do podjęcia każdej pracy.

Esesman oderwał od niej wzrok i spojrzał na pana Zatorskiego. Ojciec Anny starał się wyprostować i nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest słaby, ale nikt nie dałby się na to nabrać.

– Wygląda, jakby już nie żył. – Esesman zwrócił się znów do dziewczyny.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, jakby powiedział jakiś doskonały żart.

– Żyje i ma się wcale nieźle – zapewniła, czując się coraz mniej pewnie, ale wciąż się uśmiechając. – To tylko zmęczenie po podróży.

W pewnym sensie była teraz wdzięczna za to wszystko, czego nauczyła się, pracując w „Britanii”. Podczas podróży zdołała zauważyć, jak wielki strach budził w ludziach niemiecki mundur. Ona się nie bała, przynajmniej nie tak, jak pozostali. Wiedziała, że pod mundurem kryją się całkiem zwyczajni ludzie, czerwieniejący od gorąca, wymiotujący po obżarstwie, niepanujący nad sobą po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu. Zwyczajni ludzie, którzy kierują się tymi samymi instynktami co reszta świata. Instynktami, które, by przetrwać, nauczyła się rozpoznawać i wykorzystywać do własnych celów.

– Proszę pozwolić mi pójść z nim – powtórzyła przymilnie.

Mężczyzna skinął głową. Anna odetchnęła z ulgą.

– Słyszysz, tatusiu? Nie rozdziela nas – szepnęła do ojca i krzepiąco zacisnęła dłoń na jego ramieniu. – Jestem przy tobie.

W tym momencie usłyszała charakterystyczne kliknięcie odbezpieczanego spustu. Szarpnęła głowę. Wciągnęła powietrze. Padł strzał. Pies zaszczał donośnie. Zatorski zwał się na ziemię.

Dziewczyna zachwiała się i opadła na kolana. Na bladym czole ojca widniała czerwona dziura. Wokół jego głowy rosła kałuża krwi. Anna położyła mu głowę na piersi, ale usłyszała tylko ciszę.

– Tato... – szeptała. – Tatusiu...

– I tak nie przeszedłby selekcji. – Esesman wzruszył ramionami i schował pistolet do kabury.

Następnie pochylił się i oderwał Annę od zwłok. Pies zawarczał groźnie, gdy spróbowała się wyrwać.

– Tato... – powtarzała raz po raz, wykręcając się w stronę ciała ojca. – Tato.

Esesman przeszedł z nią parę metrów, po czym pchnął Annę mocno w kierunku miejsca, gdzie gromadziły się kobiety.

– Na lewo – warknął.

Rozdział 4

Anna miała wrażenie, że śni. Obrazy przesuwały się przed jej oczami niczym widoki w wolno jadącym pociągu. Dziesiątki poszarzałych twarzy, dziesiątki par oczu przepęlnionych strachem. Obce zapachy.

Po selekcji najsłabszych pasażerów zaprowadzono na ciężarówki, które szybko odjechały. Całą resztę ustawiono w kolumny i popędzono pieszo. Przy dziwnym budynku z wielkim kominem padł rozkaz zatrzymania. Ten widok wyrwał Annę ze stuporu.

– Zabijają ich trującym gazem, a potem palą w wielkich piecach. – Słowa Lucynki odbiły się echem w jej głowie.

Wtedy nie uwierzyła. Jej umysł nie mógł pomieścić wizji takiego bestialstwa. Nawet Niemcy nie mogliby zrobić czegoś tak potworzonego. Tylko czasem nocami śniła o ludziach zamkniętych w pomieszczeniu bez okien, wijących się w konwulsjach w szarej mgle. Budziła się z krzykiem.

– To tylko zły sen – powtarzał jej ojciec.

Czy to możliwe, że ten zły sen teraz okaże się prawdą? Czy ona sama miała w rzeczywistości stać się jedną z osób tańczących ostatni taniec w diabelskiej mgle?

Grupę kobiet wprowadzono do środka.

– To rozbieralnia – zakomunikował jeden ze strażników. – Za chwilę zostaniecie wykąpane i poddane dezynfekcji przed przejściem do obozu.

Anna chciała uwierzyć, że te słowa są prawdą. Pamiętała dobrze przygodę Franka, który został poddany dezynfekcji jeszcze w Warszawie. Skończyło się na katarze i ogolonej głowie. Zaczęła mieć nadzieję, że i im się poszczęści. Niemcy znani byli przecież ze swojej obsesji na punkcie higieny i panicznego lęku przed rozprzestrzenianiem się chorób. Podobne działania profilaktyczne z pewnością mogły zapobiec wybuchowi potencjalnej epidemii choroby przywiezio-

nej z getta lub z transportu, gdzie wszelkiego rodzaju zarazki miały idealne warunki do namnażania się.

Wszystko to wydawało się więc logiczne i uzasadnione, ale coś nie dawało jej spokoju.

– Zdjąć biżuterię i kosztowności – padł kolejny rozkaz.

Kilka kobiet rozplakało się, gdy odbierano im ślubne obrączki. Ile wysiłku musiało kosztować je zachowanie tego skarbu aż do tej pory? W getcie każda ilość złota była przeliczana na podtrzymującą życie żywność. Zachowanie błyskotki oznaczało odjęcie sobie od ust chleba, a mimo to niektóre kobiety decydowały się na to bez wahania. Anna przyglądała się im, ciesząc się, że jej jedyną drogocenną pamiątką był sfatygowany stary miś jej braciszka, w oczach esesmanów całkiem bezwartościowy.

– Rozbierać się!

Kobiety zaczęły wymieniać zdenerwowane spojrzenia, bo w pomieszczeniu znajdowali się przecież mężczyźni. Anna dyskretnie przyjrzała się patkom i naramiennikom oficerów, próbując przypomnieć sobie poszczególne stopnie. Po chwili była już pewna, że wśród pilnujących są SS-Oberscharführer i SS-Scharführer.

Dlaczego do pilnowania kąpiących się kobiet nie wyznaczono zwykłych szeregowych, tylko podoficerów? – zastanawiała się gorączkowo.

Z tyłu za esesmanami stało kilku więźniów w stroju przypominającym pasiastą pizamę. Wszyscy mieli spuszczone głowy. Nie patrzyli na kobiety, nawet nie próbowali dyskretnie ich podglądać. Z całej ich postawy były rezygnacja i żal. Nie chcieli tu być. Nie chcieli na to patrzeć.

W niezrozumiałym przeblysku Zatorska pojęła nagle, że słowa Lucynki były prawdą. Znajdowała się w przedsionku komory gazowej. Za kilka chwil ona i wszystkie zgromadzone tu kobiety miały zginąć w męczarniach, dusząc się trującymi oparami, a potem zostać wywiezione na taczkach przez tych nieszczęśników.

Ta myśl, zamiast ją przerazić, zelektryzowała ją. Nie miała nic do stracenia. Wiedziała, że cokolwiek zrobi, za chwilę i tak spotka ją nieuchronny koniec. Jediną decyzją, jaką mogła podjąć, było to, jaki będzie ów finał. Chciała, by był wart zapamiętania jak solowy występ taneczny na najważniejszej scenie świata. Występ, którego nigdy się nie doczekała.

Palce rozpinające guziki koszuli zatrzymały się nagle. Ogarnął ją spokój. Nie, nie zamierzała poddać się bez walki. Nie po tym, co zrobiono jej rodzinie. Przed oczami przemknęły jej twarze matki, ojca, Andrzeja, Antosia, wszystkich, których jej odebrano. Za moment mieli spotkać się w tym innym, lepszym świecie i Anna zapragnęła, by byli z niej dumni. Ta myśl dodała jej odwagi.

Przymknęła oczy i wzięła głęboki wdech, jak przed każdym egzaminem z muzyki. Potem znów je otworzyła, wyprostowała się i zaciśnęła mocno szczęki. Była gotowa.

Niewiele myśląc, z całej siły rzuciła w pobrużdżoną zmarszczkami twarz SS-Oberscharführera zdejmowanym właśnie fragmentem garderoby.

– Co jest... – Zaskoczony mężczyzna zaczął nerwowo machać rękoma. Pistolet wypadł mu z dłoni.

Anna schyliła się błyskawicznie i chwyciła broń. O niczym nie myślała. Po prostu działała. Żyła. Po raz ostatni pełniła życia, najlepiej, jak umiała. Czuła, jak jej serce bije w piersi, płuca pompują powietrze, mięśnie napinają się i rozluźniają. Nigdy nie czuła się tak żywa jak teraz.

– Zabiją nas! – krzyknęła rozziewając. – Walczcie! Żyćcie, póki jeszcze możecie!

Odbezpieczyła broń i oddała trzy strzały w kierunku mężczyzn.

Pozostałe kobiety rzuciły się na strażników, za jedyną broń mając nadwątlone siły ramion, zęby i paznokcie. Walka była nierówna, a jej wynik z góry wiadomy, mimo to walczyły. Drapały, kopały, gryzły w ostatnim akcie sprzeciwu. Przysadzista blondynka o twarzy anioła

odgryzła strażnikowi czubek nosa, nim inny esesman chwycił ją wpół i z furią cisnął na ziemię, jakby była szmacianą lalką.

Wypędzono je na zewnątrz, żeby krew nie wsiąknęła w ściany i nie stała się ostrzeżeniem dla kolejnych ludzi przeznaczonych na śmierć. Półnagie kobiety, dygocząc jak w febrze z powodu styczniowego mrozu i dogasających emocji wywołanych ostatnią walką, obojętnie patrzyły, jak mężczyźni w pasiakach dźwigają na noszach dwóch rannych od kul esesmanów.

– Strzelać! – padł rozkaz, którego treść zrozumiały nawet te spośród nich, które nie znały niemieckiego.

Milczące dotąd kobiety zaczęły płakać, skomleć, modlić się. W powstałym rejwachu odgłosy wystrzałów wydawały się dziwnie przytłumione. Strzelano tak długo, aż wszystkie głosy umilkły.

Gdy wycelowano lufę w jej kierunku, Anna wsunęła dłoń do kieszeni spódnicy, której nie zdążyła zdjąć. Jej zgrabiące palce odnalazły miękką maskotkę. Na chwilę przymknęła powieki. Widziała teraz Antosia, który siedząc na kolanach matki, tulił do siebie ukochanego misia.

Padł strzał. Anna poczuła oszałamiające ukłucie bólu. Ból rozlał się w jej piersi, dławiąc oddech. Zatoczyła się do tyłu, a potem nagle stała się lekka. Spadała. Uderzyła o ziemię.

Nie zamknęła oczu. Do ostatniej chwili chciała patrzeć, być obecna, widzieć piękną scenerię koszmaru przygotowanego dla jednych ludzi przez drugich. Gdy ulatywało z niej życie, Anna wpatrywała się w niebo. Wreszcie ich zobaczyła. Stali tam, czekali, by ją przywitać.

– Mamo... – szepnęła na ostatnim wydechu.

Rozdział 5

– Dobrze, że już jesteś – rzucił Franek, gdy Marek wrócił z pustego Umschlagplatzu do domu przyjaciela.

Goldman nie potrafił zrelacjonować mu, co zaszło, nie wiedział, jakimi słowami miałby opowiedzieć mu o wyborze Anny i o tym, że nie zdołał jej zatrzymać, ale nie chciał też być teraz sam. Nie umiał zareagować na przywitanie, więc milczał.

– Potrzebujemy kryjówki, i to szybko – kontynuował Kajzer.

Biegał po pokoju, otwierając kolejne skrytki, które Marek osobiście dla niego zaprojektował. Ze zmyślnych zapadek pod klepkami podłogi, w nogach stołu i w ozdobnym zwieńczeniu nad drzwiczkami szafy wyjmował pieniądze, dokumenty i różne inne rzeczy, poowijane w ciemny materiał.

Marek mruknął coś niewyraźnie.

– Człowieku, czy ty w ogóle słyszysz, co mówię? – Franek zatrzymał się nagle. – Robi się gorąco. Może być kocioł. Niemcy znowu szaleją po getcie, łapią i wywożą, kogo popadnie. Podobno sam Himmler zarządził kolejne wysiedlenie.

Goldman podniósł głowę i spojrzał na przyjaciela. Gdy ich oczy się spotkały, Kajzer przypomniał sobie, skąd wrócił tamten, i natychmiast zrozumiał, że coś musiało się wydarzyć.

– Co z panem Zatorskim? – spytał prędko.

Marek chciał mówić. Otwierał i zamykał usta, nabierał powietrza i szybko je wypuszczał. Pragnął opowiedzieć wszystko przyjacielowi, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Nie zdążyliście? – zgadywał Franek. – Cholera, przecież transporty zwykle odjeżdżały o wiele później. Widzisz? Mówiłem, że Niemcom coś się we łbach poprzestawiało.

Przez chwilę stali naprzeciwko siebie w całkowitej ciszy. Kajzer raz po raz spoglądał na przyjaciela i wciąż coś nie dawało mu spokoju. Owszem, lubił pana Zatorskiego, obaj go lubili, ale Marek zdawał się nie tylko smutny, ale też oszołomiony, jakby przeżył wielki wstrząs.

– Wydarzyło się coś jeszcze, prawda? – odważył się zapytać.

Goldman potwierdził szybkim skinieniem.

– Powiesz mi co? – dopytywał Franek, po czym wzdrygnął się, tknięty nagłą myślą. – Anna?

Oczy Marka się rozszerzyły. Wyglądał, jakby miał się rozpłakać. Franek nigdy dotąd nie widział przyjaciela płaczącego. Po śmierci matki stał się jeszcze bardziej milczący niż zwykle i przez kilka dni nie wychodził z mieszkania, ale nie zapłakał. Kajzer był przy nim cały czas. Posprzątał mieszkanie Goldmanów, uporządkował rzeczy zmarłej, dbał, by Marek jadł i pił cokolwiek. Większą część tamtych dni spędzali jednak, po prostu siedząc obok siebie w ciszy. To wystarczyło.

– Coś z Anną? – powtórzył ostrożnie.

Marek pokręcił głową, nie był to jednak znak zaprzeczenia, ale raczej niedowierzania, że to, co się wydarzyło, naprawdę miało miejsce. Po jego prawym policzku spłynęła łza. Franek patrzył, jak lśniąca kropla ześlizguje się po twarzy przyjaciela, i dotarło do niego, że Annę spotkało coś strasznego.

Zastrzelili ją? Na Umschlagu nierzadko się to zdarzało. A może jakaś banda Ukraińców czy Łotyszy wzięła ją w obroty i skrzywdziła na oczach Marka? A może stało się jeszcze coś, czego nawet nie umiał sobie wyobrazić?

Franek się wzdrygnął. Pomyślał o Lucynce, którą oddzielał od tego wszystkiego nie tylko mur, ale i kordon wokół getta. Lucynka była bezpieczna i ta świadomość przyniosła mu pocieszenie.

Nie pytał o nic więcej. Wiedział, że i tak niczego się teraz nie dowie. Marek potrzebuje czasu, by wyjść ze stuporu. Kajzer sięgnął do

szafki, wyjął z niej małą buteleczkę bimbru, odkręcił i podał przyjacielowi. Goldman bez chwili namysłu pociągnął duży łyk i zaraz zaniósł się kaszlem; alkohol był bardzo mocny.

– Nie mam nic na popitkę ani żadnej zagryzki. Kaszę trzeba by dopiero ugotować – tłumaczył się Franek, ale Marek, poczerwieniały na twarzy od kaszlu, kolejnym haustem dopił resztę zawartości butelki.

Odłożył ją, a potem przysiadł na tapczanie i zapatrzył się w ścianę. Przyjaciel narzucił mu na plecy koc i wrócił do pakowania rzeczy. Nic więcej nie mógł w tej chwili zrobić. Gdy znów zerknął na Marka, głowa zwisała mu na piersi, a z ust wydobywało się lekko charczące posapywanie.

Goldman spał.

– Nieszczęśniku... – westchnął Franek.

Miał tylko nadzieję, że cokolwiek się wydarzyło, zdoła go przekonać do ukrycia się. Teraz to było najważniejsze, bo dogrywka akcji likwidacyjnej najwyraźniej miała przeciągnąć się na parę dni, a nie być – jak przypuszczali wcześniej – jednorazowym aktem.

Rozdział 6

Kajzer wiedział, gdzie zasięgnąć języka, by znaleźć bezpieczną kryjówkę. Wieczorem poprowadził mocno nieprzytomnego Marka, dla którego w międzyczasie znalazł jeszcze jedną butelkę spirytusu, do bunkru przygotowanego w pogłębionej piwnicy. Całość wyglądała niezwykle solidnie i widać było, że ten, kto przygotował to schronienie, znał się na rzeczy. Sufit podparto belkami, pokryto deskami podłogę, na której przygotowano kilka stelaży imitujących łóżka. Nie były to może najsolidniejsze konstrukcje, ale miały tę zasadniczą zaletę, że izolowały od lodowatej o tej porze roku podłogi.

Ponieważ piwnica znajdowała się w nowoczesnej kamienicy, do bunkra także udało się doprowadzić prąd i wodę. W ziemiance na końcu schronu zgromadzono niewielki zapas kaszy, ale warunkiem wstępu – oprócz sówitej zapłaty za miejsce – było także przyniesienie jedzenia. Jeśli ktoś miał pieniądze, a nie miał żywności, musiał szukać gdzie indziej.

W bunkrze było zimno, wilgotno i mimo kilku mocno dymiących lamp naftowych okropnie ciemno. Jednak najważniejsze było to, że piwniczka, w której głębi przygotowano schron, wąskim tunelem połączona była z miejskimi kanałami. Kajzer domyślał się, że w dobrych czasach, zanim kamienica znalazła się w granicach getta, jej eleganckim lokatorom musiało to mocno doskwierać. Kanały bowiem zawsze oznaczały śmierdzące wyziewy i szczury, których w Warszawie nie brakowało.

Teraz te niedogodności nie miały żadnego znaczenia, za to potencjalna możliwość ucieczki w razie niebezpieczeństwa była na wagę złota. Bunkier z ostatniej deski ratunku niezwykle łatwo mógł się przemienić w śmiertelną pułapkę. Setki Żydów zginęło uwięzionych w płonącej piwnicy, zasypanych żywcem pod gruzami, zaczadzonych oparami z płonącego budynku. Ta wizja szczególnie przerażała Franka i cieszył się, że dzięki szmuglerskim znajomościom udało mu się znaleźć to miejsce.

Cieszyło go też to, że w bunkrze zgromadzili się sami młodzi mężczyźni i szybko zrobiło się wesoło. Ktoś wyjął karty, ktoś inny pół litra i zaczęła się zabawa. W świecie bez czasu, jakim było życie w ukryciu, każda rozrywka pozwalała pozostać przy zdrowych zmysłach. Nikt z obecnych nie przywykł do przebywania pod ziemią bez dostępu do światła dziennego i już ta świadomość wystarczyła, żeby wszyscy odczuwali niepokój. Dodatkowo potęgowała go niepewność tego, co działo się na górze. Wiadomo było, że znów zaczęły się wywózki, że trwają łapanki. Czasem gdzieś z oddali dochodziły odgłosy strzałów czy wybuchów, które wprawiały w drżenie nie tylko ściany, ale i ludzi. Ktoś wspomniał pogłoski, jakoby żydowska młodzież szykowała się do stawienia Niemcom oporu, ale nikt nie chciał w to wierzyć.

– Przecież to i tak nic by nie zmieniło. – Franek głośno wyraził to, co pomyśleli wszyscy. – W starciu ze szkopami nasi nie mieliby żadnych szans, a bez nadziei na zwycięstwo chyba trudno walczyć.

Pierwszego dnia ułożył Marka na jednej z prycz, otulił go starannie przyniesioną z domu pierzyną i przyłączył się do grających.

Goldmana zbudziły silne mdłości. Otworzył oczy, ale nie mógł sobie przypomnieć, ani gdzie jest, ani jak się tu znalazł. Zobaczył śpiącego obok Franka. Ten, leżąc na wznak, mocno chrapał, podobnie jak kilku innych mężczyzn, których nie znał. Jedną lampkę pozostawiono zapaloną przy wiadrach na nieczystości.

Treść żołądkowa podeszła Markowi do gardła. Rzucił się ku wiadrom i zwymiotował. Dłuższy czas wstrząsały nim torsje, kaszlał, wypływając resztki żółci, lecz gdy po chwili opadł na klepisko i oparł się plecami o zimną ścianę, poczuł się lepiej. Rozejrzał się po piwnicy i docenił solidność drewnianych konstrukcji. Nie były może najstarsze i zdecydowanie było znać rękę amatora, ale robota została wykonana porządnie.

Dopiero po chwili pojął, że jest w bunkrze, a ta myśl wywołała falę wspomnień. Anna. Znów gorzej się poczuł, ale jego żołądek był pusty i nie miał już czym zwymiotować. Anna. Odkręcił kranik w ścianie

i napił się odrobinę wody. Zrobiło mu się trochę lepiej, ale im lepiej czuł się fizycznie, tym trudniej było mu znieść myśl o wypadkach minionego popołudnia. Anna.

Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak, dopóki całe ciało mu nie ścierpło. Wtedy podniósł się z wysiłkiem i opadł na pryczę.

Tej nocy nie spał. Wciąż na nowo wracały doń wspomnienia. Anna uśmiechała się do niego, a jej miodowe włosy lśniły w słońcu. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że jego serce nadal pompowało krew, płuca oddychały, mózg przyswajał informacje. Jak to możliwe, że zapadał zmierzch i budził się kolejny dzień?

Potrząsnął głową, by odpędzić ponure myśli. Na przekór faktom musiał wierzyć, że wszystko będzie dobrze, że gdy ten cały koszmar się skończy, znów się spotkają.

*

– Muszę wyjść – oznajmił Marek.

Już drugi dzień siedzieli w piwnicy, kryjąc się przed obławami. Po odjeździe transportu Anny spotkał znajomego policjanta. Wiedział, że działa on w żydowskiej konspiracji i ma kontakt z AK-owskim podziemiem. Powołując się na wspomnienie Andrzeja i obiecując zrobić kryjówkę dla pięcioletniego syna mężczyzny, ubłagał go, by spróbował dowiedzieć się czegoś o kobietach z tego transportu. Miał nadzieję, że zdobędzie jakieś wieści o losie Anny. Policjant zgodził się, podał mu namiary na skrytkę, obluzowaną cegłą w murze, gdzie miał zostawić wiadomość. Marek nie był pewien, czy minęło już dość czasu, by tamten zdobył jakieś informacje, ale czuł, że musi coś zrobić, zając się czymś, bo inaczej postrada zmysły.

– Głupi pomysł – stwierdził Kajzer, tasując karty. – Lepiej zagraj z nami.

Marek pokręcił głową.

– Mówię poważnie. – Franek przerwał tasowanie i spojrzał na przyjaciela bez uśmiechu. – Przecież wiesz, co się dzieje. Lepiej teraz nie

podkładać się szkopom. Za parę dni będzie po wszystkim i pospacerujesz sobie do woli.

– Idę – rzucił Marek, ignorując słowa przyjaciela.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Franek skinął głową.

– Tylko bądź ostrożny – poprosił.

– Jasne.

– Nie zrób nic głupiego – rzucił jeszcze Franek, którego poprzednie zapewnienie wcale nie uspokoiło.

– Jasne – powtórzył Goldman, a potem uścisnął dłoń przyjaciela. – Do zobaczenia.

Gdy wyszedł z kryjówki, Kajzer jeszcze przez chwilę patrzył za nim ogarnięty złymi przeczuciami. Zdawało mu się, że w piwnicy pełnej ludzi zrobiło się nagle dziwnie pusto i cicho. Jakiś głos podpowiadał mu, że powinien pójść za Markiem. Drugi szeptał, że to bez sensu. Po przeżyciach ostatnich dni pewnie potrzebował choć na chwilę zostać sam z własnymi myślami. Nie musieli narażać się obaj.

– Zmiękleś, Kajzer! – zawołał nagle jeden z graczy. – Jak stchórzyłeś, to chociaż karty oddaj, żeby prawdziwi mężczyźni sobie zagrali.

Franek popatrzył na trzymaną w dłoniach talię.

– To nic takiego. Zaraz wróci – szepnął do samego siebie, po czym odwrócił się do pozostałych graczy. – Dobrze słyszałem, że któryś z waszmościów nazwał mnie tchórzem?

Rozdział 7

Marek rozejrzał się na boki, upewniając się, że nikt go nie obserwuje. Był sam. Powoli dotykał palcami ściany, szukając skrytki. Sam stworzył tak wiele schowków, że nie zajęło mu to dużo czasu. Serce zabiło mu mocniej, gdy jedna z cegieł poruszyła się pod jego palcami. Wsunął ją nieznacznie i ujrzał kilkakrotnie złożoną karteczkę.

„W rozbieralni kobiecej wybuchł bunt. Nikt nie przeżył”.

Oszołomiony Marek wpatrywał się w te słowa. Choć starał się temu zaprzeczać, aż dotąd tliła się w nim nadzieja, że otrzyma pomyślnie wieści. Anna była młoda i silna, gdyby skierowano ją na roboty, miałyby szansę. Słowa: „Nikt nie przeżył” nie pozostawiały złudzeń.

Anna nie żyła.

Aż dotąd Goldman śmierć w getcie przyjmował jak coś oczywistego, codziennego, zwyczajnego. Szybko przywykł do niej na tyle, że nawet odejście matki nim nie wstrząsnęło. Gdy zobaczył ją martwą, przypomniały mu się słowa pana Zatorskiego, które ten wypowiedział po śmierci swojej żony.

– Może tak było dla ciebie lepiej, mamo – szepnął wówczas Marek, delikatnie gładząc zimny policzek matki.

Śmierć oszczędziła jego starej, schorowanej matce cierpień. Była wyzwoleniem, nie karą.

Ale Anna...? Anna była przecież tak pełna życia, tak jasna, promienna, niezłomna.

Wiedział, że nigdy sobie nie wybaczy. Nie zapomni, że nie odważył się wypowiedzieć tych dwóch słów, które mogły zmienić wszystko; że nigdy jej nie pocałował.

Od tego wyroku nie było apelacji. Ten jeden niewykonany krok, powstrzymany gest, przemilczane słowa miały go prześladować już zawsze, zatruwając żalem sny.

Nagle wszystko wokół umilkło. Marka ogarnął dziwny spokój. Czuł ulgę. Wszystko było już skończone. Poszedł prosto na Umschlagplatz. Szedł szybko, nie z powodu trzaskającego mrozu, lecz gnany dziwnym niepokojem. Czuł, że może stracić szansę, że nie zdąży. Musiał ostrzec tych ludzi. Namówić ich do walki.

Szybko wspiął się po rampie i zaczął wymachiwać rękoma.

– Ludzie! – krzyczał. – Ludzie! Nie wsiadajcie! Uciekajcie! Cofnijcie się!

Wielu spośród zgromadzonych na placu wpatrywało się w niego szeroko otwartymi oczami.

– To droga na śmierć! – wołał Marek, po raz pierwszy w życiu bez strachu przemawiając do tłumu. – Te pociągi nie jadą na wschód.

Przez tłum przebiegł złowieszczy pomruk.

– Żydzi! Okupant przystępuje do drugiego aktu waszej zagłady! – wyrecytował z mocą tekst ulotki ŻOB-u, którą znalazł na stoliku w kryjówce. – Nie idźcie bezwolnie na śmierć! Brońcie się!

W tej samej chwili dostrzegł grupę esesmanów przedzierających się przez tłum. Żołnierze zdejmowali z ramion karabiny i szykowali je do strzału. Po chwili otworzyli ogień. Strzelali na oślep w tłum ludzi. Marek zeskoczył z rampy i wyszedł na spotkanie samotnej kuli.

*

– Ale zawieja! – zawołał dawny meciarz, przytupując, by otrzepać i tak mokre buty ze śniegu i nie nanieść błota do kryjówki.

– Tu niewiele cieplej – odpowiedział któryś z grających.

– Ale przynajmniej nie wieje.

– Co prawda, to prawda. Chodź szybko, Kajzer załatwił nam coś na rozgrzewkę. Jest i porcyjka dla ciebie.

– *À propos*, Franek, podobno Goldman jest na Umschlagu – rzekł nowo przybyły, wychylając podany mu kieliszek.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – Franek zerwał się z miejsca, złapał go za wilgotne od śniegu poły płaszcza i niemal oderwał od ziemi.

– Ktoś, nie znam człowieka, ale on najwyraźniej znał ciebie, kazał przekazać, że Goldman trafił na Umschlag – tłumaczył się nerwowo tamten, całkiem zdezorientowany. – Tylko tyle wiem, przysięgam.

Franek rozluźnił palce, chwycił kurtkę i narzucił ją na siebie w biegu. Nie miał chwili do stracenia. Biegł przez ciche ulice szczątkowego getta i choć nigdy nie był pobożny, teraz modlił się żarliwie, by zdążyć na czas.

Gdy dotarł na plac przeładunkowy, po niedawnych wydarzeniach nie pozostał niemal żaden ślad, jeśli nie liczyć plam krwi na śniegu – ale i te znikwały szybko, przykrywane świeżymi płatkami. Dwóch rosyłych mężczyzn wrzucało ostatnie ciała bojowników na wózki do transportu zwłok. Zgromadzeni na placu ludzie bali się choćby spojrzeć w tamtą stronę.

Kajzer szybkim krokiem przeszedł wzdłuż nich, szukając znajomej twarzy. Poczuł ulgę. Pomyślał, że może Marek sam jakoś zdołał się wydostać. Już miał zawinąć się z placu, gdy jego wzrok padł na wózek ciągnięty przez jednego z mężczyzn. Na szczycie stosu trupów leżało bezwładne ciało Marka.

Franek podszedł bliżej. Nie musiał nic mówić. Wyraz jego twarzy wystarczył, by mężczyzna ciągnący wózek się zatrzymał. Kajzer oparł się o krawędź przyczepki, by nie upaść. Sięgnął po zimną rękę przyjaciela i wbrew rozsądkowi zaczął ją rozcierać, jakby chciał go ogrzać.

– Ty idioto! – zaszlochał. – Ty skończony idioto!

Wózkarz nerwowo rozejrzał się na boki, ale nie miał odwagi ruszyć dalej. Po chwili podszedł do niego drugi mężczyzna, który właśnie skończył ostatni załadunek.

– Co tak stoisz... – zaczął i natychmiast umilkł.

Znał zarówno Franka, jak i Marka. Żal ścisnął go za gardło. Nie mógł jednak narażać się na niebezpieczeństwo. W piwnicy ukrywał

ciężarną żonę, która nie dostała numerka. Należała do tak zwanych „dzikich”, którzy po Wielkiej Akcji skazani zostali na egzystencję w ukryciu. Musiał zrobić wszystko, by do niej wrócić. Nie mógł sobie pozwolić na litość czy współczucie.

Odchrząknął głośno.

– Kajzer, jazda stąd! – warknął, starając się nie patrzeć na Franka. – Jak cię przy nim zobaczą, kulka w łeb.

– Co takiego zrobił? – zapytał Kajzer. – Muszę wiedzieć, co tu się stało.

Wózkarze wymienili spojrzenia. Dawny znajomy splunął sobie pod nogi.

– Goldman nawoływał do buntu – rzucił. – A teraz znikaj, bo jak Boga kocham, sam na ciebie doniosę.

To powiedziawszy, pchnął wózek kolegi. Dłoń Marka wyslizgnęła się pomiędzy palców Franka.

Rozdział 8

Druga odsłona akcji likwidacyjnej trwała zaledwie cztery dni. Tym razem bowiem Niemcy zostali zaskoczeni oporem. Po raz pierwszy od września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku na ulicach Warszawy rozgorzała regularna walka. Strzelano na Gęsiej, Miłej, Niskiej, na Lesznie, Nowolipiu, Smoczej. Członkowie Żydowskiej Organizacji Bojowej ukryli się wśród tłumu zgarniętego przez Niemców w czasie kolejnej obławy. Szli wraz z innymi na Umschlagplatz, gdy padł rozkaz. Z wyciągniętych spod płaszczy pistoletów posypały się pierwsze pociski.

– Są uzbrojeni! – wykrzykiwali wyraźnie zszokowani Niemcy. – Żydzi strzelają!

Walka ta z góry była przegrana. Nieliczni spośród żydowskich bojowników mieli broń palną czy granaty. Większość dysponowała co najwyżej butelkami z benzyną czy kwasem solnym. Jedynym orężem przypadkowych ludzi, którzy postanowili spontanicznie przyłączyć się do walki, były żelazne pręty i kamienie. Naprzeciwko nim stanęły dwie kompanie SS z bronią maszynową i granatnikami. Niemal wszyscy bojownicy getta zginęli. Następnie przystąpiono do masakry ludności cywilnej, która włączyła się do walki. Niemcy znów byli górą.

Zdawać by się mogło, że wszystko wróciło do normy, zapanował umiłowany przez okupanta Ordnung, ale to nie była prawda. Coś się zmieniło. Granica strachu została przekroczona. Nie było już bezbronych ofiar, dających się prowadzić jak owce na rzeź. Żydzi po raz pierwszy od zamknięcia bram ginęli w walce.

Cztery dni wystarczyły jednak, by deportować przeszło pięć tysięcy osób, a ponad tysiąc pozbawić życia na ulicach getta. Krwawe plamy, doskonale widoczne na pokrytej śniegiem przestrzeni, zdawały się krzyczeć o pomstę. W patrzących na nie ludzi po raz pierwszy wstąpiła wiara, że pomsta ta mogłaby się urzeczywistnić.

Cztery dni – tyle wystarczyło, by tragicznie zakończyć historię niespełnionej miłości, a potem także życia najlepszego przyjaciela Franciszka Kajzera, człowieka, który był mu bliższy niż brat. Franek słyszał wołanie, które rozdzierało mu duszę. Krew umarłych burzyła jego krew, odbierała sen, mąciła myśli. Czuł, że wzbiera w nim gniew, nad którym nie próbował nawet zapanować. Pragnął się w nim zanurzyć, chciał, by zapekła złość wypełniła każdy skrawek jego ciała i umysłu, tłumiąc nieznośny ból po stracie przyjaciela.

Następnego dnia po wstrzymaniu styczniowej akcji z ust do ust powtarzano wiadomość, że wysiedlenie się skończyło.

– Już po wszystkim – zapewniali kierownicy szopów, urzędnicy, policjanci, działający pod niemieckie dyktando. – Wracajcie do pracy. Nic wam nie grozi. Teraz już będzie spokój.

– Teraz już będzie spokój – powtórzył Franek przez zaciśnięte zęby. – Niedoczekanie wasze.

Miał pewność, że to tylko przerwa. Opór ze strony biernych dotąd mieszkańców getta musiał być szokiem dla Niemców. Wygrali starcia na ulicach, ale nie odważyli się zapuszczać do broniących się domów, piwnic i kanałów. Zapewne potrzebowali czasu, by opracować nowy plan działania, lepiej przygotować się do walki z buntownikami. Franek nie miał jednak najmniejszych wątpliwości, że spróbują znowu. Nienawiść przeważała nad wszystkimi racjonalnymi argumentami o korzyściach gospodarczych z niewolniczej pracy Żydów. Wiedział, że dni mieszkańców szczątkowego getta są policzone. W każdej chwili można było spodziewać się wznowienia akcji.

Franek Kajzer postanowił jednak, że gdy przyjdą odebrać mu życie, każe im drogo za nie zapłacić.

Porzucił plany przeżycia za wszelką cenę. Noemi miała rację, chodziło o coś więcej niż przetrwanie. Stawką było życie lub śmierć na własnych zasadach. Tego styczniowego poranka, gdy słońce beztroško migotało na śniegu, poprzysiągł Niemcom zemstę. Wiedział, że w getcie działały Żydowska Organizacja Bojowa i Żydowski Związek Wojskowy, a kto wie, może podobnych organizacji było jeszcze wię-

cej. Zamierzał się do nich przyłączyć, stanąć ramie w ramie z innymi, by do ostatniej kropli krwi walczyć o wolność i człowieczeństwo. By pomścić przedwcześnie zgaszone życie Marka.

Miał tylko nadzieję, że Lucynka kiedyś mu to wybaczy.

Rozdział 9

Franek siedział na murku obok Lucynki, zapatrzony w ciemne okna sąsiedniego budynku, opuszczonego po wywiezieniu jego lokatorów. Jeśli miałyby wskazać coś, czego od samego początku naprawdę brakowało mu w getcie, była to przestrzeń, możliwość patrzenia w dal aż do linii horyzontu. Przez ostatnie tygodnie dotkliwie odczuwał ten brak, jakby po stracie przyjaciela świat wokół jeszcze się skurczył, jakby ciągle brakowało mu powietrza. Trwały przedwiośniane roztopy i otoczenie prezentowało się wyjątkowo okropnie, tylko potęgując jego ponury nastrój.

– Chciałbym, żeby to wszystko nigdy się nie wydarzyło – powiedział, a Lucynka przypuszczała, że mówił o Marku. Często wspominał przyjaciela w najmniej spodziewanych okolicznościach, jakby Goldman był stale obecny w jego myślach. – Tak wiele bym dał, żeby cofnąć czas. To moja wina. Powinienem był się domyślić, zatrzymać go...

– Rozważania o cofnięciu czasu są bezcelowe – odparła. – Oglądanie się za siebie zwykle jest pierwszym krokiem do przegranej. Musimy skupić się na tym, co przed nami.

Franek delikatnie odsunął jej rękę od swojej twarzy i znów spojrzał przed siebie.

– A jeśli nic tam nie ma, Lucynko? Zupełnie nic? Jeśli to wszystko i nic więcej już na nas nie czeka?

Zapadła cisza. Dziewczyna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie mogła przecież przyznać się, jak często ją samą nawiedzają podobne myśli i jak bardzo czuje się wobec nich bezradna.

– W naszym położeniu miłość nie jest najrozsądniejszym wyborem – odezwał się znów Franek.

– A kto mówi o miłości? – zdziwiła się Lucynka, całkiem nie rozumiejąc, jak połączyć te słowa z tematem ich rozmowy.

– Na przykład ja – rzekł. Odwrócił się i spojrzał prosto na nią.

Lucynka zamrugała prędko, zdezorientowana. Od śmierci Marka Franek zrobił się dziwnie milczący i zacięty. Nie opowiadał żartów, nie dowcipkował, nie wygłaszał kwiecistych przemów. Stał się poważny i konkretny.

Był w nim jakiś mrok, choć na jej widok jego rysy nieco się rozpo-gadzały. Miał dla niej zwykle mało czasu, nie rozmawiał z nią o swo-ich sprawach, z rzadka tylko opowiadał o tym, co porabiał całymi dniami. Z kilku nieopatrznie wypowiedzianych słów Lucynka bez trudu domyśliła się jednak, że tak jak ona po drugiej stronie, tak i on tu, w getcie, musiał zostać członkiem jakiejś konspiracyjnej organiza-cji. Wiedziała, że Armia Krajowa organizowała przerzuty broni i amunicji za mur. Sama raz brała udział w takiej akcji, gdy kobieca służba saperska pod dowództwem Zofii Franio, pseudonim „Doktor”, transportowała materiały wybuchowe, lonty i spłonki, środki zapala-jące do butelek i granatów ręcznych z jednego z magazynów Kedywu. Doszły ją też słuchy o rozmaitych instruktażach bojowych przeprowa-dzanych na terenie getta i o tym, że za mury płynie skupowana z wszelkich dostępnych źródeł broń. Znała jednak zasady, nie zada-wała więc pytań, na które Franek i tak nie mógłby jej udzielić odpo-wiedzi.

Bała się o niego. Wiedziała, że próba jakiegokolwiek większego zbrojnego wystąpienia przeciwko Niemcom musi skończyć się tra-gicznie. W styczniu bojownikom pomogło zaskoczenie, teraz nie mo-gli liczyć już nawet na to. Nie dysponowali dostateczną ilością broni, byli wygłodzeni i słabi. Miała jednak pełną świadomość, że nie wolno jej niepokoić Franka własnymi obawami. Czuła, że potrzebował tej idei, by móc udźwignąć żałobę po przyjacielu, który był dla niego jak rodzina.

– Ale zdaje mi się, że miłość jest też jedynym wyborem, jaki pozos-taje w obliczu nieuchronnego – ciągnął Kajzer.

– Zaczynasz mówić jak Noemi, a zawsze tak się z niej wyśmiewa-łeś! – Lucynka usiłowała jakoś zazartować, ale wspomnienie zmarłej

przyjaciółki wyszło raczej tragicznie niż zabawnie.

Franek jednak, całkowicie pochłonięty własnymi myślami, zdawał się wcale nie zwracać na to uwagi.

– Nie wiem, ile mam jeszcze czasu...

Zimny dreszcz przeszył wewnątrz Lucynki. Codziennie, gdy budziła się i zasypiała we własnym łóżku w swoim bezpiecznym świecie po aryjskiej stronie, przez jej głowę przemykało to samo pytanie. Ile czasu ma jeszcze Franek? Wszyscy ich przyjaciele zginęli. Noemi i Andrzej, Anna, Marek, jeszcze wczoraj tak żywi, młodzi, pełni marzeń, planów, radości, pragnień, dziś byli już tylko wspomnieniem, zdmuchnięci wiatrem historii, jakby nie znaczyli więcej niż pyłek dmuchawca niesionego wiosennym powiewem. Całe ich piękno, wszystko to, czym byli, w jednym momencie przestało istnieć.

Lucynka tłumaczyła samej sobie, że tysiące mieszkańców getta nie podziela ich losu. Przez całe dzieje ludzkości nikt nigdy nie unicestwił naraz tak licznej grupy ludzi. A jednak mimo tych zdroworozsądkowych kalkulacji stale towarzyszył jej niepokój o Franka. On przecież także nosił wyrok skazanego na Zagładę.

– Nie mów tak – poprosiła drżącym głosem.

– Nie wiem, ile mam jeszcze czasu – powtórzył, jakby nie dosłyszał jej prośby – ale kocham cię i chcę cię kochać tak długo, jak będzie mi dane.

Zamiast dodawać coś jeszcze, ujął jej twarz w obie dłonie i ją pocałował. Lucynka oddała mu pocałunek. Nagle wszystko stało się jasne i proste. Cały niepokój, który odczuwała przez ostatnie tygodnie, zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ona też go kochała i pragnęła być z nim bez względu na to, ile czasu im pozostało.

To wszystko nie miało już żadnego znaczenia. Liczyli się tylko oni. Świat wokół nich wirował. Czują, jak jej ciało mięknie, jak coś się w niej porusza, przypomina o dziewczęcych snach, których od tak dawna zabraniała sobie śnić. Teraz zniknęły wszelkie zapory. Była tylko ona i ten dobry, zaradny człowiek, który zdawał się nieustra-

szony i potrafił rozbawić ją w każdych okolicznościach. Przyłgnęła do niego całą sobą.

Rozdział 10

W kwietniowe popołudnie Franek i Lucynka leżeli wtuleni, przykryci cudzą pierzyną. Światło czerwieniejącego słońca odbijało się w lustrze umieszczonym na drzwiach ogromnej starej szafy, oświetlając parę kochanków krwawym blaskiem. Te chwile wykradane życiu, które spędzali w opuszczonych mieszkaniach opustoszałego getta, były czystym szczęściem. Żyli pełnią życia, dokładnie tak, jak uczyła ich Noemi.

Lucynka kilkakrotnie próbowała namówić ukochanego na ucieczkę na drugą stronę, ale on wciąż odmawiał.

– Mam tu zbyt wiele do zrobienia – odpowiadał zawsze tak samo enigmatycznie.

Tego dnia Lucynka miała wrażenie, że Franek jest dziwnie nieobecny. Wyczuwała w nim znów tamtą wyrwę, którą nowo odkryte uczucie przez ostatnie tygodnie zdawało się nieco wypełniać. Głęboka rana po śmierci Marka, wciąż zbyt świeża, zionęła pustką.

– Hej, co się dzieje? – spytała wreszcie, uniosła się na łokciu i delikatnie dotknęła jego ramienia.

Nie zareagował, jakby jej słowa w ogóle nie odnalazły go wśród otchłani samotności.

– Hej... – Lucyna najwyraźniej nie zamierzała poddać się zbyt łatwo. Pochyliła się w stronę ukochanego i zmusiła go, żeby na nią popatrzył. – No spójrz na mnie, to ja. Jestem przy tobie. Mnie możesz powiedzieć wszystko. Nie jestem Markiem, ale... ale jestem tu i będę. Zawsze.

Podniósł dłoń i pogładził policzek dziewczyny, zaglądając jej przy tym czule w oczy.

– Lucynko, muszę cię o coś poprosić.

– O cokolwiek zechcesz – odparła bez namysłu.

– Chcę, żebyś w najbliższych dniach trzymała się z dala od getta.

Spojrzała na niego wstrząśnięta.

– Franek, co ty mówisz... – wyszeptała.

– Przestań tu przychodzić. Przestań zabiegać o przepustki.

Lucynka usiadła, przyciskając kołdrę do piersi.

– Nie, nie i jeszcze raz nie – powiedziała drżącym głosem. – Nie możesz mnie powstrzymać. Nie możesz mi zabronić.

– Wiem – odrzekł, patrząc jej głęboko w oczy. – Dlatego proszę.

– To niesprawiedliwe, nie wolno ci...

– Nie ma innej możliwości.

– O co chodzi? – dopytywała coraz bardziej zdenerwowana. – Szykujecie jakąś akcję?

– Musisz mi przyrzec, że przeżyjesz – poprosił, ignorując jej pytanie.

– Ty tak samo. – Lucyna ze wszystkich sił starała się nie dać się ponieść emocjom, ale łzy nie dały się zatrzymać pod powiekami. – Oboje przeżyjemy to wszystko.

– Ja nie mogę ci tego obiecać – odparł cicho, odwracając twarz ku odrapanej ścianie. Nie mógł znieść widoku jej przepęlnionych rozpaczą oczu. Jej bezradność i rozpacz sprawiły, że miał ochotę paść przed nią na kolana i obiecać wszystko, czego by sobie zażyczyła. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Poprzysiągł Niemcom zemstę i za wszelką cenę musiał dotrzymać danego słowa.

– Nie mów tak, Franku. Sprawiasz, że tylko bardziej się boję. – Lucynka szczelniej okryła się kołdrą, jakby chciała schować się w niej przed światem. Franek przysunął się do niej i objął ukochaną ramieniem. Wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi. – Po prostu mi to obiecuj, a ja obiecuję ci, dobrze? – wyszeptała, owiewając jego skórę ciepłym oddechem. – Uchwycę się tej myśli, uwierzę, że wszystko

będzie dobrze, cokolwiek usłyszę, będąc po drugiej stronie i trzymając się z dala od getta.

– Nie mogę – powtórzył Kajzer, choć czuł, że wypowiedane słowa ranią do żywego nie tylko ją, ale i jego samego. – Jestem Żydem, Lucynko. Nas już dawno pozbawili prawa do decydowania o sobie. Nie dam ci słowa, którego nie będę mógł dotrzymać.

*

Dwa dni później, osiemnastego kwietnia, gdy katolicy świętowali Niedzielę Palmową, Franek wyszedł z domu pod osłoną nocy. Musiał dotrzymać obietnicy, którą złożył Andrzejowi podczas ich ostatniej rozmowy, na kilka godzin przed ich przejściem na aryjską stronę. Zatorski dał mu wówczas namiar na jednego z historyków Oneg Szabat.

– Dopilnuj, by to archiwum przetrwało – poprosił Andrzej. – To naukowcy, ludzie idei, którzy czasem bywają nieporadni. Może przydać im się pomoc kogoś takiego jak ty.

Kajzer skinął głową. Uścisnęli sobie dłonie. Nie spotkali się nigdy więcej.

Franek dotrzymał jednak danego słowa. Zawsze dotrzymywał.

Najpierw na początku tego roku, osiemnastego lutego, pomagał zakopać na Nowolipkach jeszcze dwie bańki po mleku pełne dokumentów. Dziś miał ukryć ostatnią część opowieści o życiu w getcie. Udał się na Świętojerską 34 i patrzył, jak znikają ostatnie skrzynie, a przed oczami wirowały mu wspomnienia.

Widział ich wszystkich tańczących na podwórzu kamienicy Noemi w ciepły słoneczny dzień. Państwo Lichtenbaum siedzieli na ławeczce nieopodal jaśminowca i trzymając się za ręce, przyglądali się bawiącym się młodym. Wokół pachniało wiosną, ciepłem i miłością. Zobaczył Marka na wskroś przejętego tym, że tańczy z Anną. Annę, która ze śmiechem usiłowała nauczyć Goldmana podstawowych kroków tanecznych. Widział Andrzeja i Noemi poważnie patrzących sobie w oczy, bujających się poza rytmem muzyki, obojętnych na wszystko

wokół. I wreszcie roześmianą Lucynkę, której sam szeptał do ucha żartobliwe uwagi.

Byliśmy szczęśliwi – pomyślał, patrząc, jak ziemia przykrywa metalowe wieko skrzyni.

Mimo wszystko byliśmy szczęśliwi.

Rozdział 11

Dziewiętnastego kwietnia Lucynka wymknęła się z domu, gdy wszyscy jeszcze spali. Zamierzała rozmówić się z Frankiem i wrócić, nim rodzice się obudzą. Ona sama nie zmrużyła tej nocy oka. Poprzedniego dnia Warszawę obiegła plotka, że Niemcy szykują się do kolejnej akcji w getcie. Mówiono o gromadzących się oddziałach pomocniczych ukraińskich i łotewskich, o mobilizacji granatowej policji i wozach opancerzonych zmierzających ku dzielnicy żydowskiej. Lucyna natychmiast spróbowała znaleźć jakieś potwierdzenie dla tych niepokojących wieści, ale nikt nic nie wiedział na pewno. Po kilku nocnych godzinach przewracania się z boku na bok i wpatrywania w ciemność postanowiła zignorować prośbę Franka i udać się do getta. Musiała wiedzieć, że jest bezpieczny.

Gdy zbliżała się do bramy, zdawało jej się, że od strony Nalewek słyszy strzały, ale się nie zatrzymała. Idąc, poprawiła opaskę, tak by znak Czerwonego Krzyża był lepiej widoczny, i zmusiwszy się do przyjaznego uśmiechu, pewnym krokiem podeszła do wartowni, przy której tego dnia stało o wiele więcej mundurowych niż zwykle.

– Nie ma wstępu – warknął wysoki żandarm w odpowiedzi na jej przywitanie.

– Proszę posłuchać, jestem odpowiedzialna za szczepienia na tyfus. – To powiedziawszy, Lucynka otworzyła torbę i pokazała wartownikowi jej zawartość, na którą składały się fiolki ze szczepionkami.

Mocno zaakcentowała ostatnie słowo. Dobrze wiedziała, jak Niemcy boją się tyfusu. Tym większe było jej zdziwienie, gdy żołnierz nawet się nie skrzywił.

– Nie ma wstępu – powtórzył.

Otworzyła usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale powstrzymał ją, podnosząc dłoń.

– Proszę stąd odejść, bo każe panią aresztować.

Zdezorientowana Lucyna skrzyła w najbliższą ulicę. Natknęła się na kilku mężczyzn palących papierosa przed wejściem do niewielkiej fabryki.

– Co tam się dzieje? – spytała, szybkim skinieniem głowy wskazując na getto.

– Podobno powstanie. Szkopy od rana niespokojne. Ciągłe jakieś ciężarówki podjeżdżają, aż się ściany trzęsą. I czołgi nawet ściągnęli, i wozy pancerne. Wszędzie pełno wojska. Szykują się jak na wielką bitwę.

Lucyna czuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy. Zakręciło się jej w głowie, przed oczami zatańczyły mroczki. Miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg, a ona sama zapada się w ciemność. Mężczyzna natychmiast ujął ją pod ramię.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak, dziękuję – odparła zachrypłym z emocji głosem. Spróbowała się wyprostować, ale znów straciła równowagę. Nogi miała jak z waty.

– Chodźmy tam. – Mężczyzna poprowadził ją w głąb podwórka. – Niebezpiecznie tak tu stać i patrzeć. Szkopy są dziś drażliwe i łatwo trafić do aresztu albo zarobić kulkę.

Nie знаła go. Nie powinna była oddalać się z nim od reszty osób. Mógł chcieć wyrządzić jej jakąś krzywdę, okraść ją, wykorzystać, ale w tej chwili w ogóle jej to nie obchodziło. W głowie słyszała tylko to jedno przerażające słowo: powstanie.

Mężczyzna pomógł jej usiąść na niskiej ławeczce pod oknami parteru. Lucynka usiłowała zapanować nad mdłościami, ale zapach bylin z kwietnika na pobliskim parapecie drażnił ją i wzmagił jeszcze wszystkie dolegliwości.

– Powiedział pan coś o powstaniu... – zagadnęła, zaciskając palce na pulsujących skroniach.

– Ponoć Niemcy chcieli ostatecznie zlikwidować getto w prezencie na jutrzejsze urodziny Hitlera – wyjaśnił. – Myśleli, że pójdzie gładko, a tu przykra niespodzianka. Żydzi się bronią. Kierownik mówił, że po pierwszym starciu szkopy odebrały dowodzenie szefowi SS i Policji w dystrykcie warszawskim, temu... jak mu tam...

– Von Sammernowi – odparła szybko Lucynka, po czym pełna najgorszych przeczuć zapytała: – I kto teraz dowodzi?

– Mówią, że generał SS Jürgen Stroop.

Oddech Lucynki przyspieszył. Znała to nazwisko. Stroop zasłynął jako pacyfikator partyzantów na wschodzie, a jego zła sława jeszcze wzrosła, gdy został komendantem policji w dystrykcie Galicja, gdzie z zapalem i przerażającą metodycznością organizował eksterminację tamtejszych Żydów.

– Jurgen Stroop... – wyszeptała zbielełymi wargami.

– Tak mówią – skwitował mężczyzna i podszedł krok bliżej, bo panna zdawała mu się jeszcze bledsza niż przed chwilą i chciał ją podtrzymać, gdyby znów straciła przytomność.

Lucynka milczała, usiłując jednocześnie zapanować nad odmawiającym posłuszeństwa ciałem, rozpędzonymi myślami i zalewającą ją falą niepokoju.

– Ale proszę się nie martwić – odezwał się znów mężczyzna, który najwyraźniej próbował ją pocieszyć. – Nasi tak łatwo się nie poddadzą. Jak może pani iść, to coś pokażę.

Skinęła głową i wstała bez słowa, starając się nie zdradzić, jak bardzo jest słaba. Przeszli parędziesiąt metrów do wylotu sąsiedniej ulicy. Z tej strony dobrze było widać kłęby gęstego dymu unoszącego się nad niektórymi punktami getta.

– Pani patrzy tam – powiedział mężczyzna, pokazując palcem w kierunku placu Muranowskiego.

Lucynka wyteńczyła wzrok i oddech zamarł jej w piersi. Na wysokiej kamienicy łopotały na wietrze dwie flagi – biało-czerwona polska

i syjonistyczna, biało-niebieska z gwiazdą Dawida.

– A więc walczą – szepnęła.

Rozdział 12

Grupa młodych mężczyzn wpadła do dzikiego, czyli od dawna już niezamieszkanego, lokalu na pierwszym piętrze kamienicy przy Muranowskiej 7. Jeszcze kilka dni temu mieścił się tu jeden z tajnych arsenałów getta. W każdym z sześciu pokoi na ściennych hakach wisiały karabiny, a półki ugięły się pod ciężarem granatów i pudełek z amunicją. Teraz było tu niemal pusto. Broń sprawnie rozdysponowano pomiędzy poszczególnymi oddziałami. Franek, który wszedł do mieszkania jako ostatni, dyskretnie rozejrzał się wokoło i poczuł ucisk w piersi. Walki trwały dopiero dzień, a oni w zasadzie nie mieli już zapasów.

Potrząsnął głową, by odpędzić od siebie ponure myśli, i skupił uwagę na kolegach kłębiących się w korytarzu. Mówili wszyscy naraz, całkiem nie słuchając siebie nawzajem, jakby każdy potrzebował słowami wyrzucić z siebie nadmiar emocji tego dnia.

– Walczymy! – wykrzykiwał niski Icek Koppel. – Naprawdę walczymy!

Zawtórowały mu radosne okrzyki.

– Widzieliście miny szkopów? – dopytywał rozgorączkowany Dawid Holcman, dowódca ich grupy, któremu także udzielił się entuzjazm pozostałych. – Zbaranieli! Całkiem nie wiedzieli, co się dzieje!

Rozsiedli się pod ścianami, na eleganckim drewnianym parkiecie, i podawali sobie kolejno butelkę z czystym spirytusem. Pili, rozmawiali i gapili się na sztukaterie na suficie. Dogasał pierwszy dzień powstania, który przyniósł poczucie sukcesu. Getto obroniło się, a w niektórych miejscach ludzie w euforii wybiegali nawet na ulicę, by wspólnie świętować te pierwsze godziny wolności.

Nagle z oddali dało się słyszeć odgłos wybuchu. Zgromadzeni w pokoju mężczyźni wymienili spojrzenia, ale żaden się nie poruszył. Byli zbyt zmęczeni, by podjąć próbę dowiedzenia się, co się wyda-

rzyło. Wiedzieli, że przynajmniej chwilowo nie grozi im bezpośrednio niebezpieczeństwo, bo dźwięki dochodziły ze znacznej odległości.

Dwa kwadransy później ukołysanego mocnym trunkiem Franka wyrwał z drzemki szmer przy wejściu. To jeden z chłopaków z ŻOB-u przyniósł meldunki.

– Nic dla mnie nie zostawiliście? – westchnął z żalem, obracając w dłoni pustą butelkę po spirytusie.

– Tak jakoś wyszło – rzucił Kajzer, przecierając oczy. – Wiesz coś?

– AK-owcy próbowali wysadzić mur przy Bonifraterskiej...

W pomieszczeniu znów zapanował rejwach. Mężczyźni wznosili okrzyki zwycięstwa. Franek czuł nieprzyjemną suchość w ustach i pulsowanie w czaszce. Dopiero teraz uświadomił sobie, że od wczoraj nic nie jadł. Najpierw zgłosił się na ochotnika na nocną wartę, potem koordynował udanie się ludności cywilnej do schronów, by wreszcie znaleźć się na pierwszej linii walk w pobliżu bramy przy Nalewkach. Napięcie robiło swoje, więc przez cały ten czas nie czuł głodu. Teraz jednak mdłości boleśnie mu przypomniały, że picie na pusty żołądek zawsze kończy się źle.

– Mamy drogę ucieczki! – wrzasnął mu tuż przy uchu Mordechaj Nasbaum. Franek z trudem zatrzymał pięść, która aż rwała się, by trafić w brzuch kolegi.

– Czekaście! – Chłopak z ŻOB-u wyraźnie próbował im coś powiedzieć, ale jego głos ginął w powszechnym harmidrze.

– No? – spytał Franek, z wysiłkiem skupiając wzrok na twarzy chłopaka.

– Akcja się nie udała – rzekł ponuro tamten.

W pokoju natychmiast zapadła cisza.

– Gdy mineryzy wychodzili z bramy, przyjechało kilka ciężarówek, pełnych szkopów. Otworzyli ogień, zaczęła się strzelanina.

– Ale przecież słyszeliśmy wybuch...

– Ten AK-owski dowódca Chwacki zdetonował jedną z min, ale niewiele zyskaliśmy.

– Jeszcze coś? – spytał Kajzer, chcąc rozproszyć ponure milczenie, które zapanowało po słowach chłopaka. Po niedawnej radości nie było już śladu.

– Wyganiają ludność cywilną ze schronów, niszczą bunkry – relacjonował ŻOB-owiec.– Zalali też kanały.

– Chcą nas złamać – jęknął Icek Koppel. – Zmusić, żebyśmy się poddali, i wykorzystują do tego cywili.

– Ale nas nie złamią – powiedział z mocą Franek, którego nagle zupełnie otrzeźwiła niemiecka podłość. – Będziemy walczyć dalej. Pomścimy ich wszystkich. Zapłacą krwią za krew i śmiercią za śmierć. Jeśli mamy zginąć, zginiemy, ale pociągniemy za sobą niejednego szkopa.

Rozdział 13

Następnego ranka Franek zgłosił się w wyznaczonym punkcie po przydział amunicji. Zapukał umówionym sygnałem. Zgrzytnął zamek. W wąskiej szparze w drzwiach wciąż zabezpieczonych łańcuchem ukazała się połowa twarzy dziewczyny.

– Ja od Holcmana – powiedział.

– Nikt nie pytał – odparła i zamknęła drzwi, by po chwili znów je otworzyć, tym razem szerzej.

Franek wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie. Dziewczyna starannie zaryglowała drzwi.

– „Oleńka” – przedstawiła się pseudonimem, wyciągając do niego rękę.

Franek podniósł wzrok i zapomniał języka w gębie. Stała przed nim najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział. Smukła i wysoka, z puklami ciemnych włosów opadającymi na ramiona. Duże czarne oczy, które na tle alabastrowej twarzy zdawały się świecić, okolone były długimi rzęsami. Zaszło mu w gardle. Serce dudniło mu w piersi. Nigdy nie widział kobiety, której uroda nie miała żadnej skazy. Była jak zapierające dech w piersiach dzieło sztuki, postać namalowana pędzlem mistrza, która nie miała prawa istnieć w realnym świecie.

Nieoczekiwanie dziewczyna klepnęła go z całej siły w plecy, wyrzuwając z otępienia.

– Bałam się, że stracisz przytomność – stwierdziła, nie siląc się na grzeczność.

– Przepraszam... Ja... – wymamrotał Franek, choć po prawdzie nie mając pojęcia, jak usprawiedliwić to, że bezwstydnie się na nią gapił.

– Tak, wiem. Nigdy nie widziałeś tak pięknej kobiety, nieprawdaż? – oznajmiła z rozbijającą bezpośredniością.

Oczy Kajzera się rozszerzyły. Właśnie coś takiego by rzekł, gdyby wystarczyło mu śmiałości.

– Bez obaw – zapewniła, uśmiechając się. Franek pomyślał, że w tym uśmiechu nie ma nic uroczonego, przepełniony był raczej kpina. – Nie uwierzyłybyś, jak często to słyszę. Już mi spowszedniało.

Franek wciąż nie wiedział, co powinien powiedzieć, a że tylko z rzadka brakowało mu słów, czuł się jeszcze bardziej nieswojo. W dodatku targnęły nim nagle wyrzuty sumienia, że mimo iż nad życie kochał Lucynkę, gapił się na inną kobietę.

– Więc mówisz, że jesteś od Holcmana... – przypomniała mu „Oleńka”.

– Miałem odebrać przydział amunicji – odparł Franek już całkiem przytomnie, bo wspomnienie dowódcy natychmiast przywołało go do rzeczywistości.

Dziewczyna odwróciła się i ruszyła w głąb mieszkania. Franek podążył jej śladem. Otworzyła drzwi łazienki, uklękła i wyjęła spod wanny płaską skrzynię, która wyglądała na bardzo ciężką. Wewnątrz w równych rzędach poukładane były pudełka z nabojami.

Odliczyła dwanaście i podała Kajzerowi.

– Tylko tyle? – zapytał mimowolnie.

– Więcej nie dostaniecie – odpowiedziała twardo. – Każdy nabój musi być dobrze wykorzystany. I tak nikt z nas żywy z tego nie wyjdzie, ale przynajmniej gdy strzelasz, jesteś im równy.

– Łatwiej jest umrzeć od kuli nagle, kiedy nie wiesz, niż na przykład stanąć nad grobem, który sam musiałeś wykopać, rozebrać się i czekać, żeby ci ktoś strzelił w tył głowy. To o wiele elegantsza śmierć – rzekł w zamyśleniu.

– Sam to wymyśliłeś? – spytała z wyraźną kpina.

– Nie, to słowa „Marka”.

– Znasz Edelmana? – Dziewczyna była wyraźnie pod wrażeniem.

Franek poczuł się mile połączony, lecz za tym przyjemnym uczuciem zaraz znów nawiedziły go wyrzuty sumienia, jakby był nie w porządku wobec Lucynki.

Skinął głową.

– Ja też wolę śmierć od kuli. Elegantsza śmierć – powtórzyła „Oleńka”. – Dobrze powiedziane.

Przez głowę Kajzera przemknęła myśl, że tak piękne istoty w ogóle nie powinny walczyć, a już na pewno nie wówczas, gdy nie było żadnej nadziei na zwycięstwo. Pochylił głowę, bojąc się, że dziewczyna może wyczytać z jego twarzy te ponure myśli. Szybko spakował do plecaka pudełko z amunicją, starając się nie myśleć o tym, jak żałośnie mały był otrzymany przydział.

– To do zobaczenia – powiedział, zarzucając sobie plecak na ramię.

– Serwus – odparła.

Franek przemknął pod ścianami budynku, starając się trzymać w cieniu kamienicy. Był już w pewnej odległości od wejścia, zaraz miał skręcić w sąsiednią uliczkę, gdy usłyszał warkot ciężarówki. Bez chwili zastanowienia wskoczył w bramę i wbiegł po schodach na piętro. Ostrożnie wyjrzał przez pozbawione szyb okno, by zorientować się w sytuacji. Pod dom, w którym przed chwilą odbierał od „Oleńki” amunicję, zajechały dwie ciężarówki, z których wysypali się żołnierze.

Oddech Kajzera przyspieszył. Gorączkowo się zastanawiał, czy może zrobić cokolwiek, by jakoś ostrzec dziewczynę. Wiedział jednak, że jest za późno. Musiał beczynnie czekać, obserwując dalszy rozwój wypadków.

Stukając podkutymi butami, Niemcy wbiegli do środka. Kajzer pomyślał, że to dobry moment na ucieczkę, ale coś nie pozwalało mu oddalić się od okna. Odprężył się dopiero wtedy, gdy parę minut później żołnierze wrócili. Najwidoczniej nie znaleźli tego, czego szukali.

– Zwiła – szepnął do siebie, uśmiechając się z satysfakcją, choć przecież ledwie znał tę dziewczynę. W tych dniach jednak każde,

choćby najmniejsze, przytarcie nosa szkopom było na wagę złota.

Już miał odejść od okna, gdy zobaczył, że żołnierze wyjmują spod plandek kanistry z benzyną. Zamierzali podpalić kamienicę. Odkąd Niemcy pojęli, że w walce ulicznej nie mają tak wielkiej przewagi, w całym getcie zaczęli wzniecać pożary, by ogień i dym wypłoszyły ukrywających się tam Żydów. Żołądek podskoczył mu do gardła. Patrzył, jak Niemcy polewają budynek od środka i na zewnątrz. Zdało mu się, że słyszy trzask zapalniczki.

Kamienica stanęła w ogniu. Franek zacisnął szczęki. Wtedy coś mignęło mu w jednym z okien naprzeciwko. Rozpoznał ją. Uciekała. Zrozumiał, że jak w wielu miejscach getta, tak i tu w ścianach pomiędzy budynkami wykuto przejścia, by umożliwić powstańcom szybkie przemieszczanie się.

Przepełniła go ulga. Zaczął obmyślać, jak mógłby jej pomóc.

– Szybciej – ponaglał dziewczynę, choć przecież nie mogła go słyszeć.

Ogień rozprzestrzenił się z zastraszającą prędkością, bez trudu połykając kolejne plastry kamienic.

Zobaczył ją w kolejnym oknie, tym razem o wiele wyraźniej, bo znaleźli się niemal naprzeciwko siebie. Przystanęła, jakby i ona go zauważyła. Popatrzyli sobie w oczy. Dopiero teraz Kajzer dostrzegł, że niosła w rękach wielki pakunek. Najwyraźniej postanowiła zabrać ze sobą tyle broni i amunicji, ile zdoła udźwignąć. Nieforemny ciężar musiał znacznie spowalniać jej ruchy i utrudniać przemieszczanie się wąskimi przejściami.

Pokręcił głową, by dać jej znać, że nie warto.

Zostaw to – chciał jej powiedzieć. – Ratuj siebie.

Płomienie sięgały coraz wyżej. Dym gęstniał. Dziewczyna skinęła mu głową i ruszyła przed siebie.

Dopiero teraz Franek dostrzegł, że Niemcy zdążyli podpalić całą linię czynszówek, odcinając „Oleńce” drogę ucieczki. Po chwili znów

ją zobaczył. Stała w oknie ostatniej kamienicy, przyciskając do piersi pakunek. Franek niemal czuł jej strach.

Jakby stała nad grobem, który sama wykopała – pomyślał z żalem.

Niemcy też musieli ją dostrzec, bo zaczęli biec w tamtym kierunku, wykrzykując groźnie.

Elegancka śmierć – pomyślał Kajzer, pewien, że lada chwila dosięgnie ją kula.

Tymczasem dziewczyna spojrzała w niebo, a potem skoczyła. Wstrząśnięty Franek patrzył, jak leciała. Jej czarne włosy rozsypały się na wietrze niczym skrzydła. Zniknęła w płomieniach.

Rozległ się oszałamiający huk. Kilku ranionych szkopów padło na ziemię.

Kajzer osunął się na podłogę. Zrezygnowała z eleganckiej śmierci, by nie zmarnować amunicji zdobytej z tak wielkim trudem.

– Każda kula musi być wykorzystana – wyszeptał, połykając łzy. – Będzie wykorzystana.

Rozdział 14

Dwudziestego kwietnia po zacieklej walce na rozkaz Stroopa z budynku na placu Muranowskim zerwano flagi, lecz choć nikt nie dawał żydowskim powstańcom najmniejszych szans, walki w getcie trwały. Niezłomność bojowników budziła podziw warszawiaków zza muru i wściekłość Niemców, dla których każda kolejna godzina stawianego przez Żydów oporu zdawała się straszliwym upokorzeniem. Armia Krajowa słała za granice depesze o tym, co działo się za murami, wzywając aliantów do pomocy heroicznie walczącym mieszkańcom getta.

Politycy żydowscy za granicą postulowali: „Zażądajcie od Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, by zwiedził również getta i obozy śmierci w Oświęcimiu, Treblince, Bełżcu, Sobiborze i inne obozy koncentracyjne w Polsce”.

Wszystkie te wezwania pozostały bez odpowiedzi. Powstańcy ginęli w walce, cywile byli bestialsko mordowani na miejscu, deportowani do obozów pracy na Lubelszczyźnie lub konali w komorach gazowych Treblinki.

Generał Stroop rozkazał podzielić getto na dwadzieścia cztery odcinki, które były przez Niemców systematycznie przeczesywane. Niszczono bunkry, wzniesiono pożary kamienic, by wykurzyć ukrywających się w nich ludzi. Mieszkańcy płonących budynków próbowali się ratować, skacząc niekiedy i z dziećmi z okien oraz balkonów. Na noc niemieccy żołnierze wychodzili z getta, a wówczas powstańcy znów zajmowali utracone w ciągu dnia pozycje. Zapasy żywności i amunicji topniały w zastraszającym tempie, mimo to nierówna walka trwała.

W połowie maja w Londynie na wieść, że powstanie dogorywa, znikąd nie znajdując pomocy, Szmul Zygielbojm, dawny radny Warszawy, członek Rady Narodowej RP, popełnił samobójstwo. Wcześniej słał listy do prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla, przemawiał na antenie Radia BBC, za wszelką cenę próbując bezskutecz-

nie uświadomić światu, co dzieje się w Polsce. Wreszcie, widząc, że nie jest w stanie wzruszyć kamieni, zdecydował się na śmierć. Miał to być ostatni niemy krzyk sprzeciwu. W liście pożegnalnym napisał: „Śmiercią swoją pragnę wyrazić najsilniejszy protest przeciw bierności, z którą świat przygląda się i dopuszcza do zagłady ludu żydowskiego. [...] ponieważ nie mogłem nic zrobić za życia, przyczynię się może przez moją śmierć do tego, by załamała się obojętność tych, którzy mają możliwość uratowania, być może w ostatniej chwili, pozostałych jeszcze przy życiu Żydów polskich”.

Przez cały ten czas Lucynka usiłowała dowiedzieć się czegoś o Franku. Kilkudziesięciu powstańcom udało się wydostać z płonącego getta i dotrzeć na aryjską stronę kanałami. Pewnego dnia przeszedł tą drogą jeden z meciarzy, dawny znajomy Kajzera.

– Ósmego maja widziałem go po raz ostatni – mówił. – Niemcy otoczyli bunkier dowództwa ŻOB-u przy Miłej osiemnaście. Było tam chyba ze stu naszych, a wśród nich Anielewicz i Kajzer.

– Jest pan pewien? – dopytywała Lucynka, w którą wstąpiła nowa nadzieja. Ósmy maja był zaledwie osiem dni temu. Tylko osiem dni. Tydzień temu Franek był żywy, więc może nadal żyje.

– A co mam nie być – odparł mężczyzna, nieco urażony.

– Ma pan jakiś pomysł, gdzie mogę go znaleźć? – zapytała szybko, wpatrując się w brudnego, wymęczonego człowieka roziskrzonymi nadzieją oczami.

Spojrzał na nią dziwnie.

– Wy tu nic nie wiecie? – zapytał po chwili.

– Ale o czym nie wiemy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Ci wszyscy z bunkra... – Mężczyzna zdjął z głowy czapkę i miał ją w dłoniach. – Nikt nie wyszedł stamtąd żywy. Jedni mówią, że uduślili się od dymu, inni, że popełnili samobójstwo, żeby nie dać się pojąć szkopom. Byli wolni do końca.

– Wolni... – szepnęła Lucynka, osuwając się w ciemność.

*

Obudziła się w szpitalu. Wszędzie wokół było czysto i jasno.

– Nareszcie odzyskała pani przytomność – powiedziała miła blondynka w pielęgniarskim czepku. Uśmiechnęła się do Lucynki, a wówczas na jej policzkach pojawiły się dwa urocze dołeczki.

Podawała jej wodę i pomogła się napić.

– Przespała pani ze dwa dni!

– Czyli dziś jest... – Ugasiwszy pierwsze pragnienie, Lucynka usiłowała zebrać myśli.

– Szesnasty maja – podpowiedziała jej pielęgniarka.

– Dlaczego zemdlałam? – spytała Lucynka. Chciała jak najszybciej opuścić to miejsce. – Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Czy coś mi dolega?

Pielęgniarka znów się uśmiechnęła.

– Nie powiedziałabym, że dolega – odparła enigmatycznie.

– To znaczy? – Lucynka nie pojmowała sensu jej słów.

– Cięża nie jest chorobą – odparła tamta wesoło, po czym poleciła: – Proszę odpoczywać.

Lucynka siedziała w oszołomieniu. Nagle ściany budynku zadrżały, a z oddali dało się słyszeć odgłos potężnej eksplozji. Wybiegła na korytarz.

– Co się stało? – spytała przechodzącą obok kobietę.

– Niemcy postanowili uczcić stłumienie powstania w getcie, wysadzając Wielką Synagogę na Tłomackiem – odparła tamta smutnym szeptem.

Lucynka rzuciła się do okna. Oparła dłonie na chłodnym kamiennym parapecie i patrzyła, jak ognisty słup unosi się do chmur.

– To koniec... – szepnęła.

W tym momencie znów szarpnęły nią mdłości. Mocniej zacisnęła palce na krawędzi parapetu. Gdy poczuła się trochę lepiej, położyła dłonie na brzuchu – i wówczas zrozumiała, że musi za wszelką cenę przeżyć. Dla nich wszystkich. Dla Anny, Marka, Noemi, Andrzeja. Dla wszystkich głupców, którzy uwierzyli w miłość i życie na przekór otaczającej ich śmierci. Dla tych wszystkich, którzy na przekór Niemcom umarli wolni.

Dla Franka.

POSŁOWIE

Inspiracją do napisania tej powieści były słowa Marka Edelmana o konieczności zmiany mitu getta.

„Mit getta trzeba zmienić” – pisał Edelman. „W micie getta trzeba pokazać poszczególnych ludzi, trzeba pokazać to, co robili, jak żyli. Bo żyli nie tylko nędzą i głodem. Każdy, kto opowiada o swoich przeżyciach w getcie, stara się nadać im jak najwięcej grozy. To napisano tysiąc razy. Ale w Warszawie nie umarło z głodu czterysta tysięcy ludzi, bo wielu poszło na Umschlagplatz i w pełnym zdrowiu pojechało do Treblinki. To jest zupełnie co innego. Bo były przecież i piękne rzeczy. [...] To wszystko nie jest opisane, życie czterystu tysięcy ludzi bardzo trudno uchwycić w całość. Ale tak było. I to tworzyło atmosferę, która pozwala nam mówić o miłości, że była w getcie i że była ważna”.

Podniosłam rękawicę. Przez wiele tygodni słowa Edelmana kołatały mi w głowie, aż wreszcie zebrałam się na odwagę, by napisać o życiu, a nie tylko o męczeństwie i śmierci. Bo była miłość w getcie, była przyjaźń, były pasje, były chwile uniesień, radości, zachwyty. Było życie – mimo wszystko.

Kto wie, czy nie najwyższą formą oporu było właśnie owo uparte trzymanie się życia przez tych, których skazano na nieistnienie.

Poczułam, że szczególnie tym młodym ludziom jestem winna próbę opowiedzenia o esencjonalnym, zwyczajnym życiu w cieniu Zagłady.

Pragnęłam też, by w tej powieści jak najslabiej było słyszeć mój głos. Chciałam, by to Oni opowiadali o swoim życiu, dlatego też moim głównym źródłem nie były tym razem książki naukowe, ale pamiętniki, wspomnienia, opowieści, bezpośrednie przekazy świadków historii.

Nie udało mi się ustalić dokładnie, do kiedy na ulicy Nowolipie 18 funkcjonował hotel „Britania”. Urząd do spraw Walki z Lichwą i Spe-

kulacją, „Trzynastka”, faktyczna agentura gestapo w getcie, stanowiąca trzon gości tego przybytku, w teorii funkcjonowała od jesieni tysiąc dziewięćset czterdziestego do lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. W rzeczywistości jednak po oficjalnym rozwiązaniu przekształciła się ona w tak zwane Czerwone Pogotowie, a część jej członków przeszła do Służby Porządkowej. Ludzie ci prawdopodobnie nie stracili ani wpływów, ani dostępu do pieniędzy, na potrzeby powieści zrobiłam więc założenie, że ich życie towarzyskie jeszcze przez rok, czyli aż do Wielkiej Akcji Likwidacyjnej, toczyło się tym samym biegiem.

Styczniowa akcja deportacyjna trwała zaledwie cztery dni. Ten czas był zbyt krótki, żeby jakiegokolwiek wieści z obozu w Auschwitz zdążyły dotrzeć do Warszawy. Na potrzeby fabuły pozwoliłam sobie jednak nieco przyspieszyć dotarcie informacji o losie Anny.

Sprzeciw Marka Goldmana został zainspirowany prawdziwą historią Borucha Pelca, działacza Bundu i ŻOB-u. Zdarzenie to miało miejsce, tak jak w mojej powieści, podczas zimowej wywózki na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Wydarzenia te, nazywane niekiedy samoobroną styczniową, były pierwszym od początku okupacji zorganizowanym zbrojnym oporem. Barbara Engelking i Jacek Leociak w książce pod tytułem *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście* wyraźnie podkreślają, że ten opór zbrojny miał decydujące znaczenie dla przyszłych walk powstańczych w getcie. Przełamano wówczas psychologiczną barierę strachu przed okupantem.

Natomiast bunt kobiet w rozbieralni komory gazowej, zainicjowany przez przedwojenną tancerkę Franciszkę Mann (właściwie: Franciszkę Rosenberg-Manheimer) w Auschwitz-Birkenau, miał w rzeczywistości miejsce dwudziestego trzeciego października tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, a zatem później niż w powieści.

Archiwum Ringelbluma zakopano w trzech częściach. Trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku pod budyn-

kiem szkoły na Nowolipkach 68 zakopano dziesięć metalowych skrzyń. Na potrzeby fabuły przyspieszyłam nieco i to wydarzenie.

Mimo przesunięć dat służących spleceniu w całość wątków fikcyjnych należy pamiętać, że wszystkie opisane w powieści akty buntu wynikające z pragnienia wewnętrznej wolności rzeczywiście miały miejsce.

Źródła cytatów

- Apel generała Władysława Sikorskiego – za: Władysław Bartoszewski, Zofia Lewinówna, *Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945*, Stowarzyszenie ŻIH i Świat Książki, Warszawa 2007.
- Fragmety Pisma Świętego Starego Testamentu – za: Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2007.
- List pożegnalny Szmula Zygelbojma – za: Martyna Rusiniak-Karwat, *Zygelbojm Szmul Mordechaj*; online: <https://sztetl.org.pl/pl/biogramy/4542-zygielbojm-szmul-mordechaj> [dostęp: 10.01.2023].
- Odezwa Zarządu i Naczelnej Rady Rabinów RP z 2 września 1939 roku – „Nasz Przegląd” 1939, nr 245; cytat za: Forum Żydów Polskich; online: <https://www.salon24.pl/u/fzp/224532,odezwa-zarzadu-i-naczelnej-rady-rabinow-rp-z-2-wrzesnia-1939-r> [dostęp: 10.01.2023].
- „Pielęgniarka o kostycznych zasadach zakonnicy...”; opinia o Lubie Blum – za wspomnieniami Aliny Margolis; online: <https://1943.pl/artykul/szkola-pielegniarek/> [dostęp: 10.01.2023].
- Porady kulinarne: dot. przyrządzania ziemniaków – za: „Gazeta Żydowska” 1940, nr 43, s. 5; o kapuście – „Gazeta Żydowska” 1940, nr 27, s. 5.
- Bolesław Prus, *Dzieci*, [ebook], Virtualo Darmowa Klasyka, 2011.
- Henryk Sienkiewicz, *Ogniem i mieczem*, Zysk i S-ka, Poznań 1995.
- Słowa Marka Edelmana – za: *Nie było żadnej nadziei. Powstanie w getcie warszawskim 1943*, Muzeum Żydów Polskich POLIN, online: https://www.youtube.com/watch?v=MI3bEHjhYds&ab_channel=MuzeumPOLIN [dostęp: 11.01.2023].
- Słowa Hermanna Höflego na temat Wielkiej Akcji pochodzą ze wspomnień Szymona Wiesenthala, obecnego podczas procesu ww. – za: Mariusz Jaroński, *Wielka Akcja likwidacyjna Getta Warszawskiego – 22 lipca 1942 r.*, dzieje.pl, 16.06.2009; online: <https://dzieje.pl/aktualnosci/wielka-akcja-wysiedlencza-w-getcie-warszawskim-%E2%80%93-22-lipca-1942-r> [dostęp: 10.01.2023].

Najważniejsze źródła

Archiwum Ringelbluma. Antologia, wstęp Jacek Leociak, opracowanie Marta Janczewska, Jacek Leociak, Ossolineum 2019.

Marek Edelman, Paula Sawicka, *I była miłość w getcie*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021.

Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2013.

Stanisław Gombliński (Jan Mawult), *Wspomnienia policjanta z getta warszawskiego*, redakcja naukowa i wprowadzenie Marta Janczewska, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2012.

Noemi i Henryk Makowerowie, *Pamiętniki z Miłosnej*, Wydawnictwo Austeria i Muzeum Żydów Polskich POLIN, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy–Warszawa 2022.

Perec Opoczyński, *Reportaże z warszawskiego getta*, przekład, redakcja naukowa i wprowadzenie Monika Polit, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2009.

Zbiory Muzeum Żydów Polskich POLIN – kolekcja historii mówionej.

**Zamknięcie bram getta warszawskiego brutalnie
przerwało bieg setek ludzkich historii. Mur odebrał
nadzieję, pozostawiając jedynie obietnicę śmierci.**

Anna otrzymuje zawiadomienie o obowiązku przesiedlenia
do getta – tak dowiaduje się, że została uznana za Żydówkę.
Szanowany architekt dobrowolnie przenosi się do zamkniętej
dzielnicy, by być ze swoimi najbliższymi. Profesorska para
pomaga w tworzeniu „archiwum życia” w getcie.

Marek i Franek, przyjaciele z dzieciństwa, podejmują
walkę z Niemcami, szmuglując żywność.

Noemi wierzy, że ludzie wciąż mogą być dobrzy.

Gdy pierwszy wstrząs minął, skazani na zagładę młodzi
ludzie zapragnęli nie tylko przetrwać, lecz także śmiać się,
kochać, tworzyć. Na przekór wszystkiemu na nowo
odkrywają piękno życia, prawo do marzeń, wolności i buntu.
Zaczynają dopisywać kolejne rozdziały swoich historii.
Choćby jutra miało nie być...

**Poruszająca do głębi opowieść o ludziach, którzy
postanowili sprzeciwić się ciemnościom, i o miłości,
która pozwala pokonać strach, a nawet śmierć.**

Patronat

Ni
NACZYTANA
Z MIŁOŚCI DO KSIĄZEK

BABKA OD HISTY

Agencja Wydawnicza

OPOWIEŚĆ
opowieść
Kup i sprzedaj opowieści online



Książnica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6435-3

EAN 9788327164353

U.KS.OBY072.1.01.01